

BESTSELLEROWA AUTORKA „THE SUNDAY TIMES”



*Utalentowany
pan Ripley spotyka
Tajemną historię...
Świetna zabawa!*
„SUNDAY TIMES”

PARTY

ELIZABETH DAY

ELIZABETH DAY

PARTY

Przełożyła z angielskiego

Beata Hrycak



Książnica

Zapraszamy na www.publicat.pl

Tytuł oryginału
The Party

Projekt okładki
NATALIA TWARDY

Fotografia na okładce
© mihail39 / Adobe Stock

Koordinacja projektu
NATALIA STECKA-KUBANEK
PATRYK MŁYNEK

Redakcja
ELŻBIETA SPADZIŃSKA-ŻAK

Korekta
ANNA KURZYCA

Redakcja techniczna
LOREM IPSUM – RADOSŁAW FIEDOSICHIN

Copyright © Elizabeth Day 2021
Published by arrangement with Rachel Mills Literary, UK and Book/lab Literary Agency,
Poland.

Polish edition © Publicat S.A. MMXXIV (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora, w tym nielegalne jego
kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.

All rights reserved

ISBN 978-83-271-6708-8

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c)



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

PUBLICAT S.A.
61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00

e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij **TUTAJ**

Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Podziękowania

Materiały zostaną dostarczone...

ang. party:

rzeczownik:

1. przyjęcie
2. partia, stronnictwo
3. strona (sporu, porozumienia, umowy)

1

Pokój przesłuchań jest mały, kwadratowy. Stół, trzy plastikowe krzesła, wysokie okno z matową szybą pokrytą warstwą kurzu, jarzeniówki; na nasze twarze pada żółtawobury cień.

Dwa kubki herbaty: jeden dla policjantki, drugi dla mnie. Z mlekiem i dwiema kostkami cukru. Za dużo mleka, ale w moim położeniu raczej nie ma co narzekać. Na brzegu kubka, tam, gdzie kilka minut wcześniej wbiłem zęby w styropian, odcisnęły się ślady.

Ściany mają barwę złamanej bieli. Przypominają mi się korty do squasha w RAC przy Pall Mall, gdzie zaledwie kilka dni temu rozgromiłem przeciwnika wyprzedzającego mnie o kilka pozycji w klubowych rankingach. Bankier. Rumiana twarz. Luźne szorty. Zaskakująco mizerne mięśnie ud. Rozprawilem się z nim dość szybko: serw, slajs, smecz. Gumowe plaśnięcie piłki odbijającej się od betonu, ciemnozielona kropka na końcu każdej wymiany. Postękiwania. Przekleństwa. Ostateczna porażka. Agresja ograniczona ramami czterech ścian.

W komisariacie panuje podobna atmosfera: szorstkiej męskości, chociaż tylko jeden z dwojga przesłuchujących mnie funkcjonariuszy jest mężczyzną. Kobiecie najwyraźniej wyznaczono rolę „dobrego gliny”. To ona poczęstowała mnie herbatą, stwierdzając, że dobrze mi robi. I zaproponowała dwie kostki cukru.

– Wie pan – dodała, napotykając moje spojrzenie. – Po takim szoku...

To prawda, nie spodziewałem się dziś rano policji na progu domu. W moim trzydziestodwuletnim życiu byłem przesłuchiwany dopiero po raz drugi. W obu wypadkach z powodu Bena. Co jest naprawdę dziwne, zważywszy, że to mój najlepszy przyjaciel. Od najlepszych przyjaciół oczekuje się większej dbałości i troski.

Policjantka jest niskiego wzrostu, ma zaokrąglone ramiona i sympatyczną piegowatą twarz. Włosy ufarbowane na ten nieokreślony kolor, który z niewyjaśnionych powodów upodobały sobie kobiety w średnim wieku: ni brąz, ni blond, coś pomiędzy. Jakby beż. Rozdwojone końcówki.

Jej kolega jest wysoki. Typ mężczyzny, którego wyróżnia wybujały wzrost. Schylił się w drzwiach, wchodząc z plikiem papierów trzymany w rękach w kolorze szynki z supermarketu. Ubrany w szary garnitur z białą plamką na klapie. Może to ślad pasty do zębów. Albo dziecięcej kaszki ze śniadania. Na oko trzydzieści kilka lat.

Oboje siedzą naprzeciwko mnie po drugiej stronie stołu, plecami do drzwi. Krzesła mają siedziska z giętej sklejk, a w oparciach prostokątne otwory jak w skrzynkach na listy. Takie same krzesła były w Burtonbury, rozstawialiśmy je na szkolne zebrania i koncerty na zakończenie semestru. Wieki temu, a jakby nie dalej niż wczoraj. Czasem odnoszę wrażenie, że było to dosłownie przed chwilą. Wióry z temperowanego ołówka i guma tenisówek, smugi od podeszew sportowych butów na listwach przypodłogowych w klasie. Internat z zapadającymi się materacami. Skrzywienie sprężyn, gdy któryś z chłopaków poruszył się we śnie. Ciągła niepewność, niepokój. Oczywiście to wszystko, zanim poznałem Bena. Zanim uratował mnie przede mną samym. Od tamtej pory ratowaliśmy się nawzajem.

Z boku na stole stoi magnetofon. Naprawdę spory. Zastanawiam się, dlaczego musi być aż tak duży. A także z jakiego powodu w cyfrowej erze sound-cloudów, podcastów i iTunes policja upiera się przy kaseciakach.

Zrezygnowałem z prawnika. Po części dlatego, że nie mam wystarczających funduszy na wynajęcie kogoś dobrego, a zważywszy na okoliczności, wiem, że Ben nie zapłaci, ja natomiast nie zamierzam ugrzęznąć z jakimś zasmarkanym obrońcą z urzędu posiadającym jedną szarą komórkę. Nie sądzę też, by rodzice Lucy chcieli wyłożyć kasę. Po wszystkim, co się wydarzyło, podejrzewam, że teściowie mogliby nie być skłonni do pomocy.

– No dobrze – mówi kobieta, splótłszy przed sobą dłonie. Krótkie paznokcie pomalowane bezbarwnym lakierem. Malutka plamka atramentu na

pulchnej ręce między palcem wskazującym a kciukiem. – Możemy zacząć?

– Jak najbardziej.

Beżowowłosa wciska guzik kłocowatego magnetofonu. Słysząc długie pipczenie.

– Przesłuchanie jest nagrywane w komisariacie policji przy Eden Street w Tipworth. Jest dwudziesty szósty maja dwa tysiące piętnastego roku. Godzina czternasta dwadzieścia. Mówi detektyw Nicky Bridge z wydziału dochodzeniowo-śledczego.

Zerka na kolegę, który następnie podaje swoje dane na potrzeby nagrania.

– Detektyw Kevin McPherson, wydział dochodzeniowo-śledczy.

– Panie Gilmour – mówi policjantka, patrząc na mnie – zechce się pan przedstawić pełnym imieniem i nazwiskiem wraz z datą urodzenia?

– Martin Gilmour, urodzony trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku.

– Możemy zwracać się do pana po imieniu?

– Tak.

Chrząka.

– Zaoferowano panu usługi prawnika z urzędu, z których pan zrezygnował, zgadza się?

Kiwam głową.

– Proszę odpowiedzieć na głos.

– Tak.

Następuje przerwa. Szary Garnitur przekłada papiery. Ma spuszczoną głowę. Nie patrzy na mnie. Zbija mnie to nieco z tropu – myśl, że nie jestem wart jego uwagi.

– A więc, Martinie – mówi Beżowowłosa – zacznijmy od początku. Proszę nam powiedzieć, co się wydarzyło drugiego maja wieczorem. Na przyjęciu. Przybył pan tam przed innymi gośćmi, zgadza się?

– Tak – przyznaję. – Tak było.

I przystępuję do opowieści.

Historia zaczyna się przy drzwiach Tipworth Premier Inn, które nie chciały się otworzyć.

2 maja

Tipworth Premier Inn, 17.30

– Nie rozumiem, dlaczego nie mogli przenocować nas u siebie – powiedziała Lucy, wsuwając plastikową kartę do elektronicznego zamka. – Miejsca im przecież nie brakuje.

Dioda pod klamką uparcie migiała na czerwono. Lucy ponowiła próbę, niecierpliwie wpychając kartę do szczeliny i zbyt szybko ją wyjmując. Wiedziałem, że ogarnia ją zniecierpliwienie, ale starała się nie dać tego po sobie poznać – to wymowne zaczerwienienie karku, napięcie w barkach, wysunięty koniuszek języka. Obserwowałem kolejne niezdarne próby, narastała we mnie irytacja. Któż to powiedział, że definicją szaleństwa jest robienie w kółko tego samego i oczekiwanie różnych rezultatów? Arystoteles? Rousseau?

– Daj – mruknąłem, nie mogąc tego zdzierżyć ani chwili dłużej. – Spróbuję.

Wziąłem plastikową kartę wilgotną od jej spoconych palców, wsunąłem w szczelinę, odczekałem kilka sekund, a następnie gładko ją wyjąłem. Zapaliła się zielona lampka. Zamek pstryknął, otworzyły się drzwi.

– Robiłam dokładnie tak samo – obruszyła się Lucy.

Uśmiechnąłem się, poklepując ją po ramieniu. Odrobinę zwężyły się jej źrenice. Prawie niezauważalnie.

– Grunt, że się udało – rzuciła zbyt wesoło.

Wtoczyliśmy walizki do standardowego apartamentu. Nazywanie tego pokoju apartamentem było przejawem optymizmu. Dwa łóżka wypełniały niemal całą przestrzeń. Nad zagłówkami wisiała przekrzywiona reprodukcja marnej akwareli przedstawiającej dwie kobiety na plaży. Obok telewizora

zora stały elektryczny czajnik i słoik po dżemie z torebkami herbaty. Plastikowe opakowania śmietanki UHT leżały porozrzucone wokół podstawy czajnika, jakby naniesione tam przez niewidzialną mleczną falę i pozostawione na brzegu jak kamyki.

Lucy natychmiast rozwinęła kabel i zniosła czajnik do łazienki, by nalać wody. To pierwsza rzecz, którą robi, gdziekolwiek przyjeżdża. Gdy podróżujemy za granicę, zabiera ze sobą zawinięte w folię torebki angielskiej herbaty.

Usiadłem na skraju łóżka, czując, jak sztuczne włókno drapie o bawełniane drelich spodni, zsunąłem mokasyny. Spojrzałem na zegarek: siedemnasta trzydzieści siedem. Ben chciał, żebyśmy przyszli na drinka około siódmej, zanim rozpocznie się impreza, mieliśmy więc nieco ponad godzinę. Ostrożnie ułożyłem się na poduszce i zamknąłem oczy, słysząc, jak Lucy krząta się po pokoju, włącza czajnik, otwiera walizkę, rozpakowuje elegancką wieczorową sukienkę i wiesza ją w łazience, gdzie zaraz naleje do wanny gorącej wody w nadziei, że para magicznie wygładzi zagniecenia.

Takich rzeczy człowiek uczy się w trakcie małżeństwa: zwyczajów innych ludzi. Tych gromadzonych wzorców zachowania: stopniowej ewolucji, od pociągającego dziwactwa do czegoś bezsensownego, głupiego, nielogicznego, natrętnego i w końcu nie do wytrzymania. Może je zauważyć tylko druga osoba, doprowadzona do granic zdrowych zmysłów za sprawą ich powtarzalności.

– Bo jak myślisz, ile mają pokoi w tej swojej nowej rezydencji?

Przez kilka sekund nie reagowałem w nadziei, że da się nabrać, że śpię.

– Wiem, że nie śpisz, Martin. Widzę. Drżą ci powieki.

Niech to szlag.

– Przepraszam – powiedziałem, siadając. – Nie wiem.

– Założę się, że mnóstwo. A poza tym jesteś jego najstarszym kumplem.

– Uhm.

Woda się zagotowała, lustro zaparowało do połowy.

– Coś się między wami wydarzyło?

– Chryste... nie.

To nie do końca prawda, jednak na tym etapie uznałem, że nie musi znać szczegółów. Wymagałoby to zbyt wielu wyjaśnień, a, szczerze mówiąc, nie miałem na nie siły. Są rzeczy dotyczące więzi między dwoma mężczyznami, których moja żona – moja potulna, kochająca żona – nigdy nie zrozumie.

– Mają u siebie tabuny ludzi – wyjaśniłem, rozpinając pasek spodni i przygotowując się do zmiany ubrania. – Nie tylko rodzinę ze strony Bena, ale i krewnych Sereny. Myślę, że Ben nie chciał nas na to narażać.

Lucy podeszła do mnie z kubkiem w dłoni. Przekrzywiła głowę. Wilgotne brązowe oczy patrzyły wyczekująco. W sinawym cieniu pod lewym okiem pulsowało drobne naczynko, jak zawsze, gdy była zdenerwowana. Ostrożnie położyła mi rękę w zagłębieniu pleców. Czuję różany zapach jej perfum. Kiedyś uważałem tę woń za absolutnie uroczą. Skromną i bezpretensjonalną jak sama Lucy. Tamtego wieczoru mnie dusiły. Zbyt słodkie. Zbyt mydlane.

– Przepraszam, jestem...

Spuściła głowę i cofnęła dłoń.

– Oczywiście – rzekła i się odwróciła. – Tylko że... – Widziałem, jak rozważa, czy powiedzieć, co ją nurtuje. – To już trwa kilka miesięcy.

Tylko nie znowu to.

– Naprawdę?

Przytaknęła.

– Miałem sporo na głowie. Nowa książka...

Właśnie złożyłem w swoim wydawnictwie dość obszerną książkę poświęconą postimpresjonizmowi. Nie byli szczególnie zachwyceni tym pomysłem, ale mój agent ich przekonał. Zwrócił uwagę, że w Tate szykuje się duża retrospektywa Maneta, a któż napisze o tym lepiej niż poważany krytyk sztuki Martin Gilmour? Cieszyłem się pewną popularnością. Moja pierwsza książka, *Sztuka. Kogo to, k***a, obchodzi?*, wydana pięć lat

wcześniej, wyrobiła mi opinię *enfant terrible* świata sztuki, krytyka, który ośmielił się obalać bzdurne poglądy i nazywać rzeczy po imieniu.

W rzeczywistości treść nie była szczególnie obrazoburcza. Na pomysł tytułu wpadł mój agent. Należy oddać mu sprawiedliwość: książka sprzedała się w ogromnym nakładzie. Stała się prezentem, którym ludzie obdarowywali pod choinkę swoich będących na bieżąco z modą przyjaciół. Widziałem ją w toalecie na parterze pewnego fantastycznie modnego, zaprojektowanego na indywidualne zamówienie domu (ściany kurtynowe i gabinety w suterenie). Jestem pewien, że nikt nie przeczytał jej od deski do deski. To znaczy nikt prócz Lucy. Lucy jest do bólu lojalna. Zawsze taka była.

Poznaliśmy się trzynaście lat temu, kiedy pracowałem w „Bugle”, czołowej londyńskiej popołudniówce (wprawdzie nie było wtedy konkurencji, ponieważ bezpłatne gazety i poranne „Metro” pojawiły się dopiero później). Fuksem wskoczyłem na stanowisko wicedyrektora artystycznego, zastępując tymczasowo kobietę, która poszła na urlop macierzyński. Lucy pełniła tam funkcję recepcjonistki. W owych czasach można było palić w biurze, co czyniłem regularnie i z premedytacją, doskonale zdając sobie sprawę, że kiedy zaciągam się papierosem, moje dwudziestokilkuletnie kości policzkowe są atrakcyjnie wyeksponowane, w razie gdyby ktoś akurat na mnie patrzył.

Przez kilka tygodni nie zwracałem uwagi na Lucy. Istniała jako miła dla oka, niewyraźna plama na peryferiach mojego pola widzenia. Była pulchną, niebrzydką dziewczyną w okularach kujonki, miała brązowe włosy do ramion, ani proste, ani kręcone, objawiające się pod raczej mało satysfakcjonującą postacią „ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra”. Te włosy, o czym dowiedziałem się później, stanowiły źródło nieustającej frustracji. Wystarczyło, że deszcz łypał groźnie zza nierozzerwanej jeszcze szarej chmury, a końcówki już zaczynały się skręcać i puszyć. W deszczowe dni Lucy wzorem księżnej Yorku związywała włosy szeroką aksamitną gumką. Zawsze uroczo odstawała od reszty. Nosila zwiewne kwieciste sukienki, gdy wszystkie inne kobiety paradowały w obcisłych spódnicach ołówkowych. Chodziła w męskich półbutach i miała bujne brwi. Była kobietą z innej

epoki. Poniekąd nadal nią jest. Nigdy nie udało mi się określić, z której. Być może z takiej, której jeszcze nie wymyślono.

Tak czy owak, Lucy nie wywarła na mnie wtedy większego wrażenia, widziałem w niej kogoś, kto odbiera telefony i mówi „dzień dobry”, gdy wchodzi się do biura. Czasem parzyła i roznosiła herbatę. Pewnego razu wróciła z przerwy na lunch z paznokciami pomalowanymi błyszczącym czarnym lakierem, i to wzbudziło wówczas moje zainteresowanie. Pod tą powłoką kryje się coś więcej, pomyślałem. Lecz zaraz o tym zapomniałem i powróciłem do klawiatury, by wystukać liczące pięćset słów dyrdymały na temat ostatnich nieznośnie pretensjonalnych dyplomów Central Saint Martin albo hollywoodzkiej aktorki o miernym wprawdzie talencie, za to trzymającej w szachu właściciela gazety.

Dopiero w drugim, a może nawet trzecim miesiącu mojej pracy Lucy na dłużej przykuła moją uwagę.

Ian, redaktor działu, poprosił mnie o sklecenie tekstu na temat powrotu postaci „Wielkiego Amerykańskiego Pisarza”. Był do tego jakiś naciągany pretekst, o ile sobie przypominam – debiut muskularnego młodzieńca okrzykniętego nowym Tomem Wolfe’em. Usiłowałem zlecić napisanie tego artykułu jakiemuś chętnemu wolnemu strzelcowi, ale ponieważ zbliżało się Boże Narodzenie i żaden z moich stałych pomagierów nie był dostępny, postanowiłem sam się do tego przymierzyć.

Siedziałem przy biurku, uzgadniając z Ianem, które nazwiska powinienem uwzględnić.

– Należałoby wspomnieć o Jayu McInerneyu – powiedział.

Kiwnąłem głową, jakby to było dla mnie całkowicie jasne.

– I oczywiście o DeLillo – dodałem. – Wolfe... Franzen przejdzie?

– Zdecydowanie. – Ian oparł się na krzesło i skrzyżował ramiona na gorsie wymiętej koszuli. – Masz Philipa Rotha, jak sądzę?

– Wiadomo – zapewniłem, choć Philip Roth nie przemknął mi nawet przez myśl i na tamtym etapie życia nie przeczytałem ani jednej jego książki.

Z drugiego końca biurka dobiegło wyraźne cmokanie.

– Gdyby cofnąć się w czasie jeszcze bardziej, warto by przyjrzeć się Salingerowi... – ciągnąłem.

Cmokanie zamieniło się w głośne, zniecierpliwione chrząknięcie. Kąciki ust Iana drgnęły.

– Masz coś do powiedzenia, Lucy? – zapytał rozbawiony.

– Nie – odparła, rumieniąc się. – To znaczy... właściwie tak, przepraszam, tak. – Odkasznęła, a pośrodku każdego z policzków pojawiła się różowa plamka.

– Proszę – powiedział Ian, ruchem ręki pokazując, że oddaje jej pole.

– Myśleliście o... no wiecie, włączeniu do waszej listy jakichś kobiet? – spytała, a jej głos powoli nabierał rozpędu i mocy. – Wiecznie ci sami starzy, nudni, biali faceci. Jeszcze chwila, a będziecie przywoływać cholernego Johna Updike’a.

Drwiąco się zaśmiałem, jednocześnie notując w pamięci, by ująć w tekście Johna Updike’a. Jak mogłem go przeoczyć? Takie błędy wyróżniały mnie spośród innych. Przez nie sprawiałem wrażenie chłopaka, który nie wychowywał się w domu z pękającą w szwach biblioteczką, tylko wybierał lektury, opierając się na matczynym „Reader’s Digest”.

– ...Którzy generalnie piszą, myśląc fiutem, i gratulują sobie nawzajem swojej boskości – ciągnęła Lucy – a w rzeczywistości ich „powieści o stanie państwa” są zwykłymi dramatami rodzinnymi w nowym opakowaniu, podlanymi testosteronem. Ameryka ma niesamowite pisarki, których ciągle się nie docenia tylko dlatego, że piszą o rodzinach, a ich książki wydaje się w typowych dla... literatury kobiecej koszmarnych okładkach ze zdjęciami dzieci i zamków z piasku.

Spuściła głowę. Włosy opadły jej luźno na blade czoło.

– Przepraszam – powiedziała. – Ja tylko...

Uśmiechnąłem się do niej. Jakie to urocze, pomyślałem, mieć do czegoś tak emocjonalny stosunek. Napotkała moje spojrzenie i odwzajemniła

uśmiech, rozchylając usta na tyle, bym mógł zobaczyć jej równe, proste, zdroworozsądkowe zęby.

– A niech mnie – odezwał się Ian. – Nie wiedziałem, że siedzi tu z nami cholerna Emmeline Pankhurst. Więc kogo byś proponowała?

– Anne Tyler, Joan Didion, Donnę Tartt – wymieniała Lucy, nie podnosząc wzroku. – Tak na początek. To znaczy, jeśli w ogóle można się zgodzić z podstawowym założeniem, że istnieje coś takiego jak „wielka powieść amerykańska”. Z czym ja, nawiasem mówiąc, się nie zgadzam.

Ian zachichotał.

– Dzięki, Luce. Przypomnij mi, co takiego studiowałaś w Bristolu?

– Anglistykę – mruknęła. – I to było w Durham.

– Tak myślałem.

– W gruncie rzeczy uważam, że to dobry pomysł – przyznałem, zaskakując sam siebie. – Powinniśmy wziąć pod uwagę kilka kobiet.

Lucy się uśmiechnęła. Okulary zsunęły jej się z nosa. Pchnęła je na miejsce jednym palcem z obgryzionym paznokciem, a wtedy zauważyłem, ona zresztą też, że drży jej ręka.

– Dzięki, Martin – odparła i spojrzała na mnie błyszczącymi oczami.

Im lepiej ją poznawałem, tym bardziej byłem nią wbrew sobie zafascynowany. Tak bardzo mnie podziwiała, darzyła szacunkiem, generalnie była mi głęboko wdzięczna, że w ogóle poświęcam jej uwagę. Ja z kolei uważałem ją za inteligentną, interesującą rozmówczynię. Miała dużą wiedzę.

Zaczęliśmy jadać razem lunch. Początkowo zadowalaliśmy się szybką kanapką w stołówce dla pracowników, wkrótce jednak przenieśliśmy się do restauracji po drugiej stronie ulicy, gdzie zajmowaliśmy miejsca w drewnianych boksach i piliśmy wino z półtoralitrowej butelki, na której kelner zaznaczał, ile ubyło cali, i odpowiednio nas kasował. Wkrótce lunch ewoluował w drinka w pubie po pracy – dla mnie kufel guinnessa, dla Lucy gin z tonikiem. (Nigdy nie lubiłem guinnessa. Piłem to piwo tylko wtedy, gdy chciałem się wydawać bardzo męski). Po pół roku poszliśmy na kolację. Łączyło nas upodobanie do perskiej kuchni, szukaliśmy więc knajpek na

nieodpowiednim końcu Kensingtonu, w których serwowano najlepsze duszone bakłazany z jagnięciną i berberysem.

A potem mnie pocałowała, a ja nie wiedziałem, jak się wykręcić. Doszło do tego na chodniku przed jaskrawą fasadą restauracji o nazwie Tas albo Yaz, albo Fez czy coś w tym rodzaju. Staliśmy pod uliczną latarnią, drobna mżawka pokrywała nas wilgotnym muślinem, wpatrywałem się w jej twarz, w kropelki wody na niemodnych dużych okularach, dyskretnie trzęsący się mięsisty podbródek, dwa piegi na płatku ucha, przez które wydawało się, że jest przekłute, chociaż była jedną z nielicznych znanych mi kobiet, która nie nosiła kolczyków.

– Boję się jakiegoś zakażenia – wyjaśniła mi kiedyś. – Wszystkiego się za bardzo boję.

Lucy nie jest głupia.

Kiedy tak na nią patrzyłem, zmienił się wyraz jej twarzy. Oczy – brązowe, pełne życia – jakby nabrały cech płynności, jak gdyby ich brązowość w chwili nieuwagi mogła z nich wypłynąć. Uświadomiłem sobie – zbyt późno – że to, co widzę w jej pociemniałych źrenicach, to pożądanie. Pochyliła się ku mnie, splotła dłonie na moim karku, a ja uległem, ponieważ tak było najłatwiej. Przecież nie stanie się jakaś wielka krzywda?

Usta miała miękkie, ciastowate. Pocałunek stawał się coraz wilgotniejszy i bardziej namiętny. Słyszałem cichy jęk dobywający się z gardła Lucy i wtedy się odsunąłem, położyłem dłonie na jej barkach i powiedziałem stanowczo, po ojcowsku:

– Nie powinniśmy tego robić.

Spojrzała na mnie zawiedziona.

– Dlaczego?

– Bo... no... posłuchaj...

– Przecież nieźle się dogadujemy, prawda? I wiesz, lubię cię. – Wymowna krótka pauza. – Tak, naprawdę cię lubię. Nie możemy po prostu... zobaczyć, co z tego wyniknie? Jestem samotna. Wiem, że i ty jesteś samotny...

To mnie zaskoczyło. Rzeczywiście, czułem się samotny, ale sądziłem, że dość dobrze to ukrywam przed wścibskimi spojrzeniami w biurze. W owym czasie Ben coraz poważniej angażował się w związek z Sereną, a ja coraz częściej wieczorami nie miałem co ze sobą począć. O ile wcześniej często chodziliśmy pić do Soho, zaczynając w prywatnym klubie i przenosząc się później na kolację do Quo Vadis, a na koniec wpadając na ostatniego drinka do Atlantica, teraz Ben chętniej zostawał w domu, gotował makaron i oglądał z Sereną filmy. Poprosił, bym rozejrzał się za jakimś własnym kątem, żeby ona mogła się wprowadzić do przerobionego z dawnych stajni mieszkania, które zajmowaliśmy razem od ukończenia studiów.

– Czas dorosnąć, stary – oznajmił, poklepując mnie po plecach. Dotyk przychodził Benowi z taką łatwością. To coś, czego w nim nie znosiłem, a zarazem kochałem.

Może więc, gdy pojawiła się Lucy, byłem wyjątkowo kruchy psychicznie i zląkniony czyjejs uwagi. Zdaję sobie teraz sprawę, że to marne usprawiedliwienie.

Tamtego wieczoru odprowadziłem ją do domu. Mieszkała w zaskakująco miłym miejscu w okolicy North End Road. Mówię „zaskakująco”, ponieważ na podstawie jej niegustownych ubrań i zamiłowania do męskich marynarek ze sklepów z używaną odzieżą wywnioskowałem, że krucho u niej z pieniędzmi. Okazało się, że w tej kwestii się myliłem. Rodzice Lucy byli dość dobrze sytuowani, jak przystało na solidną klasę średnią. Posłali trzy córki do prywatnych szkół, mieszkali w wiejskim domu z czerwonej cegły w Gloucestershire. W Boże Narodzenie chodzili na koncerty kolęd do katedry Tewkesbury.

Odstawiłem ją pod drzwi.

– Wejdz – zapraszała Lucy, ciągnąc mnie za rękaw płaszcza.

Pokręciłem głową, symulując żal.

– Nie – odparłem, gładząc ją po policzku. – To byłoby nie w porządku. Następnym razem.

Pocałowałem ją w czubek głowy, wdychając zapach szamponu timotei i świeżego potu, a potem odszedłem, unosząc dłoń na pożegnanie.

– Do jutra! – zawołała za moją oddalającą się postacią.

Z niewiadomych powodów po tamtym wieczorze z Lucy doświadczyłem uciążliwego przyływu rozmaitych emocji. Myślałem o matce, o tym, jak na mnie spojrzała, kiedy przyjechawszy do domu na Wielkanoc, powiedziałem, że nie powinna mówić „kanapa”, tylko „sofa”, i że sposób, w jaki wymawia słowo „kino”, przeciągając pierwszą głoskę, jest żenujący.

Szedłem w stronę cmentarza Brompton i choć było późno i miałem świadomość, że główna brama będzie zamknięta, znałem pewne miejsce w murze od strony Lillie Road, gdzie obluzowały się kamienie i można było dość łatwo wczołgać się pod spodem.

Tak zrobiłem. W dłonie wbiły mi się drobne gałązki i sosnowe szyszki, odciskając na skórze brudny wzór. Wstałem, otrzepałem się. We włosy wplątał się kawałek jakiegoś porostu. Wytrząsnąłem go.

Mrok nocy, rozproszony tu i ówdzie nikłym światłem latarni, otulał cały cmentarz. W ciemnościach majaczyły nagrobki i zarysy kamiennych aniołów. Gdzieś tu spoczywało kilka wybitnych postaci historycznych, choć nigdy nie próbowałem odszukać ich grobów. Moim ulubionym nagrobkiem (jeśli w ogóle można o czymś takim mówić) był ten upamiętniający śmierć młodego mężczyzny, niejakiego Horace’a Brass, zmarłego w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku w wieku szesnastu lat. Jego imię i nazwisko wyryto ozdobnym pochyłym pismem.

Z rękami w kieszeniach zacząłem iść w tamtą stronę. Jakiś mężczyzna zrównał ze mną krok. Zerknąłem w bok i zobaczyłem, że nie, to nie mężczyzna, tylko chłopak. Nastoletni jak Horace Brass, blady i wątły jak srebrna brzoza. Miał tłuste włosy i plamy wokół ust.

– Szuka pan towarzystwa? – zapytał.

– Nie – odparłem zbyt głośno. – Nie szukam... to znaczy... nie.

Wrzenie gniewu w splocie słonecznym. Przyspieszyłem kroku i szybko zawróciłem tą samą drogą, którą przyszedłem.

Następnego dnia spóźniłem się do pracy. Miałem migrenę, jeśli dobrze sobie przypominam, przy każdym kroku grunt wydawał się tak odległy, że

stopy do niego nie dosięgały. Usiadłem przy biurku, osłaniając oczy przed wlewającym się przez okno światłem słonecznym, przekartkowałem najnowszy numer „Art Newspaper”, udając, że skupiam się na lekturze. Weszła Lucy, uśmiechnęła się do mnie. Pamiętam przypływ ulgi na myśl, że nadal mnie lubi. W wyobrażeniu Lucy byłem wciąż mężczyzną, którego pocałowała pod drzwiami swojego domu, mężczyzną, którego zapraszała na górę, mężczyzną, którego szanowała, lubiła i z którym chętnie spędzała czas. W jej wyobrażeniu byłem miłym Martinem Gilmourem. Takim Martinem Gilmourem, którym chciałem być.

Odwzajemniłem uśmiech. Tamtego dnia znów wyszliśmy razem na lunch, usiedliśmy w Kensington Gardens, podścieliwszy płaszcze, i wyjęliśmy kupione w supermarkecie kanapki. Ująłem jej twarz w obie dłonie i pocałowałem, przekazując tkliwość, którą niemal w sobie poczułem. Jej usta smakowały krewetkami w majonezie. Nie było we mnie podniecenia, namiętności, miłości. Były za to sympatia i czułość. A także jakiś rodzaj zrozumienia. Jestem tego pewien. Nie mydliłem jej oczu, jak zapewne wyraziłaby się moja matka. Lucy wiedziała, jaki jestem. Serio, nie może mieć pretensji.

Oczywiście nic nie jest takie łatwe, jak się na początku wydaje. Kiedyś bardzo lubiłem Lucy, naprawdę. Z upływem lat to uczucie zmatowiało jak niepolerowany mosiądz. Te same cechy, które mnie w niej pociągały: nieskomplikowana wizja świata, delikatna ekscentryczność, odmowa robienia się na bóstwo, a przede wszystkim jej zachwyty i podziwy dla mnie teraz działały mi na nerwy. A do tego doszła oczywiście kwestia potomstwa. Zawsze powtarzałem, że nie chcę mieć dzieci, i na początku to akceptowała. Ale było tak, zanim jej koleżanki zaczęły skwapliwie produkować dziatwę, z nużącą częstotliwością wrzucając na Facebooka zdjęcia USG z dwunastego tygodnia ciąży oraz fotki noworodków z zapuchniętymi oczami. Zmieniło się nasze życie towarzyskie – długie wieczory w pubie ustąpiły miejsca piknikom w parku z wrzeszczącymi dzieciakami dookoła albo popołudniowym grillom; wszystko było

podporządkowane godzinom dostępności zaufanych opiekunek albo drzemki Isadory, Humphreya czy Matildy.

Och, czy Lucy nie ma cudownego podejścia do dzieci? Patrzcie, jak się z nimi bawi! Wiecznie klęczała, by zaglądać im w oczy, trzymała je za rękę, biegała za nimi, bawiła się w berka, jej kwieciste sukienki powiewały wokół kolan. Miała sześcioro chrześniaków. Ale za każdym razem, gdy szła do Tiffany'ego po srebrną bransoletkę z przywieszkami albo kupowała wygrawerowany kufel na kolejne chrzciny, coś w niej twardniało. Utraciła dawną łagodność i uległość.

Moja zażyłość z Benem prawdopodobnie tu nie pomagała. Zetknięcie się z taką sytuacją i nadzieja na zyskanie mojej niepodzielnej uwagi byłyby trudne dla każdej kobiety. Ale, jak często jej powtarzałem, było tak od zawsze. Znamy się z Benem od dawna. Jesteśmy najlepszymi kumplami od szkolnych lat. Na pewnym etapie byliśmy tak zżyci, że jego matka ochrzciła nas nieformalnie jako Starsky i Hutch. Później żona Bena, Serena, ukuła inne wyrażenie.

– Zawsze jesteś obok, co, Martin? – powiedziała. – Taki mały cień Bena.

Z jakiegoś powodu to przydomko do mnie przywarło. Mały Cień. Nawet Ben tak mnie teraz nazywa. Zapisał mnie w telefonie jako MC.

Prawdziwym powodem, dla którego nie zatrzymaliśmy się u Bena przed przyjęciem, był fakt, że nas nie zaprosił. Lucy miała rację: w domu spokojnie wystarczyłoby miejsca nawet dla armii gości przybyłych na jego czterdzieste urodziny. Owszem, poczułem się urażony tym pominięciem. Zbyt długo zwlekałem z zarezerwowaniem jakiegoś przyzwoitego noclegu. Ich nowy dom znajdował się w Tipworth, sielankowej wsi w Cotswold, tonącej w masie landrynkowatych sklepików sprzedających zabawne rękawice kuchenne i paczki krówek, za to z poważnymi brakami w zakresie sensownych hoteli. Kiedy szukałem miejsca, wszystkie przyjemne hotele butikowe były już zajęte przez innych gości, z których większość prawdopodobnie zleciła rezerwację swoim sekretarkom czy asystentom. Czterdziestka Bena zapowiadała się hucznie. Miała się tam zjawić cała dzielnica W11.

W końcu jedynym dostępnym miejscem został Premier Inn przy zjeździe z autostrady. Pokój kosztował pięćdziesiąt dziewięć funtów i dziewięćdziesiąt dziewięć pensów, co zakrawało na jakiś absurd.

– To nie pomyłka? – zapytałem przez telefon, gdy recepcjonistka przedstawiła cennik.

– Nie. Śniadanie nie jest wliczone w cenę. Ale po drugiej stronie drogi jest Little Chef.

Wypas!

I tak oto tu wylądowaliśmy. Nadąsana Lucy w łazience. Zagotowana woda w czajniku. Ja bez spodni, ze stopami na szorstkiej wykładzinie. Rozpakowując koszulę frakową i muchę, nie wyjaśniłem, dlaczego Ben nie zaprosił nas do siebie. Spojrzenie prawdzie w oczy wytrącało mnie z równowagi. Chociaż dotarcie pieszo na przyjęcie zajęłoby nam niecałe dziesięć minut, Lucy uparła się na taksówkę.

– Buty! – powiedziała, wskazując parę jaskrawoczerwonych błyszczących sandałów na obcasie.

– Bardzo ładne – skłamałem. – Nowe?

Zarumieniała się z zadowolenia.

– Tak. Kupiłam na eBayu. – Obracała prawą kostkę, demonstrując, jak bardzo są krzykliwe. Jak każda konwencjonalna kobieta Lucy lubi udawać, że jest niekonwencjonalna, kupując przykuwające uwagę buty. Pod wszystkimi innymi względami dostosowała się do konwencji: długa trapezowa sukienka na ramiączkach ze sztywnego ciemnozielonego materiału, ramiona okryte bladoczerwonym kaszmirowym szalem. W ręku wieczorowa torebka. Nie musiałem zaglądać do środka, by wiedzieć, że mieści w sobie złożoną chusteczkę higieniczną, ogryzek zużytej niemal do końca szminki, długopis, lusterko i klucz do hotelowego pokoju. Zawsze upierała się przy noszeniu ze sobą klucza.

– Zostawiłaś klucz w recepcji? – zapytałem kontrolnie.

Pokręciła głową.

– Przecież nigdy tego nie robię. A jeśli ktoś wejdzie i coś ukradnie?

– Chyba wiesz, że mają klucz uniwersalny?

– Mimo wszystko... – rzekła, wpychając się niezdarnie do taksówki.

Taksówkarz odwrócił się w naszą stronę.

– Klasztor Tipworth?

– Tak – odparłem. – Jak się pan domyślił?

Zachichotał.

– Zdradza to wasze ubranie. W tych stronach rzadko widuje się wieczorowe stroje.

Ben i Serena Fitzmaurice'owie słynęli z wystawnych przyjęć. Był to dla nich punkt honoru. To wyprawiono rzekomo z okazji czterdziestych urodzin Bena, ale przy okazji było parapetówką. Kilka miesięcy temu kupili siedemnastowieczny klasztor Tipworth. Służył im za drugi dom.

W dni powszednie mieszkali w drogiej części dzielnicy Notting Hill, w białym domu ozdobionym od frontu stiukami. W weekendy potrzebują „większej przestrzeni” dla dzieci, tak przynajmniej mi powiedzieli.

– Chcemy się wyrwać – mówili, ślęcząc nad luksusowymi broszurami biur nieruchomości z trzema nazwiskami bez znaku „&” pomiędzy. Byłem zbity z tropu, nie wiedziałem, od czego właściwie chcą „się wyrwać”. Ale nie mnie zrozumieć pragnienia superbogatych. Kiwałem głową i mruzczałem ze współczuciem, gdy o tym opowiadali, i wkrótce potem natknęli się na klasztor Tipworth w malowniczej części Oxfordshire, z łąkami, pastwiskami dla owiec oraz wszystkimi niezbędnymi atrybutami wiejskiego krajobrazu, ale także z kawiarniami serwującymi latte z mlekiem sojowym i sałatki z ekologicznej makreli w widnych kaplicach przerobionych na lokale. W pobliżu otworzyła się niedawno filia prywatnego klubu z Soho, czyniąc cuda dla lokalnej gospodarki, choć nie dla tutejszych mieszkańców, którzy niezwłocznie poskarżyli się reporterom „Tipworth Echo”, że przez zawyżone ceny nie stać ich na mieszkanie w swoich wsiach.

Prawdę mówiąc, Ben i Serena też starli się z lokalną prasą, gdy podpisywali umowę kupna nieruchomości; awantura dotyczyła eksmisji garstki sędziwych zakonników, którzy nadal zamieszkiwali klasztor.

Fitzmaurice'owie wyznali, że ich zdaniem sprawa została okropnie rozdmuchana, a w ich wersji wydarzeń kwestia wykwaterowania zakonników brzmiała jak lekka anegdota do kolacji, która miała uwypuklić zabawną ciasnotę umysłową nieoświeconego wiejskiego ludu.

(Czytałem później w „Echu”, że mnichom znaleziono nowe lokum na jakimś marnym przedmieściu Oksfordu. Umieszczono ich w specjalnie wybudowanym bloku wciśniętym między wielopoziomowy parking a jeden z tych sklepów dyskontowych, które sprzedają duże opakowania chipsów cebulowych i plastikowych klamerek do prania w ilości większej, niż przeciętny człowiek mógłby zużyć w ciągu całego życia).

Usunawszy zakonników, Serena i Ben mogli przystąpić do prac we wnętrzach. Remont przeprowadzili z rozmachem, wstawili między innymi kominki w stylu rokokowym, wyciosane z monumentalnego bloku marmuru poprzecinanego szarymi żyłkami niczym przekrwione białko wytrzeszczonego oka. Żyrandol do głównej bawialni sprowadzono z Włoch – bryzgający wodospad szklanego przepychu, który po bliższym przyjrzeniu okazał się w całości skonstruowany z odwróconych do góry dnem kieliszków do wina. Zdaniem Bena i Sereny był to akcent humorystyczny; znak, że choć znali się na pięknym wzornictwie, nie traktowali siebie ze śmiertelną powagą. Ja jednak wiedziałem, że żyrandol kosztował dwieście pięćdziesiąt tysięcy funtów. Nawet więcej, jeśli doliczyć koszty pakowania i transportu. Nie mogłem nie podziwiać tego splendoru. Tego czystego, lekkomyślnego zbytku.

Nie widziałem domu po ukończonym trzy tygodnie temu remoncie. Wbrew sobie byłem szalenie zaintrygowany, co zrobili z tym miejscem. Zastanawiałem się, czy nieco kiczowate upodobanie Sereny do białych lilii, pluszowych dywanów i armatur rodem z luksusowych hoteli nie pozbawi budynku charakteru.

Gdy zbliżaliśmy się do klasztoru Tipworth i taksówka skręciła w długi, szeroki podjazd, posiadłość robiła imponujące wrażenie. Droga była wysadzana żywopłotem z kuliście przyciętych bukszpanów, każdą zieloną kulę otaczała aureola fioletowego światła. Zewnętrzna część klasztoru

należała do zabytków klasy pierwszej, więc ku mojej wielkiej uldze Serena nie mogła położyć na nim swoich łapsk. Przepiękny kamień z Cotswold pozostał nietknięty, w zachodzącym słońcu emitował ciepły, kremowy blask. W oknach witraże. Na frontowym trawniku ustawiono duży namiot przystrojony kwiatami w barwach fioletu i bieli. W niecce fontanny z kamienną rzeźbą chłopca trzymającego na ramieniu przechyloną amforę pływały fioletowe i białe płatki kwiatów. Gdy taksówka zatrzymała się pod budynkiem, usłyszeliśmy elektryczny warkot generatora i nagle fasadę zalało mocne światło. Kiedy wysiadłem z samochodu, zauważyłem gigantyczne litery „B” i „S” w odcieniu wściekłego fioletu, rzucone na ścianę z niewidocznego projektora. Cała Serena.

– No tak – powiedziała Lucy. – Niczego nie robią na pół gwizdka.

Taksówkarz parsknął.

– Święta prawda, złociutka.

Rzuciłem jej spojrzenie. Zaczęła skubać delikatne skórki wokół paznokcia kciuka. Opłata za przejazd wyniosła sześć funtów i sześćdziesiąt pensów. Podałem kierowcy banknot dziesięciofuntowy i czekałem na resztę.

– Trzeba było dać mu napiwek – zauważyła Lucy, gdy weszliśmy po schodach i pociągnęliśmy za ozdobny sznur uruchamiający stary dzwonek.

– Przy tej cenie? Niedoczekanie.

Usłyszałem kroki na kamiennej posadzce, otworzyły się drzwi i oto stanął w nich Ben z szeroko rozpostartymi ramionami, w wypuszczonej na wierzch koszuli, rozpiętej muszce, z burzą nieokiełznanych loków na głowie i szerokim uśmiechem na twarzy.

– Cześć, kochani!

Wprowadził nas do środka, objął Lucy, cmoknął ją w oba policzki, następnie zmiążdżył mnie w uścisku i poklepał po plecach.

– Wspaniale, że mogliście przyjść wcześniej – ciągnął, prowadząc nas przez korytarz wysłany marokańskimi dywanami, które gdzieniegdzie się rozchodziły, odsłaniając szereg płyt nagrobnych. Obcasy Lucy stukały

o „drogiego zmarłego”, a gdy sam spojrzałem pod nogi, zdałem sobie sprawę, że stoję na „Emily, ukochanej żonie...”. Dziwne, pomyślałem, skończyć w taki sposób. Na klasztorным cmentarzu, który zamienił się w podłogę domu zamożnego człowieka.

– Wybaczcie ten chaos – powiedział Ben. – Przedimprezowe szaleństwo, wiecie, jak to jest.

Minęliśmy grupę dziewcząt w czarnych spódnicach i białych bluzkach, z włosami zebranymi w końskie ogony, jedne ciaśniejsze, inne bardziej swobodne. Jedna z nich uśmiechnęła się na nasz widok. Inna skinęła głową, niemal przy tym dygając.

– Tak się cieszę, że możemy się spotkać, zanim wystartuje impreza. Cieszymy się oboje. Nie ma zbyt wielu okazji do pogadania na tego rodzaju wydarzeniach, prawda? W każdym razie z ludźmi, z którymi naprawdę chciałoby się pogadać.

Trajkotał jak najęty. Czarujący jak zwykle, ale spod spodu wyzierała nuta nerwowości. Zupełnie do Bena niepodobne. Pewnie jest przejęty rychłym przybyciem gości, pomyślałem.

– Imponujące miejsce, Ben – powiedziałem.

– Tak – dodała Lucy. – Rzeczywiście, wspaniale...

Ben zatrzymał się na sekundę i uniósł głowę, jakby węszył w powietrzu.

– Prawda? Mieliśmy kupę szczęścia. Ale remont będzie się ciągnął miesiącami. Miesiącami. Kaplica jest jeszcze nietknięta. Pokażę ci ją, MC. Wiem, jak pasjonuje cię historia architektury. – Porozumiewawczo chwycił Lucy za ramię. – Straszny z niego wapniak, co, Luce? I za to go kochamy.

Bena bawiło to, że gdziekolwiek się razem udawaliśmy, od razu szukałem miejscowego kościoła i wynajdywałem w nim coś interesującego: a to zaskakujący fresk przedstawiający Świętego Piotra trzymającego klucze do nieba, a to pomnik ku czci poległych wzniesiony dla jedynego syna imieniem Arthur, a raz nawet poduszkę na kościelnej ławce z wyhaftowanym napisem „To też przeminie”.

Poszliśmy za Benem na koniec szerokiego korytarza, którego ściany zdobiły czarno-białe rodzinne fotografie w jednakowych ramach z przezroczystego pleksiglasu. Prowadził do kuchni, w której stała Serena w otoczeniu jeszcze nie do końca rozpakowanych bukietów kwiatów, pośród płataniny łądy, płatków i pyłków. Otaczali ją grupa kelnerów oraz mężczyzna w oklapniętym kapeluszu khaki i kurtce w stylu safari z milionem kieszeni.

– Serena – rzucił miękko Ben. – Są tu MC i Lucy.

Podniosła wzrok, wydawała się roztargniona. Zaskoczyła dopiero po chwili.

– Oczywiście! Oczywiście! Przepraszam, kochani, kompletnie wyleciało mi z głowy. Jedną chwilkę.

Odwróciła się do mężczyzny w kurtce safari.

– Są piękne, Tom, dziękuję. Dużo lepsze niż tamte kwiaty.

– Trzeba będzie je przesadzić – odparł burkliwie.

– Uhm... Wiem, skarbie. Tak zrobimy.

Tom wyszedł z kuchni, zostawiając na podłodze grudki błota.

Serena natychmiast zaczęła prawić z ożywieniem nieszczerze komplementy.

– Jak cudownie cię widzieć, Martin. – Miała zwyczaj przeciągać w moim imieniu wszystkie samogłoski do granic wytrzymałości. – Wyglądasz bardzo sztywnie. Och, a ty, Lucy, jaka... jaką masz... – Urwała. – Ładną sukienkę. Gdzie kupiłaś? Czy to Donna Karan?

– Nie – odparła Lucy. – Monsoon.

– Ogromnie mi przykro, że nie mogliśmy zaprosić was na noc. Wiecie, jak to jest. Rodzina. Dalsi krewni. Przyjaciele przylatujący z zagranicy.

– Oczywiście – powiedziałem. – Żaden problem. I tak jesteśmy zachwyceni. I w dodatku możemy zobaczyć ten, ten... – odegrałem teatrzyk, rozglądając się wokół z oniemiałą z wrażenia miną – pałac. Naprawdę, Sereno, masz absolutnie nieskazitelną gust.

Nie odpowiedziała, ale posłała mi kolejny olśniewający uśmiech. Serena nie włożyła jeszcze wieczorowego stroju, a i tak wyglądała efektowniej niż my wszyscy. Miała na sobie dzinsy z postrzępionymi nogawkami i luźną białą bluzkę, która jakimś cudem była jednocześnie bezkształtna i seksowna. Na szyi srebrny łańcuszek z wisiorkiem w kształcie serca leżący jak ulał w zagłębieniu między obojczykami. Włosy miała podkreścone na wałkach, mocno podkreśliła oczy – czarnobrazowe cienie w kolorze zmiażdżonego paznokcia – ale nie pomalowała ust i w efekcie jej twarz mogła przybierać dowolny charakter, jak w książeczce dla dzieci, gdzie można rozmaicie żonglować obrazkami i tworzyć zabawne wariacje, podmieniając postaciom twarz, tułów i nogi.

– Obiecałem pokazać MC kaplicę – rzucił Ben. – Wy, dziewczyny, znajdziecie sobie w tym czasie własną rozrywkę, prawda?

Zerknąłem na Lucy, która stała w kącie obok ogromnej lodówki smeg, ciasno otulając się szalem, z buntowniczo zaciśniętymi ustami.

– Oczywiście, skarbie – odparła Serena. – Ale najpierw daj się gościom napić!

Roześmiała się – dźwięcznie, jakby ktoś stukał łyżeczką w podstawkę – i naląła nam wszystkim po kieliszku veuve clicquot, który chłodził się już w kubelku z lodem obok zlewu o przemysłowych rozmiarach.

Ben wziął nasze kieliszki i poprowadził mnie tą samą drogą, którą przyszliśmy.

– Wciąż czekamy na część mebli – wyjaśnił, gdy zatrzymaliśmy się przed kamiennym kominkiem. Gzyms znajdował się na wysokości naszych głów. Wnękę wypełniały dziesiątki świec ołtarzowych, nawoskowane knoty sterczały prosto, gotowe do zapalenia. – Serena przywiozła je z Francji. Część tych większych dostała od koleżanki z Bali.

– Nie kusi was, żeby rozpaścić prawdziwy ogień?

– Ha! Nie. Serenie zależało na świetle świec. Tworzy... – urwał, zniżył głos i przybrał pseudofrancuski akcent – atmosferę. Podobno.

Otoczył mnie ramieniem i przyciągnął do siebie. Nadal szeroko się uśmiechał. Nadal za wszelką cenę chciał pokazać, jak doskonale się bawi i jaki to luźny wieczór i czy to nie superfajna zabawa w gronie przyjaciół. Być może zapomniał, jak dobrze go znam. Bądź co bądź latami studiowałem jego twarz. Dzisiaj w jego oczach było jakieś gorączkowe podniecenie, nerwowy błysk, wzrok ślizgał się po powierzchniach i ludziach, ani razu nie spoczął na mojej twarzy.

Opuścił rękę, wypił spory łyk szampana i gestem dłoni zaprosił mnie do wąskiego korytarza, ciemniejszego niż inne, który prowadził w bok od głównej osi budynku.

– Myślę, że ci się spodoba – powiedział. Pchnął drzwi, skrzypnęły poczerńiałe zawiasy. W powietrzu utrzymywał się kadzidlany zapach. W półmroku dostrzegłem masywną bryłę ołtarza i chrzcielnicę.

– Przepraszam, nie zwracajcie na nas uwagi – rzucił Ben, przestępując przez kabel. Dwaj mężczyźni w czarnych koszulkach z napisem Sono-Vision Inc. powyżej znaku firmowego złożonego z trzech zazębiających się okręgów manipulowali miniaturowymi śrubokrętami przy głośnikach.

– Spore przedsięwzięcie – zauważyłem.

– Ha!

Kaplica wyglądała niemal tak samo, jak musiała wyglądać w chwili, gdy opuścili ją zakonnicy. Na półkach leżały otwarte śpiewniki, powiew powietrza przy zamykaniu drzwi poruszył ich kartkami. Jakby poprzedni lokatorzy tego miejsca zostali zmuszeni do wyjścia w połowie mszy i porzucili swój dobytek w pospiesznej ucieczce.

Przypomniał mi się dom Victora Hugo przy Place des Vosges w Paryżu: nietknięty od czasu jego śmierci, wszystkie przedmioty na przynależnych im miejscach. Nagle wzrok padał na maskę pośmiertną Hugo umieszczoną jakby od niechcienia w gablocie na biurku i człowiek uświadamiał sobie, jakie to makabryczne, jaki dziwny ten ludzki pęd do zatrzymania wszystkiego w bezruchu, w zastygłej galarecie. Po śmierci matki chciałem się pozbyć jej jak najszybciej. Natychmiast załatwiłem kremację, a gdy z zakładu pogrzebowego przyszła wiadomość, że prochy są gotowe do

odbioru, zignorowałem ją. Co się robi z nieodebranymi prochami? Nigdy się tego nie dowiedziałem.

– Miejsce z dreszczykiem.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, MC. Nie masz pojęcia. Wiesz, tu mieszka duch.

Zaczął opowiadać o duchu, który snuje się rzekomo po średniowiecznym cmentarzu, tuż obok ozdobnego labiryntu posadzonego dla rozrywki czworga ich dzieci – Cosimy, Cressidy, Hectora i Wilfa (zwanego w rodzinie Misiem). Miejscowi nazywają go Brązowym Mnichem. Ponoć przenika przez ściany domu, cicho pojękując.

– Chyba w to nie wierzysz, co?

Ben pokręcił głową.

– Nie, ale... Serena tak. Znasz ją...

Tak. Owszem, znałem.

Podczas naszego pierwszego spotkania w restauracji na szczycie jednego z najnowszych londyńskich drapaczy chmur Serena pochyliła się nad stołem i złapała mnie za przedramię. Zrobiła to tak szybko, że nie miałem szansy uwolnić się z uścisku, siedzieliśmy więc niezręcznie, a ona wpatrywała się we mnie żarliwie tymi jasnoniebieskimi oczami i powiedziała: „Ben wiele mi o tobie mówił. Wiem, że będziemy bratnimi duszami”.

Uśmiechnąłem się wymijająco. Wymijający uśmiech to jedna z moich specjalności.

– Dostrzegam w tobie dziecko – oznajmiła. Kosmyk blond włosów przykleił się do pomalowanych błyszczącym ust i tam pozostał, przecinając na pół dolną część pięknej, obojętnej twarzy. Za jej plecami widziałem ciemną, rozległą przestrzeń miasta: szkielet niedawno postawionego rusztowania oświetlonego zamglonym księżycem i czerwone mrugające światełka Canary Wharf ułożone w sekwencję nieczytelnych znaków na wyświetlaczu cyfrowego zegara.

– To bardzo ważne, prawda? – rzekła, gdy podano pierwsze danie. – Zachować w sobie ten dziecięcy zachwyt nad światem.

Cofnęła rękę, zadowolona z siebie. Na jej gładkim czole rysowała się pojedyncza zmarszczka, jakby umieszczona tam celowo, by świadczyć o trosce i empatii.

Serena była najnowszą z długiego szeregu dziewczyn Bena. Nawet ja musiałem przyznać, że różniła się od poprzednich. Wcześniej wybierał określony typ. Był przystojny, pochodził z zamożnej rodziny. Miał życie usłane różami – absolwent prywatnej szkoły, Cambridge, dyrektor funduszu hedgingowego – i w rezultacie szukał trudności w relacjach osobistych. Lubił neurotyczne dziewczyny w podartych dżinsach, które za dużo paliły i zamiast chodzić do fryzjera, strzygły się same. Związek nigdy nie trwał dłużej niż kilka miesięcy, i to Ben zawsze go kończył.

Często musiałem później ocierać im łzy. Przychodziły do mnie z rozmazanym od płaczu makijażem, a ja zawsze powtarzałem to samo: że Ben po prostu nie jest jeszcze gotów się ustatkować i nie wiadomo, czy kiedykolwiek to nastąpi, i to nie jest ich wina, bo on uwielbia je na swój sposób, ale nic nie poradzi na to, że nie jest jeszcze gotowy. Kiwały głowami i przygryzały wargi, a po kubku słodkiej herbaty i kilku okruszkach ciasta (nigdy nie zjadały całego kawałka) wychodziły z mieszkania i już nie wracały.

Lubiłem tamte dziewczyny, prawdopodobnie dlatego, że nigdy nie czułem przy nich zagrożenia. Nie robiły zakusów na moją przyjaźń z Benem. Respektowały naszą nierozzerwalną więź. Znaliśmy się jak łyse konie. Żadna kobieta nie stanowiła konkurencji. I tak jak im tłumaczyłem: nie była to ich wina.

Aż do czasu pojawienia się Sereny.

Oczarowała go swoją swobodną pewnością siebie. Poznali się na nartach. Jakżeby inaczej. Tacy ludzie poznają się przy tego rodzaju okazjach. W Verbier albo Saint-Tropez.

Wysoka, atrakcyjna blondynka. Szczupła, z delikatnie zarysowanymi mięśniami. Używająca słodkich perfum. O włosach kołyszących się z boku

na bok jak w reklamie szamponu. Pracowała w galerii sztuki, choć porzuciła to zajęcie tuż po zaręczynach. Była typem osoby, która nudziłaby Bena, jak przypuszczałem. Nieraz naśmiewaliśmy się z takich dziewczyn z wyższych sfer, zupełnie bezbarwnych, polegających na majątku tatusia i załatwionej karierze, w weekendy jeżdżących na wieś w kaloszach marki Hunter i puchowych kamizelkach.

Ale nie doceniłem Sereny. Bo choć wyglądała na nudną osobę (piękną, owszem, lecz niezaprzeczalnie nudną), miała w sobie jakąś naturalność, nie była zepsuta. Za to szalenie naiwna. Nie mam na myśli głupoty, to nie tak, raczej wrażenie jakiejś nieziemskości, jakby nigdy nie znalazła dla siebie miejsca na tej planecie. Można by ją niegrzecznie nazwać „słodką idiotką”.

Bez względu na powód Ben stracił dla niej głowę. Zrozumiałem to tamtego wieczoru, gdy patrzyłem na niego z drugiej strony stołu, rozpaczliwie pragnąc, by odwzajemnił spojrzenie. Zrozumiałem, że Serena przy nim zostanie. Ben delikatnie musnął kciukiem jej usta, odsuwając zabłąkany kosmyk włosów, a następnie pocałował ją z nieznośną czułością. Już wiedziałem, że wszystko się zmieni.

Ich małżeństwo nie było doskonałe. Mieli dzieci, jak należało, każde nad wiek rozwinięte i cudowne w nieco inny sposób niż poprzednie, ale gdy Ben odszedł z firmy, w której pracował od ukończenia studiów, i założył własny biznes, spędzali osobno coraz więcej czasu. Serena, wiecznie roztargniona i bujająca w obłokach, nigdy nie rozumiała stresu związanego z jego pracą. Coraz bardziej zaabsorbowanemu firmą Benowi nie wystarczało czasu na zaspokajanie emocjonalnych potrzeb żony. Stwardniała. Naiwność, którą dawniej w niej zauważałem, została skażona znużoną oceną rzeczy i ludzi – ich wartości, ceny. Ben nadal ją kochał, tego byłem pewien. Ale nie był już zakochany.

Wydaje mi się, że przestało im zależeć. Robili dobrą minę. Serena ładnie się starzała za sprawą rozsądnego korzystania z wypełniaczy dyskretnie wstrzykiwanych przez chirurga plastycznego oraz niezrównanej w zachowywaniu młodości taktyki polegającej na braku obowiązków. Zasiliła grono efektownych zamożnych kobiet, które mają za dużo wolnego

czasu i próbują go zabić bywaniem na charytatywnych lunchach oraz mglistym poszukiwaniem sensu. Wyjeżdżała na weekendy z medytacją i zaszywała się w ajurwedyjskich ustroniach, zostawiając dzieci pod opieką dwóch pełnoetatowych niań oraz zaufanej gosposi, noszącej ciemny uniform zaprojektowany w taki sposób, by nie nasuwał skojarzeń z mundurkiem. Opowiadała o „aurach” i „pokrewieństwach”. Ben był dla niej dobry. Publicznie stanowili zgraną parę.

Ale wciąż miewała swoje „wizje”. Jedną z nich, jak zwierzył się Ben, gdy oglądaliśmy kaplicę, był duch Tipworth. Sprowadziła nawet lokalnego egzorcystę, który odegrał komedię „oczyszczania ze złej energii”.

– Skąd się bierze egzorcystę? Ogłaszają się w książce telefonicznej?

Ben parsknął śmiechem.

– Diabli wiedzą. A zresztą, czy w ogóle istnieją jeszcze książki telefoniczne?

– Już Serena znajdzie, co trzeba... – Nie dokończyłem myśli, pozwalając jej się rozwiać.

Przez kilka sekund staliśmy obok siebie, za oknami bladło światło. Kolorowe szkło witraży rzucało romby różu, zieleni i błękitu na schodzoną kamienną posadzkę.

– Nie pijesz – zauważył Ben oskarżycielskim tonem.

Spojrzałem na kieliszek szampana. Rzeczywiście. Nie ubyło ani łyżeczka. Palce lepiły się od rosy zebranej na szklanej ścianie.

– Przepraszam. – Uśmiechnąłem się i wzniosłem toast. – Twoje zdrowie, Ben. Za wasz nowy dom. I najlepsze życzenia z okazji urodzin.

– Dzięki, MC.

Stuknęliśmy się kieliszkami. Patrząc na jego wystudiowane obojętne wyraz twarzy, znów poczułem, że coś nie gra.

– Najstarszy przyjacielu – powiedziałem, ponownie próbując wykrzesać jakąś iskrę uwagi. On jednak tylko przestąpił z nogi na nogę i nadal umykał wzrokiem.

– Słuchaj, MC. Musimy pogadać. – Głos miał piskliwy, wyczuty z emocji.
– O... – Wykonał zamaszysty gest, jakby malował klucz wiolinowy na wyobrażonym piasku.

Czekałem. Jedno uderzenie serca. Drugie. Puls przyspiesza. Napinają się mięśnie.

– Mam pewną propozycję biznesową, którą chciałbym z tobą przedyskutować.

Ulga. Niemal fizyczne odprężenie.

– Ach, tak – rzekłem, odsuwając od siebie myśl o innych rzeczach, z którymi mógł wyskoczyć. – Interesujące. Powiedz coś więcej.

Dołożyłem starań, by w moim głosie nie pobrzmiwała radość. Ben nigdy nie zapraszał mnie do udziału w interesach. Zawsze czułem się tym lekko urażony. Oczywiście kiedyś nie dysponowałem niezbędnymi funduszami. Ale od czasu publikacji książki *Sztuka. Kogo to, k***a, obchodzi?* stan mojego konta znacząco się poprawił. Przetłumaczono ją na dwadzieścia jeden języków. Przez dwanaście bitych tygodni utrzymywała się na liście bestsellerów „Sunday Timesa”. Tantiemy płynęły nieprzerwanie.

A skoro proponował mi teraz interes, byłem zachwycony. Znaczy, że mi ufa. Że nie jestem gorszy od jego innych zamożnych i odrzucających konwenanse przyjaciół.

– Mam pomysł na małą inwestycję. Ośrodek wypoczynkowy w Czarnogórze. W stylu kasyna.

– Aha. W Czarnogórze. Takie nowe Monte Carlo.

– Ha! W punkt, MC. Właśnie. Powiniennem zrobić z tego hasło reklamowe.

Wypiłem łyczek szampana. Bąbelki szczypały w język.

– Oczywiście. Kiedy chcesz o tym pogadać? Chyba nie teraz?

Pokręcił głową, loki podrygiwały konwulsyjnie.

– Nie, stary, nie teraz. Znajdziemy spokojną chwilę po przyjęciu. Wraz z naszymi żonami.

Uniosłem brwi.

– No wiesz... ich także to dotyczy.

– Intrygujące.

– Pogadamy po wyjściu gości.

– Tym bardziej sensownie byłoby zostać tu na noc. To znaczy Premier Inn ma swoje uroki, ale...

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że zaczynam się tłumaczyć.

Ben jęknął.

– Wiedziałem, że będziesz rozgoryczony. Mówiłem to Serenie.

– Nie jestem.

– Jesteś, MC. Widzę. Słuchaj, wszystko z powodu rodziny. Mamy od groma ciotek, wujków, no i teściów. Wiesz, jak jest.

Szedłem wzdłuż nawy, przesuwając dłoń po półkach ze śpiewnikami. Gdy dotarłem do ołtarza, zauważyłem kurz na palcu wskazującym. *Wiesz, jak jest.* Jedno z jego sformułowań.

– Nie, Ben – odparłem, odwracając się do niego i słysząc, jak mój głos odbija się od łuków sklepienia. – Nie wiem. Zapominasz, że nie mam rodziny.

W przygasającym świetle nie mogłem dostrzec jego miny. Niedbale trzymał w dłoni pusty kieliszek.

– Ty jesteś moją rodziną – dodałem tak cicho, że tego nie usłyszał.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Co właściwie mi się w nim podobało?

Gdy zobaczyłam go po raz pierwszy, po prostu się wyróżniał. Strojem. Martin zawsze ubierał się nieskazitelnie. Wszyscy w gazecie chodzili w dżinsach i mokasynach, a on nosił dobrze skrojone garnitury. Nawet gdy starał się wyglądać na luzie, nie do końca mu się udawało. Sztruks i kaszmir były dla niego szczytem nonszalancji.

Pamiętam, jak siedział sam w firmowej stołówce, z „Financial Times” precyzyjnie złożonym w poręczny prostokąt, by łatwo trzymało się go w jednej ręce. Zwróciłam uwagę na jego palce: zadbane, długie, o czystych, krótko przyciętych paznokciach. Jadł sałatkę z plastikowego pojemnika. Obserwowałam, jak nabija na widelec zwiędłe listki rukoli, niesie je do ust i delikatnie żuje.

Od czasu do czasu podnosił wzrok, jakby chciał zostać zauważony, a jednocześnie jego zachowanie sugerowało, że nie obchodzi go, co myślą inni. Podziwiałam to. Miałam dwadzieścia dwa lata, byłam świeżo po studiach i kwestionowałam wszystko, co dotyczyło mojej osoby. Zupełnie nie wierzyłam we własną intuicję. Potrzebowałam ciągłych zapewnień na dowód, że w ogóle istnieję. Lubiłam gubić się w towarzystwie innych, mając nadzieję, że skoro jestem bezpieczna w dużej grupie, nikt nie będzie oczekiwał ode mnie zabierania głosu. Myśl o samotnym siedzeniu pośrodku stołówki i niezważaniu na otoczenie była mi całkowicie obca. Prędzej przeszłabym się nago po Kensington High Street.

Później, kiedy odrobinę go poznałam, zdałam sobie sprawę, że Martin jest największym oryginałem, jakiego było mi dane dotąd spotkać. Zadawałam mnóstwo pytań, a mimo to pod koniec każdej rozmowy nie dowiadywałam się o nim niczego nowego. Nie miał przeszłości. Nie

opowiadał o rodzinie. W przeciwieństwie do większości mężczyzn nie przepadał za mówieniem o sobie. Jediną osobą, o której wspominał w miarę regularnie, był jego najlepszy przyjaciel Ben, i tak właśnie go nazywał: „mój najlepszy przyjaciel Ben”, jak gdyby ta etykieta stanowiła część oficjalnego tytułu.

Jego tajemniczość mnie intrygowała. Niedawno zakończyłam dwuletni związek z poznanym na uniwersytecie chłopakiem, i tamta relacja była obezwładniająco intensywna. Mój były chciał dzielić ze mną wszystko. Chciał trzymać się za ręce na ulicy. Chciał całować mnie publicznie. Chciał snuć wizje, jak się razem zestarzejemy. Kiedyś płakał w kinie na filmie o starszej kobiecie z demencją, którą mąż stara się otaczać opieką. Wstydziałam się za niego.

– Po prostu – zwierzył się później, ocierając twarz wilgotną chusteczką – pomyślałem sobie o nas i o tym, co by się stało, gdyby...

Nie dokończył zdania, ale wiedziałam, co ma na myśli, i choć wzięłam go za rękę, choć przekonywałam samą siebie, jakie to urocze, jakie mam szczęście, że tak bardzo mnie kocha, poczułam się jakoś nieswojo. Słyszałam wewnętrzny głos, który mówił: Co za dureń, że tak głęboko się angażuje. Nie jesteś tego warta i on wkrótce się o tym przekona, i co wtedy?

Martin nigdy nie dążył do poznania mnie bliżej, nic z tych rzeczy. Był ciekaw moich opinii i chyba lubił ze mną rozmawiać na płaszczyźnie intelektualnej, docierając do kolejnych warstw mojego mózgu, tak jak odwija się kolejne warstwy papieru z gwiazdkowego prezentu. Ale poza tym w nic się nie zagłębiał – przynajmniej na początku. I to mnie pociągało. Lubiałam czuć się błyskotliwa bez konieczności angażowania się. Martin czerpał przyjemność z mojego towarzystwa tu i teraz, nie potrzebował, by wiązało się ono z przyszłością ani odnosiło do przeszłości.

Wiecie, jaka to rzadkość? Wielka. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto by tak potrafił.

Fizycznie nie był w moim typie. Zawsze wolałam mocniej zbudowanych mężczyzn, takich o silnych ramionach, dużych dłoniach i szerokich

barkach, którzy na pierwszy rzut oka mogliby podnieść samochód, no i proszę, jak się to skończyło. Powiedziałam sobie, że czas spróbować czegoś innego. Martin był szczupły, miał niemal zapadniętą klatkę. Wysoki, o ładnych brązowych włosach ze staromodnym przedziałkiem na boku. Okulary, przystojna, pociągła twarz, delikatne rysy. Kiedy się uśmiechał, wyglądał zarazem łobuzersko i jakby trochę nieobecnie. Miał wąskie biodra i kości policzkowe nastoletniego modela.

Później odkryłam, że cechuje go umiejętność zmiany powierzchowności, dostosowania się do otoczenia, w którym się znalazł. Nigdy nie umiałam tego pojąć. Tak jakby zmieniał kolor i wtapiał się w tło. Jak kameleon.

Zaczął się od zwykłej przyjaźni między koleżanką a kolegą z pracy. Wychodziliśmy razem na lunch. Kiedyś u Maggie Jones zamówiliśmy karczochy i białe wino stołowe, które nalewano z wielkich butelek. Kelnerka zaznaczała długopisem, ile wypiliśmy. Martin ciągle napełniał mi kieliszek, nieco bardziej hojnie niż sobie.

– Powinnaś jakoś inaczej się czesać – powiedział, odrywając skórkę chleba i wrzucając ją sobie do ust.

Wtedy po raz pierwszy skomentował mój wygląd. Zaczerwieniłam się pod jego badawczym spojrzeniem, z miejsca onieśmielona.

– No, no! – starałam się pokryć swoje zmieszanie. – To było dość bezczelne.

– Te aksamitne gumki... – Machnął ręką, jakby opędzał się od nieprzyjemnego zapachu. – Dlaczego zawsze związujesz włosy? Rozpuść je na ramiona, niech stworzą ramę dla twarzy.

Schlebiało mi, że w ogóle się nad tym zastanawiał. Bo to z kolei oznaczało, że przyglądał się mojej twarzy. W przypadku Martina był to komplement, uświadomiłam sobie i z wdzięcznością podchwyciłam sugestię, ściągnęłam gumkę z końskiego ogona, potrząsnęłam głową, a następnie włożyłam pasma za uszy.

Wyciągnął rękę i je wysunął. Okruszek chleba z jego palca przykleił mi się do policzka.

– No. O wiele lepiej – stwierdził.

Nie lubiłam nosić rozpuszczonych włosów, ponieważ nie były ani proste, ani kręcone. Puszyły się i nigdy nie wyglądały na uczesane. Jednak w ciepłym blasku aprobaty Martina zaczęłam inaczej na siebie patrzeć. Trzymał na biurku kartkę przedstawiającą lorda Leightona z pędzlem w ręku, wspartego na stosie książek. Może, pomyślałam, widzi we mnie prerafaelicką heroinę o delikatnie falujących włosach (tak mi się skojarzyło).

– Dziękuję – powiedziałam.

– Cała przyjemność po mojej stronie.

Gdy wróciłam tamtego wieczoru do domu, uważnie obejrzałam się w lustrze. Za grube brwi. Zbyt pełne policzki. Wciągnęłam je i przymrużyłam oczy, by buzia wydawała się szczuplejsza. Kombinowałam z włosami. Opadły na ramiona, żałowałam, że nie są dłuższe i bardziej błyszczące i że tak trudno je okiełznać. Miałam niewielką bliznę z boku nosa, pamiątkę po upadku z roweru w dzieciństwie. Martwiłam się, że wygląda jak pryszcz. Westchnęłam. Ponownie związałam włosy gumką i choć nie zamierzałam z nikim się spotykać, tylko spędzić wieczór przed telewizorem, wklepałam w bliznę odrobinę korektora. Kiedy jej nie widziałam, robiło mi się lepiej na duszy.

Następnego dnia nałożyłam korektor dokładnie na to samo miejsce. Rozpuściłam włosy. Delikatnie wytuszowałam rzęsy. Normalnie nie malowałam się do biura.

Martin wszedł w słuchawkach. Nie takich wkładanych do uszu, które nosiła większość ludzi, tylko w takich staromodnych, które pojawiły się wraz z walkmanami. Usiłowałam przyciągnąć jego wzrok, ale nie zwracał na mnie uwagi. Wszedł na lunch, nie prosząc, bym dotrzymała mu towarzystwa. Rozmawialiśmy dopiero wieczorem, gdy wręczyłam mu korektę jego wywiadu z jakąś młodą aktorką.

– Ładnie wyglądasz – pochwalił.

Zarumieniłam się.

– To te włosy – powiedziałam głupio.

Uśmiechnął się.

– Znaczna poprawa.

Tamtego dnia poszliśmy po pracy na drinka. Zamówił guinnessa, o ile pamiętam, co dziwnie kłóciło się z jego wyrefinowanym zmysłem estetycznym. Kojarzył mi się z leniwym kotem: eleganckim, lecz pełnym rezerwy. Nosił okrągłe szkła w szylkretowych oprawkach, przypominał w nich pisarza z innej epoki. Zdjął je i potarł grzbiet nosa, odkładając okulary na stół, obok nasiąkniętej podkładki pod piwo.

Kiedy wyszedł do toalety, wzięłam je do ręki. Przymierzyłam, sama nie wiem dlaczego. Ciasno opinały czaszkę i ze zdziwieniem odkryłam, że nie są to okulary korekcyjne, tylko zwykłe zerówki ze szkła akrylowego.

Przed poznaniem Martina niespecjalnie przejmowałam się swoim wyglądem, po części dlatego, że rodzice nigdy nie zwracali na te kwestie większej uwagi. Byli cudownymi ludźmi i cudownie mnie wychowywali. Cudownie. Pamiętam, jak moja amerykańska koleżanka powiedziała kiedyś, że „cudownie” to takie na wskroś angielskie słowo – „jakbyś opisywała piknik”, stwierdziła.

Ale tak właśnie było. Cudownie. Mój starszy brat zajmował niemal całą uwagę rodziców i był dla nich powodem do dumy. Zdolny, bystry, wysportowany, powszechnie lubiany. Mnie wystarczało przyglądanie się z boku jego sukcesom. Zawsze byłam dzieckiem „trochę nie takim”. Egzaminy zdawałam na B, nie na A. Nie dostałam się na uniwersytet w Oksfordzie, więc studiowałam w Durham. Byłam niezbyt ładna, ale miałam dość przyjemną aparycję, zresztą nauczono mnie, że zewnętrzne przymioty aż tak bardzo się nie liczą. Ważne, co w środku. Starłam się być ustepliwa, miła w obejściu i sympatyczna. I usługna.

– Zauważasz, co jest do zrobienia, zanim ktoś wskaże ci to palcem – powiedziała kiedyś matka, wyjmując z piekarnika pieczonego kurczaka. – Jesteś przewidująca.

W tym się specjalizowałam. *Lucy: ona dba o innych. Święta prawda.* Jako nastolatka odgadywałam, czego się ode mnie oczekuje,

i dostosowywałam się do tych oczekiwań. Byłam cicha i nieśmiała, nie sprawiałam kłopotów. Za to ludzie mnie lubili.

Z wyjątkiem Martina. Martin okazał się twardszym orzechem do zgryzienia.

W „Bugle” wszystkim z mojego działu przynosiłam herbatę. Wiedziałam, co kto zamawia: mleko i dwie kostki cukru, bez mleka, za to z plasterkiem cytryny, earl grey, a nie english breakfast. Martin za każdym razem odmawiał. W końcu zebrałam się na odwagę i zapytałam dlaczego.

Zasznurował usta. Miał blade wargi, przez co zawsze wydawał się zmarznięty.

– To coś, co serwują w stołówce? – Przewrócił oczami. – Proszę cię. To nawet nie zasługuje na miano herbaty.

– Mogę przynieść kawę, jeśli wolisz.

– Jeszcze gorzej – odparł, powracając do ekranu komputera.

Sposób, w jaki to zrobił, nie był niegrzeczny. Wygłaszał opinie, jakby stwierdzał stan faktyczny: bez agresji, ale jak coś, co nie podlega dyskusji.

Za każdym razem, kiedy mnie zbywał, pragnęłam, żeby zwracał na mnie coraz większą uwagę. Tamtego wieczoru po pracy pojechałam autobusem do Knightsbridge. Wstąpiłam do Harveya Nicholasa i kupiłam pudełko drogich herbat w specjalnym opakowaniu. Następnego dnia położyłam je na biurku Martina. Nigdy nie odniósł się do tego wprost. Wysłał mail. „Dziękuję za herbatę”. Po prostu. A potem pudełko zniknęło i na powrót odmawiał wszelkich gorących napojów.

Jest intrygujący, pomyślałam. Zupełnie inny niż wszyscy.

Moja koleżanka z pracy, Neesha, nie mogła mnie zrozumieć.

– Co ty w nim widzisz? – zapytała.

Stałyśmy przed biurowcem, paląc na przerwie papierosa i dygocząc od zimnego wiatru. Niedawno wprowadzono zakaz palenia w biurze. Neesha kopciła więcej ode mnie. Była sekretarką redakcji i miała najbardziej stresującą pracę ze wszystkich. Przeważnie wychodziłam z nią na zewnątrz tylko po to, by dotrzymać jej towarzystwa.

– W kim?

– W Martinie, głupolu.

Podala mi papierosa. Z czerwoną obwódką szminki na ustniku. Zaciągnęłam się.

– Jest interesujący.

– I w tym rzecz. – Zachichotała. – Z nim jest coś nie teges, Luce.

– Nie bądź wredna.

– Nie jestem. Musiałaś zauważyć. Któregoś dnia Ian powtórzył jego imię osiem razy, zanim gość zdradził jakiekolwiek oznaki życia.

– Po prostu żyje we własnym świecie – odparłam, zaskoczona, że tak go bronię.

Neesha pociągnęła nosem.

– Raczej bym powiedziała, że uważa się za lepszego od nas.

– To nie tak.

– Och, proszę cię, Luce. Znam ten typ. Prywatna szkoła, Oxbridge. Zachowuje się tak, jakby jego gówno nie śmierdziało. Troszczy się bardziej o... sama nie wiem... swoje pieprzone złote spinki do mankietów niż o ludzi.

Roześmiałam się.

– Jesteś zbyt miła, Luce. Zawsze myślisz o wszystkich jak najlepiej.

To niezupełnie prawda. Nieźle wychodziło mi stwarzanie pozorów osoby sympatycznej, ale moja szczególna umiejętność polegała na budzeniu sympatii w ludziach bez względu na to, czy sama ich lubiłam, czy nie. Z Martinem było inaczej. Nigdy nie wiedziałam, na czym stoję. Nęciła mnie jego niedostępność. Schlebiałam sobie, że to po prostu maska noszona przez wystraszonego małego chłopca, który potrzebuje opieki i troski, a ja jestem właśnie tą osobą, którą do siebie dopuści.

Neesha dopaliła papierosa i zgasiła niedopałek, zgniatając go na chodniku czubkiem szpilki.

– Mówię tylko, żebyś uważała. Jemu nie zależy na tobie tak jak tobie na nim.

– Myślę...

– Wiesz, nigdy nie odezwał się do mnie nawet słowem. Co tydzień odwiedza gabinet redaktora, a mimo to ani razu nie powiedział „cześć”. – Neesha rozluźniła poły płaszcza. – Można wiele wywnioskować ze sposobu, w jaki dana osoba traktuje sekretarki.

Nie słuchałam. Nadal widywałam się z Martinem. Nasze wyjścia na lunch przekształciły się we wspólne kolacje. Biurowe herbatki w drinki po pracy. Dni zamieniły się w tygodnie, potem w miesiące, i wkrótce złapałam się na tym, że z coraz większą niecierpliwością czekam na kolejny dzień, wiedząc, że go zobaczę. Weekendy dłużyły się niemiłosiernie, ponieważ byłam pozbawiona jego towarzystwa.

Przyznaję, spoglądając wstecz, że to ja o niego zabiegałam. Martin wydawał się albo zbyt uprzejmy, albo zbyt nieśmiały, by zainicjować pocałunek, więc sama rzuciłam się na niego któregoś wieczoru po kolacji w perskiej restauracji w Kensington. Nie przepadałam za perską kuchnią – zbyt aromatyczna, a chrupiący ryż wlaził między zęby – ale ponieważ Martin ją uwielbiał, poszłam tam dla niego.

Pocałunek był suchy i niewinny. Próbowалам wsunąć mu do ust koniuszek języka, ale się opierał. Wycofałam się i spojrzałam na niego.

– O co chodzi? – zapytałam. – Nie lubisz mnie?

Odchylił głowę.

– Oczywiście, że cię lubię, Lucy.

– No więc...

Ponowiłam próbę i tym razem odwzajemnił pocałunek, ale ostrożnie, jakby poddając ocenie każdą reakcję i odruch. Splotłam dłonie z tyłu jego głowy, delikatnie czochrałam palcami włosy, a on stopniowo się odpręzał. Wzruszyło mnie jego zdenerwowanie. Martin, tak zasadniczy pod każdym innym względem, tak pewien właściwego sposobu wiązania krawata, tak całkowicie przekonany o swoim wyczuciu dobrego gustu, w tej kwestii

zdawał się nie mieć żadnych kryteriów. Zastanawiałam się, ile razy się całował z innymi dziewczynami. Przemknęło mi przez myśl, że może jest prawiczkiem.

Jego oderwanie od życia zamiast odpychać, tylko mnie pociągało. W tej jednej sferze, pomyślałam, mam nad nim przewagę. On może uczyć mnie o pięknie i sztuce, mówić mi, jak powinnam się czesać, za to ja przejmę dowodzenie na polu cielesnym, pokażę mu, jak to się robi.

W świetle ulicznej latarni wsunęłam rękę za pasek jego spodni. Był wiotki. Delikatnie musnęłam go palcami, a potem rytmicznie przesuwając dłoń w górę i w dół, póki nie wyczułam podniecenia.

– Nie – powiedział. Zignorowałam go. – Nie, Lucy, przestań.

Cofnął się, wyjął moją dłoń.

– Przepraszam – burknęłam.

Martin wstrzymał na chwilę oddech. Zastanawiałam się, o czym myśli. Wydawał się walczyć z jakąś niemożliwą do wyrażenia myślą, a potem zobaczyłam, jak schodzi mu z twarzy napięcie i jak się uśmiecha.

– Po prostu... – Pochylił się i pocałował mnie w czubek głowy. – Za szybkie tempo.

Z ulgą skinęłam głową.

– Tak, tak, oczywiście.

Odsunęłam się od niego. Poszedł do domu, ja wróciłam do swojego mieszkania. Przez kilka kolejnych tygodni pilnowałam się, by go nie osaczać. W dalszym ciągu wychodziliśmy razem na kolacje, ale już nie próbowałam go całować. Trzymaliśmy się za ręce, czułam gładkość i chłód jego dłoni. Kiedyś poszliśmy do mnie. Spaliśmy obok siebie, nie dotykając się.

Powtarzałam sobie, że to staroświeckie zaloty, i kiedy wreszcie po sześciu miesiącach uprawialiśmy seks, wymagało to pewnych subtelnych manewrów. Osiągnięcie stanu erekcji zajęło Martinowi nieco czasu. Musiałam znaleźć się w określonej pozycji. I tym razem wmawiałam sobie,

jakie to urocze być z kimś tak niedoświadczonym, tak bardzo potrzebującym mojej pomocy.

Miałam powyżej uszu mężczyzn, którzy brali mnie tak, jakby im się to należało, budzili mnie w pełnym wzwodzie i, postępując, doprowadzali się do satysfakcjonującego orgazmu. Traktowałam niepewność Martina jako przejaw delikatności i szacunku. Obchodził się ze mną jak z kruchą porcelaną. Byłam przekonana, że kiedy już się do mnie przyzwyczai – do naszego bycia razem – seks stanie się mniej mechaniczny, swobodniejszy. Zaczynałam go kochać, nie za jurność i sprawność fizyczną, lecz za umysł. Chciałam wiedzieć, co myśli na każdy temat.

Pod koniec roku się zaręczyliśmy. Rozpierała mnie duma. Zdobyłam go. Ja. Lucy. Ta „trochę nie taka”. I czułam się szczęśliwa. Bardzo szczęśliwa. Dostrzegł we mnie coś, czego sama nie zauważałam. Ależ dopisało mi szczęście. Bardzo go za to kochałam. I bardzo kochałam myśl, że będę mogła go chronić.

Neesha przestała zapraszać mnie na dymka. Nadal witałyśmy się i żegnały, ciepło się do siebie uśmiechałyśmy, ale wiedziałam, że coś się zmieniło. Nie przejmowałam się tym tak, jak się spodziewałam. Powtarzałam sobie: ona nie widzi tego Martina, którego widzę ja. Nie ma pojęcia, jaki jest poza biurem, w tych cichych momentach, kiedy przyłapuję go, jak siedzi smutny i osamotniony na sofie i zastanawiam się, co tkwi w jego głowie. I wyciągam rękę, głaszczę miękkie włosy na karku, i on powoli się otrząsa, całujemy się i wiem, że nikt inny nie potrafi tak z nim postępować. Tylko ja.

Martin

Epsom, 1985

Moja matka miała na imię Sylvia. W dzisiejszych czasach rzadko spotyka się to imię, prawda? Takie skrzące się, ulotne imię dla tak grubokościstej kobiety. Niedawno jedno z dzieci Bena pokazało mi puchatą zabawkę i oznajmiło z dumą, że to część kolekcji „Sylvanian Families”. Nie wiem, czy zwierzątko w mojej ręce miało być królikiem, czy myszą, czy może jakąś nieokreśloną mutacją obu, i choć wydawało się miękkie w dotyku, gdy ścisnąłem je w palcach, zdałem sobie sprawę, że pod cienką warstwą futerka kryje się twardy plastik. To bardziej odpowiadało mojemu wyobrażeniu matki.

Matka była kobietą wiecznie rozczarowaną. Jej mąż – mój ojciec – dowiódł swojej najwyższej nierzetelności, mając czelność umrzeć przed moimi narodzinami. Najgorsze w tym wszystkim było to, że jego śmierć okazała się absolutnie prozaiczna, a tym samym pozbawiła matkę jedynej przyjemności, jaką mogłaby z niej wyciągnąć – mianowicie ciekawej opowieści.

Był grudzień, ojciec został wyprawiony do skrzynki pocztowej na końcu ulicy z misją wysłania garści świątecznych kartek. W Epsom panował przenikliwy ziąb, poprzedniej nocy temperatura spadła poniżej zera. Skręcając w lewo po wyjściu z domu, ojciec stanął na oblodzonym fragmencie chodnika, pośliznął się i upadł na plecy, uderzył głową w krawężnik, co spowodowało krwotok mózgowy.

Leżał martwy w powiększającej się kałuży krwi i tak znalazł go sąsiad. Zawiadomił matkę, która była wtedy w ósmym miesiącu ciąży i przygotowywała zapiekankę rybną na kolację. Nie wiem, jak mogła wyglądać reakcja matki, a ponieważ nie mogłem mieć wglądu

w małżeństwo rodziców, nie miałem pojęcia, w jakim stopniu kochała bądź też nie kochała męża. Na podstawie tego, co wiem o niej teraz, nie potrafię wyobrazić sobie jej zakochanej, ale może była zakochana, a śmierć ojca zamieniła ją w taką zgorzkniałą istotę. Pozwólcie, że przyznam jej przywilej wątpliwości.

Nigdy nie opowiadała mi o ojcu, nie mówiła, jakim był człowiekiem. W domu nie widziałem żadnych jego zdjęć. Był dla mnie pustym miejscem, dziurą wypaloną na nieistniejącej rodzinnej fotografii, której mimo najszczerzych chęci nie byłem w stanie wypełnić żadnym znanym mi szczegółem fizycznym.

Matka tylko raz opowiedziała mi, jak umarł ojciec – kiedy byłem na tyle duży, by umieć ją o to zapytać. Musiałem mieć wtedy osiem albo dziewięć lat. Przez całe dzieciństwo aż do tego momentu nieobecność ojca wyjaśniano mi jednym prostym słowem: umarł. Zwykle potem wzdychała i dawała mi odczuć, jak bardzo jego śmierć skomplikowała jej życie i że nie potrzebuję wiedzieć nic więcej.

Zebranie się na odwagę, by poprosić o bardziej szczegółowe wyjaśnienia, zajęło mi trochę czasu. Pamiętam, że starannie wybrałem okazję. Było to pod koniec dnia, gdy matka wróciła z bardzo pogardzanej pracy w bufecie i siedziała przy gazowym kominku, sącząc z kubka napój słodowy, który podgrzałem dla niej w kuchence mikrofalowej.

– Jak umarł mój tato? – zapytałem.

Zmarszczyła nos.

– Zastanawiałam się, dlaczego tak długo zwlekałeś – powiedziała. A potem zrelacjonowała całe wydarzenie ze stanowczą rzeczowością. Pamiętam, że nie patrzyłem na nią, kiedy mówiła, skupiałem się zamiast tego na sztucznych płomieniach rzucających skaczące cienie na tapetę o wypukłym wzorze oraz przenikającym do pokoju zapachu gazu, który kojarzył mi się z aromatem przejrzalej gruszki.

Utkwił mi w głowie jeden szczegół opowieści Sylvii (zawsze była dla mnie Sylwią, nigdy „matką”). Nadal o nim myślę, te trzydzieści lat później. Mówiła, że po wezwaniu karetki wyszła na dwór opatulona w zimowy

płaszcz, pochyliła się nad martwym ojcem i pozbierała z chodnika rozsypane kartki świąteczne, wsadziła jej do kieszeni z zamiarem wysłania ich następnego dnia.

– Ale... Czy były zakrwawione? – zapytałem.

– Co to w ogóle za pytanie? – Siorbnęła z kubka i odwróciła głowę. – Nie zamierzałam marnować czasu na pisanie ich od nowa.

Zastanawiałem się, co sobie pomyśleli. Tamci ludzie, którzy dostali kartki zachłapane krwią.

Śmierć ojca oznaczała, że od początku żyliśmy tylko we dwoje. Bycie jedynym dzieckiem samotnej matki wywołuje specyficzny rodzaj klaustrofobii. Dość szybko się przekonujesz, że cokolwiek byś zrobił, i tak nie zdołasz zaspokoić przepastnej rodzicielskiej potrzeby synowskiej miłości. To, co zaczyna się jako miłość, gwałtownie przekształca się w rodzaj nieuniknionej nienawiści, i ta nienawiść jest jeszcze bardziej nienasycona, bardziej usidlająca niż miłość. Wysysa z ciebie resztki energii.

Myślę, że obsesyjna miłość matki współistniała z pogardą dla własnej bezbronności i słabości. Zależało jej na moich uczuciach, a jednocześnie zaprzeczała, jakoby ich potrzebowała. Nigdy nie sprostąłem jej oczekiwaniom, ponieważ nigdy ich nie poznałem. Zmieniały się ni z tego, ni z owego, pod wpływem kaprysu. Jedyne, czego byłem pewien, to że stanowią dla niej źródło praktycznie nieustannego rozczarowania.

Odczytywałem je ze zmarszczek wokół ściągniętych w dół kącików ust. Wyczuwałem w sposobie, w jaki czasem na mnie patrzyła, tak z ukosa, kiedy zmywałem naczynia albo oglądałem w telewizji *The Generation Game* czy siedziałem goły w wannie wstrząsany dreszczami, ponieważ woda nigdy nie była dość gorąca. Kiedy tak na mnie patrzyła, wydawała się poddawać mnie analizie, rozgryzać niczym sceptyk próbujący zrozumieć cudzą wiarę.

Było w tym coś dziwnego. Jak zawsze w tego typu relacjach. Na przykład upierała się, by ubierać mnie co rano, mimo że dawno dorosłem do robienia tego samodzielnie. Przytrzymała mi majtki, żeby pomóc mi włożyć do nich nogi, klęczała przy tym na wykładzinie w moim pokoju, tak

że miałem krępującą świadomość, że mój penis znajduje się na wysokości jej wzroku. Szczotkowała mi włosy mocnymi pociągnięciami, wiązała sznurowadła, przygotowywała do szkoły drugie śniadania: trójkątne kanapki z marmitem i ogórkiem (których nie lubiłem, ale nigdy jej tego nie powiedziałem), a potem w drodze do pracy odprowadzała mnie na przystanek autobusowy, machając mi na pożegnanie, gdy zajmowałem stałe miejsce przy oknie i jechałem krótki odcinek drogi do lokalnej podstawówki.

Wracałem ze szkoły, zanim kończyła pracę, miałem więc klucze od domu. Oczekiwała, że sam zrobię sobie kolację, a potem przygotuję coś prostego dla niej: kotlet de volaille albo fasolkę z puszki na toście. Gdy przekraczała próg domu, potrafiłem ocenić jej nastrój po krokach na kuchennym linoleum. Jeśli miała w pracy zły dzień, czepiała się wszystkiego.

– Dlaczego włożyłeś ten głupi stary sweter? Dlaczego ugotowałeś fasolkę szparagową, skoro wiesz, że jej nie cierpię? Debil z ciebie czy co? Nie wychowałam cię na głupka i prostaka, prawda?

Nigdy nie podniosłaby na mnie ręki, ale szukała dziury w całym i zrzedziła tak długo, aż czułem się fizycznie atakowany. Tylko raz uszczypnęła mnie w delikatną skórę przedramienia, ściskając ją palcami i wykręcając, póki nie zawyłem z palącego bólu. Ślad utrzymywał się przez trzy dni.

Można by sądzić, że szkoła była moim azylem. Matka, beneficjentka sowitej polisy ubezpieczeniowej po śmierci ojca, postanowiła posłać mnie do płatnej szkoły prywatnej, i rzeczywiście przez pewien czas podobało mi się dokazywanie na przerwach, hałaśliwe wrzaski dzieciaków ganiających się wokół piaskownicy. Jednak dość szybko zacząłem odstawać od reszty. Nigdy nie rozumiałem dlaczego. Może chodziło o moją twarz. Podobno mam skłonność do przybierania wyrazu dezaprobaty albo niezadowolenia, podczas gdy mnie się wydaje, że mam neutralną minę i rozluźnione rysy twarzy.

A może dlatego, że stosunkowo szybko traciłem cierpliwość do innych dzieci. Coraz częściej czułem się inny, jakby starszy. Zawsze czułem się starszy. Po kilku tygodniach patrzenia, jak przesiewają piasek przez czerwony plastikowy kwadrat z dziurkami i piszczą z niezadowolenia, gdy zabiera się im ów kawałek plastiku, by mogły się nim pobawić inne dzieci, stwierdziłem, że nie potrafię pojąć, co jest takiego pociągającego w tym plastikowym sicie.

Próbowałem posłużyć się logiką. Czy chodziło o fizyczne doznanie przesypywania piasku przez drobne otworki? Czy o wrażenie dokonania czegoś, przekształcenia pozornie stałej substancji w płynne strumienie ziarenek? A nawet zakładając, że kierowała nimi któraś z tych zasadniczo trywialnych motywacji, dlaczego tak ich to wciągało? Dlaczego kawałek czerwonego plastiku urastał do takich rozmiarów, dlaczego myśl o nim pęczniała i wypełniała całą dostępną przestrzeń, zaspokajała wszystkie gorączkowe pragnienia, desperacką potrzebę zabawy i eksperymentowania... jak to wszystko można zmieścić w jednym pospolitym przedmiocie z wytłoczonym od spodu napisem „Made in Taiwan”?

Ten kawałek czerwonego plastiku tygodniami nie dawał mi spokoju. Czułem, że muszę być wybrakowany, pozbawiony daru dziecinności. Po prostu go nie dostałem. To mnie złościło. Uwierzcie, najbardziej w świecie chciałem być beztroskim dzieckiem. Chciałem mieć poczucie przynależności. A jednocześnie wiedziałem, że odstaję.

Może więc wyjaśnia to poniekąd to, co stało się później. Wydarzenie, które miało zmienić bieg mojego życia, choć w owym czasie naturalnie nie zdawałem sobie z tego sprawy. Rzecz dotyczyła ptaka.

Wróbla. Bezbronego wróbla, który spadł z nieba na wybrukowany cegłą plac zabaw. Miał złamane skrzydło. Kwilił. Bezsensownie się szamotał. W opierzonej piersi tłukło się oszalałe serce.

Pierwsza zobaczyła go dziewczynka imieniem Jennifer. Wysoka blondynka o niezgrabnych kończynach i pokracczym sposobie biegania, który, jak zwierzyła mi się kiedyś w chwili nieostrożności, wzorowała na

biegu Bobbie z filmu *Wielka ucieczka*. Należała do tych dzieci, które przez swój brak wdzięku skazane są na łagodną pogardę. I rzeczywiście, gdy kilka lat temu odszukałem ją na Facebooku, nadal miała takie same jak w latach szkolnych nieszczęsne masywne ramiona i żałośnie skromną liczbę znajomych pomimo okraszanych emotikonami aktualizacji statusu.

Jennifer znalazła ptaka podczas zabawy w berka. Stała jak wryta, niemal potykając się o własne nogi, z oczu trysnęły jej łzy. Tak się złożyło, że siedziałem na pobliskiej ławce z książką w ręku i kiedy zobaczyłem, jak tam stoi i łka, wstałem zobaczyć, co się dzieje.

– Co to?

Jennifer ciężko oddychała, z głębi jej gardła dobywał się na pół astmatyczny świst.

– On... on... – Wskazała na leżącego na brzuchu ptaka. – Chyba umiera.

Ukląłem i badawczo przyjrzałem się z bliska. Wróbel na mnie popatrzył, wilgotne oko obracało się w oczodole. Wyciągnąłem palec i go szturchnąłem, czując, jak jedwabiste pióra rozchodzą się pod naciskiem.

– Nie dotykaj go, Martin! Musimy powiedzieć nauczycielce.

Tak też postąpiliśmy. Ptaka zgarnęły dorosłe ręce i umieściły go w skleconym naprędce gnieździe z waty i giętkich miękkich wyciorów. Ułożono je na wysokim parapecie w korytarzu, tuż nad grzejnikiem, przy oknie z widokiem na ulicę. Parapet biegł równoległe do schodów, które prowadziły do naszej klasy.

Przez kilka kolejnych dni, gdy rozlegał się poranny dzwonek, stadko przejętych dzieciaków wspinało się jedno za drugim na schody i zaglądało do wacianego gniazda, chcąc zobaczyć, jak miewa się wróbel. Nauczyciele wykorzystali ten zbieg okoliczności do edukowania nas o „naturze”. (Banda gamoni ci nauczyciele z podstawówki, nikomu z tego grona nie zaświtała żadna oryginalna myśl).

Po pewnym czasie zorganizowano konkurs na imię dla „szkolnego wróbla”. Zapomniałem, kto wygrał i jak ostatecznie nazwano ptaka – powiedzmy, że Sammy – zauważyłem w każdym razie, że po nadaniu mu

imienia wszystkim wydał się bliższy, jakby był naszą maskotką. Później zachęcano nas do portretowania tej hołubionej istoty – rysowane kolorowymi kredkami gryzmoły wieszano potem na ścianach niczym składaną bożkom ofiarę. Nieraz mieliśmy za zadanie domowe poszukać „faktów” o Sammym. Ponieważ była to epoka sprzed internetu, musiałem zmarnować mnóstwo czasu, ślęcząc w miejscowej bibliotece nad *Atlasem ptaków*.

Zakazano nam dotykania wróbla i niepokojenja go ciągłym gapieniem się. Mimo to za każdym razem, gdy mijiałem Sammy’ego w drodze na piętro, miałem ochotę ścisnąć go w złożonych w miseczkę dłoniach. Był czymś tak małym i nieistotnym – niewiele większym od piłki tenisowej. Im częściej inne dzieci obserwowały go i nad nim szeptały, im bardziej śledziły każdy najdrobniejszy ruch Sammy’ego, szukając oznak zdrowienia, tym większa ogarniała mnie złość. Przywiązywanie tak wielkiej wagi do tak tępego stworzenia było naprawdę głupie.

Najbardziej wkurzyłem się pewnego dnia rano, gdy usłyszałem, co wygaduje Jennifer. Od czasu znalezienia wróbla przyjęła zaborczą postawę. Najwyraźniej uważała, że samozwańcza kuratela pozwala jej na ocenę stanu ptaka, rozumienie, co on czuje, jak długo będzie trwał proces zdrowienia i kiedy można się spodziewać powrotu do pełni sił, i zadowolona z siebie raczyła nas wszystkich raportami o poprawie samopoczucia wróbla. Jej ojciec był weterynarzem, o ile sobie przypominam – napomykała o tym przy każdej okazji.

Tamtego dnia wywołano ją na środek klasy i poproszono o opowiedzenie, jak radzi sobie Sammy.

– Myślę, że już niedługo znów będzie latał. Skrzydło prawie się zagoiło.

Jennifer wydawała się bardzo z siebie dumna. Nauczycielka, kobieta stosownie nazywana panią Love, uśmiechała się dobrotliwie i z aprobatą kiwała głową. Myślę, że właśnie to doprowadziło mnie do granic wytrzymałości. Ponieważ było takie sztuczne. Wróbel nie zdradzał żadnych oznak zdrowienia. Skrzydło nadal bezużytecznie zwisało. Oczy zmatowiały.

Najbardziej miłosierną rzeczą byłoby skrócenie mu karku od razu tam, na placu zabaw.

– Prawdopodobnie umrze – stwierdziłem. Odezwałem się bez podniesienia wcześniej ręki, i gdy te słowa wyrwały mi się z ust, zabrzmiały donośniej, niż przewidywałem. Zaskoczona Jennifer cofnęła się o krok. Trzęsa się jej dolna warga. Nauczycielka spiorunowała mnie wzrokiem.

– Martinie. Jak możesz mówić takie okropne rzeczy.

– Nie są okropne – zaprotestowałem. – Taka jest prawda.

– Dość tego, Martinie.

Poczułem, jak staje mi w gardle gorąca kula gniewu. Chyba po raz pierwszy zostałem upomniany przez nauczyciela i odczułem to dotkliwie. Poprzysiągłem sobie, że nigdy, przenigdy nie zapomnę tej chwili, tego upokorzenia, niesprawiedliwości, idiotycznego, ślepego opowiadania się po stronie ignorancji zamiast prawdy i to tylko dlatego, że tak było łatwiej. Kogo obchodziło przekazywanie rzetelnej wiedzy, skoro można było wszystkich spacyfikować, każąc im rysować tego cholernego ptaka?

(Nigdy nie lubiłem zwierząt. Robiło mi się niedobrze na myśl o fetyszyzowaniu ich kraciastymi ubrankami dla psów, aksamitnymi obrożami dla kotów, puszkami specjalnej karmy z mięsem królika w galarecie, jak zapraszamy do naszych domów te dzikie, bezmyślne stworzenia i oczekujemy, że będą utożsamiać te ludzkie cechy, które najbardziej chcielibyśmy widzieć w sobie).

Następnego dnia po tamtej publicznej reprimendzie oznajmiłem matce, że muszę być w szkole przed czasem, by pomóc w ukończeniu klasowego projektu. Odprowadziła mnie na przystanek autobusowy godzinę wcześniej niż zwykle. W szkole było ciemno, światło paliło się tylko w gabinecie dyrektorki. Drzwi frontowe nie były zamknięte na klucz. Wszedłem, stąpając ostrożnie, by podeszwy tenisówek nie piszcząły na podłodze.

Po jednej stronie korytarza znajdowały się szatnie, wszystkie kołki puste z wyjątkiem jednego, na którym wisiał porzucony fartuch z zajęć plastycznych. W głębi widziałem oddalającą się postać Doris, sprzątaczkii.

Pchała przemysłowy odkurzacz, przerzucając kabel z jednej strony na drugą. Słuchała walkmana, tak jak się spodziewałem, nucąc do jakiejś sączącej się do uszu melodii i kołysząc biodrami do niesłyszalnego rytmu na tyle, na ile pozwalał jej artretyzm.

Zostawiłem w szatni płaszcz i torbę, ale nie na tym miejscu, co zwykle, tylko w kącie, wciśnięte za jedną z ławek, skąd mógłbym je potem wygrzebać. Zdjąłem buty, upchnąłem je do tej samej przegródki. Wycofałem się na palcach do korytarza i wszedłem po schodach, taszcząc pod pachą dwa tomy *Encyklopedii Britanniki*, pożyczone z miejscowej biblioteki właśnie w tym celu (nie można wypożyczać słowników i encyklopedii, jak sobie teraz przypominam, musiałem więc je na krótko ukraść). Wchodziłem powoli, stopień po stopniu, przyciskając do tułowia ciężkie tomiska, których solidne rozmiary dodawały mi otuchy.

Zadarłem głowę, wpatrując się w parapet i pozwalając oczom przyzwyczać się do mroku wczesnego poranka, a następnie skupiłem wzrok na nieostrym zarysie ptasiego, choć zrobionego ludzką ręką, gniazda. Druciki, gałązki, strzępy waty bezładnie przemieszane z wełną. Dotarwszy na najwyższy schodek, położyłem na podłodze dwie encyklopedie i się na nie wspiąłem. Nie należałem do wysokich chłopców, wiedziałem, że nie zdołam dosięgnąć parapetu bez drobnej pomocy. Patrząc wstecz, czuję niejaką dumę z powodu mojej zapobiegliwości. Myślę, że zdolność do opracowania takiego planu i samodzielnego wcielenia go w życie świadczy o pewnym stopniu dojrzałości.

Wspiąłem się w skarpetkach na palce, wychyliłem do przodu, dla równowagi opierając jedną dłoń o ścianę, lecz mimo to nie dosięgałem gniazda. Było boleśnie blisko. Mogłem musnąć koniuszkami palców wystającą gałązkę, ale nie byłem w stanie jej schwycić i zdjąć gniazda. Nie śmiałem użyć obu rąk, bałem się, że stracę równowagę i z łomotem spadnę ze schodów.

Wyciągałem się do tego milimetra gałązki, który znajdował się w zasięgu mojej ręki, aż poczułem, jak po plecach spływa mi strużka potu, jak wilgoć wsiąka w szkolną koszulę, a materiał przykleja się do skóry, przez co

zrobiło mi się jeszcze bardziej gorąco. Kropla potu z czoła spadła na posadzkę z szarego kamienia, pozostawiając ciemną plamkę. Zacząłem się irytować, potem panikować, a jeszcze później się wściekać, wiedziałem, że czas nagli i że uczniowie zaczną wkrótce napływać grupkami do szkoły, a potem wlewać się strumieniem granatu i bordo przed pierwszym dzwonkiem za dziesięć dziewiąta. Podjąłem ostatnią próbę, zrobiłem wypad, podskakując najwyżej, jak mogłem, odbiłem się obunóż od encyklopedii, oderwałem od ściany stabilizujące mnie ramię i obiema rękami schwyciłem gniazdo.

Opadłem na ziemię, książki smyrnęły w bok, noga wykręciła się pod ciężarem ciała. W lewej kostce poczułem tępy ból. Ale gdy spojrzałem na trofeum w rękach, zapomniałem o bożym świecie. Oto trzymałem przed sobą gniazdo, a w nim przestraszonego, drżącego Sammy'ego.

Dalej poszło szybko. Wsadziłem encyklopedie pod pachę i zacząłem chyłkiem schodzić, przytrzymując gniazdo drugą ręką. Wiedziałem, że z powodu złamanego skrzydła Sammy nie może latać. Nie ucieknie. Czarne oko pulsowało: ujarzmiony punkcik przerażenia. Patrzyłem na ptaka przycupniętego w zagłębieniu moich złożonych dłoni i choć miałem niejasny odruch, by do niego przemówić, uspokoić go, choć wiedziałem, że tak postąpiłyby inne, bardziej normalne dzieci, milczałem. Pamiętam, jak sobie pomyślałem: Niech cierpi. Niech zobaczy, jak wygląda życie. I jak myśląc w ten sposób, poczułem się mniej osamotniony. Ponieważ inna żywa istota doświadczała rzeczy gorszych niż ja.

Wróciłem do szatni, położyłem gniazdo na ławce, zostawiłem encyklopedie na podłodze przy swojej szafce, włożyłem buty, wziąłem Sammy'ego (teraz myślałem o wróblu jako o „Sammym”: rzeczy wartej imienia), szybko wyszedłem na zewnątrz. Kierowałem się w stronę placu zabaw, ale zamiast przejść jak zwykle przez bramę, odbiłem w prawo i ruszyłem wzdłuż ogrodzenia. Widziałem huśtawki, odwrócone, wyniosłe „v” zjeżdżalni. W oddali terkoczący samochód, który się zatrzymał i drzwiami od strony pasażera wypluł dziecko.

Szkołę zbudowano pośrodku ładnych niegdyś terenów zielonych. Za placem zabaw rósł zagajnik. Nie wolno nam było się tam zapuszczać, ale co bardziej niesforne dzieciaki zawsze łążyły tam próbować papierosów i pocałunków, wiedziałem więc o istnieniu tego miejsca. Zasapałem się, nim tam dotarłem. Poszedłem w stronę centralnej grupy drzew. Trawa była mokra od nocnego deszczu, tenisówki oblepiło brązowe błoto. Będę musiał je później wyczyścić, pomyślałem, przed powrotem matki do domu.

W środku grupy drzew była mała polanka zaśmiecona porzuconymi niedopałkami i opakowaniami po chipsach. Na jednym końcu spopieliałe resztki ogniska, do okalających je kamieni przywierały od spodu strzępy gazet. Położyłem gniazdo z Sammym na ziemi. Ptak cały dygotał, na próżno usiłując poruszyć niesprawnym skrzydłem. Głupie stworzenie, pomyślałem.

Podniosłem z zarośli średniej wielkości kamień. Bawiłem się nim, ważyłem go w dłoni. A potem walnąłem jego ostrą krawędzią w gniazdo. Ptak nie wydał żadnego dźwięku, a kiedy cofnąłem rękę, zobaczyłem, że oko nadal łypie, nadal reaguje. Zadałem kolejny cios, wkładając w ten ruch całą siłę. I jeszcze jeden. I jeszcze. I znów, tym razem z okrzykiem, ponieważ wiedziałem, że to uderzenie będzie ostateczne. Poczułem, jak pod moją pięścią pękają delikatne kości. Usłyszałem odgłos przypominający powolne schodzenie powietrza z przebitej opony. Odsunąwszy rękę, zauważyłem krew na knykciu. Ptak leżał zmiażdżony, bez życia, drżące oko wreszcie znieruchomiło.

Wmawiałem sobie, że to był akt miłosierdzia, że jako jedyny z całej klasy widziałem, że ptak cierpi i trzeba jak najszybciej skrócić jego mękę. Jakie to musiało być frustrujące dla tego stworzenia tkwić na parapecie betonowego budynku, patrzeć przez okno na niebo, w które już nigdy się nie wzbije, mieć dług wdzięczności wobec tych tępowych dzieciaków, które karmią go ochłapami ptasiej karmy. Jakież to niegodne, myślałem. Jakie niesprawiedliwe.

Pamiętam, że jako dziecko straszliwie pragnąłem być dorosły: zdobyć przywilej stanowienia o swojej egzystencji nie za sprawą jakichś działań,

a po prostu dzięki faktowi dłuższej obecności na tym świecie. Irytowały mnie arbitralne ograniczenia nakładane na moje życie. Zgaś światło. Odrób lekcje. Posprzątaj pokój. Dojedz warzywa. Skończ czytanie. Nie wierć się. Nie gap się. Czy dlatego poczułem taki dreszcz emocji, zabijając ptaka? Nie wypada przyznawać się do takich uczuć, ale powiem szczerze: odczułem śmierć wróbla gdzieś w głębi trzewi – brutalną przyjemność płynącą z faktu, że w końcu dopiąłem swego, coś zrobiłem. Doznałem najwyższej satysfakcji.

Nie ma potrzeby nadmiernie rozwodzić się nad tym, co stało się później. Większości możecie się domyślić. Kiedy odkryto zniknięcie ptaka, wybuchła, jak można się było spodziewać, wielka wrzawa. Alarm podniosła Doris. Doris, sprzątaczką, na którą nie zwracałem nigdy większej uwagi, która zawsze sprawiała wrażenie mało rozgarniętej, paradując z tym swoim bezmyślnym wyrazem twarzy i żółtymi ścierkami do kurzu wetkniętymi za elastyczny pasek dżinsów. No więc Doris powiedziała nauczycielce, która powiedziała dyrektorce, która ku ogólnemu wzburzeniu i niedowierzaniu powiadomiła na specjalnym zebraniu całą szkołę, że ptak zniknął. Siedząca na podłodze ze skrzyżowanymi nogami w rzędzie przede mną Jennifer wybuchła płaczem. Alan Munro poklepał ją po ramieniu parówkowatymi paluchami o brudnych, tłustych knykciach. Obok mnie Susan Rankin cicho krzyknęła i naciągnęła rękaw swetra. Ja siedziałem spokojnie ze spuszczoną głową, wzrokiem wbitym w jeden punkt na prawo od bordowej skarpetki. Nie ma sensu udawać przejęcia, doszedłem do wniosku. Nie należałem do dzieci, które okazują uczucia. Poza tym było mi chyba obojętne, czy odkryją, że to moja sprawka, czy nie. Myślę, że miałem już świadomość, iż gra skończona. I chyba nawet tego chciałem. Miałem ich wszystkich powyżej dziurek w nosie.

Gdy w trakcie zebrania wstaliśmy, szurając nogami, by zaśpiewać *Morning Has Broken*, poczułem na sobie czyjś wzrok. Rozejrzałem się i napotkałem zajadłe spojrzenie pani Love. Jej drobna twarz była ściągnięta.

Odczekała do końca zebrania, wzięła mnie na bok, z zaskakującą siłą chwytając mnie za ramię. Jej szczupłe palce wpiły się w rękaw swetra.

– A więc, Martinie – przemówiła ściszym głosem. – Zechcesz mi powiedzieć, co zrobiłeś z Sammym?

– Dobrze.

Wyglądała na zaskoczoną. Zaprowadziła mnie do pokoju nauczycielskiego, w którym unosił się zapach kawy rozpuszczalnej i batoników figowych, gdzie na półkach leżały stare egzemplarze „Guardiana” i jeden zaczytany numer „Horse and Hound”. Przyznałem się z łatwością. Przemilczałem szczegóły, w jaki sposób pozbyłem się wróbla, poprzestałem na stwierdzeniu, że w moim odczuciu należało ukrócić jego cierpienie. Czerwona twarz pani Love pobladła, górna warga zalśniła od potu. Widziałem, że nie wie, co ma o mnie sądzić. W pewnym momencie próbowała nawet złapać mnie za rękę.

Dyrektorka wezwała moją matkę i oznajmiła, że zostaję zawieszony ze skutkiem natychmiastowym.

Matka nie wściekła się tak, jak się tego spodziewałem. Nie odzywała się do mnie przez resztę dnia i posłała mnie do łóżka bez kolacji, ale to akurat było do przewidzenia. Następnego dnia nie poszła do pracy, tylko czekała na mnie przy kuchennym stole w lodowatym milczeniu. Zszedłem w piżamie i szlafroku, nie wiedząc, w co się ubrać. Mój szkolny sweter leżał zmięty i niepotrzebny jak wylinka zrzucona na oparcie krzesła. Zastanawiałem się, czy jeszcze kiedyś go włożę. Przede wszystkim intrygowało mnie, co się dalej wydarzy.

– No cóż, Martinie – przemówiła matka, gdy zająłem miejsce i wlałem mleko do miski z płatkami śniadaniowymi, na które nie miałem ochoty. – Nie powiem, że bym była zdziwiona. – Spojrzała na mnie znad brzegu kubka z kawą. Ucho było wyszczerbione od góry – biały grot strzały na czerwonym tle. – Zawsze byłeś złym dzieckiem. – Zaciśnęła usta w wąską, wykrzywioną linię. – Staralam się najlepiej jak umiałam, tak, tak, a łatwo nie było, bo mogłam liczyć tylko na siebie, ale próbowałam cię wychować na normalnego chłopca. Zapewniłam ci dach nad głową i niczego ci nie brakowało. Ale ty taki nie jesteś, prawda? To znaczy normalny. – Urwała, a potem mruknęła bardziej do siebie niż do mnie: – Czegoś ci brakuje.

Z trudem powstrzymywałem łzy. Do tej pory czułem się absolutnie odporny na wszelkie uczucia. Ale matka zawsze umiała trafić w najczulszy punkt.

Pokiwałem głową.

– Tak.

Dopiła kawę.

– Tak – powtórzyła. – W tym rzecz.

Umilkliśmy. Płatki śniadaniowe zbiły się w grudy. Popijałem sok pomarańczowy. Na dworze zaczęło padać, kropelki deszczu spływały po szybie, ścigając się ze sobą z własnej woli. Po pewnym czasie matka odsunęła krzesło, podeszła do mnie i zrobiła coś, czego nigdy wcześniej nie robiła: ścisnęła mnie za ramię.

Przyjęli mnie z powrotem do tamtej ponurej szkoły. Matka porozmawiała z dyrektorką i pewnie wcisnęła jej kit o moim zmarłym ojcu i piętnie, jakie odcisnęła na mnie jego śmierć. Wróciłem po dwutygodniowej izolacji. Jennifer już nigdy się do mnie nie odezwała, inni trzymali się na odległość. Przyznam jednak, że ta banicja była dla mnie bardziej ulgą niż udręką. Czas płynął dość spokojnie. Wydarzenia zlewały się ze sobą, tworząc gęstą mgłę. Nie działo się nic interesującego.

Aż pewnego wiosennego poranka znalazłem się na egzaminie wstępnym do szkoły Burtonbury. Jeśli dobrze sobie przypominam, matka rozmawiała z kimś w kawiarni o moim kłopotliwym położeniu i zasugerowano jej, że powinienem spróbować dostać się do Burtonbury. Rzeczona klientka kawiarni miała krewnego z problemami, który tam poszedł i miał się doskonale. Pomysł wydawał się równie dobry jak każdy inny. Egzaminy mi się spodobały i poszły dobrze, a że znałem szkoły z internatem z książek Enid Blyton, przychyliłem się do tej sugestii. Za wszelką cenę chciałem się wyrwać z Epsom. Jedynym emocjonującym wspomnieniem tamtego miejsca był widok Lestera Piggotta spadającego z konia podczas Epsom Derby.

Zdałem egzamin do Burtonbury, oboje wiedzieliśmy, że tak będzie, i dostałem pełne stypendium. Matka całymi tygodniami wszywała do

skarpetek tasiemki z moim imieniem i nazwiskiem. Pakiet informacyjny przysłany mi przed rozpoczęciem semestru jesiennego zawierał listę niezbędnych w internacie rzeczy. Wśród wymagań znalazły się duży parasol, kompletny strój do rugby w barwach szkoły, czyli brązowo-zielony (trzy koszulki na zmianę), zestaw do czyszczenia obuwia, zapas znaczków oraz – największe dziwactwo – sztywny kapelusz słomkowy ze wstążką, który miałbym zakładać na oficjalne okazje.

Matka zignorowała rekomendowanych producentów szkolnej garderoby, wyszukując najlepsze okazje w sklepach z używaną odzieżą. W rezultacie moje szkolne swetry były zawsze spłowiałe, krótkie spodenki na WF nigdy dość białe, a podkoszulki miały pod pachami żółtawe plamy, których nie dało się sprać. Do ubrań przyłgnał zapach cudzego smutku.

Do dziś mam głęboką awersję do ciuchów z drugiej ręki. Nie znoszę tego nowego trendu „vintage”, dopasowanych sukienek z lat pięćdziesiątych, które upodobały sobie kobiety z nadwagą ze wschodniego Londynu prowadzące skandynawskie bary przekąskowe, i podwiniętych drelichowych spodni noszonych przez brodatych hipsterów z marketingu cyfrowego. Mam garderobę w wersji minimum, ale inwestuję w ponadczasowe, dobrze leżące i trwałe ubrania. Choć w zasadzie mnie na to nie stać, zamawiam u krawca Bena szyte na miarę garnitury, wyłącznie dla przyjemności, którą daje mi świadomość, że nikt inny nie nosił wcześniej mojej marynarki.

Pomimo obsesji cięcia kosztów matka poległa na wymaganym przez Burtonbury słomianym kapeluszu. Po prostu nie było ich w sklepikach charytatywnych, co musiało okropnie ją frustrować. W końcu była zmuszona udać się do Ede & Ravenscroft i słono zapłacić za kapelusz, który włożyłem raptem trzy razy w ciągu semestru, a potem powierzyłem go na wieki kartonowemu pudłu wciśniętemu na dno szafy.

Wieczorem przed pierwszym dniem nowej szkoły pojechaliśmy z matką najpierw autobusem, a potem metrem na dworzec Paddington, uzbrojeni w słomkowy kapelusz i walizkę ubrań. Bagaż był tak ciężki, że mogłem wnieść go do pociągu tylko w jeden sposób: wszedłem na stopnie, mocno

chwyciłem rączkę walizki i maksymalnie odchyliłem się do tyłu, uważając, żeby nie upaść. Dzięki temu efektywnie wykorzystałem masę ciała do wciągnięcia bagażu do wagonu.

Matka nie czekała do odjazdu pociągu. Stała na peronie i patrzyła, jak zajmuję miejsce. Spojrzałem na nią przez okno: rozłożysta kobieta w bezkształtnym beżowym płaszczu zapiętym pod samą szyję. Miała nieruchomą twarz. Uniosłem rękę na wysokość połowy szyby. Zamierzałem jej pomachać, ale się rozmyśliłem. Doszedłem do wniosku, że może ją to z jakiegoś powodu rozgniewać. Skinęła mi na pożegnanie, a potem odwróciła się i odeszła, głucho stukając niskimi obcasami o betonową posadzkę.

Po jej odejściu poczułem przypływ ulgi, jakby zdjęto mi z oczu przepaskę. Zalało mnie światło. Zamrugalem i oswajałem się z tym nowym doznaniem. Po raz pierwszy od trzynastu lat życia na tej planecie byłem sam. Całkowicie, cudownie i oficjalnie sam.

Pociąg ruszył ze stacji. Wagon wypełniły chłopięce głosy, trzask otwieranych puszek z napojami gazowanymi i szelest opakowań chipsów. Zacząłem gapić się przez okno, nie mając ochoty na rozmowy. Za szybą przesuwały się londyńskie graffiti na ceglanych murach i metalowych konstrukcjach, które potem ustąpiły miejsca podmiejskim żywopłotom, dziecięcym huśtawkom i sznurom do bielizny, te zaś wkrótce zamieniły się w taśmy zielonych pól i kościelnych iglic.

Zdawałem sobie sprawę z doniosłości chwili. Obserwowałem siebie wciśniętego w fotel, z nietkniętymi kanapkami zapakowanymi w folię aluminiową, które leżały przede mną na stoliku, i uświadomiłem sobie, że moje życie właśnie obiera inny kierunek wytyczony wedle nowej konstelacji. Miałem trzynaście lat, wypływałem na nowy ocean, pokonując kolejne fale. Zaczynałem nową szkołę, bardziej pasującą do mojego charakteru. Ale miałem też być może przeczucie, że czeka mnie dużo głębsza zmiana, że odmieni się mój los.

Ponieważ, choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, miałem poznać Bena, a później już nic nie miało być takie samo.

2

Komisariat policji w Tipworth, 14.40

Sięgam po stygnącą herbatę. Od mówienia zaschło mi w gardle. Oczy też mam podrażnione. Zastanawiam się, czy nie poprosić o krople, ale jeden rzut oka na wykrzywione usta Szarego Garniturka wystarcza, żeby wiedzieć, że prośba nie spotkałaby się z życzliwym przyjęciem.

Do tej pory się nie odezwał. Beżowowłosa patrzyła na mnie przyjaźnie i szczerze, pomrukując sporadycznie, gdy relacjonowałem wydarzenia wieczoru, Szary Garniturek natomiast niewzruszenie siedział na krześle ze skrzyżowanymi na piersi ramionami. Zero brzucha. Zarys twardych mięśni pod delikatnie napinającymi się guzikami koszuli.

Jeśli pracuje się w policji, trzeba zapewne dbać o formę. Prawdopodobnie przechodzą regularne testy sprawnościowe, muszą na sygnał dźwiękowy przebiec określone odległości w coraz krótszych interwałach. Wyobrażam sobie Garniturka w szortach i luźnej koszulce, na przykład ze spranym herbem amerykańskiego uniwersytetu, na którym nigdy nie studiował, pędzącego na złamanie karku z twarzą równie bezmyślną jak w tej chwili.

Pamiętałem takie osoby ze szkoły: chłopców wyróżniających się tężyzną fizyczną, którzy nigdy nie musieli się sprawdzać w czymkolwiek innym. Rosłych chłopaków o grubo ciosanych twarzach, bez osobowości, rozumiejących świat wyłącznie na podstawie tego, kto wygra współzawodnictwo. Takich, co to zawsze zainicjują w pubie zawody siłowania się na rękę. Tacy chłopcy byli popularni. Zastanawiam się, czy dlatego, że wszyscy mamy wrodzoną potrzebę ochrony. Rozglądamy się więc za co bardziej krzepkimi, muskularnymi jednostkami, i chcemy być w ich pobliżu, ponieważ wiemy, że nas obronią, gdy będziemy tego

najbardziej potrzebować. Chwycą za wiosła w szalupie ratunkowej, kiedy zderzymy się z górą lodową. I dlatego jesteśmy skłonni przymknąć oko na ich kompletny brak konwersacyjnej swady czy intelektu.

– A więc – mówi Beżowowłosa – nie nocował pan w rezydencji? Mam na myśli klasztor Tipworth.

Nie mogę się połapać, czy to taka jej taktyka, czy naprawdę nie słuchała mojej odpowiedzi.

– Nie. Odnoszę wrażenie, że już to mówiłem.

Beżowowłosa kiwa głową.

– Oczywiście mówił pan, Martinie. Oczywiście.

Szary Garniturek wierci się na krześle.

– I nie było to dla pana problemem? – pyta.

– Co?

– Że nie zatrzymał się pan w klasztorze. U Bena i Sereny.

– Ani trochę.

Relacjonując przygotowania do przyjęcia, pominąłem kilka co bardziej błahych szczegółów. Nie było powodu, by informować policję, że Lucy poczuła się urażona. Beżowowłosa nie spuszcza ze mnie wzroku.

– Przyjechała do nich liczna rodzina – wyjaśniam, by wypełnić ciszę. – Chodziło po prostu o zwykłą logistykę.

– Rozumiem.

Wydecham powietrze głośniejszym niż zamierzałem, nie zdając sobie sprawy, że wcześniej wstrzymywałem oddech. To naprawdę jakiś absurd, że człowiek się tak przy nich denerwuje. Nawet jeśli nie zrobił niczego złego. Podobnie jak przy celnikach na amerykańskich lotniskach patrzących spod łba, nieuprzejmym i podejrzliwym wobec wszystkiego, co się powie.

Beżowowłosa patrzy na mnie wyczekująco.

– Przepraszam – mówię. – Chyba nie dosłyszałem?

– Cóż, Martinie, mówiłam jedynie, że w klasztorze nie brakuje pokoi. Nie tak trudno byłoby znaleźć miejsce, prawda? Tak blisko się

przyjaźnicie... po prostu wydaje się to dziwne...

– Czy ja wiem? Należałoby zapytać Bena i Serenę. Poza tym w grę wchodziły względy bezpieczeństwa.

– Oczywiście. Obecność VIP-ów.

– Otóż to.

Spoglądam na sufit w nadziei znalezienia tam czegoś interesującego. W jednym rogu dostrzegam pęknięcie. Nachodzi mnie nieproszone wspomnienie z dzieciństwa: matka myje mi w wannie włosy, a ja, z trudem znosząc każdą sekundę, wbijam wzrok w spękany pożółkły tynk na suficie, marząc, żeby już skończyła.

– Dobrze się pan czuje? – pyta Beżowowłosa.

– Doskonale.

– Wygląda pan na lekko zdenerwowanego.

– Nic podobnego – zapewniam. – Po prostu zastanawiam się, jak długo to jeszcze potrwa.

Odwraca kartkę papieru kancelaryjnego, przekłada ją na drugą stronę teczki i odsłania kolejną, zapisaną odręcznie czarnym długopisem.

– A więc pan wraz z małżonką przybyliście na przyjęcie przed innymi gośćmi, by wypić z Benem i Sereną drinka – reasumuje. – Czy pańskim zdaniem pan Fitzmaurice zachowywał się normalnie?

– Co ma pani na myśli?

– Czy coś zwróciło pańską uwagę? Coś nietypowego?

Wzruszam ramionami.

– Może coś go trapiło?

– Od tamtej pory minęły trzy tygodnie. Nie rozumiem, dlaczego wszystko teraz rozgrzebujecie...

– Z pewnością zdaje pan sobie sprawę, że zgromadzenie istotnych faktów wymaga czasu. Wie to pan jako dziennikarz.

Nie odzywam się.

Próbuje innej taktyki.

– Jakie wrażenie wywarł na Lucy pan Fitzmaurice?

– Należałoby zapytać ją.

– Och, bardzo nam pomogła w dochodzeniu – przyznaje Beżowowłosa. – Ale jestem ciekawa pańskiej opinii, Martinie.

Czeka.

– Mam propozycję. Może zdradzi mi pani, co chciałaby ode mnie usłyszeć, a ja powiem, czy ma pani rację, czy nie?

Wyraz jej twarzy po raz pierwszy twardnieje.

– Nie mamy czasu na zgadywanki, panie Gilmour. W razie gdyby umknęło to pańskiej uwadze, w szpitalu leży osoba w stanie krytycznym. – Teraz pan Gilmour. Już nie Martin. Robi pauzę. Do jej głosu wkrada się nuta wzburzenia, dostrzegam jej wewnętrzne zmagania, by zapanować nad gniewem. – Chcemy ustalić fakty – kontynuuje już nieco łagodniejszym tonem. – Byśmy mogli dokładnie zrozumieć, co się wydarzyło, a potem wszyscy pójdziemy sobie do domu. – Uśmiecha się. – Byłoby miło, prawda?

Szary Garniturek z aprobatą pociąga nosem, lecz poza tym nadal tkwi w bezruchu.

Odstawiam na stół kubek z herbatą. Podali mi ją bez łyżeczki czy mieszadełka i cukier osadził się na dnie.

– Wydał mi się taki jak zawsze – mówię w końcu.

Oczywiście kłamię.

2 maja

Kuchnia, klasztor Tipworth, 19.30

Nie rozmawialiśmy w drodze powrotnej do kuchni. Nasze kieliszki do szampana były puste. Zachowywaliśmy dystans, jakby dzielił nas betonowy mur. Żałowałem swojego komentarza na temat niezatrzymywania się na noc. Postąpiłem głupio. Głupio, głupio, głupio.

– I tutaj, MC, potrzebujemy twojej rady – rzekł Ben, wskazując na pustą ścianę u podnóża wąskich schodów w głębi domu. Patrząc na wysłużone drewniane stopnie, pomyślałem, że musiała używać ich służba. Ale czy zakonnicy mieli służbę? Chyba nie. Raczej nie pasowałoby to do mnisiego życia.

– Ach, tak... Jakiej?

– Chcemy tu mieć jakieś duże dzieło sztuki. Żeby ożywić ten zakątek, nowiesz.

Kilka lat temu Ben zaczął mówić „nowiesz”, zlewając te dwa słowa w jedną gładką całość. W tym samym czasie niektórzy politycy zaczęli wystrzegać się zwartych bezdźwięcznych spółgłosek krtaniowych, by zademonstrować swojskość i bliskość ze zwykłym człowiekiem. Przypuszczam, że w wypadku Bena chodziło o zaznaczenie pewnej bezpośredniości, lekkości i swobody, wywarcie wrażenia, że pomimo olbrzymiego majątku dziedzicznego oraz dynamicznie rozwijającego się funduszu hedgingowego jest on w gruncie rzeczy „swoim chłopem”. Z którym można pogadać. Kopać piłkę. O którym można powiedzieć: „Och, Ben jest super. Swój człowiek. Nie zadziera nosa”.

Taka reputacja miała dla Bena istotne znaczenie. W szkole przychodziła mu w naturalny sposób. W późniejszym życiu pracował nad jej

utrzymaniem i wtedy już nie wydawała mi się taka przekonująca. Jako nastolatek był wzruszająco szczery. Obecnie uważał uczciwość za cenny atut, a to bynajmniej nie to samo. I rzeczywiście, ludzie, którzy nie znali go tak dobrze jak ja, łykali ten wizerunek. Ben z łatwością zdobywał przyjaciół. Nigdy nie lubił być sam. A teraz, w tym przepastnym domu, otoczony inżynierami dźwięku, ogrodnikami, kelnerami, w oczekiwaniu na przybycie około trzystu pięćdziesięciu gości dla uczczenia czterdziestych urodzin, powinien być w swoim żywiole.

– A nad czym konkretnie się zastanawiałeś? – zapytałem świadom, że Ben nie będzie miał bladego pojęcia.

– Cholera wie... Myślałem o czymś... nowoczesnym. I dużym. – Roześmiał się, pocierając nos. – Jak się nazywa ten gość, którego tak bardzo lubi Serena? Ten od graffiti?

Przewidywalne do bólu.

– Banksy.

– Właśnie. O niego mi chodzi.

– Hmm... chyba już trochę passé.

– Ha! Wiedziałem, że będziesz zorientowany.

– Zastanowię się – odparłem, wiedząc, że niczego podobnego nie zrobię. Było jasne, że ta część domu nie będzie wystawiana na widok publiczny. Serenie nie śniłoby się poprosić mnie o radę w jakiegokolwiek liczącej się sprawie.

– Dzięki, stary. – Ścisnął mnie za ramię. – Wracajmy do dziewczyn.

Zawsze „dziewczyny”, nigdy „kobiety”. Lucy doprowadzało to do szału.

W kuchni Serena i moja żona z pewnym zakłopotaniem przycupnęły na wysokich stołkach po przeciwnych stronach kuchennej wyspy. Błat wyglądał jak płyta z białego marmuru o grubości czterech cali, ale po bliższym przyjrzeniu się zdałem sobie sprawę, że wykonano go z czegoś w rodzaju utwardzonej gumy. W dotyku przypominał wąż strażacki. Na środku ostentacyjnie ustawiono chromowaną wyciskarkę do cytrusów, która wyglądała jak wyrzutnia raketowa.

– ...koszmar, nawet sobie nie wyobrażasz – mówiła Serena. Na dźwięk naszych kroków podniosła głowę, posyłając uśmiech, który szybko się rozpułynał.

– O czym plotkujecie? – Ben się pochylił i zaczął rozmasowywać Serenie ramiona. Pretensjonalnie wyciągnęła szyję i przekręcała głowę w bok.

– Jestem straaasznie spięta – oznajmiła.

– Wiem, kochanie. Tak ciężko pracowałaś.

– Tyle było do zrobienia? – zapytała Lucy. Napotkałem jej wzrok. Wymieniliśmy rozbawione spojrzenia. Żadne z nas nie traktuje poważnie Sereny, która mówi o nadmiarze obowiązków.

– Nawet nie pytaj – odparła. – Zwyczajnie nie można liczyć na to, że ludzie zrobią to, co do nich należy. No i te wzmożone środki bezpieczeństwa, o które... – Urwała. Ben posłał jej ostrzegawcze spojrzenie.

– O co chodzi? – zapytałem.

– Och, po prostu... mieliśmy o tym nie mówić...

– Zgadza się, kochanie. Zostaliśmy zobowiązani do dochowania tajemnicy.

– Ojej, daj spokój, skarbie, to tylko Martin i Lucy.

Nie omieszkalem zwrócić uwagi na owo „tylko”.

– Jakie środki bezpieczeństwa? – zainteresowała się Lucy.

– Niewykluczone – zaczął Ben – ale wyraźnie podkreślam, że to sprawa czysto hipotetyczna – że możemy się spodziewać bardzo ważnego gościa.

Umilkł napuszony. Nie zamierzałem go ośmielać, odwróciłem się zatem do okna wychodzącego na kuchenny ogród wypełniony terakotowymi donicami z ziołami i kwitnącym jaśminem.

– Premiera – zapiszczała Serena, nie mogąc się pohamować.

– Kochanie... – Dłoń Bena zastygła w bezruchu na jej lewym barku, palce wpiły się w obojczyk z taką siłą, że aż pobielaly mu czubki paznokci.

– Jeszcze nie wiemy, czy...

– Fakt, nie wiemy. Ale obiecał, że dołoży wszelkich starań.

- No, no – mruknęła Lucy bez entuzjazmu.
- Ona na niego nie głosowała – wyjaśniłem.
- A ty? – zwrócił się do mnie Ben. – Nadal zgrywasz lewaka?
- Nie twoja sprawa, Ben – ostro ucięła Lucy.

Roześmiał się.

- Przepraszam, Luce, przepraszam. Masz rację. Koniec z polityką.

Premier był starym przyjacielem rodziny Bena. Miał na imię Edward, ale w próżnej nadziei, że ludzie zapomną o jego przeszłości w Eton, wkrótce po elekcji zaczął prosić wszystkich, by mówili mu Ed. Jego matka znała się z matką Bena od niepamiętnych czasów. Dwukrotnie spotkałem go na prozanej kolacji u Bena, na długo przed tym, nim nabrał ogłady i wytworności, stając się jedną z tych postaci sceny publicznej, która nie potrafi przywitać się bez długiego uścisku dłoni mającego świadczyć o szczerości polityka. Prawdę mówiąc, zawsze szkoda mi było dla niego czasu. Za to Serena była pod jego wielkim wrażeniem. Lubiła bliskość władzy.

Wypiłem łyk szampana.

- Miło będzie zobaczyć się znów z Edem.
- O, to wy się znacie?
- Tak, spotkaliśmy się kilka razy. U ciebie. Na kolacji.

Z roztargnieniem pokiwał głową.

- Oczywiście, oczywiście. Zapomniałem. – Ben nalał nam obu po kolejnym kieliszku szampana. – Wiele się od tamtej pory zmieniło.

Cóż można było na to odpowiedzieć? Usiadłem na stołku obok Lucy, oparłem podeszwy butów na poprzeczce znajdującej się tak blisko siedziska, że nie dało się wygodnie siedzieć. Ben pozostał w pozycji stojącej.

- Tak, będzie mnóstwo ludzi, których znasz. Mark, Bufty, oczywiście Fliss; Arpad i Seb. Och, MC, pamiętasz Andrew Jarvisa, prawda?

Zesztywniałem.

– Ze szkoły. I z Cambridge.

– A – rzekłem z udawaną nonszalancją. – Jarvis. – Przypomniałem sobie ironiczny uśmiezek i wydatne mięśnie pod ciasno opinającą tors szkolną koszulą. – Tak, oczywiście.

– Jest teraz członkiem parlamentu. Jednym z kręgu Ediego. Wiceministrem energetyki. Niedawno kupili z żoną dom przy tej samej ulicy.

– Trafił na kobietę, która była skłonna za niego wyjść? No proszę, jednak cuda się zdarzają.

– Nie przesadzaj, nie był aż taki okropny.

– Ma uroczą żonę – dodała Serena.

– To prawda – zgodził się Ben. – Rzeczywiście jest urocza.

Oduściłem. Ben ma nieograniczoną zdolność do wymyślania przeszłości od nowa. Myślę, że to wyrachowana taktyka. Zmienia narrację, by w każdym momencie dopasować ją do swoich potrzeb, a czyni to z taką swobodą, że chyba nikt nie ma mu tego za złe. Jeśli dobrze się zastanowić, to doprawdy godna podziwu umiejętność.

Ben wzniósł toast.

– Za nas – powiedział, nie odrywając ręki od karku żony.

– Za naszych drogich przyjaciół – dodałem. – Za Bena i Serenę.

Ben, teraz bardziej rozluźniony, przybrał dobrze znany serdeczny wyraz twarzy i uśmiechnął się od ucha do ucha. Miał rozpięte trzy górne guziki koszuli, zza której wyzierały ciemne włosy. Był opalony. Zawsze był opalony. Albo po niedawnych wakacjach, albo po grze w golfa, albo po prostu za sprawą dobrych genów. Pachniał dębem i skórą – tą samą wodą po goleniu, której używał od lat, od kiedy ojciec podarował mu pierwszy flakon na szesnaste urodziny. Był przystojny w nieoczywisty sposób. Miał zbyt wydatne wargi i zbyt wiotką skórę wokół ust. Nos jakby zanadto spłaszczony. Zmarszczki na czole. Ale wszystko razem dawało znakomity efekt. Pewna surowość, lekka patyna aparycji pasowały do upływu czasu. Musiałem przyznać: nigdy nie wyglądał tak dobrze.

– Tak – rzekła Serena. – Za przyjaciół.

Lucy przechyliła kieliszek szampana pod kątem czterdziestu pięciu stopni i jednym haustem wypija trunek niemal do dna. Położyłem rękę na jej dłoni. Miała gorącą skórę. Odstawiła kieliszek na blat, drżały jej palce.

Z drugiego końca pokoju dobiegł hałaśliwy łomot, a potem wrzask dziecka.

– Mama!

Mała pulchna postać przebiegła pędem po podłodze i rzuciła się do nóg Sereny. Był to Hector, lat trzy, najbardziej niesforne dziecko Fitzmaurice'ów.

– Mój skarbie – zagruchała Serena. Schyliła się, by go podnieść, napinając wyrzeźbione od jogi ramiona. Hector przypominał baryłkę z kwadratową głową i miał toporną twarz. Brwi tworzyły nawis nad oczodołami, nadając chłopcu wygląd podstarzałej małpy.

– Cześć, Hectorze – powiedziałem. Ta mało atrakcyjna buła była, przyznaję z żalem, moim chrześniakiem. Szczerze mówiąc, czułem się urażony, że poprosili mnie dopiero przy trzecim potomku, i nigdy do końca nie przeboleiałem tej zniewagi. Niemniej skrupulatnie wypełniam wszystkie obowiązki. Na chrzest podarowałem mu grawerowany metalowy kufel i od tamtego czasu co roku odkładam dla niego butelkę wybornego wina w Berry Bros. Bóg raczy wiedzieć, co takiego będzie musiał zrobić, by sobie na nie zasłużyć. Brakuje mu wdzięku Cosimy i szelmostwa Cressidy. (Najmłodszy, Miś, jest jeszcze na etapie niemowlęcym, trudno przewidzieć, co z niego wyrośnie).

– Pfff... – odpowiedziało dziecko.

Wygodnie umoszczony na kolanach matki, łytał na nas spode łba, wyraźnie sobie życząc, żebyśmy wszyscy stamtąd zniknęli. Zaczął szarpać Serenę za bluzkę.

– Mle-ma – zażądał. – Mle-ma, mle-ma – domagał się piskliwym głosem niemożliwym do zignorowania.

– Nie, kochanie, nie teraz. Mle-ma będzie później.

Odsunęła od piersi pulchną rączkę z dołeczkami. Serena wyznaje rodzicielstwo bliskości. Cosimę karmiła piersią do czwartego roku życia, aż córeczce wykształciło się pełne uzębienie.

– Ben, mogę prosić o dolewkę? – Lucy podsunęła pusty kieliszek.

– Przepraszam, złotko. Powinienem był zauważyć.

Nalał szampana zbyt szybko, toteż musujący trunek sięgnął niemal brzegu, zmuszając Bena do odczekania, aż piana opadnie. Lucy wzięła do ręki pełny kieliszek i wychyliła prawie połowę jednym haustem. W ostatnich miesiącach zauważyłem, że pije coraz więcej, a zależało mi, by tego wieczoru się nie wstawiła. Byłoby to żenujące, a poza tym potrzebowałem sojuszniczki.

Przekrzywiłem głowę w jej stronę.

– Nie sądzisz...

– Nie, Martin, nie sędzę – odparła zbyt głośno. Przestraszony jej głosem Hector zaczął płakać.

– Och, skarbie, och, nie, nie płacz – gruchała Serena. Pogłaskała malca po głowie. – Oni wcale nie chcieli krzyczeć. Wcale nie chcieli.

Lucy rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Następnie pochyliła się i poklepała chłopczyka po pulchnej nóżce.

– Hej, Hectorze. – Pac, pac, pac. – Hej, hej. Przepraszam. Nie bądź dzidziusiem. – Pac, pac, pac. – Już duży z ciebie chłopiec, prawda? Nie ma o co płakać. – Pac, pac, pac.

Gdy Lucy cofnęła rękę, ujrzałem czerwony ślad na udzie malca.

Serena odwróciła się do nas plecami, osłaniając synka przed naszymi spojrzeniami.

– Mam go zabrać? – zaofiarował się Ben.

Serena wstała bez słowa i wyszła z pokoju z wrzeszczącym Hectorem. Odgłos gumowych podeszew espadryli na kaflach posadzki miał zapewne być wyrazem jej milczącej wściekłości.

Ben westchnął. Przepraszająco wzruszył ramionami.

– Nie przejmuj się, Luce.

– Nie przejęłam się.

Roześmiał się.

– To dobrze. Czyli wszystko gra.

Cicho mrużąc, podszedł do majaczącej w rogu kuchni lodówki.

– Przekąski – ogłosił wszem wobec, wyjmując przykryty folią spożywczą półmisek, a następnie postawił go na stole. Zdjął folię zamaszystym ruchem, odsłaniając gąbczaste na pierwszy rzut oka bliny z łososiem, kilka plasterków twardego sera, chyba manchego, oraz kilka pokrojonych w trójkąciki minikanapek. Rozmazana brązowa plama na środku sugerowała, że są to resztki zjedzonego wcześniej przez kogoś chutneya. Resztki, pomyślałem. Oto, ile jesteśmy warci.

– Napijcie się wody?

Sięgnąłem po blina.

– Tak, poproszę.

Wrócił z butelką w znajomym odcieniu jasnego błękitu. Natychmiast rozpoznałem naklejkę: pochyły zielony druk, rysunek wzgórz, które widywałem codziennie w drodze na zajęcia. Woda mineralna Burtonbury, ponoć najlepsza w Wielkiej Brytanii i pijana przez samą królową.

Ben odkręcił butelkę, uwalniając syczący strumień powietrza. Gdy nalewał wodę do szklanki, zatrzeszczały pękające kostki lodu.

Martin

Burtonbury, 1989

Szkoła Burtonbury mieściła się na obrzeżach malowniczego miasta środkowej Anglii, które rozkwitło w późnej epoce wiktoriańskiej dzięki obfitości wód źródlanych. Szkolny gmach był niegdyś hotelem dla mężczyzn dotkniętych suchym kaszlem lub dyspepsją oraz dla cierpiących na wapory bladolicych kobiet w czarnych koronkach, którzy przyjeżdżali tam z Londynu z kuframi i służbą „na kurację”. Było to najmodniejsze miejsce, w którym należało się pokazać: centrum sanatoryjne na miarę swoich czasów, gdzie podupadłe na zdrowiu osobistości zaszywały się na długie tygodnie, pijąc ze źródeł i mocząc się w termach z gorącymi kompresami na rozpalonych czołach.

Przez pewien czas rezydował tam przystojny młody doktor z Adelboden w Szwajcarii – o zdumiewającym nazwisku Schnitzel – pełniąc funkcję dyrektora medycznego. Gdy tam przyjechałem, w holu wejściowym nadal wisiała jego fotografia w sepii: brodaty mężczyzna o opadających powiekach, z lokami wokół uszu, o fizjonomii posępnego rosyjskiego powieściopisarza.

Kuracje wodne okazały się przelotną modą, podobnie jak dieta kapuściana, doktor Schnitzel powrócił do Adelboden, strumień kuracjuszy wysechł, a wysoki gotycki hotel Empire z czerwonej cegły popadł w ruinę. Podczas dwóch wojen światowych został zarekwirowany na potrzeby wojska. W latach pięćdziesiątych kupiło go małżeństwo z Birmingham i przekształciło w dom opieki dla osób starszych, wypruwając wszystkie marmury w łazienkach oraz ręcznie malowane gzymsy i zastępując puszyste dywany cienką, niezniszczalną wykładziną o barwie instytucjonalnej zieleni.

W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku założono tam szkołę z internatem dla chłopców, pierwotnie przeznaczoną dla dzieci dyplomatów na placówkach zagranicznych. Przez lata wyrobiła sobie reputację ośrodka rozwijającego dyscyplinę intelektualną na średnim szczeblu edukacji i mającego skromne osiągnięcia sportowe. Była przyzwoita, ale nie zaliczała się do prywatnych szkół wyższej ligi. Bardzo starała się dorównać Eton czy Harrow, lecz nigdy nie wybiła się ponad swój karierowiczowski status, tak jak świeżo upieczony milioner, który kupuje jaskrawoniebieskiego rolls-royce'a, nie zdając sobie sprawy, że powinien sprawić sobie czarnego bentleya o odcieniu wpadającym w granat. Burtonbury zawsze tkwiła tuż poza listą dwudziestu najlepszych szkół w dorocznym rankingu. Publikowany w „Tatlerze” przewodnik po dobrych szkołach rok w rok wyrażał się o niej dość powściągliwie.

Nim zjawiłem się tam ja – wytaszczywszy walizę z pociągu i szybko pozbywszy się kanapek z serem w najbliższym kuble na peronie – Burtonbury przechodziła coś w rodzaju kryzysu wiary w siebie. Z przypodłogowych cokolików łuszczyła się farba. Sztuczna murawa odklejała się na krawędziach. Ławki były staromodne, z ruchomymi blatami, upstrzone plamami atramentu z czasów, gdy się wydawało, że kubański kryzys raketowy może rzeczywiście wysadzić świat w powietrze. Nauczyciele snuli się po korytarzach z bolesną powolnością i wyrazem rezygnacji na twarzach, niczym pasażerowie statku, którzy wiedzą, że zderzą się z górą lodową i utoną. Trwało to przez kilka ładnych lat.

I właśnie to zastałem po przyjeździe: ja, cichy chmurny chłopiec, który z ulgą uwolnił się od duszącej małości drobniomieszczańskiego wychowania; chłopiec traktujący Burtonbury jak rozległe akademickie płótno, na którym odcisnie swój ślad, pokaże, na co go stać. Myśl o stworzeniu siebie od nowa dodawała mi skrzydeł. W swojej naiwności wyobrażałem sobie, że szkoła będzie współczesną wersją Akademii Platónskiej, gdzie podobnie myślący młodzi intelektualiści będą dyskutować o głębokich koncepcjach filozoficznych. Na koniec każdego dnia będziemy ślęczeć przy regałach wypełnionych zakurzonymi,

oprawionymi w skórę tomami poezji romantycznej, a wieczorami zbierać się na kolejnej ożywionej, ale prowadzonej z szacunkiem dla rozmówców debacie, może w piżamach i flanelowych szlafrokach, zajadając gorące grzanki z masłem i popijając je kubkiem kakao, a potem udawać się na zasłużony nocny spoczynek. Tak wyobrażałem sobie szkołę z internatem.

Rzecz jasna byłem w błędzie.

Pierwszy przebłysk świadomości zaświtał mi w chwili, gdy dyrektorka, drobna kobieta o ziemistej cerze, w lepkich od brudu okularach, zaprowadziła mnie do sypialni. Pamiętam, jak zahipnotyzowały mnie jej okulary – nie sądziłem, że ktoś może być do tego stopnia leniwy albo po prostu obojętny na zapaćkane szkła. Tamten widok mnie przygnębił. Matka zawiodła mnie pod wieloma względami, za to doskonale prowadziła dom, a szafka pod zlewem była zawsze wypełniona zapasami jifa i flasha, i ściereczek, a także uniwersalnymi sprejami do czyszczenia wszystkich powierzchni, z etykietami przedstawiającymi lśniące niebiesko-żółte kafelki. Po dziś dzień odcisnięte krążki kubków na laminacie są dla mnie koszmarem.

Sypialnię stanowił długi, wyłożony wykładziną pokój z dwoma łózkami wzdłuż ścian po obu stronach, czyli w sumie czterema. Dwudzielne okno na samym końcu obramowywały zasłony z wzorem piłek futbolowych i kijów do krykieta. Ściany pomalowano na delikatny słoneczny kolor. Widać było, że ktoś starał się dodać pokojowi przytulności, lecz paradoksalnie owe wysiłki służyły jedynie podkreśleniu instytucjonalnej obcości kwatery.

Kiedy wprowadzono mnie do pokoju, było tam już trzech chłopców rozpakowujących kufry. Mruknąłem „cześć”, ale żaden z nich nie zareagował na moją obecność. Głośno rozprawiali o wakacjach, chwytalem strzępy ich rozmów, wlokąc się do łóżka pod oknem.

– Stary, ona aż się śliniła...

– Pieprzysz.

– Słowo daję.

– Powiedziała mi...

– Jej siostra była w Feathers. Mówię ci. Klasyczna zdzira.

– Taaa, a wtedy w Admiral Codrington byłeś napruty, chłopie, kompletnie napruty...

– Co za wtopa.

Zdawali się rozmawiać szyfrem, konwersacyjną stenografią złożoną z niezrozumiałych dla mnie haseł i nazw. I choć używali wulgarnego, agresywnego języka, śmiali się przy tym, od czasu do czasu któryś z nich milknął, by uderzyć drugiego pięścią w ramię albo klepnąć go w plecy. Chłopcy byli wyżsi, niż się spodziewałem, i wydawali się ode mnie starsi. Każdy z nich mógłby zastępować drugiego: takie same fryzury z opadającą grzywką, takie same brązowe buty, takie same rozpięte pod szyją i celowo niewyprasowane koszule oraz wystrzępione na mankietach sweterki w serek.

W porównaniu z ich ciuchami moje wydawały się z innej epoki: starannie wyprasowane spodnie garniturowe, wypastowane szkolne półbuty i gładka biała koszula zapięta pod samą szyję. Pewność siebie zaczęła mnie opuszczać. Paliły mnie policzki. Krawędzie mózgu zwijały się z napięcia i zacząłem się zastanawiać, czy moja determinacja, by wyrwać się z poprzedniego życia, nie zawiodła mnie z deszczu pod rynną. Uświadomiłem sobie, rozpinając suwak walizki (kolejna nieodpowiednia rzecz – inni chłopcy mieli kufry z mosiężnymi okuciami i wypisanymi od szablonu inicjałami przy uchwytach), że jeśli mam tu przetrwać, będę musiał się nauczyć nowych zasad.

Rozpakowywałem się pospiesznie, w zasadzie ignorowany przez moich współlokatorów: swetry i koszulki do szuflady, koszule i blezery do chybotałej szafy z wyrytymi w miękkim drewnie inicjałami na całej długości jednego boku. Bokserki wsadziłem do płóciennego worka i wepchnąłem go pod łóżko. Ze wstydem zauważyłem, że matka bez mojej wiedzy włożyła na dno walizki małego brązowego misia. Miał na imię Howard. Dostałem go w dniu narodzin od jakiejś wiekowej ciotki, której nigdy nie poznałem. Howard towarzyszył mi nieustannie przez wiele lat, szwy jego kraciastej kamizelki strzępiły się z każdym praniem coraz

bardziej. Spał ze mną w łóżku, oparty przy poduszce. Niespecjalnie się nim zajmowałem i prawdę mówiąc, w chaosie poprzedzającym wyjazd do Burtonbury zupełnie zapomniałem o zabawce, przypuszczam jednak, że matka w porywie nietypowej dla niej czułości zmartwiła się, że mogłoby mi go brakować.

Widok Howarda wciśniętego w kąt walizki, z niepasującą do reszty łapką, wywołał we mnie serię złożonych uczuć. Nagły przypływ nudności, ściskanie w dołku, które zapewne świadczyło o tęsknocie za domem, potem ukłucie wstydu, który w końcu ustąpił miejsca przerażeniu.

Spoglądając wstecz, zastanawiam się, czy zrobiła to celowo. Czy wiedziała, że wkładając misia do walizki, narobi mi wstydu. Czy chciała mi przypomnieć, że choćbym nie wiem jak próbował uciec przed nią i naszym prowincjonalnym domem z podwójnymi szybami w oknach oraz obezwładniającym poczuciem nieprzystawalności, nigdy do końca mi się to nie uda.

Usiłowałem zamknąć patrzącego na mnie z wyrzutem Howarda w walizce, ale w tej samej chwili postanowił do mnie podejść jeden z chłopaków.

– Co tam masz? – zapytał, pochylając się i brutalnie chwytając misia. – To twój misiaczek?

Podniósł Howarda i zaczął poruszać jego łapkami, parodiując teatrzyk kukiełkowy. Dwaj pozostali chłopcy skwapliwie zachichotali.

– Przyjechałeś pomóc swojemu paniczekowi zadomowić się w dużej nowej szkole, hę?

– Przestań – powiedziałem cicho. – Proszę.

Chłopak rzucił mi gniewne spojrzenie. Patrzył zimnym wzrokiem. Pod lewym nozdrzem miał zaczerwienioną skórę jak po uszczygnięciu.

– Oddaj mi go – poprosiłem.

– Że co? – Chłopak uśmiechnął się szyderczo. – Słyszycie, panowie? Ten misiek to „on”. No i co? Wstaje w środku nocy i urządza sobie z innymi zabawkami jebaną nocną balangę?

– Misiowy piknik – podsunął inny, rechocząc na całe gardło.

– Taaa, właśnie. Jebany piknik.

Chłopak odchylił ramię i nim zdążyłem go powstrzymać, cisnął Howarda na drugą stronę pokoju. Miś uderzył w ścianę i zsunął się na ziemię, spadając twarzą na wykładzinę. Dwaj pozostali chłopcy go podnieśli, każdy chwycił za jedną łapkę, szarpiąc Howarda jak przy przeciąganiu liny, aż wreszcie jeden z nich wyrwał misia drugiemu, rozpruwając mu przy tym łapkę. Mignął mi przed oczami pióropusz białego wypełnienia wysypującego się z naderwanej kończyny. Howard ponownie poszybował nad moją głową, przierzucany niczym piłka do rugby z jednego końca pokoju w drugi.

I choć powinienem po prostu dać spokój i wyjść, znajdując sobie lepsze zajęcie, moje wzburzenie i upokorzenie gwałtownie okrzepły, przeradzając się w nieustępliwość. Powoli ogarniała mnie wściekłość. Co z tego, że Howard jest głupiutkim dziecięcym misiem? Bądź co bądź to mój głupiutki dziecięcy miś i teraz sobie myślę, że musiałem wtedy się sprzeciwić traktowaniu swojej własności z taką arogancją. Tak się składa, że zawsze bardzo dbałem o swoje rzeczy. Nie lubiłem się dzielić. Wydaje mi się, że to cecha przypisana dzieciom, ale jeśli spojrzeć, z jaką bezduszością ludzie traktują przedmioty, jak nie potrafią dostrzec ich prawdziwej wartości, póki nie jest zdecydowanie za późno, jak tłuką w muzeach bezcenne wazy z dynastii Ming swoimi zbyt dużymi plecakami, uważam, że to jedyny sensowny sposób postępowania. Chronić to, co się posiada. A co za tym idzie, także siebie.

Próbowałem interweniować, podskakiwałem, starając się przechwycić Howarda, wyrwać z zapętłonej trajektorii lotu. Im bardziej się wysilałem, tym szybciej go przierzucali. Byłem niższy od tamtych trzech, wiedzieli, że mają przewagę. Czułem wilgotną lepkość cisnących się do oczu łez. Mój wzrok to się rozmazywał, to wyostrzał, jakby ktoś rozciągał mi w mózgu przezroczystą folię, czułem, jak tężeje we mnie wściekłość – wyszczerbiona, czarna jak węgiel twarda bryłka u podstawy kręgosłupa, pączkująca i przeradzająca się w furję, która pięła się krąg po kręgu ku

sercu i gardłu, oblepiała zebra niczym kałuża rozgrzanej smoły. Usłyszałem trzask miażdżonych kamieniem, pękających ptasich kości, i nim zdążyłem się obejrzeć, zacisnąłem pięści, gotów wyprowadzić cios prosto w te ich głupie gęby i mocnym uderzeniem powalić każdego z chłopaków na podłogę.

Przeciągam. Otwierają się drzwi pokoju. Zdecydowane kroki na wykładzinie. A potem głos:

– Dom, co ty, kurwa, robisz?

Chłopcy natychmiast przestali. Miś Howard dyndał w rękę jednego z nich. Podniosłem wzrok z podłogi i się odwróciłem. W prostokącie drzwi stał chłopak o kręconych włosach, z delikatnym zarostem na żuchwie. Załamał mu się głos, ale gdy odezwał się ponownie, brzmiał jak człowiek absolutnie przekonany, że to, co mówi, jest w tym momencie dla wszystkich najważniejsze.

– Ej, odwal się, Ben – rzucił chłopak z czerwoną plamką pod nosem.

– Opuść, Dom. Zostaw go w spokoju – mówił zupełnie tak, jakby mnie tam nie było. – Bo dyrektorka usłyszy. Mam na później flaszkę wódki, nie chcę, żeby ją dorwała, okej?

Wzmianka o wódce natychmiast uspokoiła Doma. Przeczesał palcami włosy. Dwaj pozostali zajęli się rozpakowywaniem bagaży. Jeden z nich zaczął przyczepiać do ściany plakat z dziewczyną w tenisowej spódnicy.

– Dobra, jasna sprawa – odparł Dom, a czerwona plamka przy nosie jakby się zaogniła. – Sorki.

– No i git – rzucił na odchodnym Ben. Zanim wyszedł, spojrzął na mnie przez ramię. W świetle jego oczy wydawały się srebrzyste. – Nie potrzeba ci żadnego pieprzonego misia, okej?

Wyszedł. Wyrwałem Howarda, mając ochotę urwać mu tę jego głupią głowę, i wepchnąłem go pod łóżko za worek z bielizną. Miał tam pozostać opuszczony aż do końca semestru. Przypomniałem sobie o nim dopiero wtedy, gdy pakowałem się na ferie świąteczne. Wyłonił się cały

w pajęczynach, kurzu i łuskach suchej skóry, szklane oczy patrzyły twardo, urażone tym porzuceniem. Bez namysłu wyrzuciłem go do kubła na śmieci.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Keith twierdzi, że nie trzeba przestrzegać chronologii. Że kolejność, w jakiej powracają do mnie wspomnienia, jest „sama w sobie bardzo interesująca”.

To on zasugerował, bym wszystko zapisywała w ramach przerabiania tego, co się wydarzyło. Ku mojemu zaskoczeniu ta metoda okazała się pomocna. Mój notatnik stał się miejscem dawania upustu najbardziej osobistym przemyśleniom. (Całej reszcie przedstawiam oczywiście bardziej strawną wersję – do tej grupy należą także Keith oraz policja).

– Mózg potrafi sam się porządkować – powiedział podczas dzisiejszej sesji. – Czasem najważniejsze rzeczy pozostają długo ukryte, a my pamiętamy je tylko na poziomie komórkowym.

– Pamięć mięśniowa?

– Można by tak rzec.

Keith siedział jak zwykle w skórzanym fotelu po drugiej stronie pokoju. Miał za plecami okno z wykuszem, przesłonięte do połowy drewnianymi żaluzjami pomalowanymi na gołębi kolor. W trakcie naszej rozmowy słońce się przesunęło i teraz oświetlało od tyłu jego głowę, tak że nie widziałam jego twarzy i zastanawiałam się, nie po raz pierwszy, czy sadowił się w ten sposób celowo, by jego reakcje pozostały nierozszyfrowane.

– Pamięć mięśniowa – powtórzyłam. – *Pamięć mięśniowa: pamiętnik* – powiedziałam, zadowolona z tej przyjemnej aliteracji. – Autorstwa Lucy Gilmour.

– Interesujące – zauważył Keith. – Dlaczego to mówisz?

Pomyślałam o poronieniu, o tym, jak tamto wspomnienie wróciło do mnie rok później, niemal dokładnie w rocznicę, i jak rozplakałam się za kierownicą, zastanawiając się, skąd te łzy, i dopiero później, kiedy porównałam daty, zdałam sobie sprawę, w czym rzecz.

Dziwne. Pielęgniarki w szpitalu okazywały mi ogromne współczucie, uważałam, że nie zasługuję na tak wielką troskę z ich strony. Nie czułam smutku. Spowijał mnie całun intelektualnego odrętwienia. Przerabiałam w głowie to, co się dzieje, na płaszczyźnie logiki, i wydawało mi się to bardzo ważne: usunąć emocje. Twoje ciało nie jest zdolne do utrzymania dziecka, podszeptował jakiś wewnętrzny głos; jakże byłeś w sobie zadufana, myśląc inaczej.

Podchodziłam do wszystkiego czysto praktycznie. Tekturowe opakowanie na odpady medyczne. Krew. Drobiniki czegoś jeszcze nie do końca uformowanego w płynach ustrojowych. Podpaski higieniczne tak grube, że aż komiczne. Ból, który napływał i odpływał falami. Zgięta wół w środku nocy nie chciałam nacisnąć dzwonka, ponieważ to, przez co przechodziłam, nie działa się naprawdę. To nie choroba. Ból da się znieść. Robisz z tego wielkie halo, podpowiadał wewnętrzny głos; zachowujesz się zenująco.

Martina przy mnie nie było. Przekonywałam samą siebie, że to bez znaczenia, po co oboje mamy mieć bezsenność noc. A poza tym czy nie miałabym dodatkowego kłopotu na głowie? Do tego wszystkiego musiałabym zajmować się jeszcze nim. Martwić się, co oznacza jego mina, dlaczego nic nie mówi, dlaczego nie trzyma mnie za rękę. Musiałabym tłumaczyć się przed pielęgniarkami z jego oschłości. I przed lekarzami. Musiałabym łagodzić jego mimowolną gburowatość, wdając się w przesadnie serdeczne pogawędki.

Rzecz w tym – to znaczy rzecz, o której należy pamiętać – że potrafił roztaczać wokół siebie wielki urok. Gdy przyszedł do nas po raz pierwszy, bym przedstawiła go rodzicom, umiejętnie wdał się z nimi w rozmowę. Siedział przy swojskim kuchennym stole, sękatym i poplamionym w wyniku wieloletniego użytkowania, zadawał mojej matce pełne troski

pytania, a ona, przekonana, że nikt nigdy nie chce z nią rozmawiać, rozkwitała dzięki okazywanej jej uwadze. Pytania były proste, stereotypowe, z rodzaju tych, którymi zwykle nikt nie zawraca sobie głowy – gdzie się wychowywałaś, czym zajmowali się twoi rodzice, czy masz rodzeństwo – a matka, która zbyt pochopnie uważała, że nie jest dostatecznie bystra, odpowiadała na nie płynnie, ponieważ potrafiła.

Pił herbatę, dobrze to pamiętam, a ja denerwowałam się, że nie zda ona egzaminu, zważywszy na jego pogardę dla serwowanego w biurze mocnego, byle jakiego naparu. Wiedziałam, że matka zalewa w dzbanku mieszankę torebek pg tips i twinings earl grey i byłam cała spięta z obawy, że po pierwszym łyku Martin z obrzydzeniem wykrzywi usta. Ale gdy rozmowa na chwilę ucichła, oznajmił z całkowitą szczerością:

- Wyśmienita herbata, pani Hillhurst.
- Och, proszę – odparła poruszona matka. – Mów mi Pat.
- Wyśmienita herbata, Pat.

Przeczesał palcami włosy, odgarniając pasma, które nieustannie opadały mu na czoło. Gdzieś już widziałam ten gest, dopiero po chwili zdałam sobie sprawę, skąd go znam. Nagle mnie olśniło: Ben robił dokładnie to samo. Jego najlepszy przyjaciel, Ben.

– Nie ma to jak angielskie śniadanie, prawda? – mówił później Martin. – Tego człowiekowi potrzeba.

Ojciec był pod równie dużym wrażeniem. Martin, który nigdy nie oglądał sportu, przesiedział na sofie obok ojca cały mecz rugby, uprzejmie pytał o akcje na boisku, o to, którzy zawodnicy są najlepsi, a ojciec wydawał się mile połączony, że uchodzi za autorytet. Zadowolona obserwowałam ich z rogu salonu. Martin na mnie spojrział. Posłałam mu całusa. Uśmiechnął się. Wiedziałam, że jest mu miło.

- Dziękuję – powiedziałam w drodze powrotnej w samochodzie.
- Za co?
- Że tak się starałeś u rodziców.

Wzruszył ramionami.

– Naprawdę cię polubili. – Nie zareagował. Patrzył na drogę zza przyciemnionych szkieł ray-banów. A potem, ponieważ pragnęłam skrycie, by i on powiedział coś ciepłego, dodałam: – Wiesz, naprawdę bardzo cię polubili.

Włączył kierunkowskaz. Cyk, cyk, cyk.

– Dobrze się dogaduję z nie swoimi rodzicami.

Dopiero po latach dotarło do mnie, że ludzie rzadko mówią takie rzeczy.

Nie jego wina, że poroniłam. On nigdy nie chciał dzieci. Od początku mówił o tym otwarcie, nie mogę twierdzić, że nie wiedziałam. Była to jedna z kwestii niepodlegających dyskusji, a ja się zgodziłam, zbyt pochopnie, zbyt mocno pragnąc obwarować jego miłość, przywiązać go do siebie i bezpiecznie trzymać.

Przeprowadziliśmy tamtą rozmowę w kawiarni galerii Saatchi w Chelsea. Przy miseczce lepkich orzeszków i dwóch koktajlach old fashioned (lubił old fashioned, ale kręcił nosem, gdy podawano kwadratowe kostki lodu zamiast okrągłych). Gratulowaliśmy sobie racjonalnej umiejętności dyskusowania o trudnych sprawach bez uciekania się do sentymentalizmu.

– Dlaczego nie chcesz mieć dzieci? – zapytałam, a ponieważ się bałam, że nie uderzyłam we właściwy ton, pospiesznie dodałam: – Pytam tak z ciekawości.

Martin wydobyl lśniący orzech nerkowca ze sklejącej się w bryłę, obtoczonej w miodzie masy.

– Byłbym fatalnym ojcem.

– Wcale nie.

Dotknęłam jego dłoni, wodziłam palcami wokół knykci. Nie cofnął ręki, gładkiej i różowobrazowej jak mydło imperial leather. Na tamtym etapie znajomości orientowałam się jedynie w ogólnych zarysach jego nieszczęśliwego dzieciństwa. Sprawiał wrażenie dziecka zaniedbywanego – nieżyjący ojciec, chłodna emocjonalnie matka, dojrzewanie w szkole z internatem, odcięcie od miłości rodzicielskiej – ale nigdy nie wykraczał

poza mętne ogólności. Czytałam między wierszami, interpretowałam ten brak szczegółów, biorąc go za dowód dziecięcej traumy. To mnie poruszyło. Rozumiałam, dlaczego ktoś, kto miał tak trudne dzieciństwo, nie chce fundować tego samego własnemu potomstwu.

– Zresztą na świecie żyje zbyt dużo ludzi – powiedział, odsuwając rękę i wycierając ją w serwetkę. – Nie mamy wystarczających zasobów, a mimo to się rozmnażamy. Wolałbym, żebyśmy byli tylko we dwoje – oznajmił, a ja poczułam wtedy motyle w brzuchu. Martin jako jedyny umiał wywołać we mnie takie uczucie. Komplement z jego ust ogrzewał mnie jak promienie słońca na plecach. – A ty nie?

– Ja też. – Uniosłam szklanekę, powiedziałam „na zdrowie” i czekałam, aż się ze mną stuknie, co zaraz uczynił, śmiejąc się w ten swój charakterystyczny sposób, jak gdyby zdumiewał go własny śmiech, jak gdyby śmiał się wbrew sobie i chwilowo nie panował nad mięśniami twarzy. Żyłam dla takich chwil.

Dwa lata po ślubie zaszłam w ciążę. Już wtedy wiedziałam, że pragnę dziecka i że zbyt pośpiesznie i lekkomyślnie przystałam na warunki Martina. Koleżanki miały bobasy, a mnie zachwyciły różowe kolanka z dołeczkami i delikatne kosmyki miękkich włosów. Lubiłam zapach ich świeżo wypranych ubranek i słodczy. Lubiłam je przytulać, moje ramiona otaczały ich kruchość niezbędnym pancerzem. Cóż za banał. Zegar biologiczny. Zaczął tykać pomimo mojej determinacji, by tego uniknąć. Wkrótce patrzyłam tęsknym wzrokiem na maluchy na ulicach, wyobrażałam sobie, jak ubierałabym własne dziecko, i zastanawiałam się, jakie to uczucie, gdy jest się kochaną przez taką maleńką istotkę miłością ślepą i bezwarunkową, przynajmniej przez pewien czas. Póki nie dorośnie i nie odkryje, że matka to jedno wielkie rozczarowanie.

Ciąża była wpadką. Martin nie lubił zakładać prezerwatywy, a mnie się wydawało, że wzięłam rano pigułkę, ale nie wzięłam, i to już od paru dni. Nie sądziłam, że ma to jakieś znaczenie, zważywszy, jak rzadko uprawialiśmy seks. Nie pierwszy raz byliśmy nieostrożni. I zawsze miałam

podświadomą nadzieję, że skończy się ciążą. I za każdym razem dostawałam okres i czułam ból, który starałam się lekceważyć. Tym razem jakimś cudem miesiączka się opóźniała. Martin nie wierzył, kiedy mu powiedziałam.

– Jesteś pewna?

– Tak.

Nie podniósł głosu. Usiadł przy kuchennym stole, założył nogę na nogę. Rozpiął marynarkę, po czym spokojnie

powiedział:

– Lucy. Coś uzgodniliśmy.

– Wiem.

– No i? Nie konsultując się ze mną, postanowiłaś pójść na całość i pieprzyć się ze mną do imentu, choć żadne z nas tego nie chciało.

– Ty nie chciałeś – mruknęłam.

– O, nie. Nie, nie. Nie wciskaj mi kitu. Powiedziałem przed ślubem. Powiedziałem, że...

– Wiem, co powiedziałaś. Ale, Martin, posłuchaj, to była wpadka. Stało się. I może... może...

– Może co?

– Może powinniśmy się cieszyć?

Wstał, podszedł do lodówki, nalał sobie szklankę wody z dzbanka z filtrem. Trzeba zmienić filtr, pomyślałam odruchowo. Muszę jutro kupić.

Czekałam, aż Martin wróci do stołu, lecz on wyszedł. Po kilku sekundach usłyszałam stłumione odgłosy skrótu telewizyjnych wiadomości.

Daj mu czas, tłumaczyłam sobie. To dla niego szok, wiadomo. Otrząśnie się, przemyśli.

Przez resztę wieczoru wymyślałam mu usprawiedliwienia.

3

Komisariat policji w Tipworth, 14.50

– Więc jak się pan poczuł?

Beżowowłosa przekrzywia na bok głowę. Zastanawiam się, czy przeszła jakieś policyjne szkolenie na koszt podatnika poświęcone doskonaleniu podstawowej empatii oraz umiejętności rozumienia.

– Przepraszam, nie bardzo nadążam...

Błady uśmiech. Czeka.

O, dobra robota, myślę. Nauczono cię, że robienie pauzy w kluczowych momentach często skłania przesłuchiwanego do mówienia. Powolne oklaski. A potem wyrzut konfetti. Jeśli się jej wydaje, że to na mnie podziała, grubo się myli. Jestem dziennikarzem. Znam te sztuczki na wylot. Cisza się przeciąga i w końcu zostaje przerwana.

– Mam na myśli zaproszenie do udziału w jednym z interesów pana Fitzmaurice’a – podpowiada Beżowowłosa, ustępując. – Musiało to pana zafrapować.

– Nieszczęśliwie.

– Doprawdy? – Udaje zaskoczenie. – Sądziłabym... cóż, szansa na zarobienie pieniędzy, a przy okazji pomoc najlepszemu przyjacielowi... Całkiem miła propozycja. Powiedziałaś coś zabawnego?

– Nie. Skąd ten pomysł?

– Wydaje się pan rozbawiony.

Reflektuję się i zmieniam minę. Ostatnimi czasy coraz częściej łapię się na bezwiednym wykrzywianiu ust w ironicznym uśmiechu. Zastanawiam się, w jakim stopniu jest to pokłosie zażywania narkotyków przez te kilka lat po studiach, kiedy brałem więcej koksu, niż to było wskazane. Jedna

z istotnych rzeczy, które pamiętam z bycia na haju – obok poczucia niewyobrażalnego błogostanu, upojnej wiary w swoją fascynującą błyskotliwość – to utrata kontroli nad mięśniami twarzy. Chciałem okazać troskę, a robiłem grymas. Próbowałem się uśmiechnąć, a kończyło się na płaczu.

W końcu z dnia na dzień odstawiłem prochy, trafiwszy do kosztownego ośrodka życzliwie opłaconego przez rodziców Bena (puchowe kołdry, ręcznie palona kawa, świece o zapachu fig). Tiki ustały. Miesiąc medytacji grupowych i terapeutycznych zajęć plastycznych rozwiązał problem.

Od tamtej pory nie wciągnąłem ani jednego kryształka białego proszku. Ale inne niefortunne aspekty uzależnienia pozostały. Wciąż miewam od czasu do czasu przemożną chęć rozerwania czegoś na strzępy, zachowania się w obrzydliwy sposób, szokowania w kulturalnym towarzystwie. Wciąż miewam skłonność do gwałtownych wybuchów złości, obecnie zwykle kontrolowanych – choć biedna Lucy nieraz odczuła je na własnej skórze. A teraz odkryłem, że nadal mam kłopotliwy zwyczaj okazywania niewłaściwych emocji.

– Nie – zaprzeczyłem. – Po prostu Ben nie poprosiłby mnie o zainwestowanie w jeden ze swoich projektów z dobrego serca. To nie był bezinteresowny akt przyjaźni, proszę mi wierzyć.

Beżowowłosa zapisuje coś na kartce papieru.

– To znaczy?

– Już wyjaśniam. Ben we wszystkim, co robi, kieruje się własnym interesem. Nie wynika to z podłości. Tylko z poczucia przysługującego mu prawa, typowego dla osób z dobrych rodzin, zamożnych, wychowujących się w rezydencjach, uczęszczających do prywatnych szkół, studiujących później w Oxbridge, a w dodatku atrakcyjnych, które nigdy nie musiały w życiu o nic walczyć.

To moja najdłuższa wypowiedź w trakcie tego przesłuchania i zbyt późno uświadamiam sobie swój błąd. Trik polega na tym, by mówić jak najmniej. Czy nie tego uczyły nas wszystkie telewizyjne seriale kryminalne? Odpowiadaj monosylabami. Kontruj pytanie pytaniem. Jeśli wszystko inne

zawiedzie, mów „nie mam nic do powiedzenia”. Widzę, jak Szary Garniturek prostuje się na krześle, jak się ożywia. Beżowowłosa patrzy na mnie obojętnie.

Spoglądam na jej bezbarwną, pospolitą twarz. Jedną z tych przyzwyczajonych do niezwracania niczyjej uwagi. To twarz osoby o skromnych oczekiwaniach, twarz komunikująca, że absolutnie zadowoliliby się dwójką dzieci, małym domkiem z meblami z Ikei, ubraniami zamawianymi online na wyprzedaży w Next, obejrzeniem filmu na DVD i butelką rose za cztery dziewięćdziesiąt dziewięć w piątkowy wieczór spędzany z mężem na przytulnej sofie, pod kocem wydzierganym przez babcię z okazji narodzin pierwszego dziecka, przed telewizorem z zestawem przyjemnych filmów.

Widzę cię, myślę sobie. Widzę cię taką, jaką jesteś. I wiem, że myśl o ludziach pokroju Bena, cieszących się niezasłużonymi przywilejami, staje ci ością w gardle.

– Rozumie pani, o co mi chodzi – mówię, patrząc jej prosto w oczy.

I Beżowowłosa rzeczywiście przytakuje.

– Czy kiedykolwiek wcześniej oferował panu udział w projektach biznesowych?

– Nie. Moment nie był nigdy odpowiedni. Wiedział, że nie byłbym zainteresowany...

– Czy wydało się panu dziwne, że wybrał na to akurat wieczór przyjęcia urodzinowego?

Tak, mówię sobie w duchu, tak, wydało mi się to dziwne. Wiedziałem, że coś się kroi, że ta historia z Czarnogórą służy jedynie za pretekst, a tak naprawdę chce poruszyć zupełnie inną sprawę. I nie trzeba było wielkiego wysiłku wyobraźni, by się zorientować, jaki stoi za tym motyw. Chodziło o wielką przemilczaną kwestię, o coś, o czym nigdy nie rozmawialiśmy, a co zaległo między nami niczym bezmiar wody niemożliwy do przebycia. Ostatnio nastąpiła pewna drobna, lecz zauważalna zmiana w stosunku Bena do mojej osoby. Zaczęło się to mniej więcej wtedy, gdy kupili klasztor Tipworth. Spędzał coraz więcej czasu poza Londynem, a co za tym idzie,

rzadziej go widywałem. Z daleka niełatwo było monitorować jego nastroje. Sytuacja stawała się coraz trudniejsza do kontrolowania.

To oddalenie mnie martwiło. Kiedy tylko ogarniał mnie niepokój, zaczynały powracać wspomnienia, wizje, które napierały na korę mózgową niczym tłukąca się o szybę osa. Jako pierwsze powracały dźwięki. Zgrzyt metalu. Furkot obracających się w powietrzu kół. Potem zapachy: benzyny, deszczu, dymu. Obrazy zawsze pojawiały się na końcu. Dziewczyna, powykęcana i zakrwawiona. Twarz Bena, biała w świetle księżyca.

Zawsze mam przed oczami te same dwie sceny, jakbym z rolki filmu miał wywołać określoną liczbę zdjęć.

Zażywanie narkotyków w wieku dwudziestu kilku lat pomogło zepchnąć tamte wspomnienia w jakiś niezbadany zakątek mózgu. Kokaina przyspieszała myślenie, alkohol je spowalniał, marihuana nadawała myślom poetycki liryzm. Gdy brałem wszystkie trzy naraz we właściwych ilościach, mogłem się znieczulić.

Abstynencja początkowo mnie przerażała, ponieważ nie chciałem tamtych wspomnień. Ale, jak się okazało, trzeźwość zaskakująco mnie wyciszyła – stałem się „nienawiedzany”, jeśli istnieje takie wyrażenie. Wizje zaczęły powracać stosunkowo niedawno. Niechciane, upiorne fragmenty brzęczące w głowie jak zdekompletowane sztuczce w szufladzie.

– Martinie? Słyszał mnie pan? Czy wydało się panu dziwne, że poruszył temat tak poważnej inwestycji akurat podczas przyjęcia z okazji czterdziestych urodzin?

– Nieszczególnie. Nie widziałem Bena od pewnego czasu. Przeprowadzka i tak dalej – wiadomo, jak to jest. Chciał ze mną porozmawiać, korzystając z okazji, nic w tym wyjątkowego. To znaczy z nami.

– „Z nami”?

– Chciał, by Lucy także w tym uczestniczyła. A właściwie obie nasze żony.

– Rozumiem.

Coś zapisuje. Bardzo chciałbym wiedzieć co, ale umyślnie spoglądam w inną stronę.

– A wracając do przyjęcia... – mówi Beżowowłosa. – Wypiliście szampana w kuchni i co dalej?

– Potem zjawiała się Fliss.

– Fliss?

Szary Garniturek się wierci, a potem – niebawem – otwiera usta.

– Felicity Fitzmaurice – oznajmia ze szkockim akcentem.

– Zgadza się. – Gapię się na niego, rzucam mu nieme wyzwanie, czekam, aż odwróci wzrok. On patrzy nadal.

– Siostra Bena.

2 maja

Hol, klasztor Tipworth, 19.50

Usłyszeliśmy Fliss, zanim ją zobaczyliśmy. Jej głos, mieszanina gardłowych transatlantyckich samogłosek i gwałtownie rosnącej na końcu zdania intonacji, niósł się po pełnych przeciągów korytarzach. Odbijał się od ścian, aż dotarł do kuchni, w której siedzieliśmy, rozbrzmiewał pośród chromowanych i gumowych powierzchni, póki końcowe brzęczące sylaby nie zostały połknięte przez pogłos.

– Gdzie jest mój braciszek, do jasnej cholery?

– O Boże! – zakrzyknął Ben, z trzaskiem odstawiając kieliszek. – Fliss!

Wkrótce entuzjazm Bena udzielił się całej naszej trójce i wszyscy ruszyliśmy w kierunku, z którego przyszliśmy. Lucy tak kurczowo ścisnęła w rękę pusty kieliszek, że bałem się, czy nie pęknie szkło. Jej obojczyk sterczał bardziej niż zwykle, nadgarstek sprawiał zaś wrażenie tak kruchego, jakby lada chwila miał trzasnąć.

Fliss stała w holu, ubrana w coś, co można opisać jako patchworkową pelerynę uszytą z połączonych kawałków fioletowego aksamitu i kwadracików lazurytu, upstrzoną maleńkimi okrągłymi lusterkami rozsiewającymi przy każdym ruchu ciała migoczące punkciki światła. Na grzbiecie miała plecak, taki, jaki uwielbiają nastolatki, które po skończeniu szkoły robią sobie roczną przerwę przed studiami: z dwoma grubymi brezentowymi paskami na ramionach oraz trzecim, cieńszym, przecinającym klatkę piersiową, sumiennie zapiętym na klamerkę. Miała szorstką, ogorzałą cerę, głębokie bruzdy nosowe i pomarszczone dłonie z luźną skórą na kostkach. Wciąż nosiła długie włosy, ale podwinięte na końcach, pojedyncze pasma splotła w warkoczyki i ozdobiła kolorowymi drewnianymi paciorkami.

– Hej, hej – powiedziała, padając w ramiona Benowi, który przytulił ją z taką siłą, jakby zamierzał ją zmiążdżyć.

– Wspaniale cię widzieć, siostró. Kiedy przyjechałaś?

– Parę godzin temu – odparła. Pierś Bena tłumiała jej głos. – Puszczaj. Chcę się przywitać z Martem i Luce.

Zaśmiał się, po czym uwolnił ją z objęć.

Fliss zwróciła się ku nam z płonącymi zielonymi oczami.

– Chodźcie tu, chodźcie. – Rozpostarła ramiona. Oboje z Lucy poddaliśmy się nieuchronnej fizycznej bliskości, którą lubili się afiszować Fitzmaurice'owie. – Ileśmy się nie widzieli? Pięć lat? Dziesięć?

– Osiem i pół, zdaje się.

Zachichotała.

– Och, pocziwy stary Mart, zawsze taki precyzyjny. – Trzymała mnie za nadgarstek. – Skarbie, co my byśmy bez ciebie poczęli?

Głos miała chropowato-jedwabisty. Wpijała mi palce w skórę, jakby zamierzała zrobić mi swoją firmową pokrzywkę, w której specjalizowała się jako nastolatka.

– Jak się masz, Luce?

– Dobrze – odparła Lucy, delikatnie odsuwając się w bezpieczne miejsce, poza zasięg rąk Fliss.

– Fantastycznie wyglądasz, naprawdę... – Szukała właściwego słowa. – Sama nie wiem. Jakoś tak... w zgodzie ze sobą, wiesz?

Lucy wzruszyła ramionami. Żadne z nas nie wiedziało, jak reagować na Fliss. Stąpała po ziemi mocniej niż Ben, po części dlatego, że nigdy nie robiła tego, czego od niej oczekiwano, i w rezultacie zebrała więcej życiowych doświadczeń. Choć młodszy z nich dwojga, Ben zachowywał się nienagannie przez całą gładką karierę akademicką, z wyjątkiem jednego słynnego potknięcia na uniwersytecie, Fliss natomiast wydalono ze szkoły z internatem za narkotyki, a później wprawiła wszystkich w osłupienie, odmawiając powrotu do standardowej edukacji.

W wieku szesnastu lat wyjechała do Szwajcarii, gdzie pracowała w górskim pensjonacie, stamtąd ruszyła na winobranie do Prowansji, potem dla odmiany była au pair w Australii, kelnerką w Anglii (krótko; nienawidziła tej roboty), pilotką wycieczek w St. Louis jeżdżącą z turystami autobusem z odkrytym dachem, nauczycielką angielskiego we Włoszech, barmanką w Szwecji, w chorwackiej przetwórni skubała kury, a w końcu została instruktorką jogi na Ibizie i od tamtej pory spędzała tam z przerwami większość czasu. Ostatni raz widzieliśmy się na suto zakrapianej imprezie u Bena i Sereny w Notting Hill, kiedy to rozmowa przy deserze przerodziła się w agresywną sprzeczkę. Połowa stołu kłóciła się z drugą połową o dobre i złe strony wojny w Iraku w ten zdystansowany, poważny sposób, typowy dla ludzi majątnych, zawsze bezpiecznych dzięki świadomości, że tak naprawdę nie dotkną ich żadne skutki polityczne konfliktu.

W środku coraz ostrzejszej dyskusji Fliss odsunęła krzesło, wstała bez słowa i z gracją stanęła na głowie na wykafelkowanej posadzce. Rozmowa zamarła. Po kilku sekundach wyszła z pozycji, ponownie zajęła miejsce przy stole, wszyscy zgotowali jej owację, ona zaś siedziała jak gdyby nigdy nic z twarzą zaczerwienioną od napływu krwi. Cała Fliss.

– Gdzie Serena i ośmiorniczki?

Ben przeprasząco wzruszył ramionami.

– Hector trochę się nam rozkleił, zabrała go na górę. Są tam wszyscy, razem z nianiami.

– Z nianiami! Do kurwy nędzy, braciszku! Śmierdzisz szmałem na odległość.

Roześmiałem się. Lucy się rozluźniła. Przy Fliss wszystko stawało się łatwiejsze. Nie mam pojęcia, jak wiele wiedziała o wydarzeniach z przeszłości. Pomimo otwartości była dość nieprzenikniona, gdy w grę wchodziło ujawnianie prywatnych spraw.

Jako uczeń Burtonbury spędziłem kilka weekendów z rodziną Fitzmaurice'ów, nigdy nie chciałem wracać do przygnębiającego domku w Epsom. Moje kontakty z matką były wymuszone i coraz rzadsze –

ograniczały się do listów z beznamiętnymi relacjami z faktycznych wydarzeń oraz sporadycznych, uciążliwych rozmów ze szkolnej budki telefonicznej, składających się nie tyle ze słów, co z milczenia. Poza tym dla czego miałbym wybierać prowincjonalny domek z kamyczkowym tynkiem zamiast wielkopańskiego majestatu rodzinnej rezydencji Fitzmaurice'ów?

Mieszkali w przestronnej posiadłości z czerwonej cegły zwanej Denby Hall, położonej wśród pięknych ogrodów z ozdobnymi topiarami i pawiami. Budynek został wzniesiony w siedemnastym wieku, wkrótce po restauracji Stuartów, przez drobnego arystokratę, który podczas wojny domowej dowiódł swojej lojalności wobec tronu, za co został nagrodzony honorowym tytułem. Dom z zewnątrz prezentował się imponująco: kamienne białe rzeźby i snobistyczne fontanny. Za to we wnętrzu panowało pomieszenie z poplątaniem. Budowlę musiał wznieść ktoś z obsesją na punkcie korytarzy. Czasem odnosiłem wrażenie, że pokoje dobudowano później – ciasne, o zaburzonych proporcjach, stłoczone wokół szerokiego centralnego holu, który wcale nie musiał być aż tak szeroki. Ściany były obwieszane portretami rodowymi albo martwymi naturami z homarem lub gnijącymi owocami. Przepych współistniał z tandetą w sposób, który z czasem zacząłem utożsamiać z angielską arystokracją. W każdym pokoju stały buteleczki żelu pod prysznic i szamponu ze znakami firmowymi rozmaitych hoteli, a raz nawet odkryłem, że jem obiad widelcem z wygrawerowanym na ręczce napisem Cathay Pacific.

Podczas pierwszej wizyty w Denby Hall czułem się onieśmielony. Jak mogło być inaczej? Przyjaźniliśmy się już wtedy z Benem na serio, ale jego rodzice najwyraźniej uważali mnie za małego dziwaka.

– Wiele o tobie słyszałam – rzekła jego matka, lady Katherine, gdy nas sobie przedstawiano. Uścisnąłem jej dłoń. Wycofała ją dyskretnie i wytarła w spódnicę do połowy łydki. – Czuj się tu jak w domu.

– Dziękuję.

Była postawną kobietą o wysokim czole i jasnoszarych oczach. Włosy miała tak jasne, że niemal białe, ostrzyżone starannie i dość krótko,

zakrywające uszy. Stała w pozycji baletnicy, a gdy szła, zdawała się płynąć. W moim nieprzemijającym wspomnieniu z owego czasu jawi mi się jako osoba zdystansowana, daleka, w sensie zarówno dosłownym, jak i przenośnym.

Skierowała wzrok na Bena. Odwracała głowę w niesłychanie osobliwy sposób: szyja pozostawała całkowicie nieruchoma. Jak u węża, pomyślałem.

– Skarbie, może zechciałbyś zagrać przed lunchem w tenisa?

– No – mruknął Ben.

– Tak – poprawiła.

– Tak, mamó. Przepraszam.

Lady Fitzmaurice przeniosła wzrok na mnie.

– Wziąłeś ze sobą strój do tenisa, prawda?

Nie miałem tenisowych ubrań. Poczulem się okropnie zażenowany.

– Pożyczę ci – wtrącił pospiesznie Ben. – To znaczy, jeśli zapomniałeś swojego.

– Dziękuję.

– Chłopcy, lunch o trzynastej – poinformowała matka Bena. – Jest tu twoja siostra.

Ben jęknął.

– Słyszałam, braciszku.

I oto bez ostrzeżenia w pokoju pojawiła się Fliss: tyczkowata nastolatka z aparatem ortodontycznym na zębach, w wystrzępionych dżinsowych szortach i podkoszulku w paski, który ciągle zsuwał jej się z ramion.

– Kto to? – Otaksowała mnie bez uśmiechu.

– Martin.

– Cześć, Martin. – Wypowiedziała moje imię z niesmakiem, jakby rosło jej w ustach.

– To jest Fliss – przedstawił Ben. – Moja siostra.

– No chyba. Przecież nie twoja pieprzona dziewczyna?

Roześmiałem się wbrew sobie. Fliss się uśmiechnęła, a gdy tylko to sobie uświadomiła, gwałtownie zmieniła wyraz twarzy. Chyba uznała, że jestem z grubsza znośny.

Fliss była od nas tylko trzy lata starsza, ale w tym wieku trzy lata to prawie jak dziesięć. Obserwując ją, nauczyłem się wiele o dziewczynach, ich humorach, nieustępliwości, dziwnej mieszaninie defensywności i bezbronności. Latem chodziliśmy we trójkę nad jezioro położone na gruntach należących do Denby Hall, rozbieraliśmy się do bielizny i skakaliśmy do wody, rozkołysawszy najpierw postrzępioną linę przerzuconą przez gałąź zwisającego nad taflą jeziora drzewa.

Gdy powracam wspomnieniami do tamtych czasów, myślę o nich z bezwarunkową czułością. Chłodna toń. Smugi słonecznego światła na wodzie roztrzaskujące się w drobny mak, gdy burzyliśmy powierzchnię naszymi skokami. Brązowe kręgi rozchodzące się wokół punktu zanurzenia, a potem zlewające się ze sobą, wygładzające, zacierające ślady, tak że tafla powracała do pierwotnego stanu aż do następnego razu, gdy znów wgramolimy się na brzeg, rozhuścimy linę i z wrzaskiem wskoczmy do jeziora.

Kiedyś, gdy mieliśmy z Benem po czternaście lat, a Fliss leniuchowała w domu w przerwie między jedną a drugą pracą, malując na czarno paznokcie i słuchając albumów Boba Dylana, wybraliśmy się we trójkę nad jezioro i złapała nas burza. Schroniliśmy się pod drzewami, czekając na koniec ulewy. Pomimo wysiłków przemokliśmy do suchej nitki.

Oparta o pień dębu Fliss wyjęła z tylnej kieszeni niebiesko-srebrną puszkę.

– Coś na rozgrzewkę – oznajmiła, otwierając wieczko, pod którym ukazało się pięć skrętów. Wyjęła jednego, zapaliła, zaciągnęła się, a potem podała go mnie. Gdy przekazywałem go Benowi, musnął palcami moją dłoń. Kiedy palił, w jego oczach pojawiła się błogość. Zaczęliśmy się śmiać, nie mogliśmy się opanować, a potem wydawało się oczywiste, że powinniśmy zrzucić ubrania, bo przecież i tak są mokre, a zresztą zamierzaliśmy pływać, więc co za różnica?

Ben rozpiął koszulę do połowy i ściągnął ją przez głowę. Ja zdjąłem podkoszulek, zwijając go w kulę, by zyskać na czasie. Choć byłem upalony, zarejestrowałem swoją nerwowość. Ben nigdy nie widział mnie nago, a ja z trudnych do zrozumienia powodów poczułem, że ten pierwszy raz powinien wiązać się z jakąś wyjątkową okazją.

– Jazda, guzdrały! – zawołał, zsuwając bokserki do kostek. Biel pośladków odcinała się od opalonego tułowia równym wąskim pasem. Penis spoczywał na gęstwinie kręconych ciemnych włosów, jego koniuszek przypominał kapelusz grzyba. Zanim Ben dał nura do wody, zauważyłem rybie falowanie mięśni pod skórą, od łopatek aż po rowek u nasady kości krzyżowej. Odpłynął i zniknął za zakrętem.

Odwrociłem się do Fliss. Stała przede mną w samych majtkach, brodawki sutków stwardniały od zimnego powietrza. Podeszła do mnie powoli, a gdy była blisko, sięgnęła do mojego naprężonego penisa i otoczyła go dłonią.

– Milutko – rzekła tym swoim ochrypłym głosem.

A potem pochyliła się, przywarła do moich ust, z wprawą wsunęła język między zęby. Smakowała ziołem i gumą do żucia. Wtedy po raz pierwszy całowałem się z dziewczyną i ze wszystkich sił starałem się sprostać oczekiwaniom, lecz im mocniej wpychała język, im mocniej pracowała dłonią, tym mniej czułem się podniecony. Erekcja znikła.

– Przepraszam – wyjąkałem. – To nie jest...

Odsunęła się na tyle, że zobaczyłem jej twarz. Zmarszczyła się w wyrazie konsternacji, ale po chwili jej rysy się wygładziły. Roześmiała się. Śmiech brzmiał fałszywie.

– Luzik – rzuciła. – Następnym razem.

Zgarnęła ubrania wraz z niebiesko-srebrną puszką i pomaszerowała w stronę domu. Następnego razu nie było i więcej do tego nie wracaliśmy.

W holu klasztornym w Tipworth Fliss zsunęła z ramion paski plecaka i bezceremonialnie położyła go na kamiennej posadzce przy kominku.

Niemal natychmiast zjawiała się milcząca dziewczyna, by go stamtąd zabrać.

– Ej, dokąd go niesiesz?

Dziewczyna zamarła.

– Wyluzuj, Fliss, zabiorą go do szatni. Będzie tam bezpieczny. – Ben uśmiechnął się do dziewczyny. – Oddaj go do szatni, dziękuję.

Uśmiech pozostał na jego twarzy odrobinę dłużej, niż wymagała tego sytuacja. Obserwowałem, jak odprowadza wzrokiem oddalającą się dziewczynę. Taszczyła plecak do jednego z rozstawionych na trawniku ogrodowych namiotów. W pewnym momencie bagaż wyśliznął jej się z ręki. Schyliła się, krótka spódnica podjechała do góry, odsłaniając brzeg pończochy. Ben gapił się na to wszystko łakomie. Nie po raz pierwszy zastanawiałem się, czy dobrze układa mu się z Sereną. Żona Bena nigdy nie sprawiała wrażenia szczególnie zmysłowej istoty. Pięknej, owszem, ale nietykalnej: woskowej figury przedstawiającej wzorzec olśniewającej urody.

Ben natomiast zawsze był szalenie fizyczny, każdy jego ruch zdawał się uzasadniony, nie był zbędny. Gdy po raz pierwszy zobaczyłem Marlona Brando w czarno-białym filmie *Tramwaj zwany pożądaniem*, od razu skojarzył mi się z Benem. Ta sama niesamowita zwinność, ta sama milcząca maestria, naprężone mięśnie gotowe do działania jak u kota szykującego się do ataku. I to się nie zmieniło. Patrzyłem na szerokie barki uwięzione w marynarce, sugerujące siłę i tężyznę, i przypomniałem sobie bladą skórę nastolatka, zwężenie w talii, wąskie biodra, gdy wskakiwał nago do jeziora.

Poczułem dźgnięcie w bok. Lucy szturchała mnie palcem. Czarna grudka tuszu uparcie przywierała do koniuszka pojedynczej rzęsy.

– Co?

Fliss ze śmiechem poklepała mnie po plecach.

– Nie śliń się, Mart. Jest młodziutka, mogłaby być twoją córką.

Ale... – chciałem zaprotestować – *ale... ja nie patrzyłem na nią.*

Staliśmy tak przez chwilę, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć, i wtedy jak na zawołanie rozległ się elektroniczny pisk, syczący biały szum oraz odległy głuchy łomot. Przybierał na sile, aż wreszcie z namiotu w ogrodzie dobiegł głos piosenkarki, wysoki i rozemocjonowany.

– Muzyka – rzekł Ben z płonącymi oczami. – Czas rozpocząć imprezę!
Co wy na to?

Pamiętnik Lucy Gilmour

Nie dziwi mnie nic, co się wydarzyło. Czuję się parszywie z powodu tego, co zrobiłam, pewnie, że tak. Teraz jednak się zastanawiam, czy nie było to nieuniknione. Coś mi nie grało już od momentu, gdy przestąpiłam próg Tipworth i wkroczyłam w tę absurdalnie ekstrawagancką scenerię. Wieczorowi od samego początku jakby brakowało równowagi. Nie usprawiedliwiam się. Niemniej do tego, co zrobiłam, doprowadziły pewne wydarzenia, wydarzenia i zadry, napięcia i tarcia ciągnące się latami.

Wiedziałam, że Ben i Serena poprosili nas o wcześniejsze przybycie z konkretnego powodu. Opracowali strategię działania, to rzucało się w oczy. Żadne tam przyjacielskie zaproszenie. Nigdy nie łączyły mnie z Sereną bliskie relacje, a stosunki między Benem i Martinem w ostatnim czasie się ochłodziły. Zmalała regularność kameralnych kolacji we czworo w ich perfekcyjnie urządzonym domu w Notting Hill. Ku mojej wielkiej uldze.

Tamte kolacje...

Za każdym razem Martin nie mógł się ich doczekać, a ja nie potrafiłam tego pojąć. Wydawało mi się jasne, że Bena irytuje szczenięce oddanie mojego męża. W najlepszym wypadku go bawiło. W najgorszym wyglądało to tak, jakby Martin chciał mu się przypocholebić do granic własnego upokorzenia.

Od naszej ostatniej wspólnej kolacji minął prawie rok. Serena wysłała mi mail poprzedniego wieczoru, z czego jasno wynikało, że dodano nas w ostatniej chwili.

cześć, lucy, napisała (Serena nie uznawała wielkich liter, co zawsze sprawiało wrażenie, że albo jest okropnie zajęta, albo że w pewnym sensie

jest ponad to) *wpadnie jutro do nas kilka osób na superluźną kolację. może byście dołączyli? miło byłoby was zobaczyć. pzdr. S.*

Zawsze mnie irytowało, że tylko dlatego, iż jestem czyjąś żoną, automatycznie uważa się mnie za sekretarkę, strażniczkę kalendarza i domowego ogniska, jak gdyby nasi nieporadni mężowie nie byli w stanie dopilnować tak uciążliwego zadania, jak umawianie własnych spotkań.

Planowałam wybrać się do kina na nowy film lubianego przeze mnie reżysera. Nie zarezerwowałam biletów, ale kiedy powiedziałam Martinowi, że wolałabym pójść do kina zamiast tłuc się do Notting Hill i prowadzić kulturalne konwersacje z bogatymi ludźmi, sposepniał.

– Nie widzisz, jak to miło z ich strony, że nas zaprosili?

– Nic na to nie poradzę. Uważam, że cię wykorzystują. Wydaje im się, że wystarczy pstryknąć palcami, a ty już do nich lecisz.

– Do kina możesz pójść kiedy indziej.

– Wiem, ale chciałam...

– Lucy, w życiu nie liczy się wyłącznie to, czego ty chcesz.

Wykrzywił usta. Odniosłam wrażenie, że coś w sobie dusi, zdałam sobie sprawę, że wytrąciłam go z równowagi. Ustąpiłam.

– Masz rację. Wypada nam pójść.

Rozluźnił się. Delikatnie dotknęłam jego ramienia. Przypomniałam sobie, że Ben jest dla niego jak rodzina.

Nie cofnęłam dłoni, a ponieważ Martin nie protestował, powoli przytuliłam się do niego, przycisnęłam policzek do jego piersi, słyszałam przyspieszone bicie serca. Po kilku sekundach objął mnie ramieniem.

W nomenklaturze Sereny „luźne” oznaczało „bardzo eleganckie, stwarzające pozory swobody”. Pięknie skrojony żakiet z najdelikatniejszego zamszu. Kaszmirowy sweter w kolorze jasnego beżu, niedbale zarzucony na ramiona w ostatniej chwili. Na szyi złote łańcuszki z młotkowanymi medalionami z nefrytu i topazu. Dżinsy kosztujące setki funtów, ponieważ mają dziury i doskonale modelują sylwetkę w najbardziej strategicznych miejscach.

Dopasowywanie się do Sereny i jej przyjaciół nie miało żadnego sensu, dlatego generalnie wycofałam się ze współzawodnictwa, wybierając najzwyklejsze, nierzucające się w oczy ubrania. Wiedziałam, że zdaniem Sereny kompletnie nie mam gustu – zresztą Martin uważał tak samo – ale robiłam to celowo. Nie chciałam, by patrzono na mnie głównie przez pryzmat ubrania.

Pamiętam, że włożyłam wtedy dzinsową sukienkę i czarne legginsy. Kilka tygodni wcześniej byłam ubrana tak samo i jakaś kobieta w sklepie zaczepiła mnie, pytając, kiedy spodziewam się rozwiązania. O mało nie spaliła się ze wstydu, kiedy powiedziałam, że nie jestem w ciąży, ale mnie ta sytuacja rozbawiła. I spodobał mi się pomysł, że mogłabym być w ciąży. I że Serena może tak pomyśleć.

– Wyglądasz uroczo – powiedziała Serena, otwierając drzwi.

Pocałowała mnie w oba policzki, jej skóra w porównaniu z moją wydawała się jedwabista.

– MC, cieszę się, że mogłeś przyjść.

– No co ty, słuchaj, to dla mnie zawsze przyjemność, i jak zwykle wyglądasz zjawiskowo – rzekł Martin, już od progu mówiąc zbyt szybko i zbyt dużo. – Mamy coś dla ciebie... – Wręczył jej butelkę wina, na które szarpnęliśmy się w Waitrose: wydaliśmy całe dwadzieścia pięć funtów. – I jeszcze to... – Bukiet kwiatów w jaskrawych kolorach, który z pewnością uzna za ohydne.

Serena z wdziękiem przyjęła prezenty.

– Niepotrzebnie – powiedziała, odwracając się i prowadząc nas korytarzem na dół, do kuchni w przyziemiu. Pomieszczenie wypełniał aromat gorącego ciasta. Przy stole siedziały już trzy osoby, jedną z nich był Ben.

Serena położyła kwiaty na blacie z taką nonszalancją, że równie dobrze mogłaby od razu wyrzucić je do kosza. Szczupła młoda dziewczyna w białej bluzce i czarnych spodniach podała mi kieliszek szampana. W głębi jakiś mężczyzna w fartuchu wsuwał blachy z łososiem do luksusowego piekarnika. Był monstrualny, z polerowanej stali, ze

zdumiewającą liczbą pokręteł i wyświetlaczy na froncie. Kupili go kilka lat temu, upierając się, że potrzebują czegoś właśnie tych rozmiarów, by zaspokoić potrzeby powiększającej się rodziny. Widziałam kiedyś taki sprzęt w magazynie kulinarnym, który zamieścił „domowy” wywiad ze znanym z telewizji szefem kuchni, i byłam zorientowana, że kosztował siedemdziesiąt pięć tysięcy funtów.

– To superluźne spotkanie – mówiła Serena. – Mam nadzieję, że nie macie nic przeciw.

– Nie, oczywiście, że nie. Tak jest o wiele przyjemniej. Zawsze uważam, że...

Milcząco zmusiłam Martina do zamknięcia ust.

– Kochanie, przyszli MC i Lucy.

Ben się odwrócił. Miał obojętną minę. Po chwili wyraz twarzy mu się zmienił. Uśmiech od ucha do ucha, szeroko rozpostarte ramiona.

– *Mes amis!* – wykrzyknął, przechodząc na francuski bez żadnego konkretnego powodu. Często tak robił. Kiedyś uważałam to za komiczne. A teraz doprowadzało mnie do szału. – *Vous êtes les bienvenus!* Chodźcie, chodźcie, zajmujcie miejsca.

– *Un siège?* – zapytałam.

– Ha – powiedział wcale nie rozbawiony, mocno mnie przytulając. – Cześć, Lucy.

Usiedliśmy przy okrągłym stole i zostaliśmy przedstawieni pozostałym gościom: Mattowi, prawnikowi, specjaliście od prawa medialnego, oraz Milly, która, jak większość koleżanek Sereny, nie robiła nic. Tu i ówdzie na stole były poustawiane szklane wazoniki, w każdym pojedyncza biała róża przycięta na odpowiednią długość. Lniane serwetki. Sztućce z rączkami z poźółkłej kości słoniowej.

Siedziałam zwrócona twarzą do ściany zdominowanej przez regał z półkami, na którym zamiast książek stały świece zapachowe i rzeźby: miniaturowy pies z brązu, maska plemienna z otworami na oczy, karłowate drzewko o gałęziach obwieszonych malutkimi kryształowymi kulami. Na

środkowej półce wyeksponowano oprawioną w srebrne ramki fotografię ze ślubu Sereny i Bena. Serena nie patrzy prosto w obiektyw, ślicznie się uśmiecha, rozpromieniony Ben obejmuje ją ramionami, marszczy mu się skóra w kącikach oczu. Zdjęcie jest czarno-białe i dobrze mi znane, ponieważ mamy takie w domu. Tyle że w szerszej wersji, ze stojącym obok Bena Martinem. Na fotografii w kuchni Fitzmaurice'ów Martina nie było.

W zasadzie nie wydarzyło się nic wartego zapamiętania, z jednym wyjątkiem. Rozmawialiśmy o uniwersytecie, ponieważ w porannych wiadomościach poruszono temat rosnącej liczby brytyjskich nastolatków ubiegających się o studia zagraniczne.

– *À propos*, Ben – rzekł Martin. – Dostałeś list z informacją o zjeździe absolwentów Queens’?

– Tak. Wiecznie nagabują mnie o pieniądze.

– Wymagany strój wieczorowy. Pomyślałem, że może być całkiem zabawnie.

Całkiem zabawnie. Miał zwyczaj podłapywania powiedzonek Bena, ale w jego ustach nigdy nie brzmiały naturalnie. Pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że to robi.

– Boże, Martin, mówisz serio? Nie wyobrażam sobie nic gorszego.

Martin wypił łyk wina. Napotkał moje spojrzenie. Miał nietęgą minę.

– Tak tylko zasugerowałem – powiedział. – Pomyślałem, że miło będzie tam zajrzeć, odwiedzić stare kąty.

– Skąd ta obsesja na punkcie przeszłości, MC? Mam dość nostalgii.

Ben sięgnął po karafkę czerwonego wina. Serena delikatnie poklepała go po nadgarstku. W ten sposób sygnalizowała, że dość już wypił, ale on się tym nie przejął. Nalał pełny kieliszek, a potem zaproponował wino Milly, która pokręciła głową i otworzyła usta, chcąc coś powiedzieć.

– Trzeba iść naprzód – zagrzmiał Ben, pozostawiając Milly z rozchylonymi jak u ryby wargami. – Przed siebie. Myśleć o przyszłości. Na tym polega problem z Wielką Brytanią – ciągnął, robiąc jeden z tych swoich szalonych przeskoków myślowych, które tak uwielbiał. – Żyje

przeszłością. Ciągłe chce wszystkim przypominać o swojej cholernie długiej historii.

– Ben – napomniała go Serena.

– Tak się składa, że dość lubię historię – kontynuował Martin, siląc się na wesoły ton. – Ostatecznie robiłem z tego magisterkę.

– Tak, tak. – Ben pochylił się do przodu, strącając łokciem widelec na podłogę. – Wszyscy wiemy, że studiowałeś historię i otrzymałeś najwyższą ocenę z dwóch przedmiotów, i jesteś megainteligentny.

Martin odchylił się w tył, jakby dostał policzek.

– No wiesz... – zaczął.

– Czy żony też są zaproszone? – zapytałam. – Czy może Cambridge nadal jest tak samo seksistowską instytucją jak zawsze?

Ben parsknął głośnym śmiechem.

– Och, Lucy, co my z tobą mamy? Niby taka potulna, a cholerna z ciebie zadziora.

– Ja akurat studiowałem w Oksfordzie – wtrącił bez sensu Matt. Nikt nie zwrócił na niego uwagi.

– I szalenie mi się to podoba – ciągnął Ben. – Jestem zachwycony, że mój najlepszy kumpel Martin znalazł sobie kogoś takiego, bo, uwierz mi, nie sądziliśmy, że on w ogóle...

W tym momencie Serena wstała i zaczęła zbierać talerze. Zabrzęczała porcelana.

– Deser – zapowiedziała wesoło. – Owoce ze śmietaną. Mam nadzieję, że przypadnie wam do gustu.

– Och, bosko – zaświergotała Milly. – Nie wiem, jak ty to robisz, kochana, że wszystko przychodzi ci tak zupełnie bez wysiłku!

Bo ma od tego ludzi, chciałam powiedzieć. Oto, jak to robi.

Zamiast tego zapytałam:

– Nie sądziliście, że co, Ben?

Spojrzał na mnie beznamiętnym wzrokiem.

– Słucham?

– Przed chwilą powiedziałaś, że się cieszysz, że Martin znalazł sobie mnie, bo nie wierzyłeś, że co...?

– Już nie pamiętam. – Machnął ręką. – Plotłem bzdury. Przepraszam, MC.

Ale było w tym jakieś drugie dno, jakiś chłód czy niepokój, których żaden z nich nie chciał przede mną zdradzić.

– Pieprzyć ten zjazd – powiedział Martin, desperacko pragnąc ponownie wkraść się w łaski. – I tak zjedzie się tam kupa palantów.

– Otóż to – potwierdził Ben, sięgając po pusty kieliszek Martina. – Nie ma sensu odgrzebywać dawnych wspomnień.

Martin przekrzywił głowę.

– Nie ma.

Zauważyłam, że na tej części stołu, gdzie znajdował się talerz Martina, jako na jedynej nie ma żadnej plamy ani okruszka. Mógłby wyjść w tej chwili z pokoju i nie zostałyby po nim żaden ślad.

Przypomniałam sobie tamtą kolację podczas porannej sesji z Keithem, ale o niej nie mówiłam. Tak się czasem dzieje: mam zamiar powiedzieć mu o jednym, a kończy się na opowiadaniu o czymś zupełnie innym. I często ta inna rzecz wydaje się błaha, powierzchowna i dopiero po jej przegadaniu uświadamiam sobie, że wcale taka nie jest i że każda cząsteczka mojego katastrofalnego małżeństwa łączy się z inną w skomplikowanym splocie niewidzialnych nitek.

– Wiesz, kupił sobie takie same buty – wypaliłam. Keith, którego specjalnością jest nieokazywanie zdziwienia w żadnej sytuacji, przesunął opuszką kciuka po górnej wardze.

– Kto?

– Martin.

Spojrzałam na gzyms kominka po mojej lewej stronie. Keith przywiązuje dużą wagę do nieujawniania żadnych osobistych szczegółów z życia, zaczęłam więc obsesyjnie lustrować jego otoczenie, badać wszelkie tropy z drobiazgową uważnością archeologa. Na półce stały miseczki o nieregularnych kształtach.

– Lucy.

Przeniosłam uwagę z ceramiki na gzymsie z powrotem na Keitha.

– Tak? Przepraszam.

– Mówiłaś o butach...

– Martin kupił sobie takie same buty, jakie ma Ben. Kilka miesięcy temu. Nie wiem, dlaczego mi się to przypomniało.

Keith milczał. Wypełniłam tę ciszę. Jak zwykle.

– Takie okropne, naprawdę ohydne adidas... – Skubnęłam skórę przy paznokciu. – Z fluorescencyjną różową podeszwą, zaprojektowane przez jakiegoś hip-hopowca. Ben kupił je zapewne dlatego, że były bardzo trudno dostępne i kosztowały majątek. Limitowana edycja, rozumiesz.

Keith, zupełnie niewzruszony, chyba nie rozumiał.

– Ben włożył je kiedyś na kolację w restauracji z gwiazdkami Michelina. Na pieprzoną kolację! Był ubrany w garnitur, pięknie odsyty, a na nogach miał te jaskraworóżowe adidas.

Były ohydne. Naprawdę ohydne. Nie mogłam przestać się na nie gapić.

Usiedliśmy, zamówiliśmy koktajle, kelner przyniósł na powitanie przystawkę w postaci maleńkich kosteczek surowego tuńczyka w panierce z prażonej kukurydzy, Ben zaczął rozprawiać o najnowszych przetasowaniach w gabinecie oraz o recenzji hotelu przeczytanej w „Financial Times”. A czy widzieliśmy już tę sztukę w Royal Court? Jest fantastyczna, naprawdę świetna.

– Będziemy musieli się wybrać – odparł Martin, mimo że nie cierpiał teatru i uważał, że większość współczesnych spektakli to chłam. Jedyne przedstawienie, jakie mu się w ogóle podobało, to adaptacja dramatu

Terence'a Rattigana w National. Poruszył go temat tłumionych emocji i pamiętam, że ku mojemu zdziwieniu na końcu płakał.

– Ale stary... – ciągnął Martin z uśmiechem. – Muszę zapytać. Te adidasy...

Ben podniósł wzrok znad karty win.

– Że co?

– Chłopie... te podeszwy!

Ben nie widział w nich nic zabawnego. Czasem taki bywał: potrafił miesiącami nabijać się z siebie i innych, a potem nagle, bez ostrzeżenia, zatrząskiwiał okiennice i tracił poczucie humoru.

– Tak? A o co chodzi?

Zdezorientowany Martin zaczął się czerwienić.

– No wiesz... znaczy... Zwykle takich nie nosisz... dość krzykliwe...

– Limitowana edycja – wyjaśnił Ben. – Musiałem sprowadzić je ze Stanów. Nosi takie Jay Z, nie widziałeś? Trąbiły o tym wszystkie gazety.

– Aha – rzekł Martin. – Przepraszam, nie chciałem...

Miętosił rąbek serwetki, pochyliwszy głowę jak skarcony uczeń. Nie mogłam znieść tego widoku. Jak Ben śmie traktować go tak z góry?

– Sprowadziłeś je ze Stanów? – powtórzyłam. – Żartujesz sobie?

Ben uśmiechnął się z wyższością.

– Ani trochę.

– Szkoda, że mi wcześniej nie powiedziałaś – ciągnęłam. – Przemalowałabym ci reeboki za połowę ceny różowym markerem.

Ben zatrząsnął kartę win. Wydawało się, że sytuacja może się rozwinąć w każdym kierunku.

– Masz rację, Luce, masz rację – rzekł po chwili, wkładając do ust kawałek tuńczyka i połykając go na raz. – Następnym razem będę miał to na uwadze.

Martin z wdzięcznością ścisnął mi kolano.

Pięć dni później wracam do domu i widzę na stojaku na buty w korytarzu adidasy z różową podeszwą. Przypuszczam, że i Martin sprowadził je ze Stanów.

– I co sobie pomyślałaś?

Roześmiałam się.

– Że moje zdanie głównie go obchodzi.

Ponownie spojrzałam na miseczki.

– Uderza mnie jedna rzecz – zaczął Keith. – Że widziałaś w sobie obrończynię Martina.

Mój wzrok błędził od miseczek nad kominkiem do wazonu tulipanów o nieznośnie fioletowych płatkach.

– Złudzenie mocy – powiedział. – Ale nic poza tym, prawda? Tylko złudzenie?

Cisza.

– Staralaś się go zadowolić. Ale czy pamiętałaś, by spytać siebie, na czym tobie zależy?

Pytanie zawisło w powietrzu. Przez kilka minut oboje milczeliśmy. Potem Keith pokiwał głową, spojrzał na zegar i oświadczył, że musimy kończyć.

– Pamiętaj o pisaniu. Notuj wszystko, co ci przyjdzie do głowy.

– Dobrze.

Wyszłam, zostawiając za sobą otwarte drzwi. Miałam pustkę w głowie. Przypuszczam, że w ten okrężny sposób próbowałam powiedzieć Keithowi, że w trakcie tamtych dwóch kolacji dostrzegłam wreszcie to, co dla innych było oczywiste od lat. Mój mąż nie był we mnie zakochany. Był zakochany w swoim najlepszym przyjacielu. Od zawsze.

Martin

Burtonbury, 1990

Jak zostaliśmy z Benem przyjaciółmi? Całym sercem chciałbym wam powiedzieć, że było to naturalne spotkanie bratnich dusz, organiczny rozkwit podobnie myślących istot. Ale prawda była taka, że postanowiłem go zdobyć, jakbym prowadził kampanię militarną. Precyzyjnie wyznaczyłem cele, traktując każde drobne zwycięstwo jak kolejny krok do ostatecznego triumfu na pełną skalę.

Kilka miesięcy przed przyjazdem do Burtonbury natknąłem się w antykwariacie na *Sztukę wojny* Sun Tzu. Okładka wygięta i spłowiła, róg zabazgrany długopisem, jakby jakieś dziecko rysowało burzę na górnej krawędzi tworzonego w gniewie obrazka. Była tam krótka dedykacja: „Colinowi, z nadzieją, że może znajdziesz na tych stronach coś pożytecznego. Z serdecznymi życzeniami, S.”. Datowana „Boże Narodzenie 1974”.

Nadal mam tę książkę, czerwony grzbiet wciśnięty na półce w gabinecie pomiędzy *Tezaurus Rogeta* a *Historię sztuki* Gombricha. Gdy teraz wertuję *Sztukę wojny*, wydaje mi się zabawne, że jakiś mężczyzna imieniem Colin świętujący Boże Narodzenie w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym roku być może potrzebował rady w kwestii wygrania jakiejś bezwzględnej, cichej batalii. Ciekawe, jakich doznał upokorzeń? Kto wie? To jedna z tych drobnych tajemnic, które przepadły wskutek kaprysów czasu. Czyjaś osobista historia, która rozplynęła się w powietrzu. Colin: sprowadzony teraz do wytworu cudzej wyobraźni.

Tak czy owak, *Sztuka wojny* służyła mi za przewodnik w torowaniu sobie drogi do sympatii Bena. Już po tamtym pierwszym dniu stało się jasne, że należy do najpopularniejszych chłopców w szkole, cieszy się wielką

estymą, jest obdarzony cichym autorytetem, któremu inni przez całe życie na próżno będą próbowali dorównać. Nauczyciele go uwielbiali. Koledzy raczej podziwiali jego inteligencję zamiast nim z jej powodu gardzić (była to dla mnie nowość: myśl, że bystrość umysłu może być oznaką honoru, a nie czymś, czego pospiesznie należy się wyprzeć). Obserwując w pierwszym tygodniu nauki, jak zjawiał się na porannym apelu w przekrzywionym krawacie i luźnej koszuli wydymającej się akurat tyle, ile trzeba, zdałem sobie sprawę, że moje podchody muszą być subtelne.

„Zwycięscy wojownicy najpierw wygrywają, a potem idą na wojnę – pisał Sun Tzu – zaś ci przegrani najpierw idą na wojnę, a potem dążą do zwycięstwa”.

Zaplanowałem wszystko w najdrobniejszych szczegółach.

Najpierw trzeba było się dowiedzieć, co go interesuje. Wymagało to zbliżenia się do niego na tyle, by móc podsłuchiwać jego rozmowy, a to okazało się trudniejsze, niż mogłoby się wydawać. Choć Ben mieszkał w tym samym budynku co ja (nazwanym Sullivanem na cześć jakiegoś dawno zapomnianego filantropa, którą to nazwę zgodnie ze zwyczajem wszystkich szkół prywatnych skrócono do „Sullies”), obracał się w zupełnie innym towarzystwie. A mówiąc ściślej, on obracał się w towarzystwie, a ja nie. Od incydentu z misiem Howardem pierwszego dnia przypięto mi łątkę nieodpowiedniej osoby posiadającej nieodpowiednie rzeczy.

Na przykład buty. Jedynym akceptowalnym obuwiem były jasnobrązowe kickersy ze skórzanymi sznurowadłami. Nie można było wiązać sznurówek w sposób konwencjonalny, trzeba było ciasno okręcić je wokół ołówka, póki nie zwinęły się w zwartą sprężynkę sterczącą niczym czułki kosmity.

I krawaty. Szkolny krawat musiał być albo bardzo za długi, albo bardzo za krótki, zawiązany w gruby węzeł kilka cali poniżej kołnierzyka i wciśnięty między guziki koszuli, tak że cały dzień nieprzyjemnie drapał skórę na klatce piersiowej.

Ważny był też język. Słowa albo wymyślano, albo błędnie je wymawiano, albo po prostu znaczyły co innego w zależności od tego, kto

ich używał. Na przykład określenie „w formie” mogło oznaczać ogólną atrakcyjność jakiejś dziewczyny, ale wypowiedziane z trochę inną modulacją głosu znaczyło coś przeciwnego.

Nie trzeba dodawać, że podczas pierwszych tygodni w Burtonbury byłem wyposażony całkowicie niestosownie. Nosilem regulaminowe półbuty, a pomysł zakładania krawata jakby był dziecięcym śliniaczkiem uważałem za ciut idiotyczny. To wszystko odróżniało mnie od reszty. Niespecjalnie mnie to ruszało. Później przekonałem się w życiu, że rola zewnętrznego obserwatora dosyć się przydaje. Pozwala swobodnie słuchać, analizować i zrozumieć. A gdy raz zrozumie się dynamikę grupy, można ją kontrolować, choć nikt niczego nie podejrzewa.

Gdziekolwiek pojawiał się Ben, otaczali go koledzy. Był łagodny w obyciu, pokojowy. Z nonszalancją podchodził do swojego atrakcyjnego wyglądu; nigdy nie używał żelu do włosów, nie zerkał z ukosa na swoje odbicie w rozmaitych lustrzanych powierzchniach, co z upodobaniem czynią nastoletni chłopcy. Zauważałem, że w grupie osób inicjuje rozmowy, a potem się wycofuje, wtrącając się tylko wtedy, gdy chce coś zaakcentować albo opowiedzieć celny dowcip. W klasowych debatach stosował tę samą taktykę z doskonałym rezultatem: na początku pewnie przedstawiał swój punkt widzenia, a gdy inni dorzucali swoje nie całkiem przemyślane opinie, on milczał, by na końcu zdecydowanie włączyć się do dyskusji i wnikliwie podsumować kluczowe kwestie.

Po raz pierwszy rozmawiałem z nim bezpośrednio po lekcji angielskiego, na której poproszono go o wyrażenie opinii na temat „innego” w *Burzy*.

– Co sądzisz, Ben? – zapytał pan Reynolds. Wiecznie lśnił mu czubek nosa wskutek rozpoczynającego się albo kończącego kataru.

Ben się wyprostował, rękaw koszuli podjechał w górę, odsłaniając grubą, skręconą żyłę. Odchylił się w tył razem z krzesłem, przygryzł końcówkę długopisu.

– Myślę, że Kaliban ma być symbolem niewolnictwa.

Interpretacja była oczywista, przyswojona bez trudu z opracowania *CliffsNotes*, które przed lekcją kartkował na korytarzu. Ale nie świadczyła

o braku inteligencji. Pod wieloma względami stanowiła kwintesencję Bena: zaspokoił oczekiwania, lecz z niczym się nie wychylił. Przez lata dobrze poznałem te „benizmy”.

– Tak – rzekł pan Reynolds. – Dobrze. Ktoś jeszcze?

– On jest takim trochę przygłupem – oznajmił Conor Mayhew, który zawsze niezawodnie wyskakiwał z najbardziej kretyńskim komentarzem. – Nie kuma, o co chodzi innym.

Ben uniósł brwi. Przyglądałem się, jak toczy wewnętrzną walkę między niechęcią do wyrażania kontrowersyjnych opinii na wypadek, gdyby groziło to utratą sympatii, a niezgodą na uwagę Conora. Po kilku sekundach wygrał ten drugi impuls.

– Przepraszam, jeśli wolno. Ja tak nie uważam. Kaliban nie jest głupi. Inne postaci być może myślą o nim w ten sposób, ale mówi to więcej o nich samych niż o nim. – Przerwał, po czym dodał ze smutkiem: – Prawda?

Poczułem ciepło rozlewające się po gardle. Bo patrząc z mojego miejsca dwa rzędy za Benem na jego kark, na delikatny klin zbiegających się pośrodku włosów, odniosłem silne wrażenie, że mówi o mnie.

Podniosłem rękę.

– Proszę – rzekł pan Reynolds – yyy... eee...

– Martin. Martin Gilmour.

– Oczywiście, Martinie. Kontynuuj.

Wtedy po raz pierwszy zgłosiłem się w Burtonbury do odpowiedzi. Jakbym miał watę w gardle.

– Chciałem tylko... chciałem powiedzieć, że też tak uważam. Moim zdaniem Kaliban jest trochę jak błazen z innych sztuk Szekspira. Dostrzega prawdę tam, gdzie nikt inny jej nie widzi.

Pan Reynolds w zadumie pokiwał głową.

– Które sztuki masz na myśli?

Kawał drania, pomyślałem.

– *Króla Leara* – odparłem, ponieważ, o czym pan Reynolds nie mógł wiedzieć, matka podarowała mi kiedyś zestaw książeczek obrazkowych: każda ze sztuk Szekspira była tam zredukowana do komiksu, postaci rysunkowe porozumiewały się dymkami, to zaś dało mi pełniejszą znajomość kanonu wielkiego dramaturga niż milion nudnych szkolnych lekcji.

– Mmm... dobrze – skwitował pan Reynolds, po czym odwrócił się do tablicy i zapisał na niej coś nieistotnego, czego żaden z nas i tak nie zamierzał przepisać do zeszytu.

Po dzwonku wszyscy wyszliśmy gęsiego z klasy i pognaliśmy do bufetu. Była przerwa, w dodatku czwartkowa, co oznaczało, że dostawaliśmy paczki chipsów i trzeba było się pospieszyć, żeby zgarnąć te z solą i octem winnym, bo one zawsze kończyły się pierwsze. Pędziłem korytarzem, a potem poczułem, jak ktoś puka mnie w ramię. Odwróciłem się i zaskoczony ujrzałem za sobą Bena.

– Dzięki – powiedział. Miał szczerą minę, ale się nie uśmiechał. Pęknięte naczynko w lewym oku podkreślało nieskazitelną doskonałość reszty twarzy.

Kiwnąłem głową, bo na chwilę mnie zamurowało.

– Nie ma sprawy – wykrztusiłem wreszcie.

Nie wiedziałem, co jeszcze dodać, więc Ben po kilku sekundach uśmiechnął się powściągliwie, wzruszył ramionami i poszedł dalej. Ale przynajmniej, rozmyślałem, pałaszując chipsy serowo-cebulowe (przez naszą rozmowę, choć krótką, spóźniłem się na swoje ulubione), lody zostały przełamane. Przynajmniej Ben nie kojarzy mnie już tylko jako chłopca z misiem. Zauważył mnie. Mało tego: zauważył, że go poparłem.

Po raz trzeci zamieniliśmy ze sobą słowo na boisku do rugby.

Nigdy wcześniej nie grałem w rugby, wolałem sport niekontaktowy, co zapewniała mi podstawówkowa piłka nożna, ale w Burtonbury nie miało się w tej kwestii wyboru. Z ciężkim sercem skazańca włożyłem strój sportowy: zieloną koszulkę i brązowe szorty. Nie musiałem nawet próbować, by wiedzieć, że będę beznadziejny w rugby. Nie lubiłem sportów

drużynowych, bo trzeba było polegać w nich na innych, no i nienawidziłem kontaktu fizycznego. Bycie zmuszanym do jednego i drugiego przez godzinę stanowiło dla mnie wyrafinowaną torturę.

Wyszliśmy gęsiego na boisko, prowadzeni przez naszego wuefistę, pana Wilsona, który nosił błyszczący dres i krzykliwy złoty zegarek na przegubie. Asystował mu Scott, australijski student pracujący w szkole w oczekiwaniu na rozpoczęcie roku akademickiego. Scott był adoniszem o absurdalnie harmonijnej budowie ciała: wyrzeźbione rysy twarzy, złocista opalenizna, mięśnie łydek wybrzuszające się jak połknięte przez pytona szczury. Wszyscy durzyli się w Scotcie, choć nikt się do tego nie przyznawał.

Kilka miesięcy później Scotta przyłapano *in flagranti* z panną Edison, rozwiążą nauczycielką plastyki, i poproszono go o opuszczenie szkoły. Panna Edison wróciła w kolejnym semestrze, ale nie była już tak przyjazna jak wcześniej. Luźne, zsuwające się z ramion bluzki zastąpiła zwykłymi bawełnianymi podkoszulkami. Wydawała się smutniejsza. Całymi tygodniami kazała nam szkicować martwe natury: cztery jabłka i miskę. A pewnego dnia wyszła z klasy i już nie wróciła.

Jej odejście ogłoszono lakonicznie na szkolnym zebraniu w kolejnym tygodniu. Roilo się od plotek, że panna Edison poleciała do Scotta do Australii i że zamierzają się pobrać pomimo różnicy wieku i doczekać gromadki uroczych dzieci o podwójnym obywatelstwie. Myślę, że pocieszaliśmy się tą wersją wydarzeń. Lubiliśmy pannę Edison.

Wiele lat później wpadliśmy z Benem na Scotta w barze Duke's Hotel. Piliśmy martini (Ben lubił tak zwane brudne martini, podawane z dzbankiem zalewy z oliwek). Natychmiast rozpoznaliśmy Scotta. Musiał dobiegać trzydziestki, ale wyglądał dokładnie tak samo jak wtedy, gdy miał osiemnaście lat.

– Scott – powiedział Ben. Australijczyk podniósł wzrok. – Pewnie nas nie pamiętasz, ale...

Ben nas przedstawił. Obojętna dotąd twarz Scotta rozciągnęła się w szerokim uśmiechu. Wdał się z Benem w pogawędkę.

– Co się stało z panną Edison? – zapytałem.

Spojrzał na mnie.

– Z kim?

I wszystko jasne.

W każdym razie w dniu pierwszej w życiu lekcji rugby rejestrowałem obecność Scotta gdzieś na obrzeżach mojej świadomości. Nauczyciel podzielił nas na drużyny, a potem kazał zrobić rozgrzewkę polegającą na bezcelowym bieganiu w kółko i wykonaniu dwudziestu przysiadów, po których znowu biegaliśmy w kółko, a na koniec robiliśmy ćwiczenia rozciągające nogi.

Nikt nie zapytał, czy już kiedyś grałem. Pewnie z góry założono, że tak. Powszechnie panujące w Burtonbury przeświadczenie, że wszyscy są tacy sami jak oni, nigdy nie przestało mnie zdumiewać. Ale obecnie podejrzewam, że takie myślenie ma swoje zalety. Nie trzeba zadawać wielu pytań. Wystarczy coś założyć i ma się pewność. Założenie jest matką wszelkiej pewności.

Znalazłem się na boisku, nie znając reguł gry. Myślałem, że najbezpieczniej będzie trzymać się na obrzeżach akcji, dając jasno do zrozumienia, że nie należy powierzać mi piłki. Ta strategia działała przez pierwsze dwadzieścia minut, potem jednak bez żadnego ostrzeżenia zrobił się młyn, jakiś chłopak, którego nigdy dotąd nie widziałem, pędził w moją stronę, sapiąc przy tym jak lokomotywa, gonił go inny chłopak w ochraniaczu na zęby, który zamieniał jego usta w szramę fluorescencyjnej żółci, i nagle piłka poleciała prosto do mnie. Odruchowo wyciągnąłem ręce i ją złapałem.

Czas jakby jednocześnie zwolnił i przyspieszył. Byłem świadom ciężaru piłki w dłoniach, przyjemnie namacalnego uczucia, że zrobiłem coś właściwego, lecz w tej samej chwili natarła na mnie czwórka chłopaków, pędząc, ile sił w nogach. Odezwał się instynkt samozachowawczy, wiedziałem, że muszę natychmiast pozbyć się tej piłki, cisnąłem ją więc bez zastanowienia, nie patrząc, czy w pobliżu znajduje się ktoś, kto ją złapie. Wyrzucając ją wysoko w powietrze, odczułem przypływ ulgi. Koledzy

z drużyny głośno jęknęli, ale mnie to nie obchodziło. Grunt, że uwolniłem się od balastu.

Niemal w tej samej chwili jakiś chłopak wpadł na mnie z impetem. Przewróciłem się na ziemię. Napierał przedramieniem na moją szyję, bolała mnie kostka, którą kopnął, taranując mój bok. Czułem wilgoć trawy pod głową. Zmrużywszy oczy, dostrzegłem jedynie czarną sylwetkę napastnika na tle nieba.

Zamrugąłem powiekami. Usiadłem. Chłopak ironicznie się uśmiechał.

– Trzeba uważać, ciulu – wycedził.

Miał twarz usianą piegami. Zagiętą krawędź małżowiny ucha.

Szerokie czoło połyskiwało od potu.

– Jarvis, ja pierdołę, co ty, kurwa?

Znajomy głos. Zza masywnej głowy Jarvisa wyłonił się Ben.

– Co ty, kurwa, robisz?

Jarvis wzruszył ramionami.

– Nieważne – mruknął, gramoląc się z ziemi. Odbiegł w kierunku akcji na boisku. Na koszulce miał zielone plamy od trawy.

Ben spojrzał na mnie.

– W porządku?

Kiwnąłem głową.

– No to wstawaj. – Schylił się i podał mi rękę. Chwyciłem ją, spleliśmy kciuki, podciągnął mnie do pionu. Straciłem równowagę, zatoczyłem się i na niego upadłem. Czułem żar bijący z jego ciała. Odepchnął mnie.

– Okej? – zapytał.

– Tak. Dzięki.

Odbiegł. Cztery dni później przypomniałem sobie miękkość skóry w zagłębieniu między palcem wskazującym a kciukiem, jej dotyk, gdy mnie podnosił i pomagał stanąć na nogi. Musi mnie lubić, pomyślałem, skoro to zrobił.

Nadszedł czas obrócić te trzy krótkie spotkania na własną korzyść, nawiązać bliższy kontakt.

Następny krok był oczywisty: dowiedzieć się, jaką lubi muzykę. Często widywano Bena z discmanem wystającym z kieszeni blezera, ze słuchawkami na uszach albo zawieszonymi swobodnie na szyi, z których dobiegały metaliczne dźwięki basu. Kilkakrotnie próbowałem podejść ukradkiem i rozpoznać, czego słucha, albo odczytać przez plastikowe okienko wirujące litery na płycie kompaktowej. Raz w kolejce po lunch prawie mi się udało. Stałem za nim w odległości ledwie kilku cali, przyciskałem tacę do piersi i czułem jego zapach: mydła i skóry z jakąś dębową nutą. Gdy pochyliłem się ku jego szyi, wytężając wszystkie synapsy słuchowe, by usłyszeć tekst piosenki, odwrócił się, wzdrygnął i cofnął o krok. Dziwnie na mnie spojrzał. A potem, obdarzając mnie jednym z tych swoich pozbawionych wyrazu uśmiechów, powrócił na swoje miejsce w kolejce, przygotowując tacę na przyjęcie gumowatych plastrów pieczonego indyka i papki z tłuczonych ziemniaków.

Gdy dotarło do mnie, że ta taktyka nie zadziała, wziąłem się na sprytniejszy sposób. Ben mieszkał w tym samym korytarzu w Sullies, dzieląc pokój z dwoma chłopakami, Mungo i Johnno. (Gdy po latach napomknąłem o tym Lucy, pokładała się ze śmiechu. „Chodziłeś do szkoły z kolesiami imieniem Mungo albo Johnno? Boki zrywać”). Dostrzegła coś w moim wyrazie twarzy. „To znaczy, dodała pospiesznie, lubię Bena, ale musisz przyznać, że to dość zabawne”).

Ponieważ mieszkali kilka drzwi dalej i ponieważ zasadniczo nie miałem przyjaciół, mogłem poświęcić sporo czasu na śledzenie ich planu dnia. Po incydencie podczas lunchu przez tydzień pilnowałem, by obudzić się wcześniej niż moi współlokatorzy, wymknąć się z pokoju przy dźwiękach ich pochrapywań i zamknąć za drzwiami zaduch przesiąknięty zapachem potu i skarpetek.

Pomiędzy pokojami moim i Bena znajdowała się wspólna łazienka. Zamykałem się w ubikacji, siadałem oparty o deskę sedesową i czekałem na głos Bena. Mój plan zakładał wyjście z kabiny w odpowiednim

momencie, ustawienie się przy umywalce obok i skorzystanie z okazji, by zagaić rozmowę w trakcie wspólnego mycia zębów.

Jak się okazało, plan nie wypadł tak, jak zakładałem. Ben wszedł, ale ciągnął za sobą ogon w postaci dwóch współlokatorów. Całą trójką ustawili się przy wszystkich dostępnych umywalkach, nie zostawiając miejsca dla nikogo innego. Wyszedłem z ubikacji lekko speszony, w piżamie w niebiesko-białe paski. Ben miał na sobie bokserki i podkoszulek z logo Hard Rock Cafe podarty przy szyi. Jego kumple byli ubrani podobnie. Zamiast kapci jeden z nich nosił espadryle z przydeptaną piętą.

– Masz pastę? – spytał Bena Mungo. – Skończyła mi się. Mogę pożyczyć?

Zaspany Ben, z włosami przyklejonymi do czaszki w miejscu, gdzie głowa przylegała do poduszki, podał mu tubkę colgate.

– Nie pożyczaj. Weź ją sobie. Nie chcę jej z powrotem po tym, jak trafi do twojego pyska.

Johnno parsknął.

– Kutas – burknął.

Mungo łypnął okiem, kiedy ich mijalem, ledwo rejestrując moją obecność. Byłem zirytowany. Teraz nie miałem jak zbliżyć się do Bena. W korytarzu usłyszałem wybuch śmiechu i cóż innego mogłem pomyśleć, jak nie to, że to ja byłem jego powodem.

Wtedy wpadł mi do głowy inny pomysł. Zakradłem się pod pokój Bena. Ponieważ wszyscy trzej byli w łazience, okazja wydawała się wymarzona.

Pchnąłem drzwi, wśliznąłem się do środka. Stały tam cztery łóżka, tak samo jak w moim pokoju, ale ustawione inaczej – wszystkie pod jedną ścianą, tak blisko siebie, że wystarczyło wyciągnąć rękę, by dotknąć sąsiedniego materaca. Zorientowałem się, że łóżko Bena jest po prawej, ponieważ na komodzie obok stała rodzinna fotografia przedstawiająca dziewczynkę bardzo podobną do Bena, obejmującą ramieniem dużo młodszego chłopca. Zdjęcie było prześwietlone i niewyraźne. Dziewczynka miała długie brązowe włosy i szczyrby z przodu.

Podszedłem do komody, wysunąłem górną szufladę. Bokserki. Podkoszulki. Paczka marlboro ukryta pod skarpetkami. Następna szuflada zawierała bezładną stertę papierzysek: listy w otwartych kopertach z ostemplowanymi znaczkami, pocztówka z biegnącym ukośnie żółtym napisem Malibu. Szybko ją odwróciłem. Niebieski długopis, dziewczęce pismo z kółeczkami zamiast kropek nad „i”, podpisane „J” i okraszone deszczem buziaków. Wepchnąłem pocztówkę do szuflady, czując, jak wyginają się jej rogi.

Serce biło mocno. Byłem świadom tykania zegara, cichnącego gwaru w łazience, kroków na wykładzinie. Pośpiesznie szarpnąłem kolejną szufladę. Cztery pary dżinsów (zdażyłem zarejestrować tę obfitość: cztery pary!), a w głębi to, czego szukałem: kilka płyt kompaktowych w popękanych plastikowych okładkach. Wyjąłem jedną z nich, krawędzie pudełka ślizgały się w mojej spoconej dłoni. Odczytałem nazwę kapeli: Run-D.M.C. Rzuciłem okiem na drugą, wystarczyło, by odczytać litery R.E.M. Tym muszę się zadowolić. Pchnąłem udem szufladę. A potem bez zastanowienia ponownie otworzyłem poprzednią i wyjąłem pierwszy z brzegu list. Wsunąłem go za pasek spodni od pizamy, ciasno zawiązałem sznureczki i wypadłem z pokoju, trzaskając drzwiami i mając nadzieję, że nikt nic nie słyszał.

Skręciłem za róg w chwili, gdy jeden ze współlokatorów Bena wracał już z łazienki z dyndającą w ręku kosmetyczką, rozsiewając woń mięty pieprzowej. Koperta zaszeleściła cicho na brzuchu. Za jej sprawą przeszył mnie dreszcz mocy.

Dziś wydaje mi się dziwne, że zwlekałem kilka dni z przeczytaniem tego listu. Moje myśli zbyt mocno zaprzętała realizacja planu. Nie był to nawet plan z prawdziwego zdarzenia. Ale przynajmniej miałem jakieś zajęcie. Szkoła była banalna. Wbrew mojemu przekonaniu, że Burtonbury to miejsce intelektualnej stymulacji i samorealizacji, okazało się, że zupełnie się nie wysilając, jestem jednym z najbystrzejszych chłopaków z mojego rocznika. A ponieważ dość szybko potrafiłem się uporać z zadaniami domowymi, miałem mnóstwo czasu na przekonywanie do siebie Bena. Po

przeprowadzeniu śledztwa w jego pokoju odłożyłem cenną część wyjątkowo skromnego kieszonkowego, które matka raz w miesiącu wpłacała do lokalnego banku, z zamiarem kupienia płyt CD.

W sobotnie poranki pozwalano nam chodzić do pobliskiego miasteczka Burton w grupach czteroosobowych albo większych pod warunkiem, że wpiszemy wyjścia i powroty do książki wyłożonej w holu internatu. Pamiętam tamtą książkę bardzo wyraźnie: zielony segregator z wpiętymi kartkami i ręcznie wyrysowanymi rubrykami, z miejscami na inicjały i godziny. Do segregatora był przyczepiony na niebieskim sznurku długopis z końcówką oblepioną hojną ilością taśmy klejącej – zapewne komuś bardzo zależało, by nikt go nie ukradł (prawdopodobnie dyrektorce). A i tak wiecznie ginął. Raz po raz.

W mojej opinii ten jeden szczegół podsumowywał z grubsza czysto złośliwą roszczeniowość chłopców ze szkół prywatnych. Buchnięcie długopisu było bezcelowe. W Burtonbury nie brakowało przecież tanich przyborów piśmiennych. Bardziej chodziło o to, że kradzież czegoś, czego odmawiały nam szkolne władze, oraz świadomość niedogodności, jakich przysporzy zniknięcie tego przedmiotu, sprawiały, że rzecz stawała się warta zachodu. A u podstaw tego wszystkiego leżało fundamentalne przekonanie – nie, wszczepiona wiedza – że zawsze znajdzie się pod ręką ktoś, kto rozwiąże problem. Ktoś, kto ma za zadanie im służyć.

Odbiegam od tematu. Przepraszam.

W Woolworth poszedłem prosto do działu płytowego. Znalazłem dwa albumy Run-D.M.C., każdy z czarno-białą naklejką zalecającą nadzór rodzicielski. Wziąłem je do ręki i próbowałem wcielić się w kogoś, kto wybrałby takie płyty, pewnego swoich upodobań, precyzyjnie znającego rodzaj muzyki, której chce słuchać, paląc papierosy i wydmuchując kółeczka dymu z półprzymkniętymi powiekami jak Steve McQueen w filmie *Bullitt*. Przeczesałem półki w poszukiwaniu nagrań R.E.M. Był tylko jeden ich album. Od razu go chwyciłem.

Po powrocie do internatu musiałem błagać mojego współlokatora Doma o pożyczenie mi discmana w zamian za obietnicę codziennego czyszczenia

mu butów aż do końca semestru.

Usiadłem na łóżku, włożyłem Run-D.M.C. do discmana, nasunąłem słuchawki na uszy i skrzyżowałem nogi, żeby było mi wygodniej. Wyobrażałem sobie, że spędzę kilka miłych godzin na przyswajaniu nowych doznań słuchowych, na przyjemnej muzycznej edukacji złożonej z akordów i melodii służących zbliżeniu mnie do Bena, zrozumieniu najskrytszych tajników funkcjonowania jego umysłu. Zamiast tego dostałem łomot i kakofonię – ogłuszające rytmy i śpiew, który wcale nie był śpiewem, raczej rytmicznym wrzaskiem. Z odrazą zdjąłem słuchawki i cisnąłem je na łóżko. Ben naprawdę słucha takich rzeczy?

Wyjąłem płytę i zastąpiłem ją R.E.M. Westchnąłem, powiedziałem sobie, że nie należy się uprzedzać, i wcisnąłem „play”. R.E.M. przynajmniej zdawali się wierzyć w tradycyjne podejście do rytmu i układu zwrotka/refren. Niektóre z ich piosenek były znośne, choć zestawione ze sobą dość sztucznie. Matka miała słabość do Franka Sinatry i operetki. Mówcie, co chcecie o Brat Pack, ale oni przynajmniej umieli śpiewać, nie fałszując.

Zerknąłem na zegarek: czwarta po południu. Podwieczorek. Starannie włożyłem płyty do pudełek i zostawiłem je na stoliku nocnym na widocznym miejscu. Były najbardziej superowymi rzeczami, jakie posiadałem.

Na dole w jadalni chłopcy cisnęli się wokół dwóch ogromnych srebrnych tosterów, w każdym z nich mieściło się naraz dwanaście kromek chleba. Wziąłem dwa kawałki pieczywa tostowego i zacząłem delikatnie przepychać się do opiekacza.

– Ej, uważaj, kutafonie.

Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z chłopakiem z boiska do rugby. Z Jarvisem.

– Próbuję tylko dostać się do tosterów – odpowiedziałem najprzytomniej, jak umiałem.

– Próbuję tylko dostać się do tosterów. – Jarvis przedrzeźniał mnie wątlą melodyjnym głosem, wysokim i nosowym, prześmiewczym gestem

elegancko unosząc palce, jakby grał na niewidzialnym pianinie. – Wszyscy czekamy na pieprzony toster, no nie?

Nie wiedziałem, co tak bardzo wzburzyło mnie w tej reakcji. Od przybycia do Burtonbury udawało mi się trzymać nerwy na wodzy, ponieważ bałem się, że znowu wszystko schrzanię, a poza tym byłem, prawdę mówiąc, nieco onieśmielony czy wręcz zastraszone. Ale Jarvis był takim tępym, chamskim złamasem, że zwyczajnie nie mogłem po raz drugi puścić mu tego płazem.

– Odpierdol się – powiedziałem na tyle głośno, by usłyszała mnie grupka kilkunastu chłopców tłoczących się wokół nas.

– Coś ty powiedział, pieprzony zboku?

– Powiedziałem: odpierdol się.

Gapilem się na niego, wwiercałem się wzrokiem w tę głupią gębę i czułem, jak prostują mi się ramiona, a barki odciągają w tył jak u byka szykującego się do szarży. Podniosło mi się ciśnienie.

Jarvis na mnie natarł, jedną ręką chwycił mnie za szyję, drugą gwałtownie odwiódł za siebie. Pociągnął nosem tak nonszalancko, jakby już wietrzył zwycięstwo.

Nie byłem przeciwnikiem, który mógłby wzbudzać strach. Drobnej budowy, niższy niż przeciętnie, blade i zniewieściały; do tej pory nikt nie zwracał na mnie większej uwagi. Ale Jarvis mnie nie doceniał, podobnie jak cała reszta.

Uchyliłem się przed pierwszym ciosem. Stołówkę wypełniały gwizdy i pokrzykiwania dopingujących chłopców. Twarz Jarvisa pocila się z wysiłku. Trzaskały drzwi, skrzypiały krzesła, bójka przyciągała coraz większą widownię. Wokół nas utworzył się krąg. Okrzyki zagrzewały do walki. Na moje plecy spadały cięgi i razy. Jarvis znów atakował. Nie poddawałem się, stałem na szeroko rozstawionych nogach, z zaciśniętymi pięściami, a gdy mnie atakował, zadałem mu cios prosto w szczękę. Ból w kostkach przeszył mnie jak prąd. Oszołomiony Jarvis zatoczył się w tył. Nie zważając na ból, rzuciłem się na niego, huknąłem go pięścią w oko, pod knykciami trzasnęła kość.

– O kurwa – powiedział Jarvis, cofając się, kucając, zwieszając głowę i przykładając do podbitego oka mięsistą dłoń. – Co ty, kurwa, robisz, cholerny świrze? – Ale głos mu się łamał, niemal płakał, słowa straciły moc. Gapie wpadli w entuzjazm z powodu niespodziewanego triumfu słabeusza. Ich ryk łomotał mi w uszach. Wzrok odzyskał ostrość. Zobaczyłem zbieraninę uśmiechniętych twarzy. Niektórzy bili nawet brawo. Tu i tam podłapywałem strzępy rozmów. „Pięknie, stary”. „Pokazał mu”.

Przy lewej stopie Jarvisa wylądowała kromka chleba rzucona czyjąś niewidzialną ręką z głębi stołówki. Jarvis, najwyraźniej dobity tym ostatecznym upokorzeniem, pokuśtykał za drzwi. A ja z pewnością siebie, o którą nigdy bym się nie podejrzewał, podszedłem do srebrnego dualita, wziąłem dwie kromki białego chleba i najspokojniej w świecie włożyłem je do tosterka.

– Zasłużyłeś sobie.

Był to Ben. Patrzył na mnie z rozbawieniem, górna warga drżała w hamowanym uśmiechu.

– Tak – odparłem. – Chyba tak.

Grzanki wyskoczyły, okruszki rozprysnęły się w powietrzu. Ben stał obok mnie, gdy rozsmarowywałem na pieczywie chrupiące masło orzechowe, a potem nałożyłem na nie łyżeczkę dżemu malinowego. Usiedliśmy. On z filiżanką herbaty i talerzem z dwoma kawałkami piernika oraz ciastkiem owsianym. Zauważyłem, że pijąc, drugą ręką podnosi spodeczek. Gest ten wydał mi się elegancki i staroświecki.

Wskazał zaczerwienienie na grzbiecie mojej dłoni.

– Powinieneś przyłożyć na to lód.

– Tak.

– Jak się tu aklimatyzujesz? – zapytał.

Wzruszyłem ramionami.

– W porządku, dzięki. – Pauza. – Lepsze to niż moja dawna szkoła.

– Serio? – Ben miętosił w palcach płatek ucha. – Dlaczego?

– Oj, no wiesz... po prostu. W starej budzie roilo się od debili.

Ben się roześmiał. Ośmielony tą reakcją, ciągnąłem:

– Nie ich wina. Bardzo się ode mnie różnili, rozumiesz. Zero rozeznania w muzyce, nic.

– A ty się interesujesz muzyką?

– Trochę.

– Jaką?

– No... normalną. Uwielbiam starych klasyków. Beatlesów. Stonesów.

Ben odgryzł kęs piernika, nie okazując zaciekawienia.

– I R.E.M. – Przesadziłem, wymieniając tę kapelę? Nabierze podejrzeń? Brnąłem dalej. Taka okazja może się więcej nie trafić. – Run-D.M.C., tego rodzaju rzeczy.

Spojrzał na mnie z podziwem.

– Serio? Ja też. Po prostu kocham *Walk This Way*.

Nie miałem bladego pojęcia, o czym mówi.

– No, totalnie. – Przeskanowałem w głowie zapamiętaną okładkę płyty R.E.M., by rzucić odpowiednim tytułem nagrania. – I... *Begin the Begin*. Klasyk.

Ben pochylił się do przodu.

– Cholera, tak! Uwielbiam ten numer.

Zapadło milczenie. Takie przyjacielskie. W dwóch kęsach pochłonął resztę ciasta.

– Umieram z głodu – wyjaśnił, przyłapawszy mnie, jak się gapię. – To przez rugby – dodał z pełnymi ustami. Obserwowałem, jak ciasto znika w przełyku, jak podskakuje i opada jabłko Adama, jak na talerzu zostaje delikatny półksiężyc piernikowych okruszków.

Wytarł dłonie papierową serwetką, następnie przyłożył ją do ust. Każdy gest wykonywał z absolutnym przeświadczeniem o jego stosowności. Ja natomiast kwestionowałem wszystko: to, jak jem, jak rozsmarowuję masło orzechowe na grzance, jak mówię, a także, czy kiedy nocami słyszę szuranie dobiegające spod kołder innych chłopców, po którym następują

stłumione jęki i jakby szloch, tamci myślą o tym samym, co ja. O kręconych włosach. Muskularnym torsie. Rzadkim zaróżwieciem sypiącym się na młodzieńczej zuchwie.

– Idziesz dziś wieczorem?

Dopiero po chwili zorientowałem się, że Ben mówi do mnie i że to, co mówi, wymaga bezpośredniej odpowiedzi.

– Yyy...

– Wieczorem. No wiesz. Pląs z BGC.

BGC – nie mylić z BCG, czyli szczepionką przeciw gruźlicy, którą podano mi tydzień wcześniej w sanatorium – to Burtonbury Girls College, lokalna szkoła dla dziewcząt. Raz na semestr obie szkoły organizowały wspólną dyskotekę, znaną wszystkim bez wyjątku pod ostentacyjnie infantylną nazwą „pląs”. Szczęśliwie udało mi się uniknąć całej hecy, bo nie kupiłem biletu i zamierzałem spędzić w świętym spokoju wieczór z książką. Powinienem też napisać zaległy list do matki, która w reakcji na moje milczenie uderzała w coraz bardziej płaczliwy ton.

– Tak się składa, że nie mam biletu – powiedziałem, natychmiast zirytowany doborem wyrażenia. „Tak się składa” brzmiało w moim mniemaniu sztucznie i zarozumiale.

– No coś ty! – Zdawał się autentycznie niepocieszony z tego powodu. – Ej, słuchaj, znam kogoś, kto ma jeden na zbyciu. A szczerze mówiąc, stary, łatwo się tam wkreślić.

Otworzyłem usta, przygotowując wymówkę, dlaczego nie mogę tam iść.

– Najpierw wpadnij do mnie, dobra? Mam nowy album, oniemiejesz z wrażenia. Daję słowo. Jest, kurwa, genialny. Mam też – zniżył głos – flaszkę wódki. Żeby, no wiesz, wprawić się w nastrój.

Odsunął krzesło, nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Wziął talerz, wcisnął do filizanki zwiniętą w kulkę serwetkę i starannie przykrył ją spodeczkiem.

– No to gra – powiedział i mijając mnie, ścisnął mi ramię. – Nara. Widzimy się koło siódmej.

Nie powiedział mi, w którym mieszka pokoju. Oczywiście doskonale to wiedziałem. Ale, pomyślałem, sprzątając swój talerz, przecież Ben o tym nie wie. Znowu ta pewność siebie – atrybut popularności. Ben wiedział, że się dowiem. Po prostu wiedział. I miał całkowitą rację.

4

Komisariat policji w Tipworth, 15.15

Dopiłem herbatę. Ktoś zostawił w kubku torebkę, więc ostatnie krople były gorzkie od zbyt długiego parzenia i prawie zimne. Byłem ciekaw, czy zaproponują mi jeszcze jeden kubek, i postanowiłem, że jeśli tak, poproszę o wyjęcie torebki. Albo przynajmniej o mieszadełko, bym sam mógł ją wyłować. Tylko gdzie ją odłożę? Nie podali spodeczka, a styropianowy kubek nie ma przykrywki. Musiałbym odłożyć ją na stół, odcisniętą i wilgotną, pozostawiającą na laminacie plamę, a nie uważałem tego w tej sytuacji za stosowne.

Zaczyna prześladować mnie myśl o drugim kubku herbaty. Martwię się, że jeśli ktoś inny wyjmie torebkę, nie zdąży zaparzyć się jak należy i napar będzie słaby, lurowaty. Czy mógłbym poprosić Beżowowłosa o pozostawienie torebki w kubku przepisową ilość czasu? Czyli jaką? Mogę oceniać wyłącznie na oko, nie w kategorii sekund czy minut. Gdy sam parzę herbatę, wiem, kiedy zyskuje właściwą moc na podstawie koloru. Ciut ciemniejszego od odcienia dzikiej pieczarki i ciut jaśniejszego od drewna tekowego. Musi przypominać barwę kasztana, mieć delikatnie rdzawą nutę, a po dodaniu mleka upodabniać się niemal do terakoty...

– Panie Gilmour? Martinie?

– Tak, tak, przepraszam. Na czym skończyliśmy?

Beżowowłosa drapie się w skroń końcówką długopisu. Jest mną rozczarowana, widzę to. Sądziła, że pójdzie łatwiej. Zastanawiam się, jak wiele o mnie wie, ile informacji zebrała na mój temat przed przesłuchaniem. Moje nazwisko figuruje w Wikipedii, mogła przeczytać hasło. Nie napisałem tego tekstu osobiście i nie wiem, kto to zrobił, ale zawiera wszystkie podstawowe informacje podane w miarę dokładnie.

Przez pewien czas odejmowano mi rok i umieszczono niesprawiedliwie krytyczne recenzje mojej książki. Utworzyłem fejkowy profil, by móc je edytować, usunąłem negatywne komentarze, ale zostawiłem błędną datę urodzenia. Gdy sprawdzałem hasło kilka miesięcy temu, zobaczyłem, że ktoś zmienił także i datę.

Czytanie własnych danych biograficznych, które ktoś obcy uznał za warte opracowania (zakładam, że to ktoś obcy, ale kto wie?), było osobliwym i zarazem przyjemnie łechcącym doznaniem. Zdumiewające, jak wiele informacji na mój temat znajdowało się w sieci. A z drugiej strony pominięto mnóstwo moich zasług i zalet. Na przykład przyjaźń z Benem – nie było o tym nawet wzmianki. Ani o mojej matce, co już mniej zaskakiwało, zważywszy na fakt, że Sylvia Gilmour nie zrobiła nic wartego odnotowania w swoim przeciętnym, nudnym życiu, ale i tak, czytając ten częściowy opis mojej egzystencji, miałem poczucie dziwnego braku równowagi.

– Chodził pan z Benem Fitzmaurice’em do szkoły, zgadza się? – Do głosu Beżowowłosej wkradła się nuta znudzenia.

– Tak. Zdaje się, że już o tym wspominałem. Kilkakrotnie.

– Zależy nam na jak największej skrupulatności. – Odkłada długopis na stół, odchyła się na oparcie krzesła, poprawia na piersi workowaty szary żakiet. – A jak opisałby pan Bena z czasów waszego pierwszego spotkania?

Tym pytaniem zbija mnie z tropu.

– Doprawdy nie rozumiem, jaki miałyby to mieć związek ze sprawą.

Szary Garniturek znów się wtrąca. Jak już się odezwał, nie potrafi się pohamować.

– To zmartwienie może pozostawić pan nam. Proszę poprzestać na udzielaniu odpowiedzi.

Beżowowłosa ani drgnie. Więc to tak, myślę. Są tacy sami, zmówili się, by zapędzić mnie w kozi róg. Takie same dranie jak Jarvis. Miga mi wspomnienie kontaktu mojej pięści ze szczęką Jarvisa. Zaczynają świerzbic mnie kostki dłoni. Wyobrażam sobie, jak by to było pochylić się nad tym

stołem, odciągnąć ramię do tyłu, poczuć, jak mięśnie napinają się w gotowości, a potem trzasnąć zwiniętą w pięść dłonią prosto w twarz Beżowowłosej. Czy poczułbym chrzęst kości jarzmowej? Czy zaczęłaby jej kapać krew z nosa? Czy głowa odskoczyłaby do tyłu pod wpływem ciosu?

Uśmiecham się do niej leniwie.

– Cieszył się popularnością. Przystojny, błyskotliwy, wysportowany.

Beżowowłosa znów kiwa głową. Garniturek mierzy mnie zimnym wzrokiem. Zapada krótkie milczenie. A potem Beżowowłosa zadaje mi pytanie tak przyciszonym głosem, że dopiero po chwili dociera do mnie, co powiedziała:

– Zazdrościł mu pan?

Przerywam kontakt wzrokowy i zaglądam do kubka po herbacie, na którego białym dnie cienkie strumyczki tworzą brązowe smugi. Robię wdech.

– Pewnie tak.

To pierwsza całkowicie prawdziwa rzecz, którą powiedziałem od chwili wejścia do tego pokoju.

2 maja

Salon, klasztor Tipworth, 20.30

Zamożni urządzają lepsze przyjęcia niż cała nasza reszta. Rzecz nie w pieniądzech czy zaspokajaniu wszelkich zachcianek, wykwintnych alkoholach i potrawach. Chodzi o pewną niewymierną atmosferę wynikającą z ekscytacji innych gości. Nas, zwykłych śmiertelników, podnieca bogactwo. Wcale tego nie chcemy, ale jest jak jest.

Tak, zazdrościmy. W głębi duszy potępiamy przyjęcia na tę pozbawioną umiaru, absurdalną, narcystyczną skalę, jak to z okazji czterdziestych urodzin Bena Fitzmaurice'a. Ale cudze pieniądze działają jak narkotyk. Dają poczucie euforii. Sprawiają, że zapominasz o swoich obawach i wątpliwościach. Ponieważ zostałeś zaproszony, czujesz się uprzywilejowany, w pewnym sensie wyjątkowy, tak jakby przykleił się do ciebie maleńki płatek złota z gigantycznego, skrzącego się posągu, przez co możesz się łudzić, że należysz do tego grona. Że przez ten jeden wieczór niezaprzeczalnie jesteś *Jednym z Nich*.

I cóż to było za przyjęcie. Trzeba teraz o tym pamiętać z uwagi na to, co wydarzyło się później. Należy pamiętać, jak dekadentki wydawał się cały wieczór, jak wyostrzone mieliśmy zmysły, które potem stepił lejący się strumieniami alkohol. Martini z liczi. Koktajle z szampanem. Old fashioned na bazie starzonej tequili wyprodukowanej w roku narodzin Bena. A w ramach ironicznego ukłonu w stronę lat studenckich tace mocnych, mdląco słodkich bacardi breezer oraz butelki bimbru, które wywołały u wszystkich salwy śmiechu. W innym kontekście ten zuchwały żart wydałby się tani, pospolity, ale ponieważ jego autorem był Ben, wszyscy zakrzyknęli zgodnym chórem, że to „klasyk”, „legenda”, „boki zrywać”, „kapitalna zabawa”.

Alkohol. Morze alkoholu. Upojenie radością. Trunki nalewane przez cały wieczór, płynna żywiołowość musująca w każdym kącie domu, nacierająca fala, która przetoczyła się nad nami i nas wciągnęła, odrzucone w tył głowy, usta szeroko otwarte w perlistym śmiechu rozbrzmiewającym zapowiedzią nadciągającego mroku nocy.

Uderzający do głowy wir: obrazy uchwycone w pełni ostrości, a potem ginące w kłębiącej się mgle. Błysk cekinów. Buty na czerwonych podszewkach. Skrzące się brylanty. Pomalowane paznokcie. Włosy oprószone lśniącem pudrem. Suknie z odkrytymi plecami, wycięte tak nisko, by odsłonić szczyt intymnego zagłębienia między krągłościami pośladków. Rozwiązana mucha z podkręconymi brzegami porzucona na ozdobnej poduszce.

Po tym, jak Fliss poszła na górę przywitać się z Sereną i dziećmi, wydawało się, że wszyscy goście przybyli naraz. Ja i Lucy pozostawieni samopas, bez wyjaśnień, staliśmy z boku i obserwowaliśmy, jak tłum napływa do środka. Ben zniknął, by wylewnie witać przybyłych. Serena się nie pokazała.

– No nie, serio, co ona tam robi tyle czasu? – dziwiła się Lucy.

Patrzyłem, jak gospodyni popularnego programu telewizyjnego, której twarz wydawała się składać w dziewięćdziesięciu procentach z zębów, chwieje się na szpilkach, paradując w botkach do kostki, a nogi trzęsą się jej jak u nowo narodzonego cielaczka. Zrobiono wielkie halo wokół naturalnej serdeczności tej kobiety i jej talentu do prowadzenia swobodnej rozmowy, gdy po raz pierwszy zasłynęła w roli prezenterki konkursu talentów nadawanego w godzinach największej oglądalności. Przełomowy moment nadszedł podczas wywiadu z odrzuconą przez jurorów dziewięcioletnią dziewczynką, która wykonała arię operową wraz ze swoim śpiewającym psem. Niepoczyszona mała szlochała, a prezenterka w świetle jupiterów otoczyła ją ramionami i mocno do siebie przytuliła, poklepując po splecionych w koronę włosach. Następnego dnia zdjęcie prezenterki ukazało się na pierwszej stronie „Daily Mail” z podpisem: „Nasza Królowa Serc”.

Całe to zdarzenie przyprawiało o mdłości. Nigdy nie przekonywała mnie pozorna szczerłość prezenterów telewizyjnych. W dzisiejszych czasach tak bardzo pragniemy uważać się za osoby empatyczne, jak gdyby łyzy stanowiły dowód naszego wzniosłego człowieczeństwa. A w rzeczywistości przesadne okazywanie uczuć jest dążeniem samolubnym. Płaczymy, ponieważ chcemy, żeby inni to widzieli.

Ostatnimi laty prezenterka wypadła z łask, zdegradowana do roli sprzedawczyni własnej kolekcji biżuterii w telewizji kablowej i do gościnnych występów w dyskusjach panelowych poświęconych innym programom telewizyjnym, które są poddawane niepotrzebnej wiwisekcji, a komicy o zupełnie nieznanymi nazwiskami robią sobie z nich niewybredne żarty, których wolelibyście już nigdy więcej nie usłyszeć. Wiecie, o czym mówię.

– Przepraszam – powiedziała prezenterka.

Uświadomiłem sobie, że tarasuję przejście, a ona próbuje mnie wyminąć w drodze do sąsiedniego pomieszczenia.

– Najmocniej przepraszam – odparłem, ale się nie odsunąłem.

Uśmiechnęła się. Uśmiechem, który przywarł do jej twarzy jak plaster opatrunkowy. Im dłużej tam stałem, tym bardziej ten uśmiech wiadł – najpierw stopniowo, aż zgasł całkowicie.

– Czy zechciałby pan mnie przepuścić? – powiedziała ostrym już głosem. Bez uśmiechu jej twarz wyglądała na starą i zniszczoną.

– Oczywiście.

Usunąłem się z przejścia.

Lucy spojrzała na mnie krzywo. Pokręciła głową, tłumiąc uśmiech.

– Słowo daję – mruknęła. – Nigdzie nie można się z tobą pokazać.

– Wiesz, że jej nie znoszę.

– Uhm.

Wziąłem z tacy martini. Lucy poszła w moje ślady.

Obok nas przeparadował model, który niedawno wystąpił w samych slipkach w kampanii reklamowej płynu po goleniu. Billboardy przedstawiające jego – z braku lepszego słowa – klejnoty wywołały tak wielkie poruszenie wszędzie, gdzie je – z braku lepszego słowa – eksponowano – że w centrach różnych miast doszło do licznych stłuczek samochodowych. Z konsekwencjami w postaci urazów kręgosłupa szyjnego i niewielkich obrażeń, jak przeczytałem w MailOnline (niestety, nawet ja nie jestem odporny na tanią pokusę brukowcowych klikbajtów).

Gdy przechodziliśmy obok niego, usłyszałem głośnie westchnienie Lucy. Model był przystojny – wysokie kości policzkowe, perfekcyjnie przyszyżona broda, zimne spojrzenie. Ale twarz miała w sobie jakąś pustkę, która mnie deprymowała, można było dowolnie ją nacechować, jakby mogła wyrazić wszystko, co tylko chciało się na niej zobaczyć.

Zauważyłem na jego stopach limitowaną edycję adidasów z różową podeszwą. Tak się składa, że i ja takie miałem, kupione kilka miesięcy temu. Podpatrzyłem je u Bena. Pasowały mu, ale uznałem, że mnie będą pasować jeszcze bardziej, i wiedziałem, że będzie mile polechtany, jeśli sprawię sobie takie same. Kolejny dowód na podobieństwo naszych gustów, tak jak w wypadku płyt kompaktowych wiele lat temu.

Trudno było je zdobyć, znaczy te adidas. Musiałem zamówić je w Stanach po wyśrubowanej cenie, ale było warto. Dodawały mi nonszalancji. Lubiłem nosić je do garniturów. Styl, jak dowiedziałem się po latach, polega na zaskakującym łączeniu elementów.

Lucy narzekała na te buty. Stwierdziła, że to pieniądze wywalone w błoto. Nie miałem serca jej powiedzieć, że nie rozpoznałaby dobrego stylu, nawet gdyby podetknąć go jej pod nos. Poza tym nie rozumiała braterskiej więzi, która sprawiała, że czasem mężczyźni chcieli nosić taką samą rzecz jakby na znak plemiennej przynależności. Biedna Lucy. Tak wiele spraw przekraczało jej zdolność rozumienia. Nigdy nie musiała być tak czujna jak ja, który chwytalem aluzje jak okruszki.

– To po prostu niegrzeczne – oznajmiła Lucy. Dopiero po chwili do mnie dotarło, że nadal gędzi o nieobecności Sereny. – W końcu to jej impreza.

Sącyłem drinka. Zmrożona wódka spływała po tylnej ścianie gardła.

– A formalnie Bena.

– Och, daj spokój. Oboje wiemy, że Serena traktuje to przyjęcie jak pokazową parapetówkę. Pod koniec miesiąca w „Elle Decoration” pojawi się rozkładówka z klasztorem Tipworth.

Mocno objąłem ją ramieniem.

– Ciii – powiedziałem.

– Au. Boli.

– Przepraszam.

Kolejna taca. Lucy wzięła z niej szklanekę z czymś pomarańczowym i kandyzowaną wiśnią z ogonkiem na dnie.

– Nie przesadzajmy z alkoholem... – zacząłem.

– Nie wiem, jak ty, Martin, ale ja zamierzam totalnie się urąbać. Tylko w ten sposób zdołam przetrwać.

Poddałem się. Lucy nigdy nie przepadała za przyjęciami, a już ze szczególną rezerwą podchodziła do zamiłowania Fitzmaurice’ów do ostentacyjnej gościnności. Na początku naszych zalotów była oczarowana Benem, jego żywiołowością i swobodą, umiejętnością zrobienia z każdego wydarzenia doskonałej zabawy przez sam fakt swojego w nim uczestnictwa. Serena była inna. Bardziej powściągliwa. Lucy uważała ją za zimną i nieprzystępną.

Jednak moja żona zawsze przestrzegała zasad uprzejmości, niezawodnie, skrupulatnie. To ona pamiętała o wysłaniu świątecznych i urodzinowych kartek, to ona kupowała prezenty pozbawionemu wdzięku Hectorowi, to ona znała na pamięć wszystkie kody pocztowe ich rozmaitych nieruchomości.

Ten nowy, kąśliwy ton zauważyłem u niej dopiero od niedawna i zastanawiałem się, co go spowodowało. Może przejawiana przez Serenę zachłanna potrzeba produkowania dzieci jedno po drugim, jak laleczki w papierowych girlandach. Jej płodność zdawała się agresywnie kontrastować z bezdzietnością Lucy.

– To takie... takie... zbędne – skwitowała, gdy podzieliłem się z nią nowiną, że Ben i Serena spodziewają się czwartego potomka. Wiedziałem, co ma na myśli. Wszystko, co robili Fitzmaurice'owie, było zbędne.

Z korytarza wchodzili rządkiem kelnerzy, niosąc półmiski wypełnione przekąskami o ironicznej wymowie: miniaturowymi rożkami z gazety zawierającymi maleńkie porcje ryby z frytkami; owocami o wyglądzie mandarynki, które po ugryzieniu okazywały się nafaszerowane musem z kurczaka; popcornem z solonym masłem serwowanym w maciupkich pudełeczkach z namalowanym w poprzek czerwonymi literami napisem: „Tylko na jeden wieczór: czterdziestka Bena”. Powietrze przenikał aromat migdałów w cukrze i waty cukrowej. Czy to możliwe, zachodziłem w głowę, że bogaci także lepiej od nas pachną?

– My też mamy powód do świętowania – oznajmiła Lucy.

Byłem skonsternowany.

– Twoja książka.

Przywarła do moich ust. Z poczucia obowiązku odwzajemniłem pocałunek, muskając jej wargi.

– Jestem z ciebie taka dumna – ciągnęła. – Genialna rzecz. Konkretna...

– Nie wydaje mi się – wtrąciłem skwapliwiej, niż zamierzałem.

– Ale tak jest – zapewniła lekko urażona.

Zasługiwała na więcej, wiedziałem. Lucy zawsze we mnie wierzyła. Gdybym miał być ze sobą szczerzy (co zawsze jest niebezpiecznym pomysłem), musiałbym przyznać, że była jedyną taką osobą. Od naszego pierwszego spotkania pokładała absolutną wiarę w mój potencjał. Nie wiem, skąd jej się to wzięło, niemniej w trakcie naszego małżeństwa zacząłem na tym jej przeświadczeniu polegać. Była jedynym pewnikiem w moim życiu. Po prostu trwała przy mnie jak opoka.

Przyprowadziłem ją kiedyś do domu, by przedstawić matce. Tylko raz. Czuję taki wewnętrzny przymus: nawet kiedy przestałem jeździć do Epsom na ferie i wakacje, utrzymywało się we mnie poczucie synowskiej odpowiedzialności. Kiedy wyjechałem na studia do Cambridge, moja

wymyślona na nowo tożsamość zastępczego brata Bena Fitzmaurice'a stała się tak przekonująca, że niemal zapomniałem o swojej prawdziwej przeszłości – z gazowymi kominkami, kiełbaskami z puszki i zakrwawionymi kartkami świątecznymi rozsypanymi na oblodzonym chodniku.

Nie zaprosiliśmy matki na ślub. Poszliśmy z Lucy do miejscowego urzędu stanu cywilnego, świadkiem był Ben, Iana z gazety poprosiliśmy na drugiego świadka, a potem całą czwórką wybraliśmy się do pubu, zjedliśmy lunch złożony z kanapek z serem i pikłami oraz słonych chipsów i radośnie upiliśmy się w sztok. Żadne z nas nie chciało robić wokół tego szumu. A dokładniej: to ja nie chciałem nikogo zapraszać, a Lucy ochoczo się zgodziła. Wystąpiła w niebieskiej sukience wyciągniętej z dna szafy.

Ku swojej własnej irytacji kilka miesięcy po ślubie zacząłem czuć się winny, że nie było tam wtedy mojej matki. Starłem się ignorować to uczucie, ale wciąż mnie ścigało, niczym widoczny jedynie w lusterku wstecznym człowiek biegnący za taksówką i usiłujący ją zatrzymać. W końcu się poddałem, spakowaliśmy z Lucy małą walizkę i pojechaliśmy naszym fordem focusem do dusznego domku, który tak doskonale pamiętałem.

Nic się tam nie zmieniło, poza gabarytami telewizora, który urósł w czasie mojej nieobecności i wisiał teraz nad kominkiem: ogromny, przeciekający basen czerni na tle magnoliowych ścian.

– O rany! – rzuciła wesoło Lucy na jego widok. – Imponujący.

Matka pociągnęła nosem. Zamiast zwrócić się do niej, spojrzała na mnie.

– Co myślisz, Martinie?

Pomyślałem, że jest ohydny. Ale denerwowałem się przy matce i doszedłem do wniosku, że nie umiem normalnie z nią rozmawiać.

– Bardzo ładny.

– To moje oczy – wyjaśniła matka, piorunując nas wzrokiem. Miała ziemistą cerę, żółtawą przy fałdach nosa i na koniuszkach uszu, niechlujne, niewyregulowane brwi, sterczące we wszystkich kierunkach. Postarzała się

w czasie, kiedy mnie tu nie było. Ale wiek nie uczynił jej kruchą. Nadal była masywnej postury, ramiona zwisały nieco przed klatką piersiową jak u goryla albo atlety. Podpierała się jedną kulą, na której widniała wypisana wielkimi czarnymi literami nazwa miejscowego szpitala.

– Nic nie widziałam na starym ekranie. Nie mogłam odczytać napisów w *Songs of Praise*.

Zapadło krępujące milczenie. Siedzieliśmy z Lucy na niskiej szarej sofie, którą pamiętałem jeszcze z dzieciństwa. Matka zajęła fotel z wysokim oparciem naprzeciwko nas. Przyglądała się nam, niespeszona przerwą w rozmowie. Zza okna dobiegał odgłos ulicznego ruchu.

– Ciasteczka – powiedziała, podsuwając nam talerz zwykłych herbatników.

Wziąłem jeden. Był stęchły i rozmiękły. Ziarnista papka przykleiła mi się do zębów.

– Więc co was sprowadza?

Lucy wygładziła dłońmi spódnice i rzekła:

– Martin tak wiele mi o pani opowiadał i...

– Czyżby?

– Tak. I chciałam poznać panią osobiście, pani Gilmour. W końcu jest pani moją teściową.

Głos Lucy nabrał osobliwej precyzji: staranie artykułowała każdą głoskę, każda kropka wybrzmiewała wyraźnie jak u spikera radiowego z lat pięćdziesiątych. Zdałem sobie sprawę, że to oznaka jej skrepowania, więc poklepałem ją po ręku.

– Ooo, jakie to urocze – skwitowała matka. – Czyż nie uroczy z ciebie chłopak, Martinie?

Rozparła się w fotelu i nawet ułożenie łokci na podłokietnikach zdawało się zdradzać jakieś nieczne zamiary.

– No nie wiem... – zacząłem.

– Czego nie wiesz? Nie wiesz, co tutaj robisz? Cóż, ja też nie. Przez tyle lat nie odzywałeś się ani słowem, a nagle zjawiasz się jak jakieś panicho,

wielce z siebie zadowolony, z zahukaną żonką, której chyba się wydaje, że twoja dupa świeci jak słońce, i co ja niby mam zrobić? Uściskać cię i powiedzieć, że wszystko klawo? Twoje niedoczekanie, synu.

Nigdy dotąd nie słyszałem, by w ten sposób mówiła. By sypała takimi kolokwializmami, strzelała nimi jak z karabinu maszynowego. I ta agresja czająca się za każdym słowem. Przekleństwa. Nigdy nie przeklinała. Choć przez większą część mojego dzieciństwa była albo nieszczęśliwa, albo obrażona, albo zła, w mojej obecności zawsze kontrolowała te emocje. Była chłodna. Teraz chłód zniknął, a jego miejsce zajął niepohamowany gniew.

Trzymana w rękach filiżanka zaczęła pobrzękiwać o spodek. Odłożyłem na talerzyk niedojedzonego herbatnika. Brakowało mi w płucach powietrza.

Wtedy Lucy wstała. Wyciągnęła do mnie dłoń. Chwyciłem ją z wdzięcznością i z trudem podniosłem się z sofy.

– Tak, pani Gilmour, rzeczywiście jest uroczym chłopcem – powiedziała.

Wyprowadziła mnie z pokoju. Matka poczłapała za nami, szurając kapciami po wykładzinie.

– Musisz z nim uważać, moja droga – mówiła. – On ma nie po kolei w głowie. Nie jest taki jak reszta z nas.

– Proszę się nie obawiać. Nie interesuje mnie nic, co ma mi pani do powiedzenia.

– A powinno, panienko. On cię nie kocha. Nie jest do tego zdolny. Czegóż tutaj brakuje. – Popukała się w skroń.

Znajdowaliśmy się przy drzwiach. Lucy wolną ręką przekręciła zasuwkę, drugą wciąż ścisnęła moją dłoń. Zachłysnąłem się wpadającym z zewnątrz powietrzem, stojąc jedną nogą na stopniu wiodącym ku bezpieczeństwu, drugą wciąż na wykładzinie, od której wiecznie próbowałem uciec.

– On udaje! – krzyczała matka, wymachując kulą w powietrzu. Nasadka z szarego plastiku obracała się w tę i we w tę. – Udaje, że jest człowiekiem.

Wyszliśmy. Lucy zatrzasnęła za nami drzwi. Żwawym krokiem pomaszerowaliśmy do samochodu, a ja słyszałem głos matki nawet wtedy, gdy Lucy przekręciła kluczyk i włączyła zapłon, gdy silnik zaczął

pracować, gdy wycofywaliśmy auto na drogę, wrzuciliśmy bieg i ruszyliśmy naprzód. Nawet wtedy, kiedy byliśmy już w domu wiele mil dalej i rozpakowywaliśmy zakupy, gdy przygotowaliśmy makaron na kolację, gdy w garnku gotowała się woda, gdy stuknęliśmy się kieliszkami wina, gdy oglądaliśmy wiadomości o dwudziestej drugiej, i nawet później, gdy do wanny nalewała się woda, grało radio, a my szykowaliśmy się do snu, nawet wtedy słyszałem głos matki: uporczywe gędzenie, walenie w bęben wstydu. Słyszałem ją nawet we śnie.

Jakiś czas później zadzwonił do mnie sąsiad z informacją, że u matki zdiagnozowano alzheimera i zabrano ją do domu opieki.

Po miesiącu zmarła na udar. Sprzedałem dom, zapłaciłem firmie zajmującej się usuwaniem gratów. Mieli wywieźć cały dobytek, żebym nie musiał tam wracać. Załatwiłem kremację i nigdy nie odebrałem prochów. I choć chciałem czuć złość albo smutek czy w ogóle cokolwiek, by dowieść, że nie miała racji, że mimo wszystko mam ludzkie odruchy, że wcale nie udaję, nic takiego nie nastąpiło. Jedyne uczucie była ulga.

Wziąłem z tacy kolejny kieliszek martini, wlałem w siebie trunek dwoma szybkimi haustami. Spojrzałem z ukosa na Lucy, na rzucający się w oczy wysiłek włożony w próbę nadania sukience elegancji i świetności, na obgryzione paznokcie skromnie połyskujące różowym lakierem. Koniec zarzuconego na ramiona kaszmirowego szala ciągnął się po podłodze. Sukienka marszczyła się na zwisającym brzuchu, który uwypuklał się i deformował tkaninę, psując cały efekt.

– Wciąż ani widu, ani słychu – zauważyła. – Mam na myśli Serenę.

– Pewnie zależy jej na wielkim wejściu – zasugerowałem. – Wmieszajmy się w tłum.

Lucy przewróciła oczami.

– Skoro musimy...

– Musimy.

Mocno chwyciłem ją za nadgarstek i zaciągnąłem do sąsiedniego pomieszczenia. Nad naszymi głowami znajdowała się antresola otoczona rzeźbioną drewnianą balustradą, z góry spoglądały na nas zamazane, na wpół rozpoznawalne twarze, niczym rzymscy senatorowie wyrażający zadowolenie z toczącej się w dole walki gladiatorów. Światło miało ciepłą barwę piasku, zalewało nas korzystną poświatą. W rogu sali jakiś mężczyzna w kwiecistych kowbojkach gawędził z długonogą supermodelką, pierwszą czarnoskórą kobietą, która pojawiła się na okładce włoskiego „Vogue’a”. Miała na sobie sukienkę bez ramiączek w deseń węzowej skóry, rozciętą do uda, eksponującą czarne lakierowane buty na grubej podeszwie i cienkiej wysokiej szpilce, jakie noszą dominy.

Zauważyłem kogoś, kto od tyłu przypominał Andrew Jarvisa, ale równie dobrze mógł to być ktoś inny: masywny tors, powoli obrastający tłuszczem, kosmyki rudych, siwiejących włosów. Oddalił się, nim zdążyłem sprawdzić. Czytałem o Jarvisie w porannym „Telegraphie”. Mianowano go przewodniczącym jakiejś elitarnej komisji parlamentarnej. Sfotografowano go z żoną, jak stoją przy bramie na końcu podjazdu malowniczego domu, zapewne ich posiadłości w okręgu wyborczym. Był ubrany w kraciastą koszulę, podwinął rękawy, odsłaniając łokcie z plamami łuszczycowymi. Oczywiście nie miał marynarki. Podobnie jak wszyscy obecnie politycy chciał sprawiać wrażenie człowieka dobrze czującego się w swojej skórze, niepotrzebującego obnosić się ze swoją pozycją. Żona wyglądała nijako, choć kiedyś musiała być atrakcyjna: w typie, który źle się starzeje, o zadartym nosie, piegach przekształconych w plamy wątrobowe, o młodzieńczej gibkości oraz płaskiej piersi, która z upływem czasu staje się koścista i zasuszona.

Nie przeczytałem tamtego wywiadu – nie chciałem dawać mu satysfakcji – niemniej nagłówek był cytatem z tekstu. *Nie należy mnie nie doceniać.* Cóż, pomyślałem, przypominając sobie jego rozlazłą otyłość, raczej trudno byłoby go przecenić.

Czekały na nas kolejne drinki, wysokie szklanki ustawione półkolem na kredensie, każda z jakimś białym płynem udekorowanym plasterkiem

brzoskwini. Wziąłem dwie, jedną podałem Lucy.

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia. – Wciągnąłem łyk przez słomkę. – Ale smaczne. Mocne.

– Na zdrowie – powiedziała.

Stuknęliśmy się szklankami.

– Jakie to miłe, prawda? – Podniosła na mnie wzrok. – Mam na myśli wspólne spędzanie czasu. – Umilkła, ja zaś wiedziałem, że to dla mnie sygnał do jakiejś reakcji. Ponieważ się nie odzywałem, delikatnie stuknęła mnie w ramię, ciągnąc za rękaw marynarki: dziecko domagające się uwagi. – No wiesz – dodała figlarnie – wspólną zabawę.

– Tak – odparłem, odsuwając się. – Miłe.

Wśród tłumu rozszedł się szmer przypominający odgłos tasowania kart, po czym na szczycie schodów zjawiała się Serena. Cisza.

– Oto i ona – mruknął ktoś.

Cała w srebrze wyglądała zjawiskowo. Cekinowa suknia opinała ją jak druga skóra. Ramiączka były tak wąziutkie, że mogłyby pęknąć pod najłżejszym naprężeniem. Głęboki dekolt w kształcie litery V podkreślał piersi i przyciągał uwagę do nagiej skóry. Tkanina spływała na podłogę, tworząc wokół stóp złudzenie wody, jakby Serena wynurzała się z jeziora. Na szyi brylantowy naszyjnik w formie obroży. Nadgarstek okalała wstęga olśniewających klejnotów. Włosy upięte z tyłu, pojedyncze kosmyki opadały miękko na kark.

– Jasny gwint – powiedziała Lucy. – Wygląda nieziemsko.

Serena zaczęła schodzić, trzymając się poręczy z monarszą wytwornością. Miała pomalowane srebrnym lakierem paznokcie, a gdy się zbliżyła, zauważyłem pośrodku każdego z nich maleńką czarną kropkę, takie wszystkowidzące oko.

– „Dumna i pewna siebie z powodu piękności kobieta”.

– Z czego to?

– Z Plutarcha – odparłem, zadowolony, że zapytała. – Mowa o Kleopatrze.

Lucy pokręciła głową.

– Co za mózg. Nadmiar wiedzy może zaszkodzić.

Na dole schodów jakiś mężczyzna w kilcie wziął Serenę za rękę i poprowadził ją na środek sali. Rozpoznałem w nim komika ze stand-upów. Ostatnio odbywał tournée po Wielkiej Brytanii, wyprzedają się wszystkie bilety. Plakaty rozlepione na każdej stacji londyńskiego metra przedstawiały mężczyznę w kilcie: zmarszczone czoło, skrzyżowane na piersi ramiona, w ustach papieros z niewiadomych powodów włożony odwrotnie, filtrem na zewnątrz. Program nosił tytuł *Do góry zmarszczkami*.

Serena przepłynęła obok, nie zaszczycając nas spojrzeniem.

– Martin!

Zza pleców dobiegł mnie gromki głos. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Dennisem Paulsonem, moim byłym redaktorem w „Bugle”, człowiekiem, którego nie widziałem od kilku lat, od czasu, kiedy przeszedł na emeryturę. Nie doskwierał mi brak jego towarzystwa w redakcji.

– Jak się miewasz, do wszystkich diabłów? – Potrząsał moją ręką z werwą psa machającego ogonem. – Kopę lat. Ile to już? Nie spodziewałem się tu ciebie, stary. Co za kurewska niespodzianka. Ile to minęło?

– Osiem lat, jak sędzę – odparłem, gdy Dennis przestał gadać.

Należał do osób, które rozwijają pytania w monologi. W gruncie rzeczy nie interesowało go, co ktoś mówił, ale lubił stwarzać pozory. Gdy piastował stanowisko redaktora, sływał z copiątkowych wyjazdów do swojego domu na wsi, skąd wracał dopiero we wtorek w porze lunchu. Zważywszy na fakt, że „Bugle” był wydawaną codziennie londyńską popołudniówką, stanowiło to pewną niedogodność dla całego zespołu. Od działu odpowiedzialnego za dobór wiodących artykułów domagał się zamieszczania tekstów o wiejskich hobby, a oni zawsze dyskretnie mu przypominali, że nie tego oczekują ich metropolitalni czytelnicy.

Niezrażony Dennis nieustannie sugerował przedstawianie z nowej perspektywy polowań na lisy i wędkarskich wypraw na łososia. Raz zasłynął przyniesieniem dwóch świeżo ustrzelonych bażantów na popołudniową naradę kierownictwa. Nie zdjął nawet ubłoconych kaloszy marki Hunter i gdy szedł, z podeszew odpadały kawały zaschniętej ziemi.

– Kurewskie osiem lat? Serio? Kurwa. Czas leci, co? Muszę przyznać, że bardzo podobała mi się twoja książka. Ta o sztuce... jaki miała tytuł? Ta z różowym na okładce. Zajebista. Skąd się znasz z Benem i Sereną? Nie wiedziałem, że się przyjaźnicie.

Obok nas przeszedł kelner z tacą yorkshire puddingów w wersji mini. Dennis wziął serwetkę i ułożył sobie na otwartej dłoni trzy sztuki. Pożarł je jeden po drugim, każdy na jeden kęs. Mówiąc, pryskał na nas śliną.

– Chodziłem do szkoły z...

– Trzymasz z dawną paczką? Z Toffem. Busterem. Binkym. Z całą bandą?

Nie miałem pojęcia, o kim mówi. Dennis miał skłonność do nadawania ludziom przezwisk, których by sobie pewnie nie życzyli.

– No nie – ciągnął, strzelając wokół czarnymi gadzimi oczami. – Kogo trzeba tu zerznąć, żeby dali się człowiekowi napić?

Przyniosłem mu kieliszek z kredensu. Przycisnął go do piersi. Przez moment myślałem, że wychyli go jednym haustem, lecz on zaczął sączyć trunek zaskakująco małymi, damskimi łydkami.

– Pewnie pamiętasz moją żonę Lucy? – zapytałem, lekko wypychając ją do przodu.

– Oczywiście – przyznał Dennis, z roztargnieniem skinąwszy głową. – Cudownie znów was widzieć. Wyglądacie tak... – Szukał odpowiedniego słowa. – Cudownie – powtórzył z lekko nietęgą miną, jakby miał świadomość swojej porażki. – Ale tę twoją książkę dość mocno zjechało, co? – ciągnął niezniechęcony. – Kim jest ten gość, który ją recenzował? Ten, który napisał, że można dowiedzieć się więcej o sztuce, patrząc, jak

schnie farba, niż... – Zobaczył moją minę i zmienił taktykę. – Zresztą pieprzyć ich, no nie? Łatwo krytykować, trudniej zrobić.

– W istocie – wtrąciła Lucy – książka Martina sprzedała się fantastycznie.

– Wiadomo! Nie ma to jak antyreklama! Bobsy! – wykrzyknął, znów popadając w zwyczajową egzaltację. Lucy aż podskoczyła. – Bobsy, skarbie, tutaj!

W naszą stronę zmierzała kobieta w jaskrawożółtej sukience z rozcięciem do pępka, przywierającej do nieprawdopodobnie jędrnych piersi, jakby przytrzymywała ją tam jakaś niewidzialna siła.

– Słuchajcie, kochani. Bosko was widzieć. Właśnie zauważyłem kogoś znajomego. – Na odchodne poklepał mnie po plecach. Pewnie dostanie zawału jeszcze przed końcem roku. Albo wda mu się podagra.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła – oznajmiłem po jego odejściu.

– Czego? – zdziwiła się Lucy.

– Nie mówiła o wynikach sprzedaży.

Czułem się zażenowany, gdy wmieszała się do rozmowy z Dennisem. Nie byłem typem mężczyzny, który potrzebuje, by żona stawała w jego obronie.

– Czepiał się ciebie...

– Nie czepiał. Po prostu ma taki sposób bycia.

– Nie miał bladego pojęcia, kim jestem – mruknęła Lucy.

– Nie bierz tego do siebie.

– I pomyśleć, jak ciężko dla nich harowałam...

– Tylko nie znowu to.

– Zwyczajnie mnie to wkurza. Żadnej wdzięczności czy poczucia lojalności. Zwalniają człowieka w ramach redukcji etatów po pięciu cholernych latach odwalania czarnej roboty, której nikomu nie chciało się tknąć palcem.

– Idę poszukać toalety.

– Mówiłam, że...

Oddaliłem się. Reszta jej słów zginęła w tłumie. Lucy nigdy nie pogodziła się ze złym traktowaniem ze strony pracodawców w „Bugle”, jak to postrzegała. Zwolniono ją mniej więcej w tym samym czasie, gdy ja awansowałem na szefa działu krytyki sztuki. Okazała się zbędna. Dali jej skromną odprawę, a ponieważ ja dostałem podwyżkę, wystarczyło nam na zwiążanie końca z końcem. Kilka miesięcy później sprzedałem książkę *Sztuka. Kogo to, k***a, obchodzi?*, a zaliczka zapewniła nam kolejną poduszkę finansową. Publikacja stała się bestsellerem, co jeszcze lepiej wpłynęło na stan konta. No i oczywiście dochodziły do tego regularne zastrzyki gotówki od Bena i Fitzmaurice’ów. *Summa summarum*, jesteśmy całkiem dobrze sytuowani. Lucy nie musi pracować. Można by sądzić, że będzie wdzięczna, ona jednak upiera się przy prowadzeniu nic nieznaczącego doradztwa medialnego dla organizacji charytatywnych i non profit. Nie wiem, po co zawraca sobie tym głowę. Moim zdaniem to zdecydowanie zbyt duży wysiłek jak na pielęgnowanie wrażliwości społecznej. Współczucie nie polega na wypruwaniu sobie flaków.

Wszedłem na piętro, mijając stłoczonych w kącie trzech mężczyzn i wychwytyjąc z ich rozmowy termin „luzowanie ilościowe”. Odwróciwszy się, ujrzałem byłego szefa Bank of England dyskutującego z ministrem finansów, który ostatnio mocno stracił na wadze dzięki tak zwanej diecie pięć na dwa, oraz ze szczupłym brodatym mężczyzną w aksamitnym garniturze. Zauważył, że się im przyglądam, i uniósł brew. Spojrzeliśmy sobie prosto w oczy. Skinąłem głową, uniosłem szklanekę do ust, wypilem, poszedłem dalej.

Na ścianie wisiał ciemny obraz olejny przedstawiający leciwego arystokratę w surducie i koronkowej koszuli spiętej pod szyją ozdobną szpilą. Zastanawiałem się, skąd Ben go wytrzasnął. W londyńskim domu Fitzmaurice’ów były białe sofy i krzesła z chromowanymi nogami, lecz ani jednego dzieła sztuki sprzed lat pięćdziesiątych. Co stanowiło między nami kość niezgody, ponieważ za każdym razem, gdy przychodziłem do nich na kolację, biadoliłem nad ich niedocenianiem historii.

– Nie możemy wszyscy być tak wyedukowani jak ty – powiedziała Serena, gdy ostatnio podniosłem tę kwestię.

Pamiętam, że w jej głosie pobrzmiwała jakaś surowość, zastanawiałem się więc, czy nie zażartowałem sobie o ten jeden raz za dużo. Czy w jej reakcji na moje życzliwe powtarzanie w kółko tej samej śpiewki nie dokonał się przeskok od serdeczności do zniecierpliwienia. Zachodziłem w głowę, czy – co za koszmarna myśl – moje uwagi nie stały się przedmiotem żartów w domu Sereny i Bena. Czy, wystawiając się na pośmiewisko, nie dostarczałem im materiału do cementowania bliskości. Bądź co bądź wspólny sprzeciw może jednoczyć równie mocno jak wspólna pasja.

Serena się uśmiechnęła.

– Nie rób takiej poważnej miny, Martinie. Nie wszyscy mieliśmy tyle szczęścia, by studiować w Cambridge, prawda?

Po czym przeszła przez pokój i wrzuciła mi do ust oliwkę, a ja poczułem na wargach suchą miękkość jej palców. Jej twarz znalazła się tak blisko, że do moich nozdrzy dotarł zapach kremu zmieszany z drażniącą nutą porannego papierosa.

Na szczycie schodów stanąłem przy balustradzie antresoli i spojrzałem na kłębiący się w dole ludzki rój. Z góry goście wydawali się mniejsi, przypominali kreskówkowe postaci ze skomplikowanej gry komputerowej, polegającej na gromadzeniu drinków, przyjaciół oraz strzępów powierzchniowych rozmów.

Przesunąłem dłonią po rękawie marynarki, by się upewnić w przekonaniu, że wyglądam elegancko i zamożnie. Że pasuję do pozostałych. Że jestem odpowiednio ubrany. Poprzednie doświadczenia nauczyły mnie, jak ważna jest odpowiednia prezencja.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Nie chcę stwarzać wrażenia, że zawsze było źle. Z perspektywy tego, co się stało, trudno teraz pamiętać, że zdarzały się też chwile szczęścia. Trudno nie czuć urazy do Bena i nie winić Martina o to, że pozwolił, by ich przyjaźń nabrała tak istotnego znaczenia dla jego egzystencji. Trudno nie myśleć, że toczyłam bitwę, na którą się nie pisałam, bitwę niemożliwą do wygrania, o czym wiedzieli wszyscy, ja zaś walczyłam, walczyłam i walczyłam, usiłując ich przekonać, że się mylą.

Ważne jednak, bym pamiętała i o dobrych czasach. Kiedy byliśmy tylko we dwoje, ja i Martin, gdy nie podlegał presji innych ludzi – odgrywania przed nimi roli i udawania, że jest kimś lepszym, niż jest – układało się nam znakomicie. Ostatnio kwestionowałam wiele rzeczy dotyczących mojego męża, ale kiedy się pobraliśmy i zamieszkaliśmy razem, byłam absolutnie przeświadczona o tym, że ani razu nie czuł potrzeby, by cokolwiek przede mną udawać.

Pojechaliśmy kiedyś na wakacje na południe Francji, do nadmorskiej miejscowości niedaleko Cannes. Zarezerwowałam pensjonat w małym miasteczku z widokiem na port i kamienistą plażę. Hotelik był skromny, ale czysty, pokój miał dwa duże okna od strony morza, które otwieraliśmy co wieczór o zmierzchu, słuchaliśmy skrzeczenia mew i odgłosów krzątający kelnerów w kawiarnianym ogródku na dole.

Dniami rządziła niespieszna rutyna. Budziliśmy się późno, zwykle nie zdążaliśmy na śniadanie przygotowywane przez starszą *patronne*, i od razu wskakiwaliśmy w stroje kąpielowe, zabieraliśmy na plażę torbę z książkami, kremem do opalania i ręcznikami. Wypożyczyliśmy dwa leżaki. Było lato, ceny z kosmosu, ale panowała między nami milcząca zgoda, że czasem warto dać się złupić.

Wylegiwaliśmy się obok siebie w zgodnym milczeniu, czytając książki i czując, jak słońce przyjemnie rozgrzewa skórę. Od czasu do czasu Martin wstawał i się przechadzał, widziałam, jak pochyła się na brzegu i ogląda kamyki oraz muszle. Po powrocie wręczał mi jakieś znalezisko – połyskujący perłowo płaski fragment muszli ostrygi albo szarobrązowy kamyk wygładzony przez fale. Wydawał się wtedy mniej przewrażliwiony, nie tak skory do obrażania się na wymaginowane krzywdy i w rezultacie mogłam swobodniej z nim rozmawiać. Nie musiałam unikać żadnych tematów.

Popołudniami wracaliśmy na nasze pozycje na plaży, przestawiając leżaki zgodnie z ruchem słońca na niebie. Czasem kontynuowaliśmy rozmowę. Pamiętam, że właśnie podczas jednego z takich popołudni, gdy zanurzyłam się w kupionej na lotnisku biografii Thomasa Hardy’ego, Martin ni z tego, ni z owego głośno powiedział: „Ciekawe, czy jestem do niego podobny”.

Dopiero po chwili zaskoczyłam, uświadomiłam sobie, że się odezwał. Odłożyłam książkę i spojrzałam na niego. Patrzył na morze, skrywając oczy za ray-banami. Pierś miał nadal bladą, różowawą w zagłębieniach między żebrami. Martin opalał się partiami: cienka smuga włosów od pępka do bioder wybielała w słońcu. Wystające części policzków oraz czubek nosa były zaczerwienione. Stracił nieco londyńskiej ziemistości, ale nadal wyglądał jak Anglik na zagranicznych wakacjach.

– Co takiego, skarbie? – zapytałam. Zawsze miałam dla niego wiele czułości, nie wiem dlaczego. Zazwyczaj do nikogo się w taki sposób nie zwracałam.

– Myślałem... – Urwał. Czekałam. Kartki książki trzepotały na wietrze. – Że ojciec... Myślałem o ojcu.

Wtedy po raz pierwszy poruszył ten temat. Na wczesnym etapie naszego związku próbowałam nakłonić go do otworzenia się w tej kwestii, lecz on zawsze ucinał rozmowę, często w gniewie.

– Przecież musiało to odcisnąć jakieś piętno? – ciągnęłam, nie dając za wygraną. Wtedy on krzyczał, że nie mam bladego pojęcia, o czym gadam,

i dlatego, do cholery, muszę robić ze wszystkiego beznadziejną operę mydlaną, i dlatego człowiek, którego nigdy nie poznał, który umarł, zanim on się urodził, miałby jakoś na niego wpływać?

W końcu zrozumiałam, że bezpieczniej całkowicie zaniechać tego tematu. Widocznie jest dla niego zbyt bolesny, tłumaczyłam sobie. Trzeba zostawić go w spokoju, dać mu czas, by się uporał z przeszłością albo nie, jak tam sobie chce. Przekonywałam samą siebie, że to naprawdę nie moja sprawa. Cóż ja mogę wiedzieć, mając dwoje żyjących rodziców i wiodąc wygodne życie klasy średniej?

Aż tu nagle, wyciągnięty na leżaku na francuskiej plaży, zupełnie nieoczekiwanie uraczył mnie tą informacją.

– Co takiego myślałeś, kochanie?

Miałam ochotę złapać go za rękę, ale się powstrzymałam. Martin westchnął.

– Przypuszczam... – Urwał, po czym podjął temat z innej strony. – Dziwne uczucie: nie poznałeś własnego ojca, nikt ci o nim nigdy nie opowiadał, a potem dorastasz, pewnego dnia jesteś w takim samym wieku jak on, kiedy umarł, i myślisz sobie: „Czy w ogóle jestem do niego podobny? Czy to z tego powodu”...

Umilkł. Fale pluskały, rozbijając się na piasku. W oddali zaczęło płakać jakieś dziecko, domagając się lodów. Rodzic odpowiedział syczącą francuszczyzną z prędkością karabinu maszynowego.

– Czy co? – naciskałam.

– Och, nie wiem, Luce. – Zdjął okulary przeciwsłoneczne i grzebał w torbie w poszukiwaniu etui. Znalazłszy je, wyjął kwadratową ściereczkę i zaczął energicznie wycierać oba szkła. Ten proces trwał kilka minut. Następnie zatrzasnął etui, wsunął okulary na nos i dokończył: – Czy to z tego powodu nigdy nie miałem poczucia przynależności.

Spojrzał na mnie i wtedy ujrzałam jego nagą bezbronność. Publicznej wersji Martina, czyli Martina, który za dużo mówił na proszonych kolacjach, który bywał pretensjonalny, maskując w ten sposób własną

niepewność, który kurczowo trzymał się swojej przyjaźni z Benem, jak gdyby zabezpieczała go przed nienawiścią do samego siebie, który nosił doskonale skrojone garnitury i wydawał zbyt dużo pieniędzy na markowe buty, jakby chciał coś wszystkim udowodnić, podczas gdy jedynym człowiekiem, który musiał w to uwierzyć, był on sam – takiego Martina na francuskiej plaży nie było. Zamiast tego miałam tę wersję, którą kochałam, Martina, który był wobec siebie szczery i który zamiast się złościć, zwyczajnie się bał. Tak jak my wszyscy bał się, że zostanie zdemaskowany.

Wstałam, przysiadłam się do niego, przyciskając rozgrzane udo do jego chłodniejszej skóry, pochyliłam się i lekko pocałowałam go w usta. Pachniał wodą morską i kokosem.

– Należysz do mnie – rzekłam.

Uśmiechnął się, objął mnie dłońmi w talii, usiadł i odwzajemnił pocałunek, pogładził moje plecy, przesuwając rękę w górę, do karku, bawił się moimi włosami, dotykał wilgotnych od potu końcówek.

– Tak – odparł i się odsunął; poklepał mnie po udzie. Wziął do ręki książkę i zaczął ją wertować.

Siedziałam tam jeszcze przez chwilę, wmawiając sobie, że nie ma się co smucić tylko dlatego, że pocałunek skończył się szybciej, niżbym chciała. Zwierzył mi się, myślałam; zaufał mi. Kocha mnie. Potrzebuje mnie. Należy do mnie, ponieważ dałam mu przestrzeń do bycia sobą. Nie ma chyba większego uczucia niż to, kiedy ktoś tak bardzo cię potrzebuje, prawda? Kiedy jesteś jedyną osobą, do której może się zwrócić?

Dzisiaj wiem, że się oszukiwałam. Spoglądając wstecz, nie mogę uwierzyć, jak bardzo dałam się stłamsić. Jak poświęciłam wszystkie potrzeby i pragnienia na ołtarzu tego przekonującego mężczyzny. Jak bardzo się zatraciałam, wcale sobie tego nie uświadamiając.

Tak bardzo pragnęłam wierzyć w znaczenie swojej osoby, w to, że mu wystarczam, że mogę go ulepszyć.

Byłam głupia, wiem.

Martin

Burtonbury, 1990

Jasne, że przejmowałem się tym, co na siebie włożyć. Choć to idiotyczne, potańcowa uchodziła za jedno z kluczowych wydarzeń towarzyskich semestru, a ja miałem do dyspozycji tylko dżinsy (strasznie obciachowe, takie z trochę za wysokim stanem i trochę za krótkimi nogawkami) oraz koszule w bladoniebieskie paski. Starłem się, jak mogłem. O ile jeszcze kilka tygodni temu wsadziłbym koszulę do spodni, teraz wiedziałem, że najlepiej zostawić ją nonszalancko wypuszczoną w połowie na wierzch.

Stojąc przed wysokim lustrem na drzwiach szafy, kilkakrotnie próbowałem wkładać ją do spodni, a potem wyciągać dokładnie tyle, ile trzeba – wystarczająco, ale nie za dużo. Zadowolilem się efektem dopiero po kilku minutach. Na tym polega nonszalancja. Wymaga cholernie dużo wysiłku.

Na buty nic nie mogłem poradzić. Oszczędzałem na kickersy, ale jeszcze mi trochę brakowało do osiągnięcia celu, zwłaszcza że przepuściłem czterdzieści funtów na płyty kompaktowe, które wcale mi się nie podobały. Więc znów byłem skazany na sznurowane półbuty. Z westchnieniem wyciągnąłem je spod łóżka.

Uświadomiłem sobie, że się denerwuję, ale wcale nie z powodu potańcowy. Bardziej stresowała mnie perspektywa spędzenia czasu tylko z Benem. Autokary miały wyruszyć do BGC dopiero za piętnaście ósma. To zaś oznaczało co najmniej czterdziestopięciominutowe sam na sam z Benem, które miałem skutecznie wykorzystać na swoją korzyść.

Na korytarzu najpierw rozległy się kroki, a potem dołączył do nich znajomy tubalny głos Doma. Zatrzasnąłem drzwi szafy, wcisnąłem portfel

do kieszeni džinsów i ruszyłem do wyjścia, czmychając, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Myślałem, że nie jedziesz! – krzyknął za moją oddalającą się postacią.

Zerknąłem na zegarek. Za piętnaście siódma. Zapukałem do pokoju Bena. Nikt nie odpowiedział. Przycisnąłem ucho do pomalowanego emalią drewna. Przez szparę między zawiasami sączyła się muzyka. Pchnąłem drzwi.

– Stary! – powiedział Ben, zapraszając mnie do środka. Stał pod oknem z rękami opartymi o parapet, ubrany w niebieską koszulę rozpiętą pod szyją na tyle głęboko, by spod dolnego guzika wyzierała kępka włosów na piersi. Uśmiechnął się szeroko, ukazując różową plamę języka. Na małym palcu lewej dłoni miał lśniący złotem sygnet. Za jego plecami słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając krótkie, grafitowe cienie na jasną wykładzinę pokoju. Przy nim wszystko wydawało się przykurzone – poniekąd całkowicie martwe.

Nie byliśmy sami. Czuję się rozczarowany, wodząc wzrokiem po chłopakach siedzących na brzegach łóżek, opartych o biurko, rozwalonych na podłodze, tak że pode mną rozpościerała się kratownica ich swobodnie rozrzuconych nóg. W pokoju unosił się niewyraźny zapach papierosowego dymu, a gdy próbowałem wytropić jego źródło, zauważyłem skręta ściśniętego między palcem wskazującym a kciukiem Bena. Wziął jeszcze jednego bucha, ściągając usta i leniwie mrużąc oczy, wydmuchał dym przez okno, rozpraszając ostatnie smużki stuloną dłonią, a potem zgasił niedopałek na kawałku aluminiowej folii, ciasno ją zwinął i schował do kieszeni džinsów.

– Wbijaj – rzucił Ben. – Czuj się jak u siebie. Suń się, Olly. Zrób Martinowi miejsce.

Chłopak z przyszczami jak pestki malin rozsianymi po całym czole przesunął się w bok. Skoro nie mogłem siedzieć obok Bena, zdecydowanie wolałbym zostać przy drzwiach. Ponieważ jednak Ben patrzył na mnie wyczekująco, znalazłem się w potrzasku. Wlazłem do pokoju, wpasowałem się w dostępny skrawek wykładziny, podciągnąłem kolana pod brodę.

Usiłowałem zachowywać pozory, że to najwygodniejsza pozycja na świecie, ale po pewnym czasie rozboleł mnie kark, pot spływał po plecach i stresowałem się, że kiedy wstanę, będę miał mokrą plamę na koszuli.

W pokoju dudniła muzyka zmieszana z gwarem rozmów, ale nikt nie mówił pełnymi zdaniami.

- Kurwa, tak, no i...
- ...w lepszej formie niż byś chciał.
- Nie, chłopie, nieee... kompletny gruchot.
- ...skarpety piłkarskie. Dwie pary.
- No wiesz, tak przynajmniej mówił Gadżet...
- ...co za ciul.

Oczekiwałem czegoś zupełnie innego. Nie zanosilo się na bliskie *tête-à-tête* z Benem, wymianę poglądów na temat tego, co lubimy, a czego nie lubimy, lepsze poznanie się. Właściwie zachowywał się tak, jakby zapomniał o mojej obecności, stał ramię w ramię z Jamesem Lewisem, starszym od nas o dziesięć lat rugbistą słynącym w całej szkole ze sportowych wyczynów. Obaj parskali śmiechem, szeptali sobie coś do ucha. Śmiech ucichł, Ben poklepał Jamesa po plecach, znów coś szepcząc, tłumiony chichot wdzierał się w szelest słów.

Ciekawe, jakie to uczucie, gdy jest się kimś tak otwartym?

– Bierz. – Pyszczaty szturchnął mnie w żebra. W prawej ręce trzymał piersiówkę z monogramem „B.F.”. Wziąłem ją od niego i przystawiłem sobie do ust. Niewiarygodne, ale wtedy po raz pierwszy skosztowałem czegoś mocniejszego niż jęczmienny tonik cytrynowy. Matka rygorystycznie pilnowała, by na stole nigdy nie było wina, uważając, że już sama obecność alkoholu w domu jest oznaką zepsucia i niedbalstwa.

Przechyliłem piersiówkę i poczułem, jak metaliczna moc wódki spada na tylną ścianę gardła niczym kombinacja bokerskich ciosów.

– Ej, ej, ej – mówił Pyszczaty. – Nie idź na całość, chłopie.

Lecz ja jeszcze nie skończyłem. Po pierwszym haŭście pociągnąłem drugi, pozwalając trunkowi spłynąć i rozlać się ciepłem po przełyku.

Natychmiast poczułem, jak coś we mnie zaskakuje: przenika mnie jakaś klarowność, przesywa prąd pewności siebie. Moje synapsy zaskwierczały jednym wielkim „tak”. „Tak” wdarło się do krwiobiegu. Tak, krzyczały krwinki, tak, tak, tak, jeszcze, jeszcze, więcej.

– Do chuja pana! Co za świr z tego kolesia!

Gdy wlewałem w siebie wódkę, słyszałem triumfalne okrzyki Bena.

– Dawaj, Martin. Pij. Da-waj, da-waj, da-waj! – skandował. Nie potrzebowałem zachęty. Porwał mnie słodko-kwaśny smak skosztowanego po raz pierwszy alkoholu, oszołomiło to, że znalazłem się w centrum uwagi. Tak jakbym przez całe dotychczasowe życie próbował włożyć do zamka niewłaściwy klucz i teraz wreszcie natknął się na ten pasujący, którego metalowe zębki perfekcyjnie i gładko wpasowały się w precyzyjnie ukształtowany otwór w moim rdzeniu.

To jest to, pomyślałem. To jest rozwiązanie. Tak, tak, tak. Jeszcze, jeszcze, jeszcze.

Oddałem piersiówkę. Zdrętwiały mi policzki i choć zamazywały mi się kontury, miałem zarazem wrażenie, że widzę wszystko z intensywną klarownością, jakby każdy ruch wokół specjalnie dla mnie zwalniał.

Zdenerwowanie się rozmyło. Zamieszkiwałem własne ciało, świadom fizyczności każdego mięsistego atomu. Rozprostowałem palce, podziwiając wspaniałą sprawność ręki: oszczędność konstrukcji, piękno. W kontemplacji przeszkodził mi inny chłopak, podając mi skręta. Wziąłem go, wsadziłem do ust, bibułka była rozmiękła od cudzej śliny, a kiedy się zaciągnąłem, poczułem nieprzyjemny smak. Powstrzymałem kaszel.

– Nie marnuj, stary – powiedział ktoś. – Trzymaj w płucach.

Sztachnąłem się ponownie, tym razem głębiej, a potem próbowałem przytrzymać dym, dopóki nie zabrakło mi tchu. Wtedy go wypuściłem, zastanawiając się, czy przypadkiem nie było to coś innego niż zwykły papieros. Gdy tylko wpadła mi do głowy ta myśl, wywróciły mi się oczy, a połowa czaszki zdawała się pękać jak rozbijana łyżeczką skorupka jajka. Zignorowałem wzbierającą falę nudności. Znów się zaciągnąłem.

Wszystko zaczęło się kłębić: światło słoneczne, podniesione głosy, szeroki uśmiech Bena obejmującego mnie ramieniem i wyprowadzającego z pokoju.

– Oddychaj – mówił. – Po prostu oddychaj.

A później smagnięcie zimnego powietrza na dworze, gdy wsiadaliśmy do autokarów, nikła woń zwietrzałego curry w tapicerce, walka o miejsca na tylnych siedzeniach, ciśnięcie się wśród niemal obcych ludzi, z jednej strony James Lewis szczypiący mnie w ramię i śmiejący się z czegoś, czego nie powiedziałem. Kolejne napitki, tym razem przezroczysty płyn przelany do plastikowych butelek po wodzie, jednoczesne kurczenie się i rozszerzanie mojej głowy; w pewnej chwili ogarnęła mnie autentyczna panika, ponieważ utraciłem poczucie swojskości, a już w następnej poddawałem się jej niczym morskiej fali, pozwalając sile wody wciągać mnie pod powierzchnię.

Pod żeńską szkołą wytoczyliśmy się z autobusów w różnych stadiach rozwrzeszczanego upojenia alkoholowego. Nauczyciele próbowali nas uciszyć, grożąc zakazem wyjścia z internatu, jeśli będziemy rozrabiać. Przetrzęsneli nam kieszenie, szukając alkoholu, ale butelek nie skonfiskowano, bo przecież wolno było mieć wodę, a potem wszyscy znaleźliśmy się w sali gimnastycznej, przystrojonej na tę okazję serpentynami i smętnymi balonami z helem.

Dudniąca muzyka. Jaskrawe błyski światła. Gwar naszych rozmów ucichł bez ostrzeżenia, straciliśmy wiatr w żaglach. Staliśmy pod ścianą w najciemniejszym kącie sali, jednolite bajoro sztubackiej męskości o przygarbionych ramionach i z wzrokiem wbitym w podłogę, a potem poruszenie, lawina dziewczyn pojawiających się nagle zewsząd i znikąd w zadymce chichotów, błyszczyków i truskawkowych perfum. Były ubrane w krótkie spódniczki albo obcisłe spodnie, kuse bluzeczki na ramiączkach i podkoszulki z prowokacyjnymi napisami na piersi, wparowały do sali, biorąc ją w posiadanie, jakby dokładnie wiedziały, co je czeka, co jest im pisane, jak potoczy się wieczór.

Niemal od razu zaczęły tańczyć, tworząc rozkołysany, falujący las srebrnych brzoź, udawały, że nie zwracają na nas uwagi, choć widziałem po rzucanych z ukosa spojrzeniach, że patrzą, patrzą, patrzą, filtrując salę.

Minęły godziny, a może tylko minuty, dwie dziewczyny odłączyły się od reszty – zbuntowane źrebaki niespiesznym krokiem sunące w naszą stronę, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, miały nagie ramiona, nogi pokancerowane od drobnych zacięć i draśnień.

Jedna podeszła do Jamesa, druga do Bena, śmiały się, ponieważ wiedziały, że są obserwowane, ich usta poruszały się zbyt szybko, mówiły zbyt dużo, a ja byłem zahipnotyzowany kształtem ich warg przypominających elastyczne taśmy, rozciągane, luzowane i ponownie naprężane do granic wytrzymałości.

Trzymałem w ręku butelkę, a widząc, jak dziewczyny ciągną Bena na parkiet, zawołałem go, po raz pierwszy wypowiedziałem głośno jego imię, słyszałem, jak ta pojedyncza sylaba spada niczym szklana kulka na wyfroterowaną drewnianą podłogę. Ben się odwrócił, spojrzał na mnie pytająco, wtedy ja wyciągnąłem w jego stronę butelkę wódki, żeby mu ją przekazać.

Wzruszył ramionami, powiedział: „Nie, dzięki, stary”, a po chwili był już na parkiecie, przysunął biodra do bioder dziewczyny, ona zarzuciła mu ramiona na szyję, wtuliła policzek w zagłębienie pod podbródkiem, ja zaś poczułem na ten widok nagły atak gniewu, ponieważ zostałem pominięty.

Ścisnąłem w garści butelkę, czując, jak plastik odkształca się i ugina pod palcami, i żałowałem, że nie jest szklana i że nie pęknie, a odłamki szkła nie wbiją mi się w dłonie, raniąc je do krwi.

Powinienem był się wstrzymać z czytaniem tego listu. Ale po powrocie do internatu wciąż byłem rozchwiany, wieczór wytrącił mnie z równowagi. No i pijany. Tak, należy o tym wspomnieć: bardzo, bardzo pijany. W drodze powrotnej skupiałem się na tym, by nie zwymiotować i nie wyobrazać sobie Bena z tamtą dziewczyną połączonych w tanecznym uścisku,

szczytów jego kości policzkowych podkreślonych przez zielonkawobiałe światła dyskotekowe, dłoni spoczywającej nisko na jej plecach.

Znalazłszy się z powrotem w Sullies, przeciągnąłem palcami po farbie na ścianie, by się upewnić, że wbrew pozorom budynek się nie rusza. W pewnym momencie zafalowała mi pierś, musiałem się pochylić z ręką przyciśniętą do żołądka, czekając, aż miną nudności.

Dotarłem pod drzwi pokoju. Widniało tam moje nazwisko, wypisane ozdobnym pismem przypomnienie, kim jestem: Gilmour. Przeczytałem je sobie, bezgłośnie poruszając wargami.

Dom i reszta jeszcze nie wrócili. Zapaliłem światło, zderzając się przy tym z szafą. Zabrzęczały druciane wieszaki. Klepnąłem się płaską dłonią w skroń, sądząc, że hałas pochodzi z jakiegoś wewnętrznego źródła. Uświadomiwszy sobie pomyłkę, głupio zachichotałem.

Wpadłem na pomysł, że może będzie mi łatwiej się poruszać, jeśli obniżę swój środek ciężkości, opadłem więc na czworaki i doczołgałem się do komody. Wysunąłem dolną szufladę, zapominając, że włożyłem piżamę pod poduszkę, starannie złożoną, tak jak nauczyła mnie matka. Wtedy moją uwagę przykuł rąbek papieru.

W stanie umysłowego przytępienia nie od razu przypomniałem sobie, skąd wziął się tam ten list i jak pospiesznie wepchnąłem go za pas piżamowych spodni podczas misji zwiadowczej do pokoju Bena. Podważyłem skrzydełko koperty, wciąż lepkie w miejscu, gdzie polizał je jakiś nieznajomy język. List był złożony na trzy wąskie prostokąty.

Nie rozpoznałem charakteru pisma. Nadawca użył pióra wiecznego z niebieskim atramentem, moja matka natomiast przy tych rzadkich okazjach, kiedy w ogóle do kogoś pisała, posługiwała się czarnym długopisem. Intensywnie niebieskie linijki płynęły swobodnie i zdawały się napisane w pośpiechu, końcówka każdego zdania obsuwała się, jakby spadała z urwiska, nad niektórymi „i” brakowało kropek, pętla dużego „G” była niesforna i niestaranna. Na lewym dolnym marginesie rozmazał się atrament.

Zacząłem czytać.

List nadano w Denby Hall, Yorkshire. Data: trzydziesty pierwszy sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku.

Kochany Benie...

Podparłem się na łokciach. Trudno mi było skupić wzrok. Przed oczami fruwały plamki przypominające jakieś niezidentyfikowane zarodniki. Zamrugałem powiekami i kontynuowałem czytanie.

Zastanawiałam się, czy pisać ten list, mój skarbie. Nie chcę przysparzać Ci zmartwień zwłaszcza teraz, gdy pewnie zdążyłeś już się zadomowić w Burtonbury i doskonale się bawisz. Z pewnością zawarłeś liczne znajomości! Wiem, że obawiałeś się nieco wyjazdu, ale zawsze masz tutaj dom i wszyscy bardzo Cię kochamy.

Dla nas wszystkich było to bardzo trudne lato. Martwi mnie Twoje milczenie, a nie chciałam wciąż Cię nagabywać – bądź dręczyć, jak wyraziłaby się Fliss! – i czasem łatwiej jest napisać list, niż osobiście mówić o trudnych sprawach. Zawsze tak uważaam.

Zauważyłem literówkę. Mój szacunek dla autorki spadł o kilka oczek. Ponieważ błąd rozproszył moją uwagę, następne zdanie zaatakowało mnie znienacka.

Kilka tygodni temu pytałeś mnie, dlaczego Magnus musiał umrzeć. Odpowiedź, kochany, jeśli w ogóle istnieje, prawdopodobnie jest zbyt trudna do pojęcia. To ten rodzaj rzeczy, które wie tylko Bóg. Ale sporo nad tym rozmyślałam i zastanawiam się, czy nie było w Magnusie czegoś, co wskazywało, że jest za dobry, byśmy mogli zatrzymać go dla siebie. Był takim uroczym, wesołym chłopcem, tak bardzo nas wszystkich rozśmieszał, prawda? Pamiętasz, kiedy był malutki, mówił na Ciebie Bobo, a Ty tego nie znosiłeś, ponieważ uważałeś, że to brzmi jak Bobas? Śmieję się, gdy to sobie teraz przypominam. Magnus zobaczył, że się złościś, przydreptał do Ciebie w pieluszce i dał Ci wielkiego buziaka w policzek, a wtedy nie mogłeś dłużej się na niego gniewać.

Być może tak już jest, że dzieci, które dają rodzinie tak wiele radości i miłości, można zatrzymać przy sobie tylko przez ograniczony czas. Kiedy

więc poważnie zachorował, dla Ciebie i dla nas było to nawet trudniejsze, kochany, niż dla niego

samego. Był taki dzielny. Powtarzali to wszyscy lekarze, pamiętasz? W tym miejscu na kartce widniał kleks, zapewne otarta łza. Papier marszczył się pod palcami.

Chciałam powiedzieć, że powinniśmy postarać się skoncentrować na tym, jaki Magnus był szczęśliwy i jak wiele dał nam szczęścia, nawet jeśli trwało ono zaledwie krótkie cztery lata. Tak bardzo kochał Ciebie i Fliss. Byłeś dla niego cudownym starszym bratem. Tak, tak. Mam nadzieję, że o tym wiesz.

Przykro mi, że Twoje letnie wakacje okazały się tak straszliwie smutnym czasem. Jeśli byliśmy z Tatą zbyt pochłonięci, to nigdy dlatego, że nie mieliśmy dla Ciebie czasu czy że Cię nie kochamy. Kochamy Cię ogromnie, skarbie. Kochamy bezgranicznie. Dzwon do nas, kiedy tylko chcesz – znasz numer i masz kartę BT. Kosztowała majątek, więc żadnych wymówek!

Zobaczymy się podczas Twojej przepustki w internacie. Już niedługo. Proszę, pamiętaj o porządnym myciu zębów i postaraj się zjeść od czasu do czasu jakiś owoc, nawet jeśli nie będzie Ci smakować.

Wszystkiego najlepszego, kochanie,

Mamusia.

Mamusia. Prychnąłem. Co za infantylizm. Moja matka nigdy nie mówiła o sobie inaczej, niż posługując się swoim imieniem, jak gdyby nie miała ze mną zupełnie nic wspólnego, tylko istniała jako odrębna jednostka, która w wyniku zbiegu okoliczności opiekowała się mną przez pewien czas. W naszym nieczułym podmiejskim domku nie spotykało się takich wyrazów miłości. „Kocham Cię bezgranicznie”. Wypowiedziałem te słowa na głos i parsknąłem śmiechem, uderzyły o ściany jak grad o szyby. Co to w ogóle znaczy? Jakieś sentymentalne bzdety, pomyślałem, a jednocześnie zrobiło mi się przykro, że nikt nie powiedział mi nigdy czegoś podobnego.

Dokonałem szybkich obliczeń. Sierpień tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt dziewięć. Miesiąc przed rozpoczęciem przez Bena ostatniego semestru w Burtonbury House, prywatnej szkole, do której uczęszczał razem

z Jarvisem, umarł jego młodszy brat, a matka wysłała mu ten list z troski o niego.

Starannie złożyłem kartkę wzdłuż zagięć i ponownie schowałem list do szuflady. Jutro będę musiał wykombinować, jak podrzucić go Benowi. Przedtem jednak go sobie przepiszę. Nie teraz, ponieważ nie jestem w stanie utrzymać w ręku długopisu, ale rano, nim ktokolwiek się obudzi.

Dlaczego chciałem mieć kopię? Nie rozumiałem własnej motywacji. Ale spoglądając wstecz, myślę, że chodziło mi o zabezpieczenie. Zabezpieczenie przed przyszłością. Wiedziałem coś o Benie, a on nie zdawał sobie sprawy, że to wiem. Coś, o czym nie wiedział chyba żaden inny chłopak w szkole. To dawało władzę. Sun Tzu: „Umiejętnie przeprowadza atak ten generał, którego przeciwnik nie wie, czego bronić; i ten jest zręczny w obronie, którego przeciwnik nie wie, co atakuje”.

I o coś jeszcze. O jakąś nieśmiałą iskrę myśli, która dopiero zaczynała się rozpalać. W następnych dniach i tygodniach zaświtało mi bowiem w głowie, że oto los podsuwa mi szansę. Zmarł ukochany brat Bena. Czyli w rodzinie powstała luka. Luka, którą ochoczo bym wypełnił.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Keith zapytał mnie dziś rano o początek mojej znajomości z Benem. Taka bezpośredniość była do niego niepodobna. Zwykle dawał mi przestrzeń do błędzenia myślami, od czasu do czasu ponaglał, wtrącając: „No więc?” albo „I co dalej?”, a gdy zniecierpliwiła go moja skłonność do urywania zdań, prosił: „Dokończ tę myśl”.

Tym razem zapytał prosto z mostu, czym dość mnie zaskoczył, ponieważ nie sądziłam, że będziemy aż tyle rozmawiać o Benie. Wydawało mi się, że głównym tematem będzie mój mąż, bo przecież o to chodziło w tym ćwiczeniu.

Keithowi drgnął kącik ust.

– W ćwiczeniu? – powtórzył. – Na czym ono, twoim zdaniem, polega?

Zastanowiłam się.

– Na zrozumieniu, dlaczego stałam się taka, jaka się stałam?

Nie chciałam użyć słowa „załamanie nerwowe”, choć wiedziałam, że taki jest oficjalny powód mojego przeciągającego się pobytu w tym miejscu. Ale tym samym zrobiłabym z siebie starą, rozklekotaną, rdzewiejącą maszynę o zacinających się trybikach. Poza tym nie sądzę, by to była prawda. Czy załamanie nerwowe nie oznacza, że człowiek traci kontrolę i zachowuje się irracjonalnie? Podczas gdy ja nigdy nie czułam się tak zdrowa na umyśle.

Keith powoli pokiwał głową, tak profesorsko.

– Dobrze. – Wypił łyk kawy. Rozpuszczalnej: rozpoznałam po zapachu. – I nie uważasz, że Ben mógł odegrać w tym jakąś rolę?

Siedziałam spięta, wyprostowana jak struna, tak że plecy praktycznie nie dotykały oparcia fotela. Czekałam. Keith też czekał.

- Nie chcę rozmawiać o Benie.
- Dlaczego?
- Bo tak. Bo jestem na niego zła.

I tak było. Niezbicie, bezdyskusyjnie. Po latach zachowywania rozsądku w końcu wpadłam w najprawdziwszą furię.

Nie miałam ochoty rozmawiać o tym, jak poznałam Bena, ponieważ musiałabym głośno przyznać, że go lubiłam. Więcej niż lubiłam. Był taki bystry, i zabawny, i przystojny, i wystarczyło, że się siedziało blisko niego. Był typem mężczyzny, na którym chcesz zrobić wrażenie i nic na to nie poradzisz.

Kiedy Martin zdecydował, że mi go przedstawi, twardo postanowiłam nie dać się zauroczyć. Tygodniami wysłuchiwałam opowieści o Benie i miałam go powyżej dziurek w nosie. Każda moja rozmowa z Martinem dziwnym trafem kończyła się uraczeniem mnie stosowną anegdotą lub wydarzeniem związanym z Benem Fitzmaurice’em albo jego siostrą Fliss, ich rodzicami bądź ich piękną wiejską rezydencją. Martin gadał o nim na okrągło, aż w końcu nie wytrzymałam.

– Mam wrażenie, że jest nas w tym związku troje – zauważyłam pewnego wieczoru. Chodziliśmy już wtedy ze sobą od kilku miesięcy. Przygotowałam filet z dorsza z sosem ze słoika, a Martin siedział przy kolacji z nieobecny wyrazem twarzy, opisując swoją podróż do Włoch oraz danie, które jadł z Benem w jakiejś restauracyjce w Cinque Terre.

– Wiesz, oczywiście Ben płynnie mówi po włosku – oznajmił.

– Oczywiście – mruknęłam.

– Ale nawet on nie umiał rozszyfrować menu. Zamówiliśmy więc makaron, a gdy przyniesiono nam dania... – Martin plasnął się dłonią w czoło w geście mówiącym „nie uwierzysz” – okazało się, że to paluszki rybne z groszkiem.

– Serio?

– Takie, jakie serwują w Little Chef!

– Zabawne.

Martin się usztywnił.

– Nie wydajesz się rozbawiona.

I wtedy wypaliłam, że jest nas troje w związku. Miał to być dowcip, ale Martin poczuł się urażony i wdał się w długą opowieść o tym, jak to Ben zawsze mu pomagał i że bez niego nigdy nie przebrnąłby przez szkołę.

– Więc kiedy go poznam?

– No... – wydusił Martin, zastygając z widelcem zawieszonym w połowie drogi między talerzem a ustami. – Zorientuję się, czy będzie na miejscu w ten weekend.

Poszliśmy do pubu w pobliżu Holland Park. Zjawiliśmy się tam z Martinem pierwsi, usiedliśmy w łoży w rogu, kilka minut później z rozmachem otworzyły się drzwi i wkroczył Ben, a za nim podmuch chłodnego jesiennego powietrza.

– Staaaary – powiedział, przeciągając słowo do granic. – Jak dobrze cię widzieć. A ty – dodał, uwalniając Martina z męskiego uścisku i zwracając się w moją stronę – z pewnością jesteś Lucy.

Wyciągnęłam rękę, lecz on cmoknął mnie w policzek. Żuł gumę miętową.

– Wiele o tobie słyszałem – kontynuował, zdejmując płaszcz, i jednym płynnym ruchem przysunął stół bliżej mnie. – Ale Martin zapomniał mi, niestety, powiedzieć, że jesteś taka zgrabna.

Zarumieniłam się.

– Ben, chłopie – rzekł Martin. – Łapy przy sobie.

Był to najbardziej niepodobny do Martina zwrot, jaki kiedykolwiek usłyszałam z jego ust. Odwróciłam się do niego, uniosłam brew i zauważyłam, że gdy podnosił szklanekę piwa, drżała mu ręka.

– Ja też wiele o tobie słyszałam – odparłam. – Ale niestety nie to, że jesteś tak dobrze zbudowany.

Ben uśmiechnął się od ucha do ucha, nawiązał kontakt wzrokowy, utrzymał go.

– No to przekonałaś się na własne oczy.

Nie sposób było przejść obok niego obojętnie. Miał przystojną twarz o bogatej mimice. Ruchliwą jak żywe srebro. Gęstą czupryną kręconych włosów, dłuższych niż obecnie. Raz po raz przeczesywał je dłońmi.

Martin zdawał się odprężony w obecności Bena. Gdy byliśmy tylko we dwoje, mówił głównie on, za to przy Benie prawie się nie odzywał. Ochoczo śmiał się wraz z Benem, gdy ten w komiczny sposób opowiadał jakąś rozwlekłą historię, przerywając mu tu i ówdzie, by przypomnieć o jakimś szczególnym obrocie wydarzeń.

Nie czułam się wyobcowana, wtedy jeszcze nie.

Sposób mówienia Bena był zarazem beztroski i żarliwy. Innych traktował z większą powagą niż siebie. Jego szczerość robiła na mnie wrażenie. Był niefrasobliwy w nieoczekiwany sposób.

Teraz jest zupełnie inny. Lata życia w mieście i małżeństwa z Sereną sprawiły, że stał się nieufny wobec świata, bardziej ostrożny. Szczypta szelmostwa zniknęła, zastąpiły ją nadęcie i nerwowość. Przypuszczam, że tak się dzieje, gdy zarabia się miliony, kupuje luksusowe domy i obraca w towarzystwie premiera. Tak czy owak, szkoda.

Jednak tamtego wieczoru Ben był miły i troskliwy i stawiał nam drinki. Spędziliśmy w tamtym pubie długie godziny. Na zewnątrz przygasało światło. Barman rozpalił ogień w otwartym kominku. Z niewidocznej szafy grającej sączyła się tandetna muzyka. Martin jęknął, usłyszawszy pierwsze akordy *Eye of the Tiger*.

– Muszę to zmienić.

Wygramolił się z łoży, lekko chwiejąc się na nogach, i przeszedł na drugą stronę baru.

Ben usiadł obok mnie, tak blisko, że dotykaliśmy się udami.

– Wiesz, że jesteś pierwszą dziewczyną Marta, którą poznałem?

– Cóż, mam nadzieję, że warto było czekać.

Podniósł do ust szklanę guinnessa i pociągnął spory haust.

– Zdecydowanie – odparł. – Szczęściarz z tego Martina.

Otworzyłam usta, by coś powiedzieć. Ben mnie powstrzymał.

– Potrafi być podstępny draniem, ale tam w środku ma dobre serce, wiesz?

Jego słowa zdawały się przede mną płynąć. Nie byłam pewna, czy dobrze usłyszałam, a potem zdałam sobie sprawę, że jestem pijana i pilnie potrzebuję coś przekąsić.

– Idę po orzeszki – oznajmiłam. – Muszę wrzucić coś na ząb.

Niepewnym krokiem poszłam do baru, a zanim wróciłam do naszego stolika z paczką prażonych fistaszków, Ben i Martin znów byli pogrążeni w rozmowie, siedząc obok siebie. Chciałam zażartować, że oni dwaj bardziej wyglądają na parę niż ja z Martinem, ale nie miałam okazji, bo ani na chwilę nie zamykały się im usta. Siedziałam więc na barowym stołku, chrupałam orzeszki i czekałam, aż skończą.

Keith uważa, że pociągają mnie mężczyźni powściągliwi w okazywaniu uczuć. Twierdzi, że gotowość do miłości budzi we mnie niepokój i zastanawia się, czy nie wynika to przypadkiem z mojej niskiej samooceny, która sprawia, że nie uważam się za kogoś zasługującego na uczucie. Ostatnimi czasy zaczął powtarzać to na naszych sesjach w ten czy inny sposób z coraz większą regularnością i wiem, że dziwi go brak mojej reakcji. Zdaję sobie sprawę, że ogólnikowy obraz dorastania, który mu przedstawiłam – dwoje kochających rodziców, bezpieczny i stabilny dom – nie zgadza się z jego terapeutycznym osądem. Zapewne wie – ponieważ jest dobry w swoim fachu, naprawdę dobry – że nie mówię mu całej prawdy.

Nie jestem pewna, czy chcę mu powiedzieć. Tak długo utrzymywałam prawdę w tajemnicy, że zaczęłam ją uważać za źródło jakiejś niewypowiedzianej mocy. I że jeśli wypowiem ją na głos, utracę część siebie. Dlatego postanowiłam napisać o tym tutaj w ramach eksperymentu. Tylko dla siebie. Zobaczymy, czy to coś pomoże.

Zdarzyło się to podczas studiów. Przybywając do Durham w zwiewnych spódnicach i martensach, nie byłam przygotowana na wyrefinowanie innych studentów. Aż do tygodnia adaptacyjnego nie uświadamiałam sobie, pod jakim żyłam kloszem. Wcześniej moje życie wyglądało następująco:

sympatyczna rodzina, miejscowa szkoła, stałe grono przyjaciół, poranna msza w niedzielę i pieczeń na świąteczny obiad.

W pierwszym tygodniu w Durham wpadłam natomiast w wir życia towarzyskiego, szotów z wódką i publicznego migdalenia się. Wszyscy byli non stop na bani. Raczone mnie piwem, podwójnym dżinem z tonikiem oraz alkoholowymi miksturami z red bullem i sambucą włącznie. Na spotkaniu promującym studenckie koło dramatyczne tak się upiłam, że musiałam wcześniej je opuścić, po czym zwymiotowałam w toalecie.

Właśnie w takim stanie skołowania i półprzytomności poznałam Davida. Był krępy, muskularny i niski, sięgał mi do czoła, jeśli akurat włożyłam płaskie buty, miał dołeczek w brodzie. Pochodził z Lancashire, wymawiał głoskę „r” w obcy mi, północny sposób. Był też pewny siebie, na granicy pyszałkowatości, i miał niewytłumaczalną charyzmę. Za każdym razem, gdy wchodziłam do pubu, on tam siedział, brylował na wysłużonej skórzanej sofie w głębi, obok tarczy do gry w rzutki.

To on uczynił pierwszy krok. Pewnego wieczoru czekałam przy barze w pubie na koleżankę i czytałam *Targowisko próżności*, przygotowując się do napisania eseju. Wyczułam jego obecność, jeszcze zanim go zobaczyłam, jakby powietrze się przesunęło, by zrobić miejsce jego pokaźnej posturze.

– Hejka – powiedział, zajmując sąsiedni stółek i przywołując barmana jednym palcem. – Kufelek IPA – poprosił. A do mnie rzucił: – Jestem David.

Wyciągnął rękę. Zrobiłam to samo. Miał mocny uścisk dłoni i przeciągał go bez potrzeby.

– Lucy – przedstawiłam się. I od razu się spięłam. Myślałam, czyby ostentacyjnie nie powrócić do lektury książki, ale nie mogłam oderwać wzroku od jego oczu – jasnozielonych, z szarymi cętkami, zaskakująco łagodnych jak na tak krzepkiego mężczyznę.

– Lucy – powtórzył, jakby bawił się brzmieniem mojego imienia. – Usiądź z nami.

Wziął nasze szklanki i jak gdyby nigdy nic zaprowadził mnie do grupki znajomych, poklepał na sofie miejsce obok siebie, a ja usiadłam i nawet nie przemknęło mi przez myśl, by się opierać. Mówił z takim przekonaniem, że postępowanie zgodnie z jego wolą wydawało się naturalne. To nie był urok osobisty, tylko coś dużo bardziej bezpośredniego: wiedział, czego chce, i po to sięgał.

Daliśmy sobie w gaz. Jego znajomi ciągle stawiali nowe kolejki. Piłam cydr, nie pamiętam, dlaczego akurat cydr, w każdym razie szybko uderzył mi do głowy i już wkrótce świat wokół wirował, a wzorzysta wykładzina falowała pod stopami. Nie był to jednak niepokojący rodzaj upojenia, któremu towarzyszy poczucie utraty kontroli. Ponieważ obok siedział David, czułam się bezpieczna i chroniona. Czułam, że on o wszystko się zatroszczy.

Poszłam z nim do jego pokoju. Nie było nawet żadnej dyskusji, po prostu z góry założył, że tak się stanie. No i stało się. A ja ochoczo w tym uczestniczyłam. Jakbym była z nim w znowie. Podobał mi się, chciałam się z nim całować, poczuć jego silne ramiona, a w tamtym stanie nie uzmysławiałam sobie, co się dzieje.

Otworzył drzwi kluczem, który nosił na szyi. Pamiętam to bardzo wyraźnie, ponieważ wydało mi się naprawdę dziwne. Podwinął rękawy koszuli powyżej łokci, widziałam więc złociste od słońca owłosienie na jego przedramionach. Stojąc za jego plecami, zauważyłam, jak dżinsy ciasno opinają pośladki. Nie miał ani grama tłuszczu. Tylko twarde mięśnie.

Światło w pokoju było zgaszone, zasłony rozsunęte. Zadarł mi podkoszulek, ściągnął go przez głowę i zaczął mocno całować mnie w usta, miażdżył mi wargi i wciskał język między zęby. Majstrował przy guziku spódnicy, a potem usłyszałam odgłos prucia się tkaniny, guzik odpadł, spódnica zsunęła się na podłogę, a ja wmawiałam sobie, że to takie seksowne, że jest taki władczy i doświadczony, wtedy jednak zdałam sobie sprawę, że wieczór z wesołego zamienia się w mroczny, że znajduję się na krawędzi i że od tej pory wszystko będzie wyglądało inaczej niż przedtem, powszedniość i nuda staną się jedynie wspomnieniem powszedniości

i nudy, i że w jednej sekundzie Lucy, którą byłam, przestanie istnieć w tej samej postaci.

Pchnął mnie na łóżko.

– Czekaj – powiedziałam, a gdy usłyszałam własny głos, brzmiał cicho i słabo i okropnie mnie zirytował. – Czekaj – powtórzyłam głośniej.

David zdarł ze mnie majtki, wsunął we mnie najpierw jeden palec, potem kciuk, głęboko, a ja w tym czasie myślałam: Tego właśnie chcesz, prawda? Prawda? A jeśli to nie jest to, czego chcesz, czy to nie oznacza, że jesteś oziębła? A także: Wyluzuj, Lucy. To jest normalne. To jest to, co powinny robić dziewczyny w twoim wieku. Rozrywka.

– Przestań – szepnęłam, ponieważ miałam ściśnięte gardło i nie mogłam wtłoczyć do płuc odpowiedniej ilości powietrza.

Spróbowałam jeszcze raz.

– Przestań.

Ale on już na mnie wlaźł, swoim ciężarem przygniatał mi żebra, lewa ręka złapała mnie za piersi i brutalnie je miętosiła, sapał, rwał mu się oddech, zielone tęczęwki, które wydawały mi się takie łagodne, kryły się teraz za mocno zaciśniętymi powiekami, tak jakby nie chciał patrzeć ani na mnie, ani na siebie, ani w ogóle na nic.

Zacisnęłam pięści i próbowałam go z siebie zepchnąć, ale on chwycił moje nadgarstki jak w imadło i docisnął je do poduszki.

– Prawdziwa mała tygrysica – mruknął.

Wierciłam się pod nim i wiałam, on nie przestawał napierać, zdrętwiały mi ręce, w tyle głowy pojawił się biały szum. Rozepchnął mi kolanem uda, a potem uwolnił jeden z nadgarstków, sięgnął do kutasa i się we mnie wbił. Krzyknęłam z bólu.

– Przestań się miotać, dobra?

Brutalnie wsuwał się we mnie i wysuwał, nie patrzył na mnie, utkwiał wzrok w wiszącym na ścianie plakacie z drużyną futbolową w czerwono-białych strojach, a ja gapiłam się w sufit, starałam się nie płakać i nie wydawać odgłosów innych niż konieczne, a potem, gdy było już po

wszystkim, czułam się pusta: wyczerpana z resztek energii czy oporu, jakbym przestała istnieć, jakbym była jedynie przedmiotem, którego można użyć.

David sturlał się ze mnie i odwrócił plecami. Nie padło żadne słowo. Po kilku minutach chrapał. Wyśliznęłam się z łóżka, pozbierałam ubrania i wróciłam do akademika.

Następnego dnia zdobyłam receptę na pigułkę „dzień po”.

Unikałam pubu i domu studenckiego Davida. Przez resztę semestru widziałam go tylko raz, gdy minęliśmy się na ulicy. Był grudzień, powietrze przenikały dźwięczne nuty świątecznej muzyki. Miałam na sobie kurtkę z kapturem, twarz w połowie zasłoniętą szalikiem. Szedł w moją stronę z torbą zakupową w rękę, zauważyłam na jego policzku fioletowego siniaka nad kością jarzmową. Zaczęłam się pocić. Nie mogłam się poruszyć. Wpadały na mnie zabiegane tłumy zakupowiczów, a ja patrzyłam tylko na niego.

Zatrzymał się przed kawiarnią, nie wiedział, że go obserwuję. Jego płaska, szeroka twarz wyglądała tak samo, jak ją zapamiętałam. Przemknęło mi przez myśl, czyby nie stawić mu czoła, nie powiedzieć, co mi zrobił. Ale wtedy u jego boku zjawiała się ładna długowłosa blondynka w robionej na drutach czapce z pomponem i nausznikami, pocałowała go w policzek, David objął ramieniem jej szczupłe ramiona, po czym przeszli na drugą stronę ulicy i oddalili się, nie oglądając się za siebie.

Nigdy nikomu o tym nie mówiłam. Przez długi czas czułam, że pakując się w taką sytuację, byłam sama sobie winna. Teraz wiem, że to powszechne przekonanie wśród ofiar gwałtu. Gwałtu. Trzeba nazwać rzecz po imieniu.

David nadszarpnął wpojona mi przez rodziców pewność siebie. Zaczęła się rozwiewać. Czułam się tak, jakby ktoś obdarł mnie z jednej warstwy skóry. Sądziłam, że skrzętnie to ukrywam, teraz jednak rozumiem, że musiałam być jak światło latarni wabiące tych mężczyzn, którzy wykorzystywali moją małość, by podbudować swoją wielkość.

Poznałam kogoś takiego na drugim roku anglistyki. Był francuskim studentem, który przyjechał na rok w ramach uczelnianej wymiany. Miał na

imię Thibault, ale wszyscy nazywali go Lucky, ponieważ jego rodzice kiedyś uznali, że wygląda jak postać z francuskiej kreskówki Lucky Luke i to przywisko już do niego przywarło.

Lucky był czarujący i bystry. Potrafił formułować opinie na dowolny temat i wyrażać je z absolutnym przekonaniem, jak gdyby nikt nie mógł myśleć inaczej. Poznaliśmy się w klubie nocnym, całowaliśmy się na parkiecie, myślałam potem, że już nigdy się do mnie nie odezwie, ponieważ był zbyt przystojny, zbyt pewny siebie, ogólnie rzecz biorąc, „zbyt” pod każdym względem. Zadzwoił już następnego dnia. I kolejnego. Lucky i Lucy. Lucy i Lucky. Wkrótce zostałam jego dziewczyną i od tamtej pory jego czujna troskliwość się nasiliła.

Nie lubił, kiedy nosiłam sukienki.

Gdy wychodziłam gdzieś z przyjaciółmi, nalegał, bym dzwoniła do niego z budki telefonicznej co godzinę, by dać mu znać, że wszystko u mnie w porządku. Mówił, że to dlatego, że się o mnie martwi. Kochał mnie tak bardzo, że dbał o moje bezpieczeństwo, a ja tego nie kwestionowałam.

Nauczyłam się nie przerywać, kiedy mówił.

Był niezadowolony, jeśli się z nim nie zgadzałam. Po pewnym czasie przestałam mieć odrębny punkt widzenia, bo autentycznie uwierzyłam, że to on ma rację, a nie ja, nawet w kwestiach, na których znałam się lepiej.

Gdy wybrałam się kiedyś do fryzjera i poprosiłam o fryzurę z grzywką, powiedział mi, że jest brzydka i że głupio zrobiłam, bo będzie odrastać miesiącami.

– Nigdy nie myślisz! To jest twój problem, Lucy! Nigdy nie myślisz naprzód.

Oglądałam swoje zdjęcia z grzywką i widzę, że się mylił. Grzywka mi pasowała. Tworzyła ramę dla twarzy.

Pojechaliśmy kiedyś na wakacje do Nantes, gdzie poznałam jego rodziców. Ojciec był arogancki i apodyktyczny. Matka cicha i urocza. Gdy ojciec zapytał, co chcę robić po dyplomie, odpowiedział za mnie Lucky. „Ona nie wie. Zostawia wszystko na ostatnią chwilę”. Próbowałam

protestować. Wziął mnie za rękę, cmoknął w grzbiet dłoni i oznajmił: „Jesteś taka zabawna, gdy starasz się mówić po francusku”, a potem odwrócił się do ojca, powiedział coś, czego nie zrozumiałam, obaj się roześmiali, a ja nie wiedziałam, co ich tak rozbawiło.

Ciągnęliśmy to przez osiem miesięcy. Lucky stawiał wymagania, ja dla świętego spokoju ich przestrzegałam. Pod koniec robiłam wszystko, czego chciał: z nikim nie wychodziłam; nie upijałam się; nie nosiłam ubrań, których nie lubił; nie widywałam się z nieodpowiednimi według niego ludźmi; nie mówiłam nieodpowiednich rzeczy; niczemu się nie sprzeciwiałam.

Oczywiście mnie zdradzał. Dlaczego miałby tego nie robić, skoro zaskarbiłam sobie tak znikomy szacunek? Kiedy weszłam do jego pokoju i zastałam tam studentkę pierwszego roku z kolczykiem w nosie i tatuażem w kształcie serca na karku, która akurat mu obciągała, niespecjalnie byłam zaskoczona.

Za to zdruzgotana, i owszem. Płakałam. Próbował mnie odzyskać, zapewniał, że tamto było bez znaczenia, że ta dziewczyna to dziwka i w ogóle nie dorasta mi do pięt. Musiały jednak pozostać we mnie jakieś resztki poczucia godności, ponieważ powiedziałam Lucky’emu, żeby się walił. Wymazałam jego numer z notesu. A po jego wyjeździe do Francji dowiedziałam się, że tamta dziewczyna była jedną z wielu. Wszyscy moi znajomi wiedzieli, ale nie chcieli mi mówić, ponieważ sądzili, że i tak ich nie posłucham. Prawdopodobnie mieli rację. Mimo to czułam się przez nich zdradzona.

Po Luckym uznałam, że chcę być sama. Tylko że nie zostałam do tego stworzona. Potrzebowałam być z kimś, żebym nie musiała zbyt głęboko analizować własnej psychiki. Jeszcze w tym samym miesiącu miałam kolejnego chłopaka. Tym razem byłam na tyle ostrożna, by zanadto się nie angażować uczuciowo i nie rozsypać na kawałki wraz z rozpadem związku. Taktyka działała.

A później był kolejny, i jeszcze jeden. Wszystkie romanse trwały najwyżej pół roku, a kończyły się, gdy czułam zagrożenie, że chłopak za

bardzo mnie osacza, zbyt dobrze mnie poznaje.

Ironia polegała na tym, że intrygowała ich właśnie ta moja rezerwa. Tak to jest z mężczyznami: pragniesz uwagi i miłości, oni się wycofują. Gdy tylko tobie przestaje zależeć, oni wypełniają lukę i zaczyna im zależeć za bardzo. Oczywiście do bólu, słowo daję.

Bez chłopaka czułam się samotna. A kiedy byłam w parze, tęskniłam za wolnością. Odgrodziłam się murem, jakbym ukryła swoje prawdziwe ja w tajnym przejściu, takim *priest hole*, kryjówce, którą koleżanka pokazała mi kiedyś w korytarzu ich drewnianego szesnastowiecznego domu. Opukuje się boazerię i nagle głośny odgłos – kłękcie trafiają na puste miejsce za deskami. By otworzyć to zakamuflowane schronienie, trzeba wiedzieć, jak odpowiednio nacisnąć deskę: wystarczyło lekkie trącenie kciukiem, zamek puszczał i drzwi stawały otworem.

Miałam chłopaków. Miałam kryjówkę. I tak mniej więcej funkcjonowałam do czasu poznania Martina.

Był inny – bezpieczny, ponieważ choć wiedziałam, że mnie potrzebuje, nigdy tego nie okazywał ani nie dawał mi odczuć, że oczekuje ode mnie wzajemności. Szanował moją przestrzeń fizyczną i emocjonalną. A nawet jeśli czasem przekładało się to na dystans z jego strony i zamknięcie w sobie, czy to nie lepsze rozwiązanie? Przynajmniej potrafiłam to zrozumieć.

5

Komisariat policji w Tipworth, 15.45

Nigdy nie byłem palaczem z prawdziwego zdarzenia. Oczywiście w szkole popalałem skręty i od czasu do czasu wyzebrałem od kogoś marlboro. Ale sam nigdy nie kupiłem sobie paczki fajek. W czasach szkolnych brakowało mi pieniędzy, a w późniejszym okresie, gdy finanse przestały być problemem, odkryłem, że nie ciągnie mnie do papierosów. Miałem skłonność do mocniejszych substancji.

Ale kiedy Szary Garniturek proponuje przerwę na papierosa, korzystam. Chcę się wydostać z tego pokoju. Plastik krzesła wpija się w spodnie, skóra na tylnej części ud lepi się od potu. Odczuwam tępy ból w prawym barku. Zawsze miałem skłonność do bólów szyi i barków. Poszedłem raz do kręgarci, w której drobnych, lecz silnych dłoniach chrupnęło mi coś w kręgosłupie i która następnie chwyciła oburącz moją głowę i gwałtownie przekręciła ją w bok. Gdy wstałem ze stołu do masażu, kazała mi obracać głowę. Tak zrobiłem, nie do końca rozumiejąc sens tego polecenia, ale byłem zdumiony, gdy się okazało, że zakres ruchu zwiększył się o kilka stopni. Otworzyło się przede mną całe nowe pole widzenia i moja pierwsza myśl wcale nie brzmiała: Jak wspaniale, teraz widzę wszystko to, czego nie mogłem wcześniej zobaczyć. Zamiast tego pomyślałem: Co do tej pory mi umykało? Czego nie zauważałem?

– Piętnaście minut przerwy – oznajmił Garniturek niemal przyjaznym tonem po wyłączeniu magnetofonu.

– Dziękuję.

Beżowowłosa uśmiecha się ze znużeniem. Odsuwa krzesło i wstaje. Ma nienaturalnie powolne i ociężałe ruchy. Dopiero kiedy idzie do drzwi, dostrzegam pod luźną bluzką zaokrąglony brzuch.

– Jest pani w ciąży – wypalam bez namysłu.

– Tak.

– Gratulacje.

– Dziękuję.

Wychodzi z pokoju, a ja czuję się jakoś oszukany, że moje wysiłki zmierzające do stworzenia atmosfery życzliwości, nawiązania normalniejszej rozmowy towarzyskiej zostały zlekceważone. I znów cofam się do szkolnych lat, do poczucia wyobcowania, niezrozumienia zasad. Jakże trudno jest być normalnym.

Szary Garniturek wskazuje drzwi i wychodzi za mną na zewnątrz. Korytarz wypełnia inne powietrze. Lżejsze, świeższe.

– Może pan wyjść przed budynek. Przy parkingu.

– A, dziękuję. Tylko że... cóż, wiem, głupio wyszło, ale zostawiłem papierosy... nie liczę na to, że...

– Ależ tak.

Wyjmuje zmiętą paczkę cameli. Przypuszczam, że mnie poczęstuje, a potem zniknie na tajemniczym zapleczu komisariatu, tymczasem on wychodzi ze mną na zewnątrz. Stajemy z boku automatycznych drzwi. Podaje mi zapalniczkę – srebrną zippo z wygrawerowanym z boku logo Harleya Davidsona. Po pstryknięciu kciukiem płomień wystrzela w górę. Zaciągam się. Dym wdziera się w gardło, gęstnieją nitki śliny, zasycha mi w ustach i szczypią mnie oczy.

Nie przychodzi mi do głowy nic, co mógłbym powiedzieć. Garniturkowi najwyraźniej to nie przeszkadza. Stoi zgarbiony pod ścianą, trzyma papierosa między palcem wskazującym a kciukiem jak kowboj. Sprawia wrażenie człowieka swobodnie czującego się we własnej skórze, do tego stopnia, że nigdy nie musiał podważać swego miejsca w świecie. Kogoś, kto po prostu uznaje szczęśliwe życie za coś, co mu się należy. Ucieszyłyby go zadania fizyczne. Zachwyciłby skuteczny atak podczas meczu rugby. Montowanie półek poprawiłoby mu humor na cały weekend. Nigdy nie rozmyślałby zbyt długo ani zbyt głęboko o ciemniejszych stronach życia

i dzięki temu szedłby przez nie, doświadczając go tylko połowicznie i się tym zadowolając. Nie przejmowałby się, że nie jest w stanie maksymalnie obrócić głowy, ponieważ zawsze patrzyłby przed siebie.

– Przypuszczam, że ma pan ciekawsze sprawy niż ta – mówię, siląc się na swobodny ton, taki, który, jak sędzę, doceni.

Wzrusza ramionami.

– W końcu to zwykły wypadek na przyjęciu – ciągnę uparcie, ponieważ ni z tego, ni z owego ogarnia mnie przemożna potrzeba skłonienia go do odpowiedzi. – Domyślam się, że raczej nie jest to sprawa przełomowa dla pańskiej kariery.

Ciska na ziemię niedopałek, zgniata go na asfalcie czubkiem buta.

– Och, tego bym nie powiedział. – Nie patrzy na mnie, spogląda w stronę parkingu, jakby dostrzegł coś fascynującego między niebieskim oplem astrą a Dallas Chicken & Ribs po przeciwnej stronie ulicy. – Czasem – mówi – najbliższe incydenty prowadzą do największych odkryć.

Brzmi to jak wyświechtany slogan przeczytany niegdyś na sreberku ciasteczka z wróżbą, ale Garniturek wypowiada te słowa z takim spokojem, że się spinam. Wiatr zdmuchuje ze schodów opakowanie po chipsach. Gołąb drepcze i grucha. Wyje syrena. Z baru z kurczakami niesie się zapach tłuszczu.

Mój papieros niemal się wypalił. Zaciągam się ostatni raz i rzucam niedopałek w stronę gołębia. Wchodząc do budynku, czuję kołatanie serca, niepewne wewnętrzne skrobanie nieznanymi paznokci. To podniecenie, uświadamiam sobie: pierwszy rozbłysk ognia po potarciu zapalki o draskę. A głębiej czai się coś jeszcze; coś, do czego jestem mniej skłonny się przyznać.

Panika w obliczu tego, co nastąpi.

2 maja

Salon, klasztor Tipworth, 21.00

Tłum gości na piętrze był jeszcze gęściejszy niż na dole. Salon o ścianach w kolorze groszkowym, zdobiony lustrami w złożonych ramach, zawierał bogaty wybór pań odzianych w kolorowe koronki. Przed kominkiem wąsaty mężczyzna w szelkach i zakładanych na buty getrach przygotowywał mojito. Obok niego dziewczyna w minispódnicy wyłuskiwała ostrygi, fragmenty muszli pryskały na miękki dywan niczym odłamki pocisków.

Prześliznąłem się obok powieściopisarza, którego kariera chwilowo legła w gruzach z powodu skandalu z prostytutką. Rozmawiał z piosenkarzem popularnym w latach osiemdziesiątych. Artysta estradowy miał na głowie idiotyczny cylinder, a na szyi i dekolcie czarny makijaż, przypuszczalnie dla odwrócenia uwagi od żałośnie licznych podbródków.

Słowo daję, skąd Ben wytrzasnął tych wszystkich ludzi?

Wiedziałem, że od lat notorycznie kolekcjonuje gości. Zamożność Bena umożliwiała mu poruszanie się w określonych kręgach. Zawsze znajdował się na prasowych listach bogaczy. Przekazywał pokaźne sumy na odpowiednie organizacje charytatywne. Zawsze można było liczyć na to, że na cichych aukcjach jego pieniądze wzbudzą największe emocje.

Rok temu „Tatler” zamieścił dwustronicowy artykuł, w którym okrzyknięto go „najbardziej ustosunkowanym mężczyzną w Wielkiej Brytanii”, zρέcznie ilustrowany skomplikowanym wykresem przedstawiającym bliskie powiązania Bena z różnymi tytanami biznesu, mediów i polityki. Zasłużyłem sobie na drobną wzmiankę w prawym dolnym rogu strony, walcząc o miejsce z oligarchami oraz ikonami mody.

Wklejono tam moje stare zdjęcie z czasów, gdy nosiłem jeszcze opadające na twarz włosy.

„Dziennikarz i autor Martin Gilmour – podpisano. – Szkolny kolega i honorowy członek kręgu Notting Hill”.

Wówczas śmialiśmy się z tego z Benem, z wyobrażenia, że istnieje jakiś „krąg”, jakbyśmy byli borsukami węszącymi w podszybie zachodniego Londynu w poszukiwaniu ostentacyjnie szykownego miejsca do życia. Udawał, że artykuł w „Tatlerze” go nie obchodzi, dyskredytował go, nazywając „nieszkodliwym bełkotem”, ale widziałem, że był zadowolony. Lubił być lubiany.

Dokończyłem drinka i ruszyłem w kierunku przyrządzającego je faceta.

– Mojito dla pana?

– Tak. Poproszę mocne.

– Wszystkie są mocne, szanowny panie.

– To dobrze.

Poczułem, jak ktoś ściska mój łokieć, a potem gardłowy głos wypowiedział moje imię. Zamarło mi serce. Wiedziałem, kto zacz, nawet bez oglądania się za siebie. Gilly Rawlings: jedna z tych osób, których człowiek unika całe życie tylko po to, by wpadać na nie z zatrważającą częstotliwością. Nie powinienem być zdziwiony. Gilly opisywała siebie jako „królową nawiązywania kontaktów”, co oznaczało, że z natury była niezdolna do odrzucania jakichkolwiek zaproszeń. Nigdy do końca nie rozumiałem, na czym polega owo „nawiązywanie kontaktów”, poza pojawianiem się w rozmaitych telewizyjnych debatach i panelach dyskusyjnych i opowiadaniem o znaczeniu sieci znajomości w życiu zawodowym i osobistym. Gilly była także gospodynią cotygodniowego programu radiowego zatytułowanego *Who Knows Who* i słynęła z ogromnej liczby obserwatorów na Twitterze. Dwa lata wcześniej popadła w pewne tarapaty, zamieszczając post popierający feministyczną aktywistkę, która walczyła o umieszczenie na banknotach wizerunku kobiety (jak zauważyłem wówczas w rozmowie z Lucy, mieliśmy już na każdym banknocie kobietę pod postacią królowej; Lucy przyjęła tamtą uwagę

z lodowatym milczeniem). W każdym razie po publicznym poparciu tego groteskowo trywialnego pomysłu Gilly grożono śmiercią, lecz żadna z tych pogroźek się nie ziściła. Niestety.

– Gilly, skarbie – powiedziałem. – Mojito?

– Nie, dziękuję. – Wskazała na swoją opiętą ubraniami talię. – Dieta.

– Pięć na dwa? – dociekałem.

– Nie, nie. Nie. Miałabym się głodzić? Jak sierota z Afryki? Niedoczekanie, kochany.

W tym momencie najbardziej szarmanccy z mężczyzn by zaprotestowali, zapewniając, że absolutnie nie potrzebuje się odchudzać. Ale Gilly była niska i okrągła, a wszystkie części jej ciała zdawały się stapiać ze sobą nawzajem, jak gdyby pod spodem nie było żadnej konstrukcji wspierającej. Więc milczałem.

– Co za przyjęcie! – wykrzyknęła. – Widziałeś, o, tam...?

Wymamrotała nazwisko sławnego szefa kuchni, który ostatnio odszedł od żony i związał się z koleżanką po fachu, odrobinę mniej znaną niż on. Mnie osobiście niesłychanie męczy ta współczesna obsesja na punkcie jedzenia. Wszystko jest pianką, korzeniem, gniecionym awokado, ragoût ze świńskiego ryja i ścinków jagnięcych jąder. Co się stało z grzanką? Zwykłą pocziwą grzanką? Bez masła. Najwyżej z odrobiną jeżynowego dżemu.

– Tak, wspaniałe – przyznałem.

– Podobno... w sumie chyba nie powinnam o tym mówić, bo to tylko plotka... – Zawiesiła głos.

– Podziel się.

Gilly roześmiała się perliście i pochyliła w moją stronę. Niemal dotknęła czołem mojego ramienia.

– Chodzą słuchy, że być może nieco później pojawi się tu premier. Najwyraźniej...

Widziałem, jak poruszają się jej usta, ale resztę słów zagłuszyły nieoczekiwane dźwięki głośnego jazzu.

– Och – zaświergotała Gilly. – Tańce!

Zamilkła wyczekująco. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że chce, bym odprowadził ją na dół i kołysał się wraz z nią na parkiecie. Ponieważ absolutnie nie miałem takiego zamiaru, zacząłem przeglądać w myślach osobisty katalog możliwych wymówek, ale wtedy na linii mojego wzroku pojawiła się zwalista męska postać. Natychmiast ją rozpoznałem: układ barków, mocne, krępe nogi, zadziorna postawa. Postać się zbliżała. Zastanawiałem się, czy zdołam zwiać, nim do mnie podejdzie, ale Gilly nie przestawała trajkotać, a gdy obejrzałem się przez ramię, zobaczyłem, że drogę do najbliższych drzwi blokuje tłum ludzi.

Postać nadal podążała w naszym kierunku. Zaskoczyło mnie nagłe kołatanie serca, bum-bum-bum, z dziką mocą tłoczące krew do żył. Jak to możliwe, by wyzwalał we mnie taką reakcję po upływie tylu lat? Ten tak mało istotny człowiek.

– Och, Andrew! – pisnęła Gilly, gdy postać nabrała bardzo konkretnych kształtów; rozmazana plama w drugim końcu pomieszczenia zyskała ostrość i wyraźne kontury. Gilly wspięła się na palce, by cmoknąć go w policzek, i zostawiła na skórze wilgotny ślad szminki, który natychmiast starł. – Czy wy się znacie?

– Znamy się – odparłem.

– Jak się masz, Martinie?

Spoglądałem prosto w mięsistą twarz Andrew Jarvisa i kombinowałem, jak się zachować. Przez moment myślałem, by obrócić się na pięcie i odejść. Tak chciałbym postąpić w alternatywnej rzeczywistości, w której byłbym kimś innym, samoistnym bytem, a nie człowiekiem żyjącym w cieniu najlepszego przyjaciela. Ale było to przyjęcie Bena. Powinienem zachowywać się uprzejmie wobec jego gości bez względu na to, jak bardzo mnie mierzili.

– Cześć, Jarvis – powiedziałem. – Dziękuję, doskonale. A ty? Dowiedziałem się o twoich najnowszych osiągnięciach – wlałem w to słowo największą pogardę, jaką mogłem z siebie wykrzesać – z dzisiejszego „Telegraphu”.

Roześmiał się.

– Och, nie wierz w nic, co wypisują w gazetach. – Nie pił alkoholu, jak odnotowałem. Trzymał w ręku butelkę gazowanej wody mineralnej Burtonbury. Jeszcze nieodkręconą. – Dziennikarze piszą, co im się żywnie podoba.

Nie zareagowałem na ten afront. Gilly nerwowo zachichotała.

– No to niech się dowiem... jakim cudem skrzyżowały się wasze ścieżki? Machała dłońmi jak przestraszony ptak trzepoczący skrzydłami.

– Jeszcze w szkole – wyjaśnił Jarvis. – Kumplowaliśmy się w szkole, prawda, Martin?

– „Kumplowaliśmy się” to zbyt mocno powiedziane – sprostowałem. Zamrugnął powiekami. Zaśmiałem się, by pokazać, że nie należy traktować tego poważnie. – Nie, no, słowo daję, Jarvis, wspaniale, że sprawy ułożyły się tak doskonale. Trafiło na... najbardziej zasługującego na to człowieka.

– Dzięki, Martin. Szalenie miło z twojej strony. Ciekawy czas na wejście do polityki, to na pewno. Mnóstwo poważnych dyskusji na temat Europy, opieki społecznej, imigracji. Oglądałeś tamtego kretyna w *Question Time*, który bredził o renacjonalizacji kolei?

Kiwnąłem głową. Wprawdzie w ogóle nie oglądałem *Question Time*, ale Jarvisa zupełnie nie interesowała odpowiedź. On chciał po prostu perorować, najlepiej nieprzerwanie. Z czasem nauczyłem się, że ludziom jego pokroju najlepiej pozwolić przynudzać, aż wystarczająco się rozkręcą. Prędzej czy później popełnią błąd logiczny tak gigantycznych rozmiarów, że łatwo będzie się wtrącić i rozłożyć ich na łopatki. Trzeba jednak wyczekać stosownej chwili na zadanie ciosu. W tym tkwi cały sekret.

– Powiedziałem żonie – tokował Jarvis – powiedziałem jej: „Bitsy, nie uwierzyłybyś, jak ten gość zachowuje się w kularach. To znaczy”...

Raptownie przerwał.

– Jest tu twoja żona, Martinie? – zapytał, jakby ta myśl właśnie wpadła mu do głowy.

– Tak.

– Naprawdę?

– Wydajesz się zaskoczony.

Zmrużył oczy. Miał bardzo jasne rude brwi, niemal przezroczyste.

– Ależ nie, skądże. Nie byłem pewien, czy nadal ze sobą jesteście. Nigdy... nigdy nie sprawiałeś na mnie wrażenia zwolennika małżeństwa.

Kelnerka podsunęła nam tacę ze szklaneczkami zawierającymi zjadliwie zielony płyn.

– Tajska zupa kokosowa? – zaproponowała.

Jarvis i ja wzięliśmy po jednej. Gilly z żalem pokręciła głową.

– Dieta – mruknęła, lecz nikt nie zwrócił na to uwagi. Podniosła głos, postanawiając nie dać się ignorować. – A więc – powiedziała, kierując wzrok na Jarvisa. – Czy to prawda, że przyjdzie premier?

Wzruszył ramionami.

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Och, dajże spokój! – Kokieteryjnie klepnęła go w pierś. – Ależ z ciebie żartowniś!

Udawał, że bardzo żałuje, ale nie wie. Zapamiętałem ze szkoły, że zawsze usiłował sprawiać wrażenie człowieka bardziej wtajemniczonego, niż był faktycznie. Powinien wreszcie z tego wyrosnąć.

– Słuchaj, zdradziłbym ci, gdybym wiedział, ale... – Postukał się palcem w nos.

Gilly poczerwieniała na twarzy. Jej kolczyki – duże sztuczne szmaragdy zwisające z pulchnych płatków uszu niczym kryształy z żyrandola – zaczęły pobrzękiwać, jakby przejmując jakieś wewnętrzne pulsowanie. Wydawało mi się, że Gilly lada chwila pęknie z napięcia.

– Przyjdzie – rzuciłem.

Oczy Jarvisa ciskały gromy.

Gilly błyskawicznie zwróciła się w moją stronę.

– Naprawdę? – zapytała.

Kiwnąłem głową.

– Ben mi powiedział. Musieli zapewnić dodatkowe środki bezpieczeństwa.

Gilly kołysała się na piętach. Rąbek jej sukienki był wykończony metalową taśmą, która dzwoniła przy każdym ruchu.

– O mój Boże – rzekła. – Muszę iść powiedzieć Marinie.

Posłała nam obu zdawkowego całusa i pospiesznie się oddaliła, zaaferowana plotką, którą zaraz będzie mogła się podzielić. Odprowadziłem ją wzrokiem. Fałdy fioletowej tafty jeszcze bardziej poszerzały jej i tak szeroki zadek.

Ponownie skierowałem uwagę na Jarvisa. Miałem pustkę w głowie, kompletnie nie wiedziałem, co powiedzieć.

– Dobrze się bawisz? – zaryzykowałem.

Spojrzał na mnie.

– Nadzwyczajnie – odparł.

– Tak, Ben nigdy nie robi niczego na pół gwizdka.

– Nie mówię o przyjęciu. Mówię o tobie. – Jarvis odkręcił butelkę i wypił łyk wody. – Zmieniłeś się.

– Co masz na myśli?

– No... – Wolną ręką zakreślił pionową linię z góry na dół. – To. – Roześmiał się. – Widzę, że już nienosisz okularów.

– Nie – przyznałem, uważając, by nie zetrzeć z twarzy przyklejonego uśmiechu.

– I te włosy... – Pochylił się. – Też są inne. Jakby ciemniejsze?

Milczałem.

– I garnitur – dodał z ironicznym uśmiechem. – Bardzo szykowny.

– Obowiązuje strój wieczorowy. Nie rozumiem, do czego zmierzasz?

– Ale to nie jest zwykły strój wieczorowy, prawda, Martinie? – Wypowiedział moje imię z osobliwym naciskiem. – Wygląda na bardzo drogi, szalenie szykowny.

Dałem barmanowi znak, by przyrządził dla mnie kolejne mojito.

– Korzystamy z Benem z usług tego samego krawca – wyjaśniłem.

– Ależ naturalnie. Naturalnie! – wykrzyknął, rozbawiony jakimś zrozumiałym tylko dla siebie żartem. Sączył wodę małymi łydkami, lecz gdy znów się odezwał, jego głos brzmiał oschle, oschlej niż poprzednio. – Świetnie się w życiu urządziłeś.

– Tak. Cóż, nie wszyscy nadajemy się na polityków...

– W istocie. – Kolejny łyk wody. – Zawsze spoglądałeś na innych z góry, prawda? Tamtego razu, kiedy, no wiesz... – Urwał, jak urywa się zbędną nitkę. – Okropnie się wywyższałeś – podjął po chwili. – A Ben z jakiegoś powodu dał się zwieść. I teraz... – Odsunął się, mierząc mnie wzrokiem. – I teraz proszę. Pozostałeś blisko hojnego łona Fitzmaurice’a.

– Cóż, miło się gawędziło – rzekłem, szykując się do odejścia.

Chwycił mnie za ramię.

– Nie, nie, posłuchaj. Cieszę się, że ci się udało, Martinie. Dobrze się spisałeś. Nie mówię tego z zazdrością. Wszyscy musimy się starać, prawda? Rzecz w tym... – Znów się roześmiał tym zbijającym z tropu, szemrzącym śmiechem, który zdawał się płynąć prosto z gardła. – Z drugiego końca sali wyglądałeś dokładnie jak Ben. Dlatego podszedłem. Pomyliłem cię z nim.

Puścił moje ramię i zostawił mnie samego. Zatoczyłem się do tyłu, nieomal wpadłem do kominka, w ostatniej chwili zdołałem odzyskać równowagę.

– Wszystko w porządku, proszę pana? – zapytał barman.

– Tak, tak, dziękuję.

– Uprzedzałem, że są mocne.

– Uprzedzał pan.

Poczułem się lepiej po dopiciu drugiego mojito. Przypomniałem sobie o Lucy, która została na dole. Utorowałem sobie drogę przez tłum i znalazłem się na tylnych korytarzach. Wejść do pokoi strzegły tutaj ręcznie malowane chińskie parawany.

Robiłem wdechy i wydechy, starałem się uspokoić. Przyglądałem się parawanom, by dać sobie czas na zebranie myśli. Z daleka wzór na jedwabiu przypominał delikatne kwiaty wiśni oraz czaple stojące w wodzie na jednej nodze. Dopiero z bliska się zauważyło, że owe kwiaty to w istocie girlandy nagich kobiecych piersi, a czapla okazała się kopulującą parą.

Zszedłem z powrotem do luksusowego czerwonego salonu z widokiem na ogród. Wzdłuż ścian ustawiono sofy z poduchami ozdobionymi złotymi chwostami. Przed kominkiem rzucono niedbale dywan we wzór zebry. Z iPoda podłączonego do srebrnych głośników marki Bose delikatnie wygiętych w swoją stronę niczym zakrzywione rogi nosorożca dudniły beaty jakiejś topornej muzyki klubowej. Dlaczego, złapałem się na myśleniu, w dzisiejszych czasach wszystko musi być projektowane tak, by udawało coś innego? Czego się tak boimy?

Stojący w rogu mężczyzna w garniturze z różową poszetką gawędził z gospodynią programu telewizyjnego, która ostatnio wydała bestsellerowe DVD z zestawem ćwiczeń. Za nimi dostrzegłem utrwalone lakierem upięcie na głowie żony dziedzicznego para.

W końcu wymieniłem pustą szklanek na pełny kieliszek szampana. Kelner miał wysokie kości policzkowe i przyglądzone żelem włosy. Napotkałem jego spojrzenie. Uśmiechnął się. Gdy zwinnie sunął przez salon, obejrzałem go z tyłu – średnia budowa ciała, wąskie biodra. Postura tancerza baletowego. Delikatne przeguby. Prawdopodobnie Europa Wschodnia. Patrzyłem, jak zamykają się za nim drzwi.

Gdy się odwróciłem, zobaczyłem, że z drugiego końca sali patrzy na mnie Jarvis. Musiał tu za mną przyjść, pomyślałem.

Pozdrowił mnie, unosząc butelkę wody. Może to przez przyćmione światło albo lekko przytępienie od alkoholu zmysły, a może dlatego, że nie otrząsnąłem się jeszcze ze skrępowania, które czułem podczas naszej wcześniejszej rozmowy. Albo dlatego, że był zbyt daleko, bym mógł dokładnie rozpoznać, co próbuje powiedzieć. W każdym razie mógłbym przysiąc, że unosząc butelkę, wypowiedział bezgłośnie jedną sylabę, a gdy

uświadomiłem sobie, co to za słowo, rozbrzmiało w moich uszach jak talerz perkusyjny zrzucony na beton z dużej wysokości.

Wiem, poruszył ustami. Wiem.

Poczułem podmuch zimnego powietrza, jakby ktoś otworzył gdzieś okno i wpuścił do środka noc.

Nie mógł wiedzieć, pomyślałem sobie. Nikt nie wiedział, co zdarzyło się w tamtym pierwszym semestrze w Cambridge. Nikt poza mną i Fitzmaurice'ami. Nikt z nas nigdy nie pisnął słowa. Tego byłem absolutnie pewien.

Czy rzeczywiście?

Martin

Queens' College, Cambridge, 1993

Samochód wjechał na podjazd, nie sygnalizując skrętu włączeniem kierunkowskazu, w czarnym lakierze maski odbijał się kulisty klosz ulicznej latarni o rozmytych konturach. Zmierzchało. Wieczór zapadał tu chyba szybciej niż w Burtonbury: po bibule nieba nagle rozlewał się atrament.

Przebywałem w Cambridge dopiero od kilku dni i nie przywykłem jeszcze do dojmująco zimnego wiatru ani do płaskiego krajobrazu, jak również do nieustannego wrażenia wilgotności w powietrzu. Przed wyjazdem z Burtonbury jeden z tamtejszych nauczycieli przestrzegał mnie przed klimatem wschodniej Anglii.

– Wiatry nadciągają tam prosto z Rosji – powiedział. Zebraliśmy się wszyscy na trawniku dziedzińca po uroczystości rozdania nagród i przemowach: zdeorientowany tłum matek w kapeluszach i chłopców w mundurkach, zajadających truskawki z plastikowych pojemniczków i usiłujących przekrzyczeć synkopowany hałas jazzbandu z szóstej klasy.

– Tak? – zapytałem znudzony. Nie miałem do kogo otworzyć ust. Matka nie przyjechała, ponieważ jej nie zaprosiłem, mimo że zdobyłem dwie nagrody – za wyniki z angielskiego oraz historii. Na widowni siedzieli natomiast Fitzmaurice'owie, uśmiechając się, gdy wszedłem na scenę. Nawet Fliss, która generalnie nienawidziła tego rodzaju formalnych przemów, szczerzyła się od ucha do ucha i klaskała w dłonie, gdy wywołano moje nazwisko. Ben jako przewodniczący klasy stał na scenie, by wręczyć mi dwa srebrne puchary. Puścił do mnie oko, gdy go mijalem, ale od samego rana miał dziwny nastrój i martwiłem się, czy przypadkiem nie zrobiłem czegoś niewłaściwego.

– Tak – potwierdził nauczyciel. – Nie ma gór, które by je zatrzymały.

Stłumiłem ziewanie i zostawiłem go w połowie zdania. Nie muszę dłużej przejmować się konwenansami, skoro stąd odchodzę.

Wróciłem do Sullies, myśląc sobie po drodze, że to jeden z ostatnich momentów, kiedy przemierzam tę dobrze znaną trasę. Idąc na skróty za kościołem, usłyszałem męskie głosy przerywane dziewczęcym śmiechem. Oddzielał mnie od nich żywopłot. Wyciągnąłem szyję i zobaczyłem Bena na skrawku trawy obejmującego dziewczynę w mundurku BGC. A obok nich wielkiego jak wół, mało rozgarniętego Jarvisa. Moja nienawiść natychmiast się wyostrzyła.

Jarvis wgniatał swoją pyszałkowatą gębę w twarz innej dziewczyny, poruszał wargami jak ryba, trzymał rękę pod jej bluzką. Wyglądało to tak, jakby nie tyle całował jej usta, co je pożerał.

Przez chwilę obserwowałem. Ben rozśmieszał swoją dziewczynę, laskocząc ją w szyję. Była wysoka i bardzo szczupła, końcówki włosów ufarbowała na czerwono, jakby zanurzyła je we krwi.

Osunęła mi się stopa. Przestraszony Jarvis odepchnął dziewczynę i odwrócił się w moją stronę. Rozchylone do pocałunku wargi rozciągnęły się w szerokim uśmiechu.

– Wszystko w porządku, podglądaczu?

Poczerwieniałem.

– Ja tylko...

– Niezdrowo się podniecałeś, co?

Ben wpatrywał się we mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Wiesz, Martin, są lepsze sposoby – ciągnął Jarvis. Dziewczyna zapinała bluzkę. – Mogę ci podrzucić jakiś świerszczyk. Na przykład „Readers’ Wives”.

– Daj spokój – rzekł rozwlekle Ben.

Jarvis przetoczył się na brzuch, podpierając rękoma podbródek.

– Dlaczego tak dziwnie ruszasz głową? – zapytał.

Nie zdawałem sobie sprawy, że nią podrzucam. Starłem się ją unieruchomić. Tik nerwowy osłabł.

– Robisz tak, kiedy się spuszczasz? – ciągnął z wrednym uśmiechem. – To twoja orgazmiczna mina? Martin trysk, trysk. Trysku, trysku, trysk.

Zaczęło łomotać mi w piersi, z początku delikatnie, potem coraz szybciej.

– Ben, szukają nas twoi rodzice – skłamałem.

– Cholera – zaklął, spoglądając na zegarek. – Zapomniałem.

Państwo Fitzmaurice'owie zaprosili nas na herbatę w hotelu Duke of Clarendon.

Ben wstał. Dziewczyna z krwawymi końcówkami włosów wydawała się rozczarowana.

– Baw się dobrze – rzucił Jarvis do Bena twardym głosem. – Ze swoim koleżką.

W hotelu Duke of Clarendon ojciec Bena, George, zamówił szampana, nalał go nam do kieliszków. Jedliśmy małe kanapki z białego pieczywa bez skórki przełożone plasterkami ogórka. Lady Katherine tylko skubała jedzenie, zostawiając połowę. Fliss, tak radosna na rozdaniu nagród, teraz wydawała się markotna i nieprzenikniona. Patrzyła za okno i dłubała przy paznokciach.

– Fliss – rzekła w pewnym momencie Katherine. Nie było reakcji. – Fliss, kochanie, przyłącz się, proszę. Zachowujesz się niegrzecznie.

Fliss głośno westchnęła. Zapadła niezręczna cisza. Ben wlał sobie resztkę szampana. Miał spiętą twarz, widziałem, że przygryza policzek, jak zawsze wtedy, gdy się zdenerwował albo coś go trapiło. Przez cały dzień był dziwnie nieobecny. Miałem wrażenie, że patrzę na niego przez jakąś zasłonę: tak jak, dopijając piwo, widzi się przez dno szklanki zniekształcony obraz baru, wypaczony i zakrzywiony.

Jego matka zaczęła coś mówić, wtedy George na nią spojrzał i nieznacznie pokręcił głową, ona zaś poprzestała na skręcaniu serwetki w delikatnych palcach.

– No, chłopcy – rzekł George. – Chciałem tylko...

Nie dane mi było usłyszeć, co George chciał powiedzieć, ponieważ w tym momencie Ben klepnął mnie w ramię i oznajmił, jakbyśmy mieli już gotowy plan, że idziemy się spotkać z kolegami i wrócimy na kolację, i zobaczymy się później, i dziękujemy za poczęstunek.

Wyszedłem za nim z hotelu. Narzucił wściekle szybkie tempo, maszerował z rękami w kieszeniach i przygarbionymi ramionami. Parking był zalany jasnym światłem. Nie zadawałem żadnych pytań. Zrozumiałem bez słów, że tego mu potrzeba. Że gdybyśmy zostali chwilę dłużej w tamtym dusznym hotelowym barze, coś by pękło.

– Wszystko okej? – zapytałem.

Kiwnął głową.

– Wiesz, po prostu musiałem stamtąd wyjść.

Skręciliśmy w prawo, w drogę do Winter Gardens, i poszliśmy do naszego stałego miejsca przy estradzie. Park pustoszał. Dzienni spacerowicze już się wynieśli, zastąpili ich bezdomni oraz wałęsający się nastolatki, tacy jak my.

Podeszliśmy z Benem do wybijającego krzewu rododendronu, którego różowe kwiaty szarzały w wieczornym półmroku. Wczołgaliśmy się między gałęzie i usadowiliśmy się na zarośniętej ziemi. Od alejki dzieliło nas zaledwie kilka metrów, słyszeliśmy ciche rozmowy ostatnich spacerowiczów, ale sami byliśmy ukryci.

Ben wyjął woreczek z ziołem wysuszonym jak herbaciane liście, następnie rozłożył bibułkę oraz filtr i zaczął rolować skręta.

Zwinnymi palcami ciasno skręcił papierosa. Zapalił i mi podał, bym się zaciągnął pierwszy. Sztachnąłem się, poczułem lekkość i swobodę.

– Mocne – powiedziałem.

Uśmiechnął się.

– Dla nas wyłącznie najlepszy towar.

Wyciągnąłem rękę i potargałem mu włosy. Robiłem tak czasem, gdy byliśmy sami. Nie stracił mojej dłoni z karku.

– Wszystko okej? – powtórzyłem pytanie.

Nie odpowiedział. Zaciągnął się jeszcze trzykrotnie, nim się odezwał. Policzyłem. Odliczanie i mierzenie wszystkiego wydawało mi się bardzo ważne. Cztery kamyki przy lewej stopie. Jedna porzucona puszka specjal brew. Dwa tygodnie, które będę musiał spędzić bez Bena po zakończeniu semestru, nim odwiedzę go w ich domu. Pięć piegów na jego bicepsie układających się w kształt Wielkiego Wozu.

– Dziś przypada rocznica śmierci Magnusa.

Zarejestrowałem dopiero po chwili. Byłem na większym haju, niż się spodziewałem.

– Twojego brata? – zapytałem głupio, cedząc słowa.

– Tak.

Objąłem go ramieniem.

– Przykro mi.

Zamglił mu się wzrok. Na myśl, że się rozplacze, poczułem ból tęsknoty. Poklepał mnie po dłoni.

– Dzięki. Nie chcę o tym gadać, ale musiałem to z siebie wyrzucić...

– Na pewno byłeś świetnym starszym bratem – powiedziałem, przypominając sobie treść listu napisanego dawno temu przez lady Katherine. Niespecjalnie mnie interesowało, jakim był bratem, i nie umiałem wzbudzić w sobie żadnych uczuć dla Magnusa, który istniał w mojej głowie pod postacią bezbarwnego obrazu, pozbawionego wdzięku czy osobowości, wiedziałem za to, co należy w takich okolicznościach powiedzieć.

Ben leżał na ziemi z zamkniętymi oczami.

Przysunąłem się do niego, podając mu skręta.

Upłynęła długa chwila, a może wcale nie tak długa. Odwróciłem się do Bena i zobaczyłem łzę spływającą z kącika zamkniętego oka. Obserwowałem ją przez chwilę, zahipnotyzowany celowością jej ruchu.

Ben miał rozchylone usta po wyjęciu z nich skręta. Wyobraziłem sobie, że widzę resztki dymu uchodzące z niego jak dusza ze zmarłego, wijące się w górę. Pochyliłem się nad jego piersią i zbliżyłem twarz, czułem oddech przesycony zapachem szampana, ogórka i zioła. Usta miał suche. Polizałem je koniuszkiem języka. To był test, chciałem zobaczyć, co się stanie.

Nic się nie stało. Ben milczał. Miał zamknięte oczy, ale drgały mu powieki, wiedziałem więc, że nie śpi. Przyłożyłem wargi. Pocałowałem go, wsunąłem język między zęby, czułem wilgotne ciepło i w tamtym momencie wydawało się, że słusność tego, co robimy, jest oczywista, że zaprzeczanie temu byłoby kompletnie nielogiczne, nie do pojęcia. Pocałowałem go. Odpowiedziało mi ledwo wyczuwalne drgnięcie języka. A potem bezruch.

Nie wydał żadnego dźwięku. Położył się na boku, odwracając twarz. Przetoczyłem się na plecy, upalony i szczęśliwy, przekonując samego siebie, że ta chwila wszystko odmieni.

Oczywiście, kiedy zioło przestało działać, a my otrzepaliśmy ze spodni gałązki i liście i wróciliśmy do hotelu, nie zmieniło się absolutnie nic.

Trzy miesiące po tamtym wydarzeniu przy portierni Queens' College zatrzymał się samochód. Wiedziałem, że generalnie nie wolno tam parkować, ale Fitzmaurice'owie nie przestrzegali tych samych zasad, co cała reszta. Otworzyły się drzwi od strony pasażera, ze środka wygramolił się Ben tym swoim charakterystycznym niespiesznym krokiem. Był ubrany w dżinsową koszulę, podwinął rękawy, odsłaniając opalone przedramiona po trzytygodniowej wędrówce z plecakiem po Chorwacji.

Pojechał tam z Jamesem Lewisem, który właśnie ukończył pierwszy rok w Manchesterze, a ja czułem ukłucie zazdrości, że nie zaproszono mnie na tę wyprawę. Teraz poczułem je ponownie, patrząc na piegi na nosie Bena i głęboką oliwkową opaleniznę. Wyjaśniały mu włosy, wiatr rozwiewał ich płowe końcówki.

Ale, przypomniałem sobie, spędzimy razem całe trzy lata w Cambridge. Ben ubiegał się o przyjęcie do Queens', ponieważ mieli tam dobrą drużynę rugby oraz reputację college'u imprezowego. On wybrał, o dziwo, teologię.

Podejrzewałem, że była to decyzja taktyczna – łatwiej dostać się na marginalne kierunki, których nikt nie chce studiować. Ja złożyłem papiery na historię. Nie pojawiła się w mojej głowie najmniejsza wątpliwość co do tego, że też muszę aplikować do Queens'. Spodobała mi się rozmowa kwalifikacyjna i w kolejnym tygodniu otrzymałem pocztą ofertę ABB.

I oto teraz był tu także Ben, prosto z wakacji, na progu nowego uniwersyteckiego życia, barczysty, ogorzały od słońca i jak zwykle pewny siebie. Dopiero się zjawił, pomyślałem, a już zajął tę przestrzeń w taki sposób, jakby od początku należała do niego.

Wyszedłem z półcienia.

– Ben.

– Staaaary – powiedział, a ja z miejsca poczułem się absurdalnie szczęśliwy, że on tu jest, że mnie pamięta, że nadal mnie lubi. Spędziłem samotny weekend w akademiku, ponieważ moja podróż pociągiem z karnetem Inter-Rail zakończyła się wcześniej, niż przewidywałem (jakiś absurd ze szwedzkim turystą, który twierdził, że go podglądałem, kiedy brał prysznic). Po tym incydencie nie miałem ochoty kontynuować podróży do następnego miasta. Nie chciałem też jechać do domu – nie zdzierzyłbym – i choć wiedziałem, że Fitzmaurice'owie zawsze przyjmą mnie z otwartymi ramionami, nigdy nie skorzystałem z ich zaproszenia pod nieobecność Bena. Onieśmielali mnie, pomimo że udawałem najlepiej jak umiałem, iż wcale tak nie jest.

Nie pozostawało więc nic innego, jak szybciej wylądować w Queens'.

Myślałem, że będę jednym z kilku studentów, którzy postąpili tak samo, ale po przyjeździe okazało się, że jestem jedyny. Portier, zwalisty gość w okularach i z wyblakłym tatuażem kotwicy na wewnętrznej stronie przedramienia, siedział z nogami na biurku i czytał gazetę.

– Przepraszam – powiedział. – Nikogo się nie spodziewałem.

Zaskoczyło mnie, jak wielką poczułem samotność, gdy siedziałem w nijakim pokoju akademika Cripps Court z jednym oknem wychodzącym na wewnętrzny dziedziniec, otoczony wolnymi na razie pokojami z zaciągniętymi zasłonami, których pustka odzwierciedlała moją własną.

Nie przywiozłem żadnych plakatów. Jeszcze w szkole stanowiło to przedmiot komentarzy, bo wszyscy inni chłopcy przyczepiali do ścian błyszczące fotografie Pameli Anderson i duże obrazki z liśćmi konopi indyjskich albo wizerunki Boba Marleya czy Che Guevary (co za ironia!). Po pewnym czasie zaczęło mi się podobać to ich zdumienie moimi gołymi ścianami, ale w surowym pokoju w Cambridge zatęskniłem za Benem z dotkliwością, która mnie zdumiała. Było to, jak obliczyłem, nasze najdłuższe rozstanie.

– Jak pokój? – pytał mnie teraz, niedbale zarzuciwszy ramię na moje barki. Na parkingu kręcili się inni studenci, taszcząc kartony i pojemniki z plastikowymi przykrywkami, a ja sobie pomyślałem, że gdy na nas patrzą, wiedzą poza wszelką wątpliwość, że jesteśmy najlepszymi kumplami.

– Proszę, proszę, toż to młody pan Gilmour.

Głęboki, oschły głos ojca Bena. Wsiadł zza kierownicy i zamknął samochód z przenikliwym piskiem pilota. Był to czarny lexus. „Autko”, jak nazywała go lady Fitzmaurice w odróżnieniu od bardziej kosztownych pojazdów – bentleya, klasycznego mercedesa oraz poobijanego land rovera używanego do „tłuczenia się” po terenie posiadłości.

– Lordzie Fitzmaurice... – Przywitałem się uściskiem dłoni.

– Martinie, Martinie, Martinie – powiedział. Miał zwyczaj powtarzania wszystkiego trzykrotnie. – Od lat proszę, byś mówił mi po imieniu.

Zachichotałem.

– Przepraszam, George.

– Jak słyszę „lordzie Fitzmaurice”, czuję się okropnie staro.

– Właściwie to „sir George” – wtrącił Ben.

– W sumie tak, jeśli ściśle trzymać się protokołu – przyznał George. – Tylko że wtedy czuję się jeszcze starzej.

Poklepał mnie po plecach.

– Jak się miewasz, chłopie? Dawnośmy się nie widzieli. Wszystko u ciebie dobrze? Jak minęło lato?

– Tato, dopiero przyjechaliśmy. Nie zasypuj go od razu pytaniami.

George uniósł ręce w udawanym geście kapitulacji.

– Przepraszam, że w ogóle się odezwałem. Słuchajcie, chłopcy, zostawię was samych i pójdę się rozejrzeć za jakimś spokojnym miejscem...

Zlustrował okolicę. Wiedziałem, że wypatruje pubu.

– Za mostem jest The Anchor – powiedziałem, wskazując w stronę Silver Street.

– Ano właśnie. *Wunderbar!* Będę tam, a kiedy wyładujecie rzeczy z samochodu, zabiorę was na porządną wyzerkę. Może być?

Poczułem falę sympatii do George'a stojącego tam w swoich luźnych sztruksowych spodniach. Katherine zawsze była dla mnie serdeczna, ale George od początku darzył mnie wylewną przyjaźnią.

Ben po raz pierwszy zaprosił mnie do domu kilka tygodni po potańcówce w żeńskiej szkole. Nazajutrz po przeczytaniu listu jego matki podrzuciłem go z samego rana do szuflady komody, zrywając się z apelu, by zrobić to w czasie, gdy nikt nie będzie się tam kręcił. Ben dosiadł się do mnie przy podwieczorku, jedliśmy razem grzanki, a ja się dziwiłem, że w ogóle ma chęć ze mną rozmawiać. Sądziłem, myśląc o dziewczynie, muzyce i całowaniu, że będzie wolał towarzystwo innych chłopaków, tych popularnych, którzy wiedzą, jak rozprawiać o palcówkach, malinkach i wzwodach. Tymczasem on zaczął wypytywać mnie o rodzinę, skąd pochodzę, o mnie samego.

Podąłem mu mocno zredagowaną wersję, zadbałem o wyeksponowanie wątku utraty ojca, tego, jak jest ciężko po śmierci najbliższego członka rodziny, jak bardzo pogrążyłem się w żałobie, jak czułem, że nikt w szkole mnie nie rozumie. Znacząco zawiesiłem głos, czekając, aż Ben wypełni pauzę własnymi zwierzeniami, on jednak nie połknął przynęty. Tylko na mnie patrzył i kiwał głową, a po chwili przenieśliśmy się na ciekawsze terytorium – ulubionych przedmiotów, znieawidzonych belfrów, muzyki, którą, jak sądził, lubiłem. Zwierzył mi się mimochodem, że dziewczyna, z którą się całował, była „urocza, ale nudna”, co tchnęło we mnie nadzieję. A potem czymś go rozśmieszyłem. Nie pamiętam dokładnie, czym, ale niewykluczone, że parodiowałem jakiegoś ucznia. Miałem dobry słuch

i potrafiłem bez większego trudu wyłapać charakterystyczne gesty, maniery, sposób mówienia. Nadal posiadam tę umiejętność. Prawdę mówiąc, całkiem dobrze naśladowuję Bena, choć tylko Lucy było dane to zobaczyć, i to wyłącznie raz. Z początku ją to bawiło, ale potem śmiech zamarł, ponieważ uznała, że to „upiorne”.

W każdym razie pierwsze odwiedziny w Denby Hall okazały się udane. Lady Fitzmaurice wybaczyła mi brak stroju do tenisa. Nie była szczególnie wylewną osobą, z czego wkrótce zdałem sobie sprawę, nawet w stosunku do Bena. Od czasu do czasu muskała jego policzek wierzchem dłoni, ale do bliższego kontaktu fizycznego się nie posuwała. Tam przebiegała granica. Prosiła, bym zwracał się do niej po imieniu, miesiącami zbierałem się na odwagę. Głos z listu zdawał się należeć do innej kobiety. Zastanawiałem się, czy ona potrafi okazywać uczucia wyłącznie na piśmie, kiedy odbiorcę i nadawcę dzieli odległość.

Lord Fitzmaurice był natomiast przyjazny i serdeczny. Pierwszego wieczoru, gdy siedzieliśmy w salonie po kolacji, na którą podano pieczoną jagnięcinę (przyrządzoną dla nas przez kucharkę, której nikt nie nazywał „kucharką”, tylko „naszą drogą Pam”), ojciec Bena dostrzegł moje zainteresowanie książkami stojącymi na półkach wzdłuż ścian. Wziął mnie na stronę i kazał przeczytać Dickensa. W niedzielny wieczór odesłał mnie do Burtonbury z pięknym wydaniem *Wielkich nadziei* z umieszczonym na wyklejce nazwiskiem właściciela. Gdy wieczorem kartkowałem tom, czułem pod palcami papier miękkie i cienki niczym skrzydła ćmy.

Napisałem list dziękczynny, starannie dobierając słowa, chciałem, żeby nie brzmiał ani zbyt wylewnie, ani zbyt lakonicznie. Potrzebowałem trafić we właściwy ton. Państwo Fitzmaurice’owie to ludzie, którzy, jak sobie wyobrażałem, przywiązują wielką wagę do podziękowań.

Zaproszono mnie ponownie na drugą przepustkę w semestrze, a później stało się to czymś w rodzaju rutyny i wkrótce spędzałem w Denby Hall także część ferii. Pamiętam, jak z okazji przerwy wielkanocnej matka Bena zaaranżowała zabawę polegającą na poszukiwaniu wielkanocnych jajek (jak zwykle z pomocą wiernej Pam). Fliss także wtedy przyjechała i całą naszą

trójkę wysłano na przeczesywanie trawnika od frontu oraz kwiatowych rabat. Wypatrywaliśmy gotowanych na twardo jaj złożonych przez dwie oswojone kury Katherine i pokolorowanych na żółto barwnikiem ze zbieranego na okolicznych łąkach janowca.

Fliss i Ben prowokowali siebie nawzajem przez cały poranek, rzucając półgłosem komentarze i złośliwe dowcipy. Zastanawiałem się, czy ich pełne napięcia przymierze ma jakiś związek z brakiem Magnusa, braciszka, o którym nigdy się nie mówiło. Istniał jedynie na fotografiach oraz okazałym portrecie olejnym nad kominkiem w jadalni: pucułowata buzia, dołeczki w kolanach i uśmiech odsłaniający drobne równe zęby. Zapytałem kiedyś, kto jest na tym obrazie. Uznałem, że byłoby dziwne, gdybym nie zwrócił na niego uwagi.

– To Magnus – odparła Katherine. – Umarł.

Ton jej głosu się nie zmienił. Siedzący na sofie Ben pomasaował sobie kark i wbił wzrok w jakiś punkt na dywanie tuż przed stopami.

– Och – powiedziałem. – Współczuję. Co się stało...?

George podszedł do żony i objął ją w talii.

– Zachorował na zapalenie opon mózgowych – wyjaśnił George. – Okropna rzecz.

Ben wstał.

– Wychodzę na dwór – oznajmił. – Idziesz, Mart?

Nigdy więcej w mojej obecności nie wspomniano o Magnusie.

Jego śmierć wyraźnie zmieniła dynamikę rodzinnych relacji w niezrozumiały dla mnie sposób. Stosunki między Benem a Fliss opierały się na silnym uczuciu miłości przerywanym od czasu do czasu wzajemną niechęcią. Tamtej Wielkanocy sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Gdy spacerowaliśmy po trawniku do krokieta, tamtych dwoje w tej samej chwili wypatrzyło jajko umoszczone w trawie tuż przy bramce i puściło się pędem w jego stronę. Fliss odepchnęła Bena, by je zgarnąć, po czym wydała okrzyk triumfu.

– Och, odwal się, Fliss – mruknął Ben, wziął do ręki jeden z młotków do krokieta, które porzuciliśmy w trawie poprzedniego wieczoru, i cisnął nim z całej siły przed siebie. Młotek z głośnym trzaskiem wylądował na skraju niskiego murku.

– A cóż to było, na litość boską? – zapytała Katherine, wyłaniając się bezgłośnie od strony żwirowej alejki.

– Ben zachowuje się jak kawał fiuta – odparła buntowniczo Fliss. Przechodziła fazę gotycką, włosy miała ufarbowane na granatową czerń i oczy obwiedzione czarnym ołówkiem. Do tego postrzępiony pod szyją podkoszulek ze spranym białym napisem „Black Sabbath” na piersi.

– Proszę, nie używaj takiego języka.

Fliss wywróciła oczami.

– Mamo, na pewno słyszałaś gorszy.

– Przestań, Fliss. Nie jestem w nastroju. – Następnie Katherine zwróciła się do syna, który stał z rękami w kieszeniach. – Na miłość boską... To tylko polowanie na wielkanocne jajko. Zachowujecie się jak małe dzieci.

Widziałem, że żadne z rodzeństwa nie ma ochoty ustąpić. Fliss patrzyła bykiem, a Ben miał ten swój nieobecny wyraz twarzy, który czasem przybierał i który, jak się zorientowałem, był oznaką kontrolowanej furii. Moją pierś przeszło nagłe gorąco. Zdałem sobie sprawę, że muszę jakoś przekuć ten balon napięcia. Los podsunął mi szansę uczynienia siebie niezbędnym.

– Dziękuję za zorganizowanie zabawy, lady Fitz... Katherine – przerwałem ciężące milczenie. – Jest doprawdy jajeczna. Chętnie bym ją powtórzył, ale zaraz zamienię się w jajecznicę.

Katherine spojrzała na mnie skonsternowana. Kątem oka widziałem, jak Fliss znacząco się uśmiecha. Ben prychnął, ale pobrzmiwała w tym sympatia. Po chwili wyraz twarzy Katherine się zmienił, usta rozciągnęły się w szerokim uśmiechu. Zaczęła chichotać, wydając dźwięk przypominający łagodny klekot. Nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– Och, to było dobre, Martinie – rzekła. – Doprawdy świetne.

Przycisnęła palce do wilgotnych oczu.

– Mamo – odezwał się Ben – aż takie śmieszne to nie było.

– Być może, ale... – Wzięła się w garść, otarła ostatnie łzy, poklepała mnie po ramieniu. – Dobrze, że jesteś tu z nami, Martinie. Stałeś się członkiem rodziny.

Gdy całą czwórką szliśmy w stronę domu, niosąc trofea w postaci delikatnych żółtych jajek, z zaskoczeniem zauważyłem, że i ja mam wilgotne oczy. Szybko zamrugałem dwa razy, chcąc powstrzymać łzy. To działa, pomyślałem, naprawdę należę do tej rodziny.

– Ziemia do Martina, ziemia do Martina. – Głos Bena wyrwał mnie z zadumy i rzeczywiście sprowadził na ziemię. Queens'. Portiernia. Stos kartonów, które trzeba zanieść do jego pokoju na piętrze. Klatką schodową DD.

– DD – rzekł Ben, odebrawszy klucz. – Lubię takie kobiety.

– Szkoda, że nie FF – zauważyłem.

– Nie, za duże. Nie mieszczą się w garści, czyste marnotrawstwo. No i wiesz, te większe obwisają.

Mówił z takim znanstwem. Ben uprawiał już seks z czterema dziewczynami, o których wiedziałem, podczas gdy ja wciąż byłem prawiczkim. Nie przejmowałem się. Większość znanych mi dziewczyn wydawała się głupia i wrzaskliwa. Wolałem poczytać książkę. W ostatnim semestrze szkoły Ben czasem ostrożnie mnie o to podpytywał. Chyba nie chciał wprowadzić mnie w zakłopotanie, zrozumiałem więc, że będę musiał wymyślić jakiś wakacyjny romans, by położyć kres tym uporczywym pytaniom.

Po czterdziestu pięciu minutach uporaliśmy się z dźwiganiem. Pokój Bena był wyposażony w zakamieniony czajnik, który poza tym działał bez zarzutu. W rogu znajdowała się umywalka ukryta za przesuwными drzwiami szafy. Ben nalał do czajnika wody z kranu, zagotował, zaparzył herbatę. Dopiero kiedy podał mi kubek z herbem klubu piłkarskiego Liverpool, przypomniałem sobie obaj, że nie mamy mleka.

– E, tam – powiedział Ben. – Wyrosną nam włosy na klatkach.

– Nigdy nie rozumiałem, o co w tym chodzi – wtrąciłem.

– Ja też nie. Zresztą chyba i tak nie potrzebuję więcej włosów. – Spojrzał na gęstwinę kędziorów wyzierających zza koszuli. – Za to ty...

– Odwal się.

Siedziałem na krawędzi łóżka, dmuchając na gorącą herbatę. Wtedy ktoś zapukał do drzwi.

– Tak? – zawołał Ben.

Do pokoju wetknął głowę chłopak w koszulce angielskiej reprezentacji rugby.

– Hejka. Chciałem tylko się przedstawić. Jestem Jez. Mieszkam obok.

– Cześć, Jez, wbijaj! – rzucił Ben, od razu w swoim żywiole. Energicznie uścisnął dłoń Jeza, która była mniej więcej dwukrotnie większa od mojej twarzy. – Miło cię poznać, stary.

– Ciebie też, stary.

Przez kilka kolejnych minut zasypywali się nawzajem gradem „starych”, odkrywając wspólne zainteresowania (głównie sportowe), wspólnych znajomych (chłopaków o jednosylabowych imionach pochodzących z odpowiednich rodzin) i wspólne uwielbienie dla filmu *Withnail i ja*, z którego cytatami przerzucali się przez kolejnych kilka minut, aż wreszcie Ben przypomniał sobie o mnie.

– Sorki, stary, kompletnie zapomniałem: to jest Martin.

– Hejka, Martin.

– Cześć. – Zbyt szybko przełknąłem łyk herbaty, parząc sobie podniebienie.

– Więc jak wy dwaj... – zaczął Jez.

– Zakumplowaliśmy się w szkole – wyjaśniłem.

Zerknąłem na Bena.

– Chyba czas już na nas, mamy spotkać się z twoim tatą – dodałem, głośno odstawiając kubek na nocną szafkę. – Lepiej niech nie...

Jez, przyjazny i głupi jak labrador, pojął aluzję.

– Jasne. Złapiemy się później.

Wyszedł. Ben zaczął rozwieszać koszule na kosztownych drewnianych wieszakach, w które zapewne wyposażyła go matka. Fitzmaurice'owie nie używali drucianych.

Po wyjściu Jeza zapadła między nami przytłaczająca cisza.

– Ciekawe, któremu rugbyście kibicuje – odezwałem się. Reakcja Bena zbiła mnie z tropu.

– Martin, noże kurwa...

– Co?

– Nie mógłbyś choć raz... – Powiesił ostatnią koszulę i zasunął drzwi szafy. Przeczesał palcami włosy – nowy gest, zauważyłem. Pewnie podłapał go latem od Jamesa Lewisa. Wyglądał przy tym głupio, bo miał za krótkie włosy.

– Że co? – powtórzyłem lekko obronnym tonem.

Ben pokręcił głową.

– Mniejsza z tym.

Dopiłem herbatę. Ale coś się między nami zmieniło. Oderwał się wielki głaz, odsłaniając wejście do jaskini. Gdy teraz o tym myślę, cofając się pamięcią do tamtej chwili i wiedząc, co wydarzyło się później, muszę stwierdzić, że był to początek wielkich zmian. Na gorsze czy na lepsze? Na to pytanie próbowałem sobie odpowiedzieć przez resztę życia.

6

Komisariat policji w Tipworth, 16.15

Wróciliśmy na miejsca. Nicky Bridge, Kevin McPherson i ja. Suchość w ustach po papierosie. Przedemną na stole świeża herbata. Monotonny szum ruchu ulicznego za oknem, gdzie normalni ludzie żyją w swoim normalnym świecie i mają normalne myśli.

– Przesłuchanie wznowione o godzinie... – Beżowowłosa spogląda na zegarek. – Szesnastej piętnaście.

Patrzy na mnie. Nawet dość życzliwie.

– Jak się pan czuje, panie Gilmour?

– Dziękuję, dobrze.

– Świetnie. Nie chcemy pana zamęczać.

– Nie zamęczacie.

– Jeszcze tylko kilka pytań i powinien pan być wolny.

Manipuję przy mankietach koszuli. Założyłem spinki, które dostałem od Bena na dwudzieste pierwsze urodziny. Studiowaliśmy jeszcze wtedy w Cambridge. Zaprosiłem garstkę znajomych na imprezę do oficjalnej jadalni naszego college'u, wystroiliśmy się w togi, wyżłopaliśmy po butelce wina na głowę, zgodnie z uniwersytecką tradycją wrzucając sobie nawzajem do kieliszków drobne monety, póki nie wysączyliśmy trunku do ostatniej kropli. Jedliśmy rozgotowaną wołowinę i gumowatą panna cottę, a kiedy Ben podsunął mi przy stole granatowe pudełeczko, byłem już tak wstawiony, że nie mogłem go otworzyć. W końcu się udało. Na czarnym aksamicie spoczywały złote spinki. Od razu rozpoznałem grawerunek. Rodzinny herb Fitzmaurice'ów.

Byliśmy sobie tacy bliscy... A teraz... ta historia.

– Dla celów nagrania informuję, że przedstawiam właśnie panu Gilmourowi dokument dwa „c” z teczki dowodowej „B”.

Beżowowłosa podtyka mi pod nos kartkę papieru. Włożoną do przezroczystej plastikowej koszulki, która, gdy po nią sięgam, szeleści na laminowanym blacie.

– Poznaje pan, panie Gilmour?

Z początku nie mogę się połapać, na co patrzę. Rządki znaków. Wyśrodkowany tekst. W prawym górnym rogu czerwono-białe trójkątne logo. Wzrok mi się zacina, chwieją się czcionki. Stopniowo cyfry i litery się stabilizują, uświadamiam sobie, że patrzę na stary wyciąg z konta. Na górze moje nazwisko: Martin Gilmour. Adres: Queens’ College. Spoglądam na datę: styczeń tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku. Trzy miesiące po rozpakowaniu walizek w naszym akademiku. W czasach, kiedy rozpościerały się przed nami lata wolności i obietnic.

– Martinie?

Kiwam głową.

– Na potrzeby nagrania, bardzo proszę.

– Tak – mówię na głos.

Obracałem w palcach spinkę do mankietu z taką siłą, że wysunęła się z dziurki. Usiłuję wcisnąć ją na miejsce. Sprawdzam, czy umiem zrobić to bez pomocy wzroku, ale opuszki ślizgają się po metalu.

Intuicyjnie wiem, o co zapyta mnie teraz Beżowowłosa, i rozważam możliwe warianty odpowiedzi. Staram się kalkulować, która wersja wyrządzi najmniejsze szkody, ale nie sposób przewidzieć, jak dużo wiedzę, gubię się więc chwilowo w mentalnym gabinecie luster, w którym to, co było wcześniej pewne, jest zniekształcone, staje się swoim jarmarcznym odbiciem. Nie mam pojęcia, skąd wytrzasnęli ten wyciąg z konta. Skąd w ogóle wiedzieli, gdzie szukać?

– Martinie, czy może nam pan wyjaśnić tę wpłatę tutaj... – Beżowowłosa dźga palcem plastikową koszulkę, paznokieć cicho stuka. Stuk, stuk, stuk.

Biorę do ręki wyciąg i podsuwam go sobie pod oczy. Gram na zwłokę.

– Przepraszam – mówię. – Konkretnie o którą wpłatę chodzi?

Przekazuję jej dokument. Garniturek jęczy, Beżowowłosa natomiast miło się uśmiecha i odpowiada:

– Oczywiście o tę. – I znów postukuje paznokciem. Stuk, stuk, stuk. – Z datą trzeciego stycznia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku.

Szary Garniturek się na mnie gapi, niedbale przewiesił ramię przez oparcie krzesła.

– A – mówię. – Tak. Upłynęło sporo czasu, więc...

Ona się śmieje.

– Z pewnością pamięta pan tak okazałą sumę! – mówi, jakbyśmy byli dobrymi przyjaciółmi ucinającymi sobie towarzyską pogawędkę. – Dziesięć tysięcy to dla studenta prawdziwy majątek, prawda? Zwłaszcza dla kogoś na studiach licencjackich, kto zaciągnął maksymalną pożyczkę studencką. Nie chciałabym pana urazić, Martinie, ale raczej nie opływał pan w dostatki, zgadza się?

– Zgadza.

– Czy może nam pan zatem powiedzieć, skąd te pieniądze?

Piję łyk herbaty. Piecze w podniebienie.

– No cóż – odpowiadam. – Tutaj jest wszystko napisane.

Beżowowłosa unosi brew, udając skruchę.

– Tak? Och, przepraszam. Ależ ze mnie gapa. Co tam jest napisane?

– G.A.C. Fitzmaurice.

– A któż to taki?

Myślę o George’u, o jego życzliwej twarzy, kartoflowatym nosie i oprawionym w skórę pierwszym wydaniu Dickensa. Przypominam sobie, jak siedział w pubie The Anchor przy Silver Street, czekając, aż dołączymy do niego z Benem po rozlokowaniu się w akademiku. Myślę o tym, jaki był samotny nad szklanką piwa, gdy weszliśmy do środka, jak głaskał po głowie czyjś Jacka Russella wpatrzony w przestrzeń, z miną wcale nie

wyrażającą zadowolenia, lecz rozterkę. Głęboką rozterkę. I kiedy zobaczył, że się zbliżamy, natychmiast zmienił wyraz twarzy, przybrał swoją charakterystyczną pozę pełnej wigoru jowialności. I jak mnie to zasmuciło na jakimś poziomie, do którego nie od razu zyskałem dostęp. Gdy umarł w zeszłym roku, przypomniałem sobie tamtą chwilę i nieustannie o niej myślałem. Raz po raz. Nadal brakuje mi George'a.

Biorę do ręki wyciąg z banku. Wodzę palcem wskazującym wzdłuż imienia. George Alexander Charles.

– George Fitzmaurice – odpowiadam. – Ojciec Bena.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Dobrze spałam zeszłej nocy, po raz pierwszy, odkąd tutaj trafiłam. Trudno zasnąć z powodu hałasu czynionego przez innych pacjentów. Przepraszam: pensjonariuszy. Tak mamy siebie nazywać. Tak odnosi się do nas personel, jak gdyby był to przedłużony pobyt w szczególnie przyjemnym wiejskim pensjonacie.

W sumie nie jest źle. The Pines to jeden z najbardziej ekskluzywnych ośrodków terapeutycznych w kraju. Główny budynek mógłby być tłem dla starannie nakręconego filmu kostiumowego. Biała cegła. Georgiańskie okna. Frontony. Jest nawet żwirowy podjazd i landrynkowa fontanna na trawniku od frontu z posągami pulchnego chłopca mocującego się z rybą, z ust której tryska woda.

Mój pokój jest spartański, ale funkcjonalny. Wyszorowany do połysku. Mam jednoosobowe łóżko dosunięte do ściany. Umywalkę. Biurko. Szafę z przymocowanymi na stałe plastikowymi wieszakami. Żadnych drucianych, bo wiadomo, byłyby zbyt kuszące dla osób ze skłonnościami samobójczymi. Z tego samego powodu przy przyjęciu odebrano nam paski i sznurowadła jak więźniom.

W każdym razie zeszłej nocy nic mi się nie śniło. Tylko pusta, obojętna przestrzeń, co przyniosło ulgę po wcześniejszych epizodach podświadomej paniki, kiedy to przypadkiem potykałam się na urwisku i spadałam w przepaść, by obudzić się za moment zlaną potem. Wczoraj poprosiłam lekarza o inny środek nasenny, a on przychylił się do tej prośby z elastyczną ugodowością człowieka, który wie, że płacą mu mocno zawyżone stawki, a on ma nie zadawać zbyt wielu pytań. Więc może to dzięki tej nowej pigułce na sen. A może dzięki temu, że Sandy, sąsiadka zza ściany,

zachowywała się wyjątkowo cicho – żadnych szlochów, żadnego wycia, żadnego walenia na oślep w ścianę.

Staram się nie angażować zbyt w kontakty z innymi pensjonariuszami. Nie chcę się z nikim zaprzyjaźniać. Chwilowo mam dość ludzi. Ale wiem co nieco o Sandy, ponieważ podsłuchałam rozmowę pielęgniarek. Zdradza ją mąż, gwiazda rocka o gasnącej sławie. Ona sama jest alkoholiczką cierpiącą na dość ostre objawy abstynencyjne. Widuję ją czasem w stołówce, siedzi przy jednym z długich stołów, plastikowym widelcem formuje ziemniaczane purée, sypie zbyt dużo soli, nożem spycha udko kurczaka na brzeg talerza, wyciska na nie ketchup, a potem odsuwa talerz, nie tknąwszy jedzenia. Ma wyraziste kości policzkowe, widać, że była kiedyś piękną, ale teraz jest za chuda, ma przesuszoną i nadmiernie rozciągniętą skórę, a farbowane blond włosy zwisają smętnie po obu stronach twarzy.

Dziś rano obudziłam się minutę przed budzikiem. Czułam się wypoczęta. Na zewnątrz było ciemno, słyszałam, jak ciekła woda przy chłopczyku z rybą. Przeciągnęłam się, wykonałam kilka krążeń ramionami, strzyknęło mi w szyi. Jak zwykle pomyślałam o Martinie. Chciałam się na niego złościć, ale nie umiałam podsycać w sobie gniewu. Martwiłam się, gdzie jest i co robi, i czy dobrze się odżywia, czy zostawiłam mu dość produktów w szafkach, by jakoś przeżył, albo czy co wieczór zamawia hinduskie dania na wynos, wybierając numer z wyświechtanego menu przyklejonego do drzwi lodówki. Zawsze zamawiał numer czterdzieści pięć: krewetkowe jalfrezi. Lubił brać do tego chlebek naan, bez ryżu.

Wybraliśmy się kiedyś na bollywoodzkie przyjęcie, wielką imprezę charytatywną zorganizowaną przez jedną z koleżanek Sereny, która zbierała pieniądze na ochronę tygrysa bengalskiego. Ja włożyłam sari. Martin, który nie cierpiał przebrań, poprzestał na koszuli Nehru.

Pamiętam, że spotkaliśmy tam Andrew Jarvisa. Nie lubiłam go, ponieważ wiedziałam od Martina, że w szkole tyranizował słabszych. W wieku dojrzałym był zadziwiająco z siebie zadowolony: typ mężczyzny,

który zadaje pytanie tylko wtedy, gdy odpowiedź zdeprecjonuje interlokutora.

Miał na głowie turban, a gdy zobaczyłam, że pomalował twarz brązową farbą, byłam zbulwersowana.

– O Boże, on literalnie zrobił się na czarno – szepnęłam do Martina na widok zbliżającego się Jarvisa.

– Cześć, Jarvis – powiedział Martin. Nie wyciągnął ręki, Jarvis też nie wykonał żadnego gestu.

– Martin! Nie spodziewałem się ciebie tutaj.

– Nie? A dlaczego?

– Nie wiedziałem, że znasz Cuthbertsonów.

– Cóż, nie musisz o wszystkim wiedzieć – odparł Martin.

Wyczuwałam wibrujące w nim napięcie. Nie pierwszy raz się zastanawiałam, cóż takiego Jarvis zrobił w szkolnych latach Martinowi, że mój mąż tak się jeżył i emanował taką pogardą.

– Nie, oczywiście, że nie – przyznał Jarvis. – Po prostu pochodzisz z tak innego... – Gestykulował jedną ręką niczym dyrygent szukający batuty. – Jak to się mówi? Z tak innego... środowiska. Znam się z Francescą Cuthbertson od niepamiętnych czasów. Nasze rodziny co roku jeździły razem na wakacje do Francji, no i wiesz, wszyscy dorastaliśmy w tej samej części Suffolku. Ty natomiast... przepraszam – powiedział Jarvis, udając zakłopotanie. – Nie mogę sobie przypomnieć tak od ręki... gdzie się wychowywałeś?

Martin stał bez ruchu.

– Suffolk? – wtrąciłam. – Zabawne. Czytałam w gazecie artykuł, w którym napisano, że statystycznie Suffolk jest najbardziej endogamicznym hrabstwem w całej Anglii.

Jarvis niemal udławił się małą samosą.

– Naprawdę? – wykrztusił w przerwie ataku kaszlu. – Niebywałe.

– Tak czy owak – ciągnęłam – właśnie mignęła mi Francesca, musimy pójść się przywitać. Proszę nam wybaczyć... przepraszam, nie

zapamiętałam imienia...

– Andrew Jarvis.

– Oczywiście. A więc do zobaczenia.

Oddaliłam się najpewniejszym krokiem, na jaki umiałam się zdobyć, Martin poszedł w moje ślady.

– Przecież nie znamy Franceski – syknął.

– Ja to wiem, ty to wiesz. Ale Andrew Jarvis z pewnością nie musi o tym wiedzieć.

A że Suffolk jest najbardziej endogamicznym hrabstwem w Anglii? Wyssałam to z palca. Ale mogłoby tak być. I w tym rzecz.

Dziś rano złożył mi wizytę niespodziewany gość. Godziny odwiedzin przewidziane są po lunchu, od piętnastej do siedemnastej, ale w The Pines nie przestrzega się ściśle żadnych reguł.

Nie przychodził do mnie nikt prócz Martina. Kilkakrotnie próbował się ze mną zobaczyć, ale odmawiałam spotkania. Nie tylko z powodu tego, co się wydarzyło. Chodziło o wszystko, co do tego doprowadziło, o lata starań, o wszystkie te razy, kiedy szukałam usprawiedliwień i przekonywałam samą siebie, że wcale nie jest tak źle. Miarka się przebrała. Popatrzyłam na męża podczas tamtego przyjęcia i zrozumiałam ze zdumiewającą pewnością: nie kocham cię i nie ma sensu udawać.

To jak potknąć się o mały kamyk i złamać nogę. Czasem w jednej sekundzie zmienia się całe życie, ponieważ ta pojedyncza sekunda nie istnieje w oderwaniu od reszty: jest powiązana z nieskończonym łańcuchem minut, dni, tygodni, miesięcy i lat, które ją poprzedziły. Lecz właśnie ta jedna wypaczona sekunda uruchamia cały proces. Opuszczone oczko, od którego pruje się cały szal.

Mimo wszystko mam wyrzuty sumienia, że nie widuję się z Martinem. Stara się, bądź co bądź. Nie jestem na niego zła. Tylko zbyt wyczerpana, by jeszcze mi zależało. A co do Bena i Sereny? Nie chcę ich więcej widzieć na oczy.

Dzisiejszy gość mnie zaskoczył, a gdy pielęgniarka zaanonsowała odwiedzin, wbrew sobie poczułam się zaintrygowana. Kiedy weszłam do salonu, był tam już nakryty stolik przy oknie w wykuszu, z imbrykiem kawy i talerzykiem ciasteczek, a przy nim na rustykalnym fotelu siedziała wyprostowana lady Katherine. Matka Bena.

Spotkałam ją tylko raz, na chrzcie Hectora. Była uprzejma, ale pełna rezerwy, ubrana w formalny, jasnoszary kostium uzupełniony toczkiem i butami na obcasie z kwadratowym noskiem i srebrną kłamrą. Zapamiętałam tamte buty, ponieważ wydawały się zupełnie nie pasować do reszty. Teatralne trzewiki przy eleganckim, sztywnym stroju.

– Dzień dobry, Lucy – odezwała się cichym głosem. – Jak się miewasz?

Próbowałam się uśmiechnąć. Mięśnie wokół ust wydawały się zmęczone. Usiadłam na fotelu naprzeciwko, czując się niezgrabnie w dżinsach i pasiastym podkoszulku gap. Z wypłowiałą pomarańczową plamą na rąbku. Pewnie pamiątka po spaghetti bolognese z wczorajszego obiadu, pomyślałam.

Po drugiej stronie salonu siedziała na sofie Sandy z jakimś młodym mężczyzną, który mógłby być jej synem. Byli zatopieni w rozmowie, przytrzymywała rękaw jego skórzanej kurtki.

Poczęstowałam się ciasteczkiem.

– Co za niespodzianka – powiedziałam.

Lady Katherine nieznacznie skinęła głową.

– Domyślam się.

Podniosła filiżankę ze spodeczkiem. Zdawały się niemal lewitować w jej dłoniach. Zaczęłam się trząść, a gdy nalewałam sobie kawy, mleko chlusnęło i przelało się przez brzeg naczynia. Pieprzeni Fitzmaurice'owie, pomyślałam. Zawsze demonstrują nienaganne maniery, nawet wtedy, gdy rujnują innym życie. Co ona sobie wyobraża? Że niby kim jest?

– Wyglądasz na zdenerwowaną – zauważyła.

– Można tak rzec.

– Rozumiem dlaczego.

– Nie wydaje mi się.

Kolejny staranny łyk kawy. Odcisk jasnej szminki na brzegu filiżanki.

– Hmm... No cóż... Ludzie, których kochamy, poddani wielkiej presji zachowują się nieprzewidywalnie. Bywa, że się psychicznie rozsypują. – Szare oczy spojrzały na mnie przenikliwie. – Jak zapewne wiesz, zważywszy na twoje... twoje... – Machnęła ręką. – Obecne położenie.

Roześmiałam się.

– Moje położenie?

– Tak, Lucy. Z pewnością żałujesz...

– Niczego nie żałuję – przerwałam. – Może z wyjątkiem poślubienia Martina.

Słyszałam, w jaki sposób wyrzucam z siebie te słowa, i zabrzmiało to jakoś źle. Gniew wydawał się ulokowany niewłaściwie. Ale czułam go w sobie i chyba nie miałam nad nim żadnej kontroli.

Lady Katherine odwróciła głowę, wyjrzała przez okno, wspaniałomyślnie pozwalając mi podziwiać swój szlachetny profil. Na prawej dłoni nosiła niewielki złoty sygnet. Taki sam miał Ben, wiedziałam, że jest na nim wygrawerowany rodzinny herb. Serena też była posiadaczką takiego sygnetu – Ben podarował jej go na pamiątkę narodzin ich pierwszego dziecka. Zawsze uważałam, że jest w tym coś dziwnie średniowiecznego: jakby Serena mogła się sprawdzić w roli prawowitego członka rodu Fitzmaurice'ów tylko poprzez wydanie na świat potomka.

– Nie oczekuję, że mnie wysłuchasz, Lucy. – Nadal spoglądała na trawnik, żwirowy podjazd i chłopca z rybą. – Ale chciałam, byś wiedziała, że jako żona Martina jesteś w naszych oczach członkiem naszej rodziny.

– Tak?

Zignorowała mnie.

– I mam nadzieję, że postrzegasz nas w taki sam sposób i wiesz, że zawsze możesz liczyć na... – Zapadło krótkie milczenie. – Naszą pomoc – dokończyła, znów odwracając do mnie głowę. – Na przykład chętnie pokryjemy koszty twojego pobytu tutaj.

– Myślałam, że Martin...

Uśmiechnęła się.

– Ależ nie, moja droga, nie. Martin nie mógłby sobie na to pozwolić.

Wygładziła sztywną tkaninę spódnicy.

– I, jak wspomniałam, uczynimy to z przyjemnością, zważywszy na to, co Martin... cóż, na wszystko, co zrobił. W zamian prosimy jedynie o dyskrecję tam, gdzie jest to potrzebne. Z pewnością się rozumiemy?

Dzwoniło mi w uszach. Takie brzęczenie uwięzionej za szybą osy. Teraz się wyjaśniło. Dlaczego w ogóle przyszła. Dlaczego udaje troskę. Dlaczego raczyła łaskawie odwiedzić mnie w tym żenującym miejscu. Żeby zamknąć mi usta. Tego chciała. Tego chcieli wszyscy Fitzmaurice'owie.

Doprawdy niewiarygodne, jak wielkie mieli ambicje, jak bezrefleksyjnie traktowali świat jako coś, co im się należy.

– Potrzebny ci odpoczynek – ciągnęła lady Katherine. – Musisz dojść do siebie, a wtedy być może jaśniej spojrzysz na sprawy...

– Jakim prawem? – zapytałam głosem tak cichym, że musiała wyciągać szyję, by w ogóle coś usłyszeć, niczym pelikan nurkujący za rybą.

– Słucham?

– Jakim prawem igracie w ten sposób z życiem innych ludzi? Rozstawiacie ich jak pionki na szachownicy? Czy dlatego, że jesteście bogaci? Albo wytworni? Czy może dlatego, że nigdy w życiu nie musieliście ruszyć palcem? Nie macie żadnego...

– Nie wydaje mi się, by...

– Żadnego sumienia. Może przez lata udawało się wam bezkarnie traktować tak Martina, ale ja nie jestem nim. Nie zależy mi rozpaczliwie na cudzej sympatii. Zwłaszcza ludzi, których nie szanuję. Nie wiecie o mnie nic. Kompletnie nic. Macie za to... macie tupet... zjawiać się tutaj jak we własnym domu, stawiać żądania i oczekiwać, że kiwnę głową i przytaknę. Niech mi pani powie, lady Katherine: co właściwie sobie pani wyobraża?

Od czasu przybycia do The Pines do nikogo nie wypowiedziałam naraz tylu słów, do nikogo poza Keithem. Same nanizowały się na nitkę niczym

klejnoty w naszyjniku. Nie było żadnego wahania.

– Niech się pani nie martwi – dodałam. – Nie chcę mieć nic więcej wspólnego z waszą cholerną rodziną.

Wstałam, ale jeszcze odwróciłam się na odchodne i bez namysłu ryknęłam:

– Pieprzcie się, Fitzmaurice'owie!

Wszyscy zamilkli. Lady Katherine wydawała się wstrząśnięta. Jedna z pielęgniarek pokręciła głową. Za to Sandy... Sandy szeroko się do mnie uśmiechała. Gdy otwierałam drzwi na korytarz, widziałam, jak podciąga rękawy, a nim opuściłam salon, zdążyłam jeszcze zauważyć, jak zakłada za uszy wiotkie włosy i wyrzuca w górę oba kciuki.

2 maja

Namiot ogrodowy, klasztor Tipworth, 21.45

Na pewnym etapie wieczoru, dokładnie w momencie, gdy progowa mgła skrajnego rauszu ustępuje miejsca musującej pianie czystego, nieodpartego upojenia, zaczęto wyprowadzać gości na zewnątrz. Nikt nie wiedział, dlaczego, ale i nikomu nie przyszło do głowy, by się opierać. Szliśmy jedno za drugim jak stado wesołych owiec, płynęliśmy z prądem, porwani głośnym śmiechem i jeszcze głośniejszym gwarem rozmów, poklepywaniem po plecach, uściskami dłoni, przesyłaniem całusów na odległość i padaniem sobie w objęcia: w miarę upływu wieczoru typowa brytyjska rezerwa rozpuszczała się jak aspiryna w szklance wody.

– Jeśli pan łaskaw... – rzekł kelner. – Państwo Fitzmaurice'owie zapraszają wszystkich do namiotu w ogrodzie. Tędy... – Wskazał kierunek wyprostowaną dłonią.

– Wiem, gdzie iść.

Wyszedłem z salonu i dołączyłem do tłumu imprezowiczów w korytarzu. Jarvis zniknął, ale nie wiedziałem, dokąd się udał, a nie chciałem, by znów mnie zaskoczył.

Lucy pojawiła się u mojego boku, niosąc dwa cheeseburgery. Podała mi jednego, ciasno owiniętego w pergamin z nadrukowanym wielkimi literami napisem „Czterdziestka Bena”.

– Bez korniszonów – uprzedziła.

– Dziękuję. – Chwyciłem jej rękę, ciepłą w mojej zimnej dłoni, i uniosłem ją do ust. Ucieszyłem się z jej powrotu.

– Wszystko w porządku?

Spojrzała na mnie w ten swój bezpośredni sposób, poddając analizie każdy najdrobniejszy ruch.

– W porządku. – Zamilkłem. – Po prostu... natknąłem się na Andrew Jarvisa.

Lucy wykrzywiła twarz. Parsknąłem śmiechem.

– Zgadza się. Nie należy do moich ulubieńców.

– Na dodatek nic nie jadłeś – zauważyła. – Niski poziom cukru we krwi i Andrew Jarvis: potencjalnie zgubne połączenie. Nic dziwnego, że tak zbladłeś.

– Zbladłem?

– Odrobinę. – Odgryzła duży kęs burgera, do kącika ust przykleił się jej kleks majonezu. – Jak myślisz, dlaczego wołają nas do namiotu?

– Kto wie? Może sprowadzili papieża, który zaśpiewa karaoke.

Lucy parsknęła.

– Na pewno jakiś utwór Madonny, prawda?

– Albo The Jesus and Mary Chain.

– Właśnie!

Weszliśmy do przestronnej białej przestrzeni oświetlonej girlandami lampek emitujących liliową poświatę. Namiot pachniał letnimi weselami i szkolnymi uroczystościami. Pośrodku ustawiono długą scenę, a goście przepychali się, chcąc się znaleźć jak najbliżej podium.

Gilly Rawlins podeszła do nas, podrygując, cała podekscytowana – wyglądała jak wielka skacząca piłka torująca sobie drogę w tłumie.

– Czy to nie fenomenalne? – zapytała, wyraźnie z siebie zadowolona, że użyła tak inteligentnego słowa. – Aż trudno uwierzyć, ile zadali sobie trudu. Serena to prawdziwy skarb.

Lucy się uśmiechnęła. Po czym spałaszowała resztę cheeseburgera, oblizując palce z tłuszczu. Gilly konspiracyjnie wzięła mnie pod ramię: była jedną z tych kobiet, które uważają, że lepiej dogadują się z mężczyznami, i się tym szczyciła.

– Jak myślisz, skarbie? – zapytała. – Co się teraz wydarzy?

– Złożą ludzką ofiarę? – mruknęła Lucy.

– Nie mam pojęcia, Gilly. – Cheeseburger w mojej dłoni zupełnie wystygł. Rozejrzałem się za kubłem. Nigdzie ani śladu. Zastanawiałem się, czy ktoś zauważy, jeśli po prostu upuszczę go na podłogę.

– Och, daj spokój, na pewno coś wiesz jako najstarszy i najlepszy kumpel Bena. Jaki jest jego ulubiony zespół?

Przypomniały mi się płyty kompaktowe kupione w Woolworths wiele lat temu. Trud, jaki sobie zadałem, pieniądze, które na nie wydałem, praktycznie ich nie mając. Przez pewien czas płyty poniewierały się w rozmaitych pokojach internatu, w wyszczerbionych i porysowanych okładkach, pakowane na koniec każdego semestru i rozpakowywane z początkiem nowego, nieużywane, ale jakoś na tyle ważne, by je zatrzymać. A później, kiedy szedłem na Cambridge, nie mogłem ich znaleźć. Zasiłyły zbiór rupieci o krótkim żywocie, które gubimy za oparciem nieskończenie długiej sofy życia.

– Kiedyś lubił Run-D.M.C. – odparłem. Gilly wydawała się skonsternowana.

– Byłoby cholernie bosko, gdyby się tu zjawili – stwierdziła Lucy. – Rozkręciliby imprezę.

Gilly przysunęła się bliżej i zniżyła głos.

– Doszły mnie słuchy... – zaczęła.

– Kolejne? – zapytałem łagodnie.

– ...że może będą... – Odwróciła się plecami do Lucy, wspięła na palce, osłoniła usta pulchną dłonią i scenicznym szeptem wypowiedziała nazwę rockowej kapeli uwielbianej przez stołecznych trzydziestoparolatków, którzy paradowali w koszulkach z różnymi hasłami i obcisłych włóczkowych czapkach, mając nadzieję, że dzięki temu będą uchodzić za młodszych. – Czy to nie byłoby niesamowite?

– Byłoby – odparłem bez entuzjazmu. – Niesamowite.

– Zamierzasz go zjeść? – zapytała Lucy, wskazując na mojego cheeseburgera.

– Nie, częstuj się. Ale jest już zimnawy.

– Nie szkodzi. Umieram z głodu.

Pochłonęła drugą bułę, nie zważając na pełne dezaprobaty spojrzenia Gilly. Ja rozglądałem się za kelnerem serwującym drinki. Przyjemne podniecenie po ostatnim mojito ustępowało. Potrzebowałem kolejnej dawki, która utrwaliłaby nastrój izolujący mnie od rzeczywistości niczym pancerz ochronny.

– No, coś się dzieje – oznajmiła Lucy, wskazując ruchem głowy wejście do namiotu, gdzie czterech łysych mężczyzn w czarnych koszulach i ze słuchawkami w uszach odsuwało ludzi, tworząc wąskie przejście.

– Ooooch – zapiszczała Gilly, puszczając moje ramię, jakby mogło ją czymś zakazić, i w podskokach tocząc się w stronę zamieszania.

– Fuj. Robi się coraz gorsza.

– Lucy...

– Co? Wiem, że ty też jej nie znosisz.

– Ktoś może usłyszeć.

– Mam to w dupie – skwitowała z zaróżowionymi policzkami. – Wiesz, Martin, czasem dobrze jest nie przejmować się opiniami innych.

Oczywiście miała rację. Zawsze miała rację.

Lucy znała mnie lepiej niż ktokolwiek, ale o wielu rzeczach nigdy jej nie mówiłem. Czasem patrzyła na mnie tak, jakby próbowała dostrzec kształt samotnej skały mającej na zamglonym horyzoncie. I czasem prawie udawało się jej mnie przejrzeć. Prawie, nie całkiem. Z perspektywy czasu myślę, że właśnie dzięki temu nadal interesowałem ją jak nikt inny.

Mężczyźni, którzy pokierowali nas do namiotu, rozpościerali teraz ramiona, tworząc ludzką zaporę powstrzymującą napór gości. Niektórzy z zaproszonych zaczęli marudzić, że co się tu, kurwa, dzieje, dlaczego nie mogą iść do cholernego baru i ej, chłopie, nie rozpychaj się. Ktoś upuścił

talerz, brezent namiotu stłumił brzęk rozpryskującej się porcelany. Wszyscy ucichli, a wtedy wkroczyli premier z żoną.

Oto on: Edward Buller, poruszający się jak człowiek, który oszacował już rozmiary przestrzeni i uznał je za zadowalające. Miał twarz gładką jak skorupka jajka, na czole zakola rozdzielone kępką włosów. Wąskie wargi, poważnie zaciśnięte (kiedyś uśmiechał się o wiele częściej, ale potem w kraj uderzył kryzys, on zaś przywdział maskę permanentnego zafrasowania: pewnie uznał, że tak przystoi mężowi stanu). Oczy były zbyt małe w stosunku do reszty, wciśnięte w ciastowatą twarz jak węgielki w głowę bałwana.

Przystanął, rozejrzał się po namiocie, ocenił sytuację, a potem zauważyłem, jak robi stosowną do okoliczności minę, rozpina marynarkę, staje się jowialny, swobodnie ściska podawane dłonie, wolną rękę kładzie na ramieniu osoby, z którą się wita.

– Miło cię widzieć – usłyszałem jego głos. – Fantastyczne przyjęcie. Wspaniale się tu znaleźć.

Edward Buller zbliżał się do nas coraz bardziej, a ja poczułem przypływ energii i jednocześnie zaniepokoiłem się, że mnie nie rozpozna i będę zmuszony udawać kogoś całkowicie mu nieznanego, mimo że w przeszłości wielokrotnie chełpiłem się przed Gilly, jak dobrze go znam: widziałem, że świdruje mnie teraz swoimi paciorkowatymi oczkami i zdawałem sobie sprawę, że jeśli Edward Buller minie mnie obojętnie w swoim triumfalnym pochodzie, Gilly natychmiast to odnotuje i stanę się tematem anegdot, którymi będzie zasypywać gości na innych tego typu przyjęciach i już nigdy nie zostanie mi to zapomniane.

– Jeszcze by się przydało, żeby ktoś wcisnął mu w ramiona jakiegoś malucha do potrzymania – zauważyła kąśliwie Lucy. – Ciekawe, czy Ben mu to załatwił.

Roześmiałem się.

– Cześć, Ericu! – mówił premier stojący teraz zaledwie pół metra od nas. – Tak się cieszę, że udało ci się przyjść.

Za nim podążała jego potulna żona Fiona, szczupła brunetka w sukience do połowy łydki w szkaradny geometryczny wzór. „Daily Mail” wiecznie piętnował Fionę Buller za brak stylu i zwyczaj wielokrotnego noszenia tych samych strojów. Kilka tygodni temu sfotografowano ją na kobiecej konferencji w dzierganym swetrze z wizerunkiem pudła na piersi. „Daily Mail” zamieścił rozkładówkę, prosząc ekspertów od mody o ocenę tej kreacji. Komentarze opatrzone nagłówkiem *Wystawa psów*. Jedna ze stylistek przyznała jej pierwsze miejsce w skali od jeden do dziesięciu za „psi brak gustu”.

– Wspaniale cię widzieć – powiedział Buller do rudowłosego mężczyzny.
– Pamiętasz moją żonę Fionę? – Za jego plecami Fiona bez słowa wzruszyła ramionami.

Premier znajdował się teraz tak blisko, że wyczuwałem metaliczną nutę jego wody po goleniu. Ćwiczyłem sobie w myślach, co powiem. Uznałem, że najlepiej będzie przejąć inicjatywę, żeby, zanim zdąży mnie upokorzyć, nie pamiętając, kim jestem, ubiec go słowami: „Miło znów cię widzieć, Edwardzie”. A potem może jeszcze dodam: „Ostatnio widzieliśmy się zapewne u Bena”, by podsunąć mu odpowiedni kontekst. Pociła mi się dłoń. Wyswobodziłem ją z uścisku Lucy. Premier skończył obejmować kobietę w obcisłej brokatowej sukni i nieubłaganie posuwał się w moim kierunku. Podniósł wzrok, nasze spojrzenia przelotnie się spotkały, i wtedy ujrzałem w jego oczach całkowitą pustkę. Poczułem, jak gwałtownie przyspiesza mi puls, zbliżył się jeszcze bardziej i miało już nastąpić nieuchronne, gdy...

– Staaaary! – Ben wyskoczył z tłumu i rzucił się na premiera, ściskając go z ostentacyjną serdecznością. Mnie pozostał widok szerokich pleców Bullera oplecionych ramionami Bena. Ben się cofnął. – Wspaniale, że przyszedłeś. – Błyszczały mu oczy. Czyżby... nie, to niemożliwe, ale czy on rzeczywiście był na granicy łez?

– Nie mógłbym przegapić takiej okazji – odparł Buller.

Wtedy rozkołysanym krokiem wkroczyła do akcji Serena o rozświetlonych kościach policzkowych, lekko cmoknęła Fionę w oba

policzki i głośno powiedziała: „Na was dwoje zawsze można liczyć!”, tak by wszyscy widzieli, jak blisko są zaprzyjaźnieni. Zaskoczona Fiona cofnęła się o krok.

– Pójdę poszukać jakiegoś alkoholu – oznajmiła Lucy.

– Dobry pomysł. Idę z tobą.

Przebijaliśmy się przez tabuny gości w stronę głównego holu, gdzie ustawiono kolejny stół z kieliszkami: tym razem wysokimi, ozdobionymi na krawędziach kryształkami cukru.

– Co to jest? – zapytała Lucy, gdy podawałem jej trunek.

– Co za różnica?

Lucy sączyła napój przez słomkę. Ja pociągnąłem spory haust prosto z kieliszka.

– Chodźmy – rzekła, prowadząc mnie w stronę dudniącej muzyki, która zaczęła właśnie grać za ścianą.

Wróciliśmy do namiotu.

Martin
Cambridge, 1993

– Martin, prawda?

Głos brzmiał cicho, ale nie było w nim wahania, jakby znała odpowiedź na pytanie, jeszcze zanim je zadała.

Podniosłem wzrok znad podręcznika. Był poświęcony historii społecznej średniowiecznej Anglii, strony zawierały odniesienia do Malthusa, mecenatu, plagi dżumy i poddaństwa. Tu i ówdzie natrafiałem na marginesie na notatkę pisaną ołówkiem przez jakiegoś nieznanego studenta starannymi, kanciastymi literami. Zdarzały się też proste podkreślenia i samotne znaki zapytania zawieszony w niezadrukowanym miejscu, a wówczas zastanawiałem się, co przykuło uwagę czytelnika bądź czytelniczki i czy zamąciło im to w głowie w jakiś niezrozumiały dla mnie sposób.

Dziewczyna czekała na odpowiedź, ja zaś zdałem sobie sprawę, że przeciągam milczenie ciut za długo i że cały czas się na nią gapię. Zamrugalem, odrywając od niej wzrok.

– Tak.

Miała blond włosy, była szykowna, należała do tych dziewczyn, po których widać, że będą najładniejsze w szkole – tych, które przyjeżdżają na studia jakby już w pełni uformowane, w golfach, obcisłych dżinsach i wysoko związanych końskich ogonach, ze swobodą, którą reszta z nas mogła jedynie podziwiać.

– Cześć, jestem Vicky.

No jasne, pomyślałem. Jakżeby inaczej. Vicky albo Olivia, ewentualnie Abby lub Alice – dowolne imię, które kojarzyło się z końmi i lustrami na

toaletkach, wychowaniem wymagającym uczestniczenia w londyńskich balach, na których obowiązuje strój wieczorowy i gdzie nastolatki o powszechnie znanych nazwiskach udają bardziej dorosłe, niż są.

Głośno zatrzasnąłem podręcznik. Huk rozszedł się po całej bibliotece. Grupki studentów przy długich drewnianych biurkach pochylały się nad blokami papieru kancelaryjnego niczym zakonnicy z zamierzchłych czasów, ich twarze oświetlał przyćmiony zielonkawy blask lampki do czytania. Dlaczego Vicky w ogóle miałaby być zainteresowana rozmową ze mną? – zachodziłem w głowę, zakręcając wieczne pióro.

– Przyjaźnisz się z Benem, prawda?

Aha. Więc w tym rzecz.

– Tak.

Prawdę mówiąc, coś takiego przytrafiało mi się nie po raz pierwszy. Przywykłem do pośredniczenia. Zwykle dziewczyny nie były aż tak bezpośrednie. Przynajmniej podejmowały próbę, udawały, że chcą ze mną porozmawiać, i dopiero później przedstawiały rzeczywisty powód swojego zainteresowania.

– Wiedziałam. Mówił.

Żuła gumę. O sztucznym zapachu cytrusów. Uśmiechnęła się, błyszczały jej usta i oczy, a w uszach perły w kształcie kropek.

– Tak?

– Tak, wczoraj wieczorem. Byliśmy na imprezie sportowej i powiedziałam, że wybieram się do biblioteki, a on na to, że jego kumpel ze szkoły, Martin, ciągle tam przesiaduje. No i się zgadza. – Vicky zachichotała, podciągając jednocześnie dzinsy. – Przepraszam. Zapomniałam rano paska.

– Ale skąd wiedziałaś...

– Że to ty?

Kiwnąłem głową.

– Ben mówił, że wyglądasz jak gościu z *Gdzie jest Wally*.

– Aha.

Roześmiała się. Sympatycznie. W niewymuszony sposób.

– Nie obrażaj się. To urocze.

– No jasne.

Pochyliła się i ścisnęła mnie za nadgarstek.

– Naprawdę. Słowo.

W jej ładnej twarzy najbardziej zwracały uwagę brwi. Idealnie proporcjonalne, najwyższy punkt łuku znajdował się dokładnie w dwóch trzecich ich długości, nad źrenicą jej jasnoniebieskich oczu.

– Nie napiłbyś się kawy?

Właściwie, pomyślałem, co mi szkodzi? Malthus mnie już znudził. I nawet jeśli Vicky okaże się niezbyt porywającym towarzystwem, znam gorsze sposoby na spędzenie pół godziny. Możemy rozmawiać o Benie. To nigdy nie jest strata czasu.

– Dobra.

Poszliśmy do kafejki. Zamówiła latte, ja wziąłem wodę gazowaną; herbatę mieli tam podłą. Usiedliśmy przy oknie. Nie musiałem zadawać zbyt wielu pytań; mówiła z własnej woli, jakby założyła, że chcę to wszystko wiedzieć.

Była na prawie w Newnham. Miała młodsze rodzeństwo: siostrę i brata. Wychowywała się na wsi i tęskniła za łażeniem w kaloszach po łąkach.

– Wiesz, tu też można łązić – wtrąciłem. – Łąki wokół Grantchester...

– Tak, ale strasznie tu płasko. Lubię konkretne pagórki. A zresztą... przepraszam. Dość już o mnie. Opowiedz coś o sobie.

– Na przykład co?

– Skąd jesteś?

– I tak o tym miejscu nie słyszałaś.

Roześmiała się.

– Okej, niech ci będzie. – Zniżyła głos. – Mężczyzna pełen tajemnic.

Polubiłem Vicky. Samego mnie to zaskoczyło. Lwią część pierwszego semestru w Cambridge spędziłem na unikaniu ludzi, których nie trawiłem.

Takich jak Jez, rugbista, którego Ben z niewyjaśnionych przyczyn przygarnął pod swoje skrzydła. Albo Rufus, który chodził do Eton i bez przerwy opowiadał o tym, że chodził do Eton, i miał manierę noszenia trzyczęściowych garniturów z czerwonymi kamizelkami. Albo Jimmy, którego ojciec był prezesem spółki gazowej i który nosił zaczesane do tyłu długie blond włosy, zawsze lekko przetłuszczzone, i spędzał wakacje w rodzinnej willi na Ibizie (na północy wyspy, z dala od turystów i tańców w pianie). No i, rzecz jasna, Jarvis. Jarvis, który ciągnął się za nami jak smród po gaciach.

Cała czwórka obracała się w centrum życia towarzyskiego uczelni. Jak to zwykle bywało z Benem, z łatwością grawitował ku środkowi każdego spotkania, a tym samym dystansował się ode mnie z cicha pęk, niezauważalnie, tak że nigdy nie mogłem wskazać momentu oddzielenia i powiedzieć: „O, wtedy. Wtedy to zrobiłeś. Dlatego”. A ponieważ nie dostrzegałem w tym żadnej logiki, bo chyba najzwyczajniej w świecie się mną zmęczył na swój sposób, tym bardziej bolało.

Jeśli Ben uznał, że coś jest spoko, było spoko, a gdy zmienił zdanie, przestawało być spoko. Miał taki dar.

Ktoś w bufecie upuścił łyżeczkę. Pulsujący punkt w kąciku mojego lewego oka rozbłysnął i przygasł.

– Martin? – mówiła Vicky. – Halo, Martin? – Pokazała na migi, że puka.
– Jest tam kto?

Odwróciłem się do niej. Czerwień w mojej głowie zbladła.

– Przepraszam. Zamyśliłem się.

– Okeeej. Tak czy owak... idziesz na imprezę do Klubu Pitta?

– Gdzie?

– Oho... Ujarałeś się czy co?

Pokręciłem głową.

– W ogóle słuchałeś, co mówiłam?

– Oczywiście, że słuchałem – odparłem z irytacją.

– No dobra, dobra. Mówiłam, że jutro wieczorem jest impreza w Klubie Pitta i jestem ciekawa, czy się tam wybierasz? – Zapadło krótkie milczenie, ja zaś znałam już ciąg dalszy. – No i czy idzie Ben?

Bardzo siliła się na swobodę.

Wzruszyłam ramionami.

– Pewnie idzie. Wiesz, zwykle chodzi.

– Super.

– Ja chyba sobie odpuszczę.

– Dlaczego?

– Nie moja bajka.

Klub Pitta był męskim klubem członkowskim wyłącznie dla tych studentów, którzy ukończyli Eton lub Harrow. W praktyce wpuszczano każdego, kto uczęszczał do ekskluzywnej szkoły, pochodził z zamożnej rodziny albo miał arystokratyczne nazwisko. Co semestr urządzano tam imprezy suto zakrapiane alkoholem, na które rzeczonym panom wolno było zaprosić dziewczynę (zawsze mówiono o nich „dziewczyny”, nigdy „kobiety”), przy czym obowiązywało niepisane porozumienie, że musi to być jedna z najatrakcyjniejszych studentek. Istniała nieformalna tabela ligowa urody. Garstka dziewczyn z naszego roku kwalifikowała się do wpisania na listę i wszyscy wiedzieliśmy które. Plotkowano o nich w barach uczelnianych ściszonymi głosami z nabożnością zwykle zarezerwowaną dla gwiazd filmowych albo supermodelek. Vicky uznano za jedną z takich dziewczyn, ale nie poznałem nigdy innych, które zawsze wydawały mi się jakimiś mitycznymi stworami: fantastycznymi jednorożcami istniejącymi jedynie w zmowie z rozpaloną męską wyobraźnią.

Choć Ben regularnie chadzał na owe tajemnicze spotkania w Klubie Pitta, często bez jasnego powodu wkładając na nie wieczorowy strój, mnie tam nie zapraszano. Nigdy nie zaproponował, że mnie ze sobą zabierze, mimo że chętnie bym poszedł. A ja oczywiście nigdy go o to nie prosiłem,

ponieważ byłoby to dużym upokorzeniem. Pragnąłem, żeby on sam z siebie chciał mnie ze sobą wziąć.

Vicky żartobliwie poklepała mnie po dłoni.

– Nie wygłupiaj się. Oczywiście, że twoja bajka. Darmowy alkohol, ładne dziewczyny. Wszyscy to lubią.

Zacząłem wydłubywać brud z paznokcia ostrym końcem saszetki z cukrem. Vicky paplała dalej.

– Idę tam z moją kumpelą Louise, superlaska, no wiesz...

Odłożyłem saszetkę na stół.

– Kurczę... – powiedziała. – Chyba że... to znaczy... przepraszam, ale się wykazałam brakiem taktu. Może ty... – Odsunęła na bok pusty kubek po kawie. – ...Może ciebie nie interesują dziewczyny?

Sformułowała to jak pytanie, wypowiedziała zdanie z rosnącą intonacją. Zbyt szybko wstałem i rąbnąłem biodrem w kant stołu. Zabrzęczała porcelana. Saszetka cukru zsunęła się na podłogę.

– Martin!

Vicky wyciągnęła rękę i próbowała złapać mnie za rękaw. Zrobiłem unik. Pospiesznie wyszedłem z kafejki, ale nogi poruszały się jakoś niemrawo, były ciężkie jak nasiąknięta wełna, więc dziewczyna mnie dogoniła i znów chciała położyć mi dłoń na ramieniu.

– Przestań – powiedziałem, wyrywając rękę. – Proszę.

– Przepraszam, Martin.

Wciąż tam była, dotrzymywała mi kroku, a ja nadal czułem zapach jej gumy do żucia, przyćmiony teraz aromatem kawy, chciałem się od niej uwolnić, a jednocześnie pragnąłem, żeby za mną szła, ale nade wszystko nie chciałem być sam i zarazem niczego nie pragnąłem tak bardzo jak samotności.

Zamknąłem się we własnych myślach. Wyraźnie stanął mi przed oczami obraz matki polerującej świeczniki kuchennym ręcznikiem i brasso, wyobraziłem sobie, jak z niesmakiem dokonuje inspekcji pozostałych na

metal smug, jak gdyby bez względu na to, jak bardzo się starała, nigdy nie dało się niczego doczyścić.

– Martin...

Szedłem dalej, byle znaleźć się na świeżym powietrzu.

– Martin, stój.

Na szczycie schodów przed wejściem do budynku biblioteki w końcu się zatrzymałem.

– Wiem, że rozmawiasz ze mną tylko po to, żeby zbliżyć się do Bena. Nie rób sobie kłopotu. Mam się dobrze.

– Nieprawda – zaprotestowała Vicky. – Słuchaj, przepraszam za to, co powiedziałam. Nie moja sprawa, zresztą kogo to obchodzi. Po prostu uważam, że powinieneś przyjść do klubu, bo będzie fajnie, bo cię lubię i też tam będę i...

Od wiatru zaróżowiły się jej policzki. Zasunęła zamek swetra i naciągnęła rękawy na dłonie.

– Marzniesz – zauważyłem. – Lepiej wejdź do środka.

– Jest mi tu dobrze. Wszystko okej?

Kiwnąłem głową. Podeszła do mnie, a ja zbyt późno zdałem sobie sprawę, co się dzieje. Nim zdążyłem się cofnąć, przytuliła mnie. To jej ciepło... Po raz pierwszy w życiu przytuliła mnie inna kobieta. Oprócz Fliss. Znieruchomiałem. Pozwoliłem, by trzymała mnie w objęciach, a potem się odsunąłem, speszony i zawstydzony z niewytłumaczalnych powodów.

– Świetnie – rzekła energicznie. – Czyli widzimy się jutro w Klubie Pitta. Przy wejściu podam twoje nazwisko.

– Ale...

Już się oddalała, odwróciła się jeszcze w ostatniej chwili przy drzwiach biblioteki, uśmiechnęła się i pomachała do mnie.

– Będzie fajnie! – krzyknęła, znikając w środku. – Zaufaj mi. Powróciwszy do Queens', udałem się prosto do pokoju Bena i zapukałem do drzwi.

– Właaaż – padła rozwlekła odpowiedź. Siedział mocno odchylony w tył, rozwalony na krześle balansującym na dwóch tylnych nogach. Na łóżku w głębi pokoju, oparty o długie okno z widokiem na rzekę, siedział Jarvis.

– O, cześć, Jarvis.

– Cześć, Mart – odparł leniwie. Jarvis mówił do mnie Mart, choć nigdy nie dałem mu na to przyzwolenia. Skrócił sobie moje imię, jakby było jego własnością. Studiował na jednym z tych lewych kierunków, które utworzono specjalnie dla tępowych osobników z talentem do sportu. Zarządzanie gruntami czy coś podobnego. Pozytywnie przeszedł rekrutację, ponieważ uniwersytet chciał go mieć w swojej drużynie rugby. Studiował w Robinson, koszmarne nowoczesnym college’u na skraju miasta, który w moim odczuciu nie reprezentował nic, co byłoby warte polecenia.

Za plecami Jarvisa widać było sunących po wodzie wioślarzy, znikających za drzewami o wąskich pniach i wyłaniających się ponownie. Ziemię zaścieniały złocistobrązowe jesienne liście.

– Cześć, stary – powiedział Ben, nie wstając. Wymienił z Jarvisem szybkie spojrzenie, a ja odniosłem niejasne wrażenie, że zanim wszedłem, rozmawiali o mnie.

– Nie będę się rozsiadał...

– Szkoda – rzekł z uśmiechem Jarvis.

– ...ale spotkałem właśnie Vicky, chciała się upewnić, czy idziesz jutro na imprezę w Klubie Pitta.

Jarvis pochylił się do przodu. Był ubrany w spodnie z grubej bawełny, jasnoniebieską koszulę i vansy, które wydawały mu się superfajne.

– Ona idzie?

Ben przestał kołysać się na krześle.

– Vicky... – zamyślił się. – Przypomnij mi...

– Blondynka. Z Newnham. Z prawa. Podobno jej mówiłeś, że wyglądam jak gość z *Gdzie jest Wally*.

Jarvis zarechotał.

– O, to dobre, Ben. Wiesz, Mart, rzeczywiście jest wyraźne podobieństwo...

Poczułem, jak robi mi się gorąco na karku. Miałem ochotę powiedzieć, żeby się ode mnie odpierdolił. Podejść zamaszystym krokiem i trzepnąć go w tę zadowoloną z siebie gębę z taką siłą, że ślina trysnęłaby na ściany. Ale nie zrobiłem tego. Zmusiłem się do odwzajemnienia uśmiechu. Kluczem do pokonania takiego wroga jak Jarvis jest zachowanie spokoju w każdych okolicznościach (Sun Tzu: „Wygrywa wojownik powściągliwy, pełen rezerwy, spokojny, zdystansowany, nie ten zapalczywy, który szuka zemsty”).

– A, tak, pamiętam. Cudna Vicky.

Za każdym razem, gdy Ben znajdował się w towarzystwie Jarvisa, była w nim jakaś wystudiowana sztuczność. Przejmował sposób mówienia Jarvisa i jego modną pozę cynika, uważał, byśmy nie wydawali się sobie zbyt bliscy, jak gdyby nasza przyjaźń nadszarpywała jego reputację. Wszystko to wyjątkowo mnie denerwowało. Wyglądał wtedy tak żałośnie.

– Super – powiedział Ben. – Dzięki, stary.

Patrzył na mnie, a ja zrozumiałem, że mam wyjść.

– Ja też idę – wypaliłem. – Vicky poda moje nazwisko.

Jarvis zachichotał. Ben wydawał się zaskoczony.

– Super, super. Im nas więcej, tym weselej.

– Pomyślałem, że moglibyśmy spotkać się gdzieś wcześniej.

I pójść razem.

Jarvis mruknął z łóżka:

– Nie wątpię...

– Yyy... Łatwiej będzie spotkać się na miejscu. Wybieramy się małą paczką do Grantchester i nie wiem, kiedy wrócimy, więc...

– Jak się tam dostaniecie? – zapytałem.

Podobnie jak ja, Ben był jednym z nielicznych studentów, którzy nie mieli roweru. Roześmiał się.

Wtrącił się Jarvis.

– Bo co, Mart? Martwisz się, że uroczy mały Ben będzie samiuteńki jak palec bez swojego dużego dzielnego Martina?

– Nie – odburknąłem.

– Rufus ma samochód – wyjaśnił Ben. – Jedziemy jego bryczką.

– No dobra – rzuciłem i nagle zakreśliło mi się w głowie, jakbym spadł z dużej wysokości. – Czyli widzimy się na miejscu.

Drzwi zamknęły się za mną przy wtórze tłumionego śmiechu. Klub Pitta był zlokalizowany w miejscu dość kłóącym się z jego charakterem: nad Pizza Express przy Jesus Lane. Żeby zostać wpuszczonym, trzeba było nacisnąć dzwonek. Wszedłem na górę wystrojony w garnitur podarowany mi przez Katherine – stare ubranie George'a. Był zbyt obszerny w ramionach. Nogawki skróciłem własnoręcznie, prymitywnie podwijając je za pomocą igły i nitki wyjętych ze starego przybornika do szycia, w który matka mnie wyposażyła, gdy jechałem do Burtonbury. Wiecznie coś cerowała i zaszywała – na te niezbędne drobnostki nie zwraca się nigdy większej uwagi, póki nie zrobi się dziura w skarpetce, której nie ma kto zreperować. W szkole mieliśmy do pomocy przełożoną.

Ale Cambridge było poligonem nowych, zaskakujących doświadczeń. Trudniej było się rozeznąć, jak należy postąpić.

Weźmy na przykład takie piwo. Nigdy nie lubiłem piwa, wiedziałem jednak, że skoro jest się mężczyzną, to wypada je pić. W studenckim barze zacząłem zamawiać stellę, bo zamawiali je wszyscy inni. Później, jakoś w połowie semestru, przeczucili się na kronenbourga i właściwe osoby dziwnym trafem po prostu o tym wiedziały, nie musiały pytać dlaczego. Nieustannie starałem się nadażyć i nieustannie kończyło się to fiaskiem. Tak samo było na początku w Burtonbury.

– Nazwisko? – Na szczycie schodów stał przed drzwiami mężczyzna we fraku z listą w ręku.

– Martin Gilmour.

– Gilmour – powtórzył jak echo, przeciągając samogłoski. – Tak, zgadza się. Proszę. Szatnie są na prawo od wejścia.

Pomieszczenie pękało w szwach od rozpychających się mężczyzn w czarnych marynarkach, roześmianych, rozkrzyczanych, podsuwających szklanki do napełnienia. Światła były przygaszone. Kominiek otaczała mosiężna krata, obok stała tapicerowana sofa, na której siedziały trzy dziewczyny w sukienkach w kolorach błękitu, zieleni i czerwieni. Przez chwilę stałem w progu, chłonąc otoczenie. Odwinąłem szalik. Szatnia okazała się niepilnowanym przez nikogo miejscem z leżącymi w nieładzie na sofach płaszczami. Jakaś para, której zebrało się na amory, tarzała się, ciasno ze sobą spleciona, na stercie porzuconych ubrań.

– Przepraszam – powiedziałem, zostawiając płaszcz jak najdalej od nich. Nie zareagowali. Gapiłem się na nich, udając, że sprawdzam guziki koszuli. Chłopak wepchnął rękę pod aksamitną spódnicę dziewczyny. Miała rajstopy zsunięte do połowy uda, gumka wpijała się w dotkniętą cellulitem skórę. Chłopak przyciskał wargi do ust dziewczyny, wilgotnych, czerwonych i zbyt dużych w stosunku do twarzy. Wczepiła się dłońmi w jego włosy, wygięła plecy w łuk, wypinając piersi i przywierając nimi do jego torsu. Oczko w cienkich nylonowych rajstopach biegło od kostki do kolana, wydłużając się z każdym pchnięciem i drzeniem.

– Można przeprosić? – Usłyszałem głos za plecami. – Chcielibyśmy zostawić płaszcze.

Pospiesznie odszedłem.

– Pieprzony szajbus – dotarło do moich uszu, gdy mieszałem się z tłumem.

Wziąłem od kelnera kieliszek szampana, rozglądając się za blondwłosą Vicky. Nigdzie jej nie widziałem. Grała muzyka: synkopowany jazz z brzdąkającym w tle kontrabasem.

– Mogę w czymś pomóc?

U mojego boku zjawił się mężczyzna z przyklejonym do ust wazeliniarskim uśmiechem i przygarbionymi ramionami.

– Szuka pan kogoś konkretnego?

– Bena. Bena Fitzmaurice’a.

– Oczywiście, proszę pana. Jest tam.

Poprowadził mnie przez tłum rozgadanych i roześmianych mężczyzn. Rozpoznałem Bena po plecach, zanim się odwrócił.

– Panie Fitzmaurice, pański przyjaciel... – Mężczyzna wskazał mnie zawieszoną w powietrzu dłonią. – Przepraszam, nie dosłyszałem pańskiego nazwiska.

– Gilmour – powiedziałem po raz drugi tego wieczoru. – Martin Gilmour.

– Maaaart! – ryknął Ben, klepiąc mnie po plecach z taką siłą, że szampan z kieliszka chlusnął na gors koszuli. – Fantastycznie cię widzieć, chłopie! Doleję ci. Napij się tego... – Podał mi otwartą butelkę veuve clicquot. – Chodź, przedstawię cię. Jarvisa naturalnie znasz... – Jarvis chytrze uniósł brew. – To jest Rufus, Jordan i Tom, a tutaj cudowne zjawisko... – bełkotał. Nigdy nie widziałem go tak pijanego. Miał błędny wzrok, mocno rozszerzone źrenice. – To jest Vicky.

– My się już znamy, głuptasie – mówiła Vicky, żartobliwie opędzając się od Bena. – Hurra, Martin, jednak przyszedłeś! – Wyciągnęła szyję i cmoknęła mnie w policzek. Usta miała chłodne jak papier. Długie jasne włosy podkręciła i zebrała w skomplikowane upięcie na czubku głowy. Wydawała się przez to starsza, a zarazem młodziutka, jak mała dziewczynka przebierająca się w matczyne stroje.

Wzięła mnie za rękę.

– Przedstawię cię Louise – powiedziała, zręcznie wymanewrowując się z grupy. Pochyliła się do mnie. – Boże, ten cały Jarvis to jakiś napalony zbok. Dzięki, że mnie uratowałeś. Beznadziejnie się tu czujesz?

Pokręciłem głową.

– To super! Coś tam jeszcze zostało?

Uświadomiłem sobie, że nadal trzymam butelkę szampana. Vicky podsunęła kieliszek, ja go napełniłem, uważając, by musujący trunek nie przelał się przez brzeg.

– No to gdzie ta twoja przyjaciółka Louise?

– Och, jej tu nie ma. Tak tylko powiedziałam, żeby się od nich uwolnić.

Usiedliśmy na sofie przy kracie kominka. Na linii wzroku mieliśmy jedynie torsy, pasy smokingowe i wypięłgnowane dłonie z jaskrawoczerwonymi paznokciami.

– Dzięki za zaproszenie.

– Nie żartuj. Wspaniale spotkać tu kogoś normalnego.

Jak to dziwnie zabrzmiało pod moim adresem, pomyślałem. Jestem najmniej normalną osobą, jaką znam.

Wieczór się rozkręcał, hałas wzrastał, szampan lał się strumieniami, ja jednak poprzestałem na jednym kieliszku, świadom swego poczucia zagubienia w miejscu, gdzie panuje maksymalna pewność siebie. W pewnym momencie Vicky wyszła na papierosa i już nie wróciła. Wcale mi to nie przeszkadzało. Bycie trzeźwym w tłumie pijanych uśmierzyło nieco mój niepokój. Mogłem bez przeszkód powrócić do zwyczajowej roli obserwatora.

Podszedł do mnie mężczyzna o przygarbionych ramionach i usiadł na miejscu Vicky. Przysunął się tak blisko, że stykały się nasze uda.

– Wszystko w porządku, proszę pana?

Nie odpowiedziałem.

– Możemy poszukać jakiegoś spokojnego miejsca, gdyby pan wolał. Tylko we dwóch.

Delikatnie otarł się wierzchem dłoni o szew moich spodni. Wbrew sobie zadrżałem, reagując na ten dotyk. Szybko wstałem.

– Może kiedy indziej, proszę pana.

Poszedłem szukać Bena. W końcu znalazłem go w szatni, z łapami na pośladkach Vicky, przyciągającego ją do siebie i całującego w szyję. Jarvis pilnował im płaszczy.

– Idziesz? – zapytałem.

– Stary! Martin! Tu jesteś! – Oderwał się od Vicky i podszedł do mnie wielkimi susami. Wydawał się tak szczerze ucieszony moim widokiem, że poczułem gwałtowny przypływ dawnej sympatii. – Gdzie się podziewałeś przez cały wieczór? Ten facet – oznajmił, nie zwracając się do nikogo w szczególności – ten tutaj koleś – dźgnął mnie palcem w pierś – to mój najstarszy, najdroższy przyjaciel. Prawda, Mart? Prawda?

– Chyba tak. – Zauważyłem z zachwytem, jak Jarvis się jeży. – Kara za grzechy.

– Zawsze przy mnie – ciągnął Ben. – Zawsze, kurwa, obok. Za każdym razem, gdy się obejrzę – ostentacyjnie zaczął obracać głowę, wytrzeszczając oczy w udawanym zdziwieniu – ty tam, kurwa, jesteś. Mój stary kumpel Mart. Ty naprawdę, ale tak naprawdę naprawdę mnie kochasz, co?

W jego głosie tliła się nuta gniewu.

– Można powtarzać w nieskończoność – rzucił Jarvis.

– Chodźmy stąd wszyscy – zaapelowała Vicky. Dostrzegłem na jej twarzy czarny myślak. Zmrużyłem oczy i zobaczyłem, że to rżęsa.

Ben, nieźle naprany, odpowiedział z krótkim opóźnieniem.

– Tak, skarbie, tak, idziemy. Gdzie są kluczyki?

– Jakie kluczyki? – zapytałem.

– Od samochodu.

– Od samochodu? Od kiedy masz samochód?

– Nie twoja brocha – warknął Jarvis.

– Jarvie, Jarvie, Jarvie, zostaw go w spokoju. To nie mój samochód, Mart, tylko Rufusa. Ja tylko prowadzę.

Ben lekko się zatoczył.

– To nie najlepszy pomysł – zauważyłem. – Jesteś pijany.

– Nie jestem.

– Nic mu nie jest – wtrącił Jarvis.

– Ewidentnie jest.

Nagle Jarvis wyrósł tuż przede mną, parę centymetrów od mojej twarzy, z nosem tak blisko moich oczu, że widziałem, jak drży mu wystający z nozdrzy pojedynczy włos.

– Byłbyś łaskaw stąd spierdalać? – rzekł niskim głosem. – I zostawić to dorosłym?

– Daj mu spokój. – Ben chwycił Jarvisa za ramię i go odciągnął. Jarvis odwrócił się na pięcie, zdążył już zacisnąć pięść. Ben się skrzywił, o sekundę za późno.

– Jarvis! – krzyknęła przenikliwie Vicky. – Przestań.

Opuścił pięść i wymaszerował.

– Pierdolcie się wszyscy. Banda złamasów.

Spojrzeliliśmy po sobie. Zaczęło schodzić ze mnie napięcie jak z przekłutego balonika. Parsknęliśmy śmiechem.

– Co za fiut – skonstatowała Vicky.

– Zgadza się.

– E, nie jest taki straszny – rzekł Ben, biorąc do ręki płaszcz. – Nic tak człowieka nie otrzeźwia jak kłótnia.

Gdy spojrzałem mu w oczy, szukając wskazówek, zastanawiając się kolejny raz, jakie zajmuję miejsce w spektrum jego miłości, porwany znów w szpony mojego braku bezpieczeństwa i niepewności, zauważyłem, że alkoholowe zamroczenie znikło, rozproszyło się jak mgła. Kiedy więc zabrzączał kluczykami samochodowymi i wyprowadził nas na zewnątrz, nie protestowałem. Znów chciałem być jego najlepszym przyjacielem. W tamtym momencie zrobiłbym dla niego wszystko.

I dlatego, gdy dotarliśmy do srebrnego audi zaparkowanego za rogiem i kiedy otworzył drzwi dla Vicky i zapytał, czy mnie nie podwieźć, wsiadłem na tylne siedzenie, nie pozwalając sobie na luksus refleksji.

Przekręcił kluczyk. Silnik zapalił. Zaczął klikać kierunkowskaz. Rozbłysły światła. Ben zacisnął dłonie na kierownicy i ruszyliśmy w mrok nocy.

7

Komisariat policji w Tipworth, 16.45

– Proszę kontynuować. – Beżowowłosa siedzi bez ruchu naprzeciwko mnie. Szary Garniturek leniwie mruga oczami.

Skądś dobiegają stłumione odgłosy odległej sprzeczki, stuka okno poruszane lekkim wiatrem. Podryguje mi noga, wybija nerwowy rytm metronomu. Podeszwa buta to przywiera do podłogi, to się od niej odrywa.

Zastanawiam się, jak wiele im powiedzieć i co z tego wyniknie. Jeśli wygadam się ze wszystkim, będzie to z pewnością koniec mojej przyjaźni z Benem, choć być może i tak już przepadła. Zrujnuję sobie reputację, a przynajmniej to, co z niej zostało. A jeśli chodzi o moje małżeństwo? Nie ma powrotu. Myślę, że Lucy zdaje sobie sprawę, że nie może wiecznie walić głową w mur. Ja się nie zmienię. Nigdy nie będę umiał kochać jej tak, jak na to zasługuje. A nawet jeśli w głębi duszy zawsze o tym wiedziała, i tak czuję się odpowiedzialny. Jest jedyną osobą w moim życiu, poza Benem, do której żywię uczucie najbliższe miłości.

Może dlatego, że myślę o Lucy, i dlatego, że oczyma wyobraźni widzę jej twarz, jej dobre oczy i strapioną minę, i wyobrażam sobie, jak szczypię płatki jej uszu, miękkie, z leciuteńkim puszkim, i może dlatego, że słyszę, jak mówi do mnie z otchłani, że tak naprawdę nigdy nie obchodziłem Fitzmaurice'ów i że powinienem przestać chronić swojego najlepszego przyjaciela, który wcale nie okazał się najlepszym przyjacielem... może z tych wszystkich powodów razem jestem bliski podjęcia decyzji, że po raz pierwszy od dwudziestu lat szczerze opowiem, co się wydarzyło tamtej nocy.

Poza tym przecież i tak już wiedzą o pieniądzach. Będę musiał się wytłumaczyć.

– Proszę kontynuować – powtarza Beżowowłosa.

Powiem im tylko tyle, by zaczęli grzebać, myślę. Tylko tyle, by odwrócić ich uwagę ode mnie i Lucy i skierować ją na inny trop. Wiodący do Bena. Upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

– No dobrze.

Martin

Cambridge, 1993

Ben powiedział, że podrzuci Vicky do Newnham, ale może by tak najpierw zrobić rundkę po mieście, rozgrzać silnik? Vicky zachichotała, położyła dłoń na udzie Bena, masując zwarte mięśnie, wzmocnione od gry w rugby i porannego wiosłowania. Przyglądałem się w milczeniu, jak przesuwa rękę na wewnętrzną stronę uda, wiedziałem więc, że opuszka jej małego palca zbliża się do jego krocza. Ben jęknął jak na dany sygnał.

– Przestań – powiedział w sposób, który oznaczał coś całkiem przeciwnego. – Muszę się skoncentrować.

Zerknął w lusterko wsteczne, napotkał mój wzrok i się uśmiechnął. Spojrzałem za okno upstrzone kropelkami mżawki. To ja powinienem siedzieć z nim z przodu, pomyślałem; to ja powinienem trzymać dłoń na jego udzie.

Vicky włączyła radio. Wnętrze samochodu wypełniły rytmiczne linie basu. Od ich natężenia rozbolała mnie głowa. Ben jechał wzdłuż Jesus Lane, a potem skręcił w Newmarket Road, gdzie asfalt się poszerzał i można było dodać gazu. Pędziliśmy płynnie naprzód, wyprzedzając autokar, który zatrzymał się przy krawężniku. Otworzyłem okno, do kabiny wdarło się nocne powietrze, zwiało mi włosy z czoła i odebrało czucie w twarzy. Próbowałem dać się ponieść. Próbowałem przekonać samego siebie, że na tym polega młodość, ale bez przerwy coś przywoływało mnie do rzeczywistości, przywracało dziwne napięcie. Vicky cofnęła dłoń z uda Bena i otuliła się połyskliwym żakietem. Wyjęła papierosa z cekinowej torebki.

– Mogę? – zapytała.

– Możesz wszystko, co ci się żywnie podoba, piękna – odparł Ben.

Samochód mknął dalej, pokonał rondo, silnik cicho warczał, skręciliśmy w prawo, w stronę Parker's Piece, gdzie księżyc rzucał na trawę widmowe światło. Dzieląca nas od zieleni przestrzeń zdawała się nieskończona.

Z radia ryczała muzyka. Wycieraczki świszczą i piszczały. Świst. Pisk.

Czerwone światło. Żółte. Pomruk zwiększającego obroty silnika. Ben wcisnął gaz, zanim zapaliło się zielone. Pieszy, który zamierzał przejść przez jezdnię, odskoczył przerażony. Przycisnąłem czoło do szyby, próbując odciąć się od tego wszystkiego.

Skręciliśmy w prawo zamiast w lewo. Oddalaliśmy się od Newnham i Queens', ale nim zdążyłem zapytać, dokąd jedziemy, Ben wcisnął pedał gazu, pędziliśmy ulicą, po której obu stronach były zaparkowane samochody, tłukł się poruszany wiatrem szyld pubu, nagle Ben gwałtownie skręcił w lewo, zapiszczały opony, dostrzegłem tabliczkę z nazwą ulicy: Orchard Street, w głowie pojawił się i utkwiał obraz jabłoni i łomot muzyki, i przenikliwy chichot Vicky, i drażniący smród smoły, i śmiech Bena, i widok jego głowy pochylonej w stronę dziewczyny, nie patrzył już przez przednią szybę, a znajdowaliśmy się na wąziutkiej uliczce, gdzie ledwo można było się precyzyjnie przecisnąć między domami, a on nadal pruł jak szalony, dodawał gazu, silnik wył, ryczał i rzeził, pracował pełną mocą, budynki rozmazały się w jedno długie pasmo barwy, dostrzegłem jeszcze, jak migają niebieskie okiennice, a potem to wspomnienie zapadło się do środka jak szkiełka w kalejdoskopie i nie było nic prócz jaskrawego białego światła, gdy auto gwałtownie wypadło na główną drogę i uderzyło w ogrodzenie.

Moment zawieszenia.

Dachowanie, samochód z łoskotem wylądował na chodniku do góry kołami. Pas wpił mi się w tchawicę, próbowałem złapać oddech. Vicky krzyknęła, ale był to bardziej bulgot niż krzyk. Roztrzaskało się szkło, srebrzyste okruchy zasypały mi twarz. Samochodem zatrzęsło i ponownie obrócił się na koła z potężnym szarpnięciem. Pas puścił. Powietrze wtłoczyło się do płuc. Głowa Vicky odskoczyła i zwisła, włosy opadły.

Twarz Ben zacieniona. Coś mokrego na mojej brodzie. Dotknąłem jej, cofnąłem rękę, zobaczyłem krew.

Cisza.

Vicky siedziała przede mną bez ruchu. Ben leżał na kierownicy. Przednia szyba pękła na dwie części. Wyszczerbione odłamki szkła ziały jak otwarte usta. Usiłowałem wypowiedzieć jego imię, ale nie mogłem wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Dźgnąłem palcem w klamrę pasa bezpieczeństwa, by go rozpiąć. Zablokował się. Nie przestawałem walić w zapięcie, aż wreszcie puściło z trzaskiem.

– Ben! Ben! Kurwa, Ben! – Potrząsałem nim, łapałem, za co się dało – za włosy, szyję, pierś. – Obudź się. Do ciężkiej cholery. Nie... nie rób tego... nie.

Otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na mnie kompletnie bezrozumnym wzrokiem. Widziałem, że ma złamany nos, fioletowawe sińce rozlewały się po twarzy, krew na zębach.

– Co...? – wykrztusił.

– Wyłaź! – wrzasnąłem. – Wyłaź z auta!

– Ale Vi...

– Daj spokój. Zajmiemy się tym. Wysiadaj, kurwa.

Całym ciężarem ciała napałem na wgniecione drzwi i wypadłem na chodnik. Próbowałem wstać, ale noga nie była w stanie utrzymać mojego ciężaru. Miałem skrzyżowaną prawą stopę, kostka spuchła pod skarpetą.

Nie ma czasu na przejmowanie się takimi rzeczami. Nie ma czasu.

Dowlokłem się do drzwi kierowcy, chwyciłem za klamkę i ciągnąłem z całej siły, aż ustąpiły. Ben siedział oszołomiony, miał poszarzałą twarz.

– Ben – powiedziałem, tym razem ciszej. – Ben. Musisz iść ze mną.

Spojrzał na mnie beznamiętnym wzrokiem.

– Zaufaj mi.

Podał mi rękę i wyciągnąłem go na chodnik.

Obejrzałem się na samochód. Ze środka patrzyły na mnie nabiegłe krwią oczy Vicky. Jęk. Tak cichutki, że sam się wymazał, wmówiłem więc sobie, że nic nie słyszałem. Ona nie żyła. Już nie żyła.

– Słuchaj – zwróciłem się do Bena. – Wypiłem tylko jeden kieliszek szampana. Jak ktoś zapyta, to ja prowadziłem.

Dygotał.

– Rozumiesz?

Nie odpowiedział.

– Rozumiesz? – powtórzyłem pytanie, tym razem głośniej.

Kiwnął głową, a potem upadł na chodnik, z trzaskiem uderzając kolanami o kamień. Zaczął czołgać się z powrotem do samochodu i uświadomiłem sobie, że próbuje dostać się do Vicky. Miała zakrwawioną sukienkę. Jedna ręka leżała na kolanach, nienaturalnie wygięta w górę, dłoń połyskiwała jak biała kałuża wody w świetle księżyca.

Nie pamiętam za wiele z tego, co działo się później. Były światła, syreny, coraz większe zbiegowisko. Dowiedziałem się potem, że na miejscu wypadku jako pierwszy zjawił się taksówkarz. Jak wynikało z jego zeznań, myślał, że ofiary są dwie, ponieważ w środku dojrzał dziewczynę, a Ben leżał na brzuchu w rozlewającej się na chodniku kałuży krwi. Tylko ja stałem. Podobno powtarzałem w kółko: „To była moja wina, to moja wina”, a kiedy taksówkarz wyciągnął do mnie ramię, zrobiłem krok w tył i powiedziałem, żeby mnie nie dotykał. To on wezwał służby ratunkowe. Gdy przybyły na miejsce, oznajmił policji, że nigdy w życiu nie widział nikogo w tak głębokim szoku.

Nie bardzo zgadzam się z jego oceną. Przypominam sobie, że byłem opanowany, wcale nie w szoku. Miałem pełną świadomość tego, co zamierzam zrobić i jakie wiążą się z tym konsekwencje. Poniekąd wiedziałem, co się święci, gdy tylko nasza trójka wsiadła do samochodu pod Klubem Pitta, a być może nawet wcześniej, i gdyby cofnąć się w czasie i przypisać ludzkiemu losowi jakiś stopień nieuchronności, może dałoby się także dowieść, że od zawsze było mi przeznaczone wzięcie

odpowiedzialności za czyny Bena wtedy, gdy najbardziej tego potrzebował. Taki był mój cel.

To było mi pisane. Dlatego posłano mnie do Burtonbury, dlatego znalazłem tamten list, dlatego się z nim zaprzyjaźniłem i poznałem jego rodzinę i dlatego od teraz będzie moim dłużnikiem po wsze czasy. Dlatego różniłem się od wszystkich innych osób w jego życiu: od Jarvisa, Rufusa, Jeza, Vicky, nawet od Fliss. Ta wdzięczność nas połączy. Uratuję go przed nim samym. Będzie to nasza tajemnica, a on do końca życia będzie spłacać dług.

Po zjawieniu się na miejscu wypadku ratownicy medyczni okryli nas kocami. Zabrano nas do szpitala Addenbrooke, podano nam słodką herbatę, którą piliśmy podczas policyjnego przesłuchania. Obstawaliśmy przy naszej wersji wydarzeń. Powiedziałem, że Ben za dużo wypił, wręczył mi pod klubem kluczyki samochodowe i poprosił, bym usiadł za kierownicą. Zgubiłem się, zeznałem, ponieważ obcy był mi obowiązujący w Cambridge ruch jednokierunkowy, próbowałem zawrócić do centrum miasta, lecz nagle wylądowałem na Orchard Street. Było ciemno, opowiadałem, mokro, słaba widoczność, i nie zdawałem sobie sprawy, z jaką jadę prędkością, a ponieważ Vicky była zmęczona i chciała położyć się spać, zależało mi, by jak najszybciej odwieźć ją do akademika. Może więc dodałem gazu mocniej niż powinienem, ale wcale nie miałem takiego zamiaru, naprawdę, a kiedy wyjeżdżałem z Orchard Street na główną drogę, na środek śliskiego asfaltu wyskoczył lis, więc bez namysłu odbiłem kierownicę, chcąc go wyminąć, i wtedy, ciągnąłem, i wtedy... Umilkłem. Choć próbowałem zmusić się do płaczu, nie popłynęła ani jedna łza. Usiłowałem coś wymyślić, powiedzieć coś na temat Vicky, wyrazić smutek i żal, ale miałem pustkę w głowie.

Myślę, wracając pamięcią do tamtego przesłuchania, że mogło to zadziałać na moją korzyść. Potraktowano to jako kolejny dowód ciężkiego szoku.

W którymś momencie przyjechali rodzice Bena, bladzi jak płótno, wstrząśnięci, wparowali na oddział pośród szelestu płaszczy

przeciwdeszczowych, nerwowych zapewnień i deklaracji. Chcieli natychmiast wszystkiego się dowiedzieć, ich sposób bycia, władczość i niezmacona pewność siebie przenikały atmosferę. Każda napotkana osoba poddawała się ich woli. Byli wspaniali w swej asertywności. Przejęli kontrolę, nie wyobrażając sobie, że mogłoby być inaczej. Bena przeniesiono do jednoosobowej sali. George domagał się, by policja przestała nękać mnie pytaniami, jako że, co oczywiste, mój stan nie pozwalał na przesłuchiwanie.

Od tamtej pory wszystko stało się znacznie łatwiejsze do pokierowania. Fitzmaurice'owie zajęli się kontaktami z policją. Zatrudnili rodzinnego prawnika. Porozmawiali w moim imieniu z rodzicami Vicky. Szybko zawarto finansową ugodę. Rodzina Vicky, której nigdy nie poznałem, potraktowała całe wydarzenie jak tragiczny wypadek. Zostałem oficjalnie aresztowany pod zarzutem nieostrożnej jazdy, ale koniec końców służba prokuratorska uznała, że dalsze dochodzenie nie leży w interesie publicznym. Z powodu braku wystarczających dowodów. Nie bez znaczenia było też zapewne życzenie rodziny, by zaniechać sprawy. Dostałem roczny zakaz prowadzenia pojazdów oraz grzywnę, którą zapłaciła rodzina Bena. Poza tym wyszedłem z tego bez szwanku i skazy oraz otrzymałem pismo informujące, że w sprawie nie będą podejmowane żadne dalsze kroki.

Nie wiem, jak im się to udało, przypuszczam jednak, że pieniądze, władza oraz arystokratyczne maniery potrafią wiele zdziałać. Ta rodzina miała dar przekonywania. Reszta semestru upłynęła jak we mgle. A gdy nie miałem gdzie się podziać na Boże Narodzenie, Fitzmaurice'owie zaprosili mnie do Denby Hall.

W świąteczny poranek obudziłem się w łóżku z baldachimem w jednej z najpiękniejszych gościnnych sypialni. Nigdy dotąd tam nie nocowałem. Zwykle Katherine prowadziła mnie do pokoiku na najwyższym piętrze, z brązową wykładziną i półkami wypełnionymi książkami dla dzieci oraz sfatygowanymi misiami. Nigdy mi to nie przeszkadzało. Czuję się jak prawowity członek rodziny, a nie jak ktoś, z kim trzeba się certować. Poza

tym skromne rozmiary mojej kwatery zapewniały komfort psychiczny. Nie czułem się zagubiony, jeżeli mogłem w nocy wyciągnąć rękę i dotknąć ścian. Chroniła mnie rozległa połać dachu krytego dachówką.

Tym razem zaprowadzono mnie do nowego pokoju bez żadnych wyjaśnień. Gdy napomknąłem o tym Benowi, uśmiechnął się, ale oczy miał zgaszone. Na twarzy wciąż malowało się napięcie po przeżyciach sprzed kilku tygodni. Nie nosił już kołnierza ortopedycznego, ale na szyi, w miejscu, gdzie wpił się pas, pozostało lekkie zasinienie. Wierzch dłoni pokrywała siatka plastrów do zamykania ran. Odrodziła się nasza zażyłość, trudne przejścia przywróciły bliskość, ale on zdawał się uwięziony za taflą lodu, który już nie stopnieje, bez względu na to, jak bardzo starałem się przezeń przebić. Przypisałem to traumie. Zawsze był dość kruchy psychicznie, powtarzałem sobie, ja natomiast byłem ulepiony z mocnej gliny. Przywykłem do mrocznych zakamarków życia.

Okna mojego nowego pokoju w Denby wychodziły na jezioro. Rano rozsuwałem zasłony i widziałem szyby muśnięte grudniowym mrozem. Kaloryfer szczęknął i ożył, słyszałem odwieczne postukiwanie rur, gdy zaczęła krążyć w nich woda. Wziąłem ręcznik ze stosu przygotowanego przez gosposię na komodzie (dwa ręczniki kąpielowe, jeden do rąk i myjka do twarzy, której nigdy nie używałem) i wszedłem do łazienki. Ochlapałem twarz wodą, następnie odkręciłem kurki w wannie, wybierając z podręcznego koszyka buteleczkę płynu do kąpieli.

– Lilia i geranium – przeczytałem na głos. – Hotel Belfort, St Tropez.

Zrzuciłem z siebie piżamę, zostawiając ją na podłodze, by ktoś inny ją stamtąd podniósł i złożył (była to jedna z przyjemności pobytu w tym domu, jak się dowiedziałem. Potrzebowałem lat, by do tego przywyknąć, ale Ben wyjaśnił, że sprzątaczkę czują się zakłopotane, jeśli nie mają co robić. „To uprzejmość z naszej strony, naprawdę”, zapewniał).

Miałem już zanurzać duży palec w ciepłej wodzie z pianą, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Owinąłem się w pasie ręcznikiem i poczłapałem z powrotem do sypialni.

– Proszę – zawołałem głosem jeszcze ochrypłym od snu. Myślałem, że to Ben, jednak po otwarciu drzwi ukazał się w nich George. Był ubrany w pasiasty szlafrok przewiązany w talii sznurowym paskiem i granatowe nocne pantofle. Poczulem się nagle niedostatecznie ubrany, zdawałem sobie sprawę z przeciągu.

– Wesołych świąt, brachu.

Miał znużoną twarz, z głębokimi bruzdami od nosa do ust. Włosy bielsze i rzadsze niż zapamiętałem. Na skroni żółto-brązowa plama wątrobowa.

– Wesołych świąt, George.

– Mogę wejść?

– Proszę...

Pospiesznie zdjąłem ubrania z niewielkiej sofy na drewnianym stelażu ustawionej w nogach łóżka.

– Och, nie kłopotz się – powiedział George. Zajął miejsce, które przed chwilą uprzątnąłem, a gdy siadał, zatrzeszczały mu kości. – Chciałem chwilę porozmawiać, zanim...

Wykonał niejasny gest. Nie wiedziałem, czy mam stać, czy siedzieć, i w końcu podszedłem do okna, oparłem się o parapet i usiłowałem przybrać jak najswobodniejszą pozę. Była między nami jakaś obcość. Obaj staraliśmy się nie zwracać na nią uwagi, ale ciągle powracała.

Pomyślałem o poprzednim wieczorze. Przyjechaliśmy z Cambridge pociągiem. Odebrała nas Katherine, tylne siedzenie samochodu było brudne od psiej sierści. Na kolację zjedliśmy w kuchni zapiekankę rybną. Fliss też tam była, sypała dowcipami w ten swój lakoniczny, beznamiętny sposób. George zapytał, jak poszedł nam semestr, mogłem się pochwalić, że kierownik mojej katedry już wcześniej przewidywał dla mnie najwyższą ocenę na koniec pierwszego semestru, a Ben wtrącił, że jego rodzice nie mogą liczyć na usłyszenie tego samego z jego ust, ponieważ był zbyt zajęty imprezowaniem, które to słowo wypowiedział nosowo – maniera przejęta od Jarvisa.

Po kolacji Katherine zaproponowała, byśmy sobie „wygodnie usiedli”, przeszliśmy więc do czerwonego salonu, w którym płonął ogień w kominku, i kontynuowaliśmy rozmowę. W rogu stała wysoka, skrząca się choinka. Bez lamety, tylko białe lampki i bombki jednakowej wielkości w kolorach kości słoniowej i złota.

Ben położył się spać przed nami. Oznajmił, że jest zmęczony, a ja powiedziałem, że trudno mu się dziwić po wszystkim, co przeszedł.

– Co masz na myśli? – zapytał. – Po jakim wszystkim?

– Chodziło mi... no wiesz, o wypadek. Wciąż jeszcze dochodzisz do siebie.

– Ty też.

Nadal miałem paskudnie skręconą kostkę grubo owiniętą bandażem cuchnącym szpitalnymi środkami dezynfekcyjnymi.

– Cholernie ciężkie przeżycie dla was obu – powiedział George. – Cholernie ciężkie.

– Nie aż tak – odparłem.

Ben się uśmiechnął. Uśmiech nie objął oczu.

– Jesteś nie do zdarcia, Mart.

– Ktoś musi.

Chciałem w ten sposób zażartować, rozluźnić atmosferę tym drobnym beztroskim akcentem, ale się nie udało. Ben wyciągnął w górę ramiona i jęcząc, odchylił się w tył. Jęk przeszedł w ziewnięcie.

– Skarbie – idź do łóżka – rzekła Katherine ze swego miejsca na sofie pod oknem obok Fliss. – Martin ma rację. Jesteś przybity.

– Po prostu się o ciebie troszczę – wypaliłem.

Zapadło krótkie milczenie. W kominku trzaskał ogień. George kichnął. Fliss oglądała sobie paznokcie. Wtedy Ben się roześmiał: anemicznym, towarzyskim śmiechem dla rozładowania napięcia. Klepnął mnie w plecy. Skrzywiłem się.

– Jak zawsze, Mart, jak zawsze. Co ja bym bez ciebie począł?

Wyszedł z salonu. Wkrótce potem Katherine podążyła jego śladem. Zostałem z George'em i Fliss, trochę gawędziliśmy, chłonąc ciepło. Później George obwieścił, że „też idzie w objęcia Morfeusza”, zabezpieczył kominek osłoną, po czym uścisnął mi dłoń i pocałował córkę w czubek głowy. Fliss i ja nie byliśmy zbyt rozmowni. W którymś momencie zrobiła sobie skręta i zapaliła w otwartym oknie. Wieczorny wiatr wdmuchnął do środka popiół, który rozsypał się po dywanie jak płatki śniegu.

– Nie powinnaś tu tego robić – szepnąłem, siląc się na swobodny ton.

Roześmiała się.

– I co mi zrobisz, Martin? Dasz mi klapsa?

Odwróciłem wzrok.

– Tak łatwo cię speszyć – zauważyła. Pstryknęła niedopałek za okno, przyciągnęła do siebie oba skrzydła i usiadła obok mnie, dotykając mnie nogą. Położyła mi głowę na ramieniu. Jej włosy pachniały mokrymi liśćmi. Zesztywniała mi szyja, głowa robiła się ciężka. Zapadałem w sen, ale ocknąłem się wystraszony, gdy głowa poleciała mi do przodu. Zauważyłem rękę Fliss na mojej piersi. Głęboko oddychała, przy każdym wydechu strumień powietrza wiązał jej w gardle z cichym pomrukiem. Wypowiedziałem jej imię. Obudziła się, kręcąc głową.

– Cholera. Mówiłam coś?

Dotknęła kciukiem kącika ust, sprawdzając, czy nie zebrała się tam ślina. Miała jakiś nieobecny wyraz twarzy, rozkojarzony, jakby lekko zmieszany.

– Nic.

Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Całe szczęście. Bo śniło mi się coś megaświńskiego. – Odchyliła głowę i pytająco zajrzała mi w oczy. – Nie?

Delikatnie odłożyłem rękę Fliss na jej kolana.

– Nie, Fliss. – Wstałem. – Nie bierz tego do siebie.

– Tak, jasne, wszyscy tak mówią.

– Nie ja...

– W porządku – burknęła. – Idź. Ja jeszcze chwilę tu zostanę.

Przełożyła nogi na sofę i zwinęła się w kłębek. Była ubrana w dżinsowe szorty, kryjące rajstopy i flanelową koszulę w kratkę włożoną na podkoszulek z nadrukiem krzyczącej czaszki. Leżąc tam, wyglądała tak młodo, tak bezbrinnie.

– Dobranoc, Fliss.

Nie usłyszała. Chyba zdążyła zasnąć.

A teraz przyszedł do mnie George, dziwnie się zachowywał, mówił, że chce ze mną porozmawiać. Przez chwilę zastanawiałem się, czy przypadkiem Fliss czegoś mu nie powiedziała. Siostra Bena potrafiła być urocza, ale przy tym co najmniej nieprzewidywalna. Przypomniał mi się mimo woli fragment lekcji chemii w Burtonbury. Frans: najbardziej niestabilny ze wszystkich występujących w przyrodzie pierwiastków. W skorupie ziemskiej jednorazowo występuje w ilości nie większej niż uncja. Temperatura rozpadu nieznana. Chyba Fliss nie oskarżyłaby mnie o... o... nie, nie zrobiłaby tego. A może jednak?

– Jesteś dla Bena wspaniałym przyjacielem – wypalił nagle George. – Jesteśmy... Katherine i ja jesteśmy ci niewypowiedzianie wdzięczni.

– To tylko...

– Proszę. – Uniósł dłoń. – Pozwól mi dokończyć, Martinie.

Parapet wrzynał mi się w gołe plecy. Napałem nań mocniej, póki nie odczułem tępego bólu.

– Pod wieloma względami jesteś członkiem rodziny – ciągnął George. – I chcielibyśmy... – Zaczął majstrować przy uchu, do mnie zaś dotarło, że jest zdenerwowany i że nigdy nie widziałem go w takim stanie. – Niejako sformalizować umowę. Katherine i ja mamy świadomość, że znajdujesz się w niepewnej sytuacji finansowej. Twoja matka... – Umilkł, taktowny jak zawsze. – Rozumiem, że nie jest w stanie ci pomóc, więc my chcielibyśmy to zrobić. Nie wiem, czy masz już jakieś plany po dyplomie – pokręciłem głową – ale z pewnością wszystko wskazuje na to, że ukończysz studia z wysoką oceną, i uważamy, że jak przystało na rodzinę, powinniśmy

wspierać cię w twoich przyszłych przedsięwzięciach. Chcielibyśmy z Katherine dołożyć do tego swoją cegiełkę. – Zaszurał nogami. – Jesteś wobec Bena niesamowicie lojalnym przyjacielem. – Oddzielił ten przymiotnik nieznacznym zawieszeniem głosu, kładąc nań szczególną emfazę. Następnie spojrział prosto na mnie. – Będzie to forma zapewnienia sobie kontynuacji tej lojalności. – Wymieniliśmy spojrzenia.

– Oczywiście – rzekłem.

George'owi rozluźniła się twarz. Klasnął w dłonie.

– Doskonale – powiedział i drętwą atmosferę między nami ożywiła nagle nadzieja. – Cieszę się, że się rozumiemy.

– Rozumiemy się – odparłem cicho. Podszedłem do niego i choć nigdy w życiu nie zrobiłem niczego podobnego, objąłem George'a ramionami i go przytuliłem. Szorstka tkanina szlafroka drapała mnie w nagą pierś. Czuć było od niego zapach potu i imbirowego mydła Roger & Gallet. Był masywniejszy od Bena, ale ciało miał zwiotczałe, skóra luźno zwisała na kościach. George niezdarnie poklepał mnie po plecach.

– No już, już. Naprawdę. Nie trzeba, Martinie. Naprawdę – powtórzył, próbując się uwolnić i delikatnie odpychając mnie od siebie. Ale za każdym razem, gdy on się cofał, ja się przysuwałem, by wypełnić dzielącą nas przestrzeń. Ręcznik odgradzający go od mojej nagości wydał się nagle cienki jak pergamin. Zatknąłem jego brzег za górną krawędź. Mógł z łatwością zsunąć się z bioder i spaść na podłogę.

Wiedziałem, że wprawiam George'a w zakłopotanie, i czerpałem z tego wielką przyjemność. Po latach mrówczej pracy bilans sił między nami wyraźnie przesunął się na moją korzyść. Zdawał sobie sprawę, co wiem o jego synu. Zdawał sobie sprawę, jak bardzo mógłbym mu zaszkodzić. Naturalnie nigdy bym się nie ważył – nawet by mi się nie śniło, ponieważ bądź co bądź Ben był moim najlepszym przyjacielem – jednak skłamałbym, twierdząc, że nie liczyłem na żadną formę podziękowań ze strony Fitzmaurice'ów za to, co zrobiłem. To był szlachetny uczynek. Zasługiwałem na wdzięczność. I choć nie spodziewałem się wyciągnięcia z tej przykrew sytuacji żadnych korzyści finansowych, teraz, gdy George tak

logicznie to przedstawił, od razu uznałem, że to sensowne rozwiązanie. Byłem dla nich jak syn. I tak powinni mnie traktować.

– Już dobrze – powiedział George. – Już wystarczy.

Odsunął mnie, tym razem z większą siłą, a ja z rozbawieniem pozwoliłem mu się oswobodzić z uścisku. Poczerwieniał na twarzy, oba policzki były usiane siateczką popękanych naczynek.

– Dziękuję, George.

– Nie mówmy o tym więcej. – Poklepał mnie po łopatce. Z jedną nogą w korytarzu jeszcze raz się do mnie odwrócił. – We właściwym czasie będzie mi potrzebny numer twojego konta – rzucił mimochodem, jakby pytał, gdzie jest ścierka do naczyń.

– Tak – odparłem. – I... George?

– Mmm?

– Wesołych świąt.

– Wzajemnie, brachu. Wzajemnie.

Trzy tygodnie później na moje konto bankowe wpłynęła pierwsza kwartalna wpłata w wysokości dziesięciu tysięcy funtów.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Myślał, że nie wiem o pieniądzach. Biedny Martin. Generalnie jest po prostu naiwny, a udaje człowieka obytego. Wydaje mu się, że tego nie zauważam. Ale ja widzę wszystko. Kiedy wychodzisz za kogoś, komu nie ufasz, musisz mieć oczy dookoła głowy. Gdy uświadamiasz sobie fakt, że pomimo prób dostrzegania samych dobrych stron we wszystkim, co robi twój mąż, nie jest on szczególnie miłym człowiekiem, musisz mieć się na baczności. Musisz gromadzić okruchy i strzępy, by zdobyć władzę. I nie wolno ci się z niczym zdradzić.

Musisz nieprzerwanie udawać milutką i głupiotką, smucić się w stosownych momentach, tak jakby życie cię pokonało, jakbyś była przygnębiona i zniechęcona. Byłam w tym dobra. Niesamowite, jak wiele może ująć ci płazem, jeśli jesteś dyskretna i skromna. Martin praktycznie pozostawił mnie samej sobie. Dzięki Fitzmaurice'om powodziło się nam całkiem nieźle, nie musiałam więc martwić się pracą: od czasu do czasu jakieś zlecenie, korekta, projektowanie stron internetowych.

– Byłaś szczęśliwa? – zapytał mnie dziś rano Keith wzorowo spokojnym tonem.

Czy byłam? Niezupełnie. Ale nie byłam też nieszczęśliwa, zresztą niewykluczone, że całe to pojęcie szczęścia jest przereklamowane. Zadowolenie z przebłyskami szczęścia to wszystko, na co można mieć nadzieję. Wiedziałam, dlaczego wyszłam za Martina, i wiedziałam, że nigdy nie zaspokoi moich potrzeb emocjonalnych, no i się nie myliłam. Nie spodziewałam się, że skończy się tak, jak się skończyło, przypuszczam jednak, że świadczy to jedynie o mojej głębokiej sympatii do niego. O ugruntowanym uczuciu wynikającym z doskonałego rozumienia drugiej

osoby. Znałam wszystkie jego wady. Z których największą było ślepe oddanie rodzinie Fitzmaurice'ów.

Martin byłby zaskoczony, gdyby wiedział, jak dobrze go przejrzałam. Wydawało mu się, że tak dobrze mu idzie dochowywanie tajemnic – zwłaszcza gdy w grę wchodziły pieniądze. Ale raczej nie sposób ignorować okazałych kwot regularnie pojawiających się na koncie małżonka, zwłaszcza wtedy, gdy ów małżonek zapisuje kod dostępu w swoim notesie marki Moleskine, a ty, żeby się zalogować, musisz jedynie skopiować cyfry, wpisać nazwę jego szkoły, a potem, bazując na własnym doświadczeniu, domyślić się hasła, co wcale nie było trudne. Chcesz wiedzieć, jakie to hasło? Naprawdę chcesz? Jest żałosne. „Fitzmaurice”, a potem dzień i miesiąc urodzenia.

Jak powiedziałam, żałosne. Jakże desperacko pragnął być jednym z nich. Absolutnie i szaleńczo desperacko.

– Powiedziałaś mu kiedyś o swoich uczuciach? – zapytał Keith.

Słyszał o awanturze z lady Fitzmaurice w sali odwiedzin i chciał głębiej wniknąć w moje relacje z tą rodziną. Spojrzałam na oprawiony w ramki plakat nad kominkiem. Typowa reklama turystyczna z lat pięćdziesiątych: żółty samochód wśród alpejskiego pejzażu, a na dole pogrubione czerwone litery tworzące napis „Szwajcaria”.

– Celowo wybrałaś akurat ten? Przez wzgląd na neutralność? – zapytałam.

– Przepraszam... co takiego?

– Plakat. Szwajcaria. Słynąca z neutralności. Tak jak neutralni muszą być najlepsi terapeuci.

Dostrzegłam drgnienie ust, cień uśmiechu. Zdjął okulary w okrągłej oprawie i przetarł je ręką koszuli. Bez nich wydawał się bezbronny i obnażony.

– Nie myślałem o tym w ten sposób – odparł, z powrotem wsuwając okulary na nos. – Ale skoro zwróciłaś na to uwagę, ta koncepcja całkiem mi się podoba. – Rozprostował i powtórnie skrzyżował nogi. – A więc, czy

kiedykolwiek powiedziałaś Martinowi o swoich odczuciach wobec Fitzmaurice'ów?

Westchnęłam. Nie dawał się zbić z tropu. Prawda wyglądała tak, że w ogóle nie poruszałam z Martinem tego tematu, ponieważ chciałam oszczędzić mu zakłopotania. Jego poczucie własnego ja było tak misternie powiązane z myślą o byciu częścią rodziny Fitzmaurice'ów, że skonfrontowanie go z faktem, iż w gruncie rzeczy jest po prostu ich ruchomym majątkiem, który utrzymują, by go zgubiło. Nie przyjąłby tego do wiadomości, a mnie mogłoby się wyrwać coś nieprzyjemnego. Oczywiście, że cię nie kochają, Martinie. Oni cię wykorzystują! Wyzyskują twoją miłość! Wiesz, czym są te pieniądze, Martinie? To zapłata za milczenie. Jasne jak słońce.

Tak by się to potoczyło. A wtedy cały ten kruchy gmach ległby w gruzach. Poza tym miło było nie musieć martwić się o pieniądze. No i wyparłam to z siebie. Skoro ceną była sporadyczna, nadęta kolacja u Bena i Sereny, zwyczajnie musiałam zacisnąć zęby. Co nie oznacza, że mi się to podobało. Nie podobało. Ani trochę.

Oczywiście myślałam o tamtej dziewczynie. Victoria Dillane zginęła w wypadku samochodowym w wieku osiemnastu lat. Tragicznie przerwane życie. Koniec obiecującej kariery prawniczej. Żadnego małżeństwa, dzieci. Tylko pogrzeb w wiejskim kościółku w Somerset. Prosimy nie przynosić kwiatów. Darowizny na rzecz Czerwonego Krzyża.

Pisały o tym wszystkie lokalne gazety. Nie trzeba było geniusza, żeby połączyć kropki. Na wyciągach bankowych Martina widziałam, że pierwsza wpłata wpłynęła w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku. Miałam przeczucie, że coś zaszło między nimi dwoma, zanim ja wkroczyłam na scenę. Bo skąd te pieniądze? Skąd to ciągle wibrowanie napięcia oscylującego między miłością a nienawiścią?

Szukałam więc związku. Wpisałam w Google nazwiska Martina i Bena i zaczęłam przeczesać sieć. Początkowo przesiewałam całe mnóstwo nieistotnych informacji – kroniki towarzyskie opisujące szczegółowo nudne przyjęcia, w których obaj uczestniczyli, mając po dwadzieścia kilka lat;

zdjęcie z meczu polo zamieszczone w magazynie „Tatler”; archiwalne relacje ze szkolnego meczu rugby i krótka wzmianka w „Burtonbury Gazette” pod nagłówkiem *Potomek znanej rodziny wyjeżdża do Cambridge*, opatrzona fotką uśmiechniętego nastoletniego Bena.

Znalezienie właściwego artykułu prasowego zajęło mi trochę czasu, ale oto trafiłam: Victoria Dillane.

Przez długie tygodnie wypadek był w Cambridge tematem numer jeden. Sprzyjała temu fotogeniczność dziewczyny. Prasa najwyraźniej dysponowała gotowym zapasem zdjęć: promiennie uśmiechnięta młodzianka twarz nad czarną togą immatrykulacyjną; postać stojąca przy kucyku, włosy schludnie zebrane pod toczkiem; pozująca o zachodzie słońca na południu Francji podczas rodzinnych wakacji, ze wzrokiem odwróconym od aparatu; roześmiana, w obcisłej różowej sukience na balu absolwentów. Przeczytałam i obejrzałam wszystko. Było mnóstwo materiałów na temat Victorii, ale tylko jedno zakamuflowane hasło zawierało odniesienie do pasażera samochodu: „Ben Fitzmaurice, najstarszy syn lorda i lady Fitzmaurice, student Queens’ College w Cambridge, podróżował na tylnym siedzeniu. Uniknął poważnych obrażeń”. W kilku skrótach wiadomości pisano o „osiemnastoletnim kierowcy”, którego aresztowano pod zarzutem nieostrożnej jazdy. Kierowca, którego, jak relacjonowano, poddano badaniu alkometrem, obwiniał za wypadek nagłe pojawienie się lisa na drodze, przez co stracił panowanie nad kierownicą. W skrócie wiadomości kilka miesięcy później podano, że Koronna Służba Prokuratorska umorzyła sprawę.

I tyle. Trudno było nie pomyśleć, że ktoś gdzieś przeprowadził bardzo skuteczną operację usuwania informacji. I że integralna jej część wiązała się z zamknięciem ust Martinowi Gilmourowi.

To zaś nasuwało całe mnóstwo rozmaitych pytań. Prawda?

8

Komisariat policji w Tipworth, 17.30

Mówię akurat tyle, by wzbudzić ich ciekawość – o samochodzie, Klubie Pitta, Vicky, śliskiej nawierzchni nieznanej drogi – i kiedy Garniturek pyta, kto prowadził, patrzę mu prosto w oczy i oświadczam:

– Odmawiam odpowiedzi.

Tyle powinno im wystarczyć, myślę. Uzupełnianie luk leży po ich stronie. Nie rozumiem, dlaczego miałbym aż tak ułatwiać im pracę.

W każdym razie powinno ich to naprowadzić na właściwy ślad. Ostatecznie nawet tak tępi policjanci jak ci dwoje nie mogą nie podekscytować się choć trochę starannie pozostawionym przeze mnie tropem, wiodącym do samego serca labiryntu. Ben Fitzmaurice. Potomek arystokratycznego rodu. Zamożny lew salonowy. Przyszły członek parlamentu. Widzę trybiki obracające się w ich wytężonych do bólu umysłach: z pewnością będzie sporo relacji w mediach. I na pewno dostaną pochwałę za sumienne wywiązanie się z zadania. I może jeszcze nagrodę: honorową odznakę.

– Tak jest! – Wyobrażam sobie Garniturka mówiącego te słowa do przełożonego o rumianej twarzy, gdy ten przypina mu do kłapy idiotyczny medal. – Na początku myśleliśmy, że to zwykły wypadek, ale po ustaleniu faktów otworzyły się nam oczy na o wiele poważniejsze przestępstwo.

Nie pozostała we mnie ani krztyna lojalności wobec Bena. Latami bazował na aroganckim przekonaniu, że nie puszcę pary z ust. To się skończyło. Musi tak być. Po tym, co się wydarzyło na przyjęciu u Fitzmaurice'ów, nie czuję, bym był cokolwiek winien temu niewdzięcznemu gnojkwowi. A kiedy spadnie ze swego wysokiego samozwańczego piedestału, będę się temu przyglądał.

Myślę o *tricoteuses*, kobietach siedzących przy gilotynie podczas rewolucji francuskiej i robiących na drutach w przerwach między publicznymi egzekucjami. Oczko prawe, oczko lewe. Oczko prawe, oczko lewe. I wkrótce będę miał własną czapkę frygijską, którą założę, gdy on będzie się wykrwawiać.

– Musiało to być dla pana szalenie traumatyczne wydarzenie, Martinie – mówi Beżowowłosa.

Wróciliśmy właśnie do sali przesłuchań po krótkiej przerwie na lunch, czuję od niej zapach tuńczyka w majonezie i czegoś jeszcze, jakiejś sztucznej słonej nuty w tle – może chipsów o smaku wędzonego boczku. Mogłaby przynajmniej wpakować do ust miętówkę.

– Bardzo przygnębiające – mówię. Choć wcale nie czułem się wtedy jakoś szczególnie przygnębiany. Pewnie było mi smutno z powodu Vicky, ale z drugiej strony prawie jej nie znałem, a w chaosie, który potem nastąpił, tak bardzo obawiałem się o samopoczucie Bena, że nie miałem zbyt wiele czasu na rozczulanie się nad sobą.

Po wypadku czekaliśmy przy zgniecionym kadłubie samochodu na przybycie ratowników medycznych.

W drodze do szpitala Ben mówił niewiele. Ramiona miał okryte kocem termicznym, takim, jakie narzucają na plecy maratończycy po przekroczeniu linii mety. Od bladej twarzy odcinało się rozcięcie skóry biegnące od skroni do środka czoła. Pamiętam, jak w pewnym momencie dotknąłem jego twarzy. Nie odtrącił mojej dłoni, ale po chwili przesunął się w bok, szeleszcząc metalicznym okryciem. Chciałem dodać mu otuchy, lecz obaj wiedzieliśmy, jak wiele kryje się pod tym ruchem. Miałem świadomość, że dotarliśmy w naszej przyjaźni do jakiegoś kluczowego momentu: że od tej pory żaden gest nie będzie odbierany wprost. Zawsze będzie miał inny podtekst.

– Domyślam się, Martinie, że było to zarazem doświadczenie wzmacniające waszą więź – mówi Beżowowłosa. – Przeżywana wspólnie taka okropna tragedia na pewno zbliża?

I znów niepotrzebny znak zapytania na końcu zdania oznajmującego.

Zapada milczenie. Beżowowłosa patrzy na mnie wyczekująco.

– Nie uważa pan?

– Już wcześniej byliśmy sobie bliscy.

Szary Garniturek, który gapił się na mnie przez cały czas, teraz ostentacyjnie odwraca wzrok i wbija go w ścianę.

– A więc – odzywa się, wciąż patrząc w ścianę – dlaczego Fitzmaurice'owie płacili panu tyle pieniędzy?

– Jak już wspomniałem, byłem dla nich jak syn...

Garniturek parska wymuszonym śmiechem: demonstracyjnym rechetem mającym pokazać, jak bardzo jestem, jego zdaniem, groteskowy.

– Ja też mam syna, Martinie, i nie damę mu czterdziestu tysięcy funtów rocznie.

– Przypuszczalnie dlatego, że nie dysponuje pan takimi sumami – zauważam chłodno.

Patrzy na mnie zimnym wzrokiem.

– Nawet gdybym miał – mówi powoli – nikomu nie dałbym takiej kwoty bez wyjątkowo istotnego powodu.

Wzdycham.

– Jak długo jeszcze to potrwa? Już...

– Powiedzieć panu, co myślę, Martinie?

– Z pewnością i tak pan powie, bez względu na to, czy mi się to podoba, czy nie.

– Myślę, że tamtej nocy Ben prowadził samochód. Pił alkohol. Usiadł za kierownicą i zjechał z drogi, ponieważ był tak pijany, że nie potrafił logicznie myśleć. A pan – wytyka mnie palcem – postanowił wziąć winę na siebie. Wie pan, co pan robi? Trwoni pan nasz czas. Mataczy. Pomaga w uniknięciu kary za zabójstwo...

– Trudno mówić o zabójstwie – mruknąłem pod nosem.

– Słucham? Co pan powiedział?

– Nic.

– To poważny zarzut, Martinie. Poważne oskarżenie, którego chyba pan aż tak poważnie nie traktuje. Proszę więc się bardzo dobrze zastanowić, zanim powie pan coś więcej.

Garniturek odchyła się na oparcie krzesła. Wyobrażam sobie, że serce wali mu z taką siłą, aż faluje skóra na piersi.

Beżowowłosa wtrąca łagodnym głosem:

– Działał pan z najszlachetniejszych pobudek. Chciał pan uratować przyjaciela. Ale teraz? Teraz czas wyjawić prawdę, nie sądzi pan?

Zachowuję obojętny wyraz twarzy, lecz pod tą maską czuję, jak podnosi mi się poziom adrenaliny: kortyzol buzuje we krwi. Cieszę się, że połknęli przynętę. A kiedy Ben zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za zabójstwo, Serena gorzko pożałuje, że mnie nie doceniała.

– Czym zasłużył sobie na pańską lojalność? – pyta Beżowowłosa. – Niech pan nam pomoże zrozumieć, Martinie. Musimy wiedzieć, co się wydarzyło.

– Nie rozumiem, co to wszystko ma do rzeczy. To zamierzchła historia.

– Ale wszystko ze wszystkim się wiąże, prawda?

Tak, wiąże się. Prowadząc tę grę, zdaję sobie sprawę, że i mnie pociągnie ona na dno. Jestem jednak gotowy. To nieuniknione. Gdybym uważał, że detektyw Nicky Bridge jest na tyle inteligentna, by zrozumieć, powiedziałbym jej, w czym tkwi problem: że wszystko tak ściśle się ze sobą splata, iż sam już nie wiem, gdzie zaczyna się Ben i gdzie kończą się ja. Jesteśmy dwiema komorami tego samego zatrutego serca.

2 maja

Namiot ogrodowy, klasztor Tipworth, północ

Tańczyliśmy zbyt długo. Bolał mnie nogi, twarda skóra nowych butów ściska palce i obciera delikatną część kostki, na której tworzy się pęcherz. Lucy wywija nad głową ramionami, wiruje tak szybko, że wydyma się jej sukienka. Trzyma w górze kieliszek szampana, kropelki pryskają na nieznanego mężczyznę i zauważam, jak łysiejący jegomość robi zaskoczoną minę, potem skonsternowaną, a w końcu wyjmuje z kieszeni chusteczkę i wyciera nią lśniący czubek głowy. Pochyla się ku starszej kobiecie o jasnych włosach w odcieniu szarości, ułożonych wokół twarzy w nieruchomą skorupę, mówi jej coś do ucha i wskazuje na dach namiotu, ona wiedzie wzrokiem za jego spojrzeniem, wyciąga chudą szyję, a potem oboje przysuwają się blisko do siebie i opuszczają parkiet, bez słów wyrażając swoją dezaprobatę. Niczego nieświadoma Lucy kręci się dalej.

Było kilka przemówień wygłaszanych przez przyjaciół i członków rodziny Bena z centralnie ustawionej sceny. Mnie nie poproszono o zabranie głosu. Udawałem, że wcale mnie to nie obeszło, tłumaczyłem sobie, że to dlatego, iż Ben wie, jak panicznie boję się publicznych wystąpień, niemniej czułem się dotknięty. Zwłaszcza kiedy wziął do ręki mikrofon Andrew Jarvis i wygadywał jakieś prostackie bzdety o „legendzie”, jaką był w szkole Ben. Aż mnie od tego zemdliło.

Serena stała w swojej połyskliwej sukni, ocierała oczy i przeproszała, że za bardzo dała się ponieść wzruszeniu, a potem opowiadała, jakim Ben jest cudownym tatą i jakie to dla niej szczęście, że są razem, a jeszcze później – o zgrozo – dodała: „A teraz specjalnie dla ciebie...” i znikąd pojawił się zespół jazzowy, a Serena, która, o ile mi wiadomo, nigdy w życiu nie śpiewała, chyba że pod prysznicem, wykonała fragmenty *My Funny*

Valentine. Wszyscy wiwatowali i bili brawo, ale tak naprawdę przez całą piosenkę fałszowała.

Ben wskoczył na scenę i ją pocałował, kładąc dłoń w zagłębieniu jej nagich pleców. Rozchodziły mu się guziki koszuli, wzrok jednocześnie rozjeżdżał się i skupiał, wiedziałem więc, że zażył kokainę i surfował teraz na fali maniakalnej pewności siebie.

Wygłosił błyskotliwą mowę. Jakżeby inaczej. W pewnym momencie zaprosił na scenę matkę. Nie wiedziałem, że lady Katherine jest na przyjęciu, lecz oto wchodziła po stopniach, trzymając się prosto w ten swój charakterystyczny, natychmiast rozpoznawalny sposób: w połowie onieśmielona, w połowie elegancka i całkowicie nietykalna. Miała siwe włosy, wydawało się, że przy lada dotyku zaszeleszcza. Była ubrana w kostium z surowego jedwabiu przepasany w talii. Upudrowała twarz, jej szyję przygniatała masywna kolia z brylantów i szmaragdów.

Nie utrzymywaliśmy kontaktów od czasu pogrzebu George'a. Po jego śmierci stała się dla mnie jeszcze bardziej nieprzystępna. Przed drzwiami kościoła ujęła moją dłoń z taką miną, jakbym podawał jej coś zgniłego. Delikatnie pocałowałem ją w policzek i złożyłem kondolencje. Kiwnęła głową i rzekła: „Wiem, Martinie. Dziękuję”. Ale nie było w niej żadnego ciepła, a przez kolejne miesiące uzmysłowiłem sobie, że nie chcę się z nią więcej widywać. Może było to podyktowane żalem. Mniejsza o powód, w każdym razie, kiedy Katherine na mnie spojrzała, odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że widzi coś, co starałem się ukryć.

Gapiałem się na Bena na scenie skąpanego w aureoli światła, uśmiechniętego, chłopięcego i czarującego. Pomyślałem w przelocie o Magnusie: zmarłym braciszku, małym chłopcu ostrzyżonym jak od garnka, którego znałem jedynie z fotografii i portretu i o którego istnieniu nie wspominało się w rodzinie. Fitzmaurice'owie obnosili się ze swoim milczeniem jak z bliźną.

Po przemowach zerwano purpurową kurtynę rozwieszoną w głębi sceny. Usłyszeliśmy dźwięki popularnej piosenki aktualnie okupującej listy przebojów, a wtedy z mroku wyłoniły się sylwetki najpopularniejszego

światowego boys bandu. Cała piątka była ubrana w takie same kwieciste garnitury. Gilly chyba jednak się myliła, spodziewając się zespołu rockowego grającego muzykę środka.

„Musimy przejść, co musimy – śpiewali z przejęciem bezsensowny tekst. – Musisz mi w tym pomóc i dobrze o tym wiiiiieesz”.

Lucy natychmiast porwał wir muzyki. Zawsze mnie zdumiewało, jak bardzo lubiła tańczyć. Nikt by się tego po niej nie spodziewał, ale oto poruszała ustami do słów piosenki, przytupując do rytmu. Wkrótce zebrał się wokół niej tłum, widziałem tylko jej kark i błyszczące zapięcie naszyjnika.

Nie zamierzałem do niej dołączać, wtedy jednak dostrzegłem na obrzeżach kręgu tańczących premiera z żoną. Edward Buller starał się kręcić biodrami najlepiej jak umiał, był jednak zbyt sztywny, by wyglądało to naturalnie. Jego żona pstrykała palcami i potrząsała wąskimi ramionami, poruszając do rytmu głową jak dziobiący ptak. Przesunąłem się w ich stronę. Piosenka się skończyła, wszyscy stanęli w miejscu, skrępowani nagłą ciszą, a potem na nowo rozbrzmiały gitarowe akordy, powróciliśmy na pozycje i na powrót staliśmy się falującą bryłą ruchu.

Podszedłem bliżej. Widziałem go kątem oka. Muzyka pikowała, wzbijała się i pulsowała. Położyłem dłoń na rękawie marynarki Edwarda Bullera. Nie zauważył. Pociągnąłem za tkaninę.

– Edwardzie – powiedziałem, podnosząc głos, żeby mnie usłyszał. – Ed...
Odwrócił się, twarz rosily mu drobniutkie kropelki potu.

– Tak?

– To ja, Martin. Martin Gilmour.

Jego żona przestała tańczyć.

– Ależ tak – odparł. – Oczywiście. Jak się miewasz, Martinie?

Widziałem, że mnie nie pamięta, ale ponieważ tak bardzo mi ulżyło, że nie zrobiłem z siebie kompletnego idioty, postanowiłem brnąć dalej.

– Dobrze, dziękuję. Ostatni raz widzieliśmy się chyba na letnim przyjęciu u Bena kilka lat temu.

– Ha! Tak, zapewne. Zapewne.

Zorientowałem się, że wciąż trzymam go za rękaw, a on próbuje się uwolnić. Puściłem.

– Cóż, bardzo miło się...

– Jestem najlepszym przyjacielem Bena – wyrwało mi się. – Z Burtonbury.

Uśmiech na twarzy Bullera najpierw zastygł, a potem zgasł.

– Kochanie – wtrąciła jego żona – powinniśmy coś przekąsić.

– Tak, należałoby. Miłej zabawy... yyy...

– Martin – przypomniałem – Martin Gilmour.

– Miło było się spotkać.

Energicznie potrząsał moją dłońią. Gdy odszedł, zauważyłem, że na jego usta powraca towarzyski uśmiech i przywiera do nich jak plaster nikotynowy.

Stałem otoczony ludźmi, a mimo to zamknięty w kokonie dobrze znanej samotności. Napiję się, pomyślałem. Muszę się jeszcze napić.

– Skarbie! – Usłyszałem głos Fliss i od razu poczułem, jak obejmuje mnie od tyłu ramionami. Poczułem wdzięczność.

– Fliss, kochanie.

Zbyt późno się połapałem, że już przyciska do mnie twarz, a po chwili jej usta wylądowały na moich i próbowała mnie pocałować.

– Fliss – powiedziałem, wyswobadzając się z jej objęć. – Przestań.

Odrzuciła w tył głowę, zanosząc się śmiechem.

– Och, Mart, ciągle zapominam. Nie lubisz mnie w ten sposób. Wiem, skarbie, wiem. Ale nie można winić dziewczyny za starania.

Skrzyły się jej włosy, w które wplotła maleńkie skrawki srebra. Przytuliła mnie, poczułem woń potu. Należała do kobiet nieuznających dezodorantów. Naturalny zapach ciała stanowił po części o jej atrakcyjności. Nieregulowanej, jak ona sama.

– Przystojniaczek Mart – mówiła, przeciągając głoski, po czym, nagle spoważniawszy, dodała: – Słuchaj, cokolwiek się wydarzy, musisz wierzyć, że ja...

Urwała i przyłożyła do ust koniuszki palców. Raptem u jej boku zjawiała się bezszelestnie Serena, obejmując szwagierkę opalonym, wyrzeźbionym ramieniem.

– Felicity – powiedziała. – Tutaj jesteś. Niestety, muszę cię porwać. Rodzinna fotografia. – Spojrzała na mnie. – Nie masz nic przeciw, Martinie, prawda?

– Nie, nie, skądże.

Zniknęły, porwane przez potężną falę gości. Zostawiłem Lucy na parkiecie i wróciłem do głównego budynku.

– Gin z cytryną? – Kelner podał mi szklankę. Ten sam, którego widziałem wcześniej i który miał sylwetkę tancerza baletowego. Uśmiechnął się do mnie, eksponując zagłębienia pod kośćmi policzkowymi. – Mam wrażenie, że tego panu trzeba.

– O, tak.

Powiodłem wzrokiem po jego piersi, po klamrze paska, spodniach, aż do butów ubrudzonych ziemią z ogrodu. A kiedy się oddalił, ruszyłem za nim długim labiryntem korytarzy, aż do tymczasowej kuchni zorganizowanej przez firmę cateringową. Czułem, jak serce łomocze mi z napięcia, chciałem wyciągnąć rękę i go dotknąć, ponieważ bałem się, że to nie dzieje się naprawdę, że on nie jest prawdziwy, a wtedy się odwrócił i znów do mnie uśmiechnął, więc nadal za nim podążałem.

Odstawił tacę na stalowy stół i szedł dalej przez kuchnię, poruszając się z taką samą płynną gracją jak poprzednio, w stronę rozpościerającego się za namiotem trawnika i labiryntu w oddali, gdzie ponoć przechadzał się duch zakonnika, a obok trawnika znajdował się niski murek, kelner na nim usiadł, zapalił papierosa, zaciągnął się i mi go podał. Przyjąłem papierosa, którego miał przed chwilą w ustach, a potem się całowaliśmy, wsunął mi język, czułem smak dymu i cierpkiego, chłodnego jałowca z ginu, i jego

dłonie pod moją koszulą wodzące po wklęsłościach między żebrami, i zgadzałem się na wszystko, i starałem się za dużo nie roztrząsać, co to wszystko znaczy, starałem się pofolgować myślom, pozwolić umysłowi przekroczyć granice i zatracić się w tej chwili, i czułem, jak wszystkie dziwne, sprzeczne myśli, które od zarania kołatały w mojej korze mózgowej, zaczynają wyparowywać i odlatywać w czerń nocy.

Za nami odgłosy szampańskiej zabawy i niskie, ustawiczne dudnienie basów.

Ukląkł przede mną na trawie, rozpiął mi spodnie, zsunął je do samych kostek, a potem, co najmniej jakbym był jego własnością, jakby doskonale wiedział, czego potrzebuję, drapieżnie mnie do siebie przyciągnął i wziął do ust mojego kutasa. Jęknąłem. Przesuwał wargami w górę i w dół, pieścił żołądz językiem. Ja wpychałem mu fiuta do gardła, przytrzymując głowę chłopaka, żeby móc wejść głębiej. Chciałem go rznąć na całego, wbić mu się w gardło, tak żeby się mną dławził. Ssał, lizał i otulał dłońmi moje jaja, zsunąłem ręce z jego głowy na ramiona, pragnąc jednocześnie odpychać go i przyciągać, mówić tak i nie, tak i nie, a potem doszedłem w jego mokrych gładkich ustach i nie czułem nic poza intensywną rozkoszą wytrysku.

Sekunda ciszy. Kolejna.

Pozbierałem się.

Kelner, wciąż na kolanach, spojrział mi w twarz.

Nie mogłem tego znieść.

– Przepraszam – rzekłem – nie wiem, co się stało. Za dużo alkoholu. Widzisz, wcale nie jestem... nie jestem... taki jak ty.

Otarł usta wierzchem dłoni.

– Mylisz się – odparł starannie, z obcym akcentem. Poprawił koszulę. – Jesteś dokładnie taki sam.

Zostawił mnie na murku. Siedziałem tam jeszcze długo.

Pamiętnik Lucy Gilmour

Z początku nawet nie zauważyłam, że zniknął. Tak przywykłam do tego, że się ulatniał, kiedy tylko miał ochotę, że dopiero po chwili dotarło do mnie, że nie ma go w namiocie. Zresztą doskonale się bawiłam. Muzyka była świetna.

Tańczyłam z facetem poznanym kiedyś na jednym z tych koszmarnych wieczorów u Bena i Sereny i choć za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć jego imienia, okazało się, że dość odważnie sobie ze mną poczyna. Gdy boys band zszedł ze sceny, a za konsolą stanął didżej, atmosfera stała się gorąca. Facet mocniej mnie do siebie przyciągnął i zdołał tak sprytnie mną pokierować, że jego lewe udo znalazło się między moimi nogami. Delikatnie gryzł mnie w szyję.

– Co robisz? – zapytałam.

– A na co wygląda?

– Jestem mężatką.

– A ja mężem.

– No dobrze, ale... – Wyplątałam się z objęć. – Nie obrażaj się.

– Nie obrażam się.

I tańczyliśmy dalej, jak gdyby nigdy nic. Nie żebym nie czuła pokusy – czułam – ale jestem z natury monogamiczna. Na myśl o zdradzie dostaję wysypki. Jestem zupełnie pewna, że Martin nigdy mnie nie zdradził.

Tak czy owak, muzyka pulsowała, a ja po raz pierwszy tego wieczoru dobrze się bawiłam. A właściwie po raz pierwszy od miesiąca. A potem zaszedł mnie od tyłu Ben i władczym gestem położył mi dłonie na ramionach.

– Cześć, złotko. Wiesz, gdzie się podziewa MC?

Dopiero wtedy się zorientowałam, że go nie ma. Nie było go w namiocie. Ani w głównym budynku. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. Zapewne nie pomagał w tym fakt, że szłam wężykiem. Podchodziłam do ludzi, których, jak mi się zdawało, znałam, i pytałam, czy go nie widzieli, i dopiero później docierało do mnie, że wcale ich nie znam, po prostu są sławni i dlatego ich rozpoznaję. Byłam pijana. Już dawno tak się nie wstawiłam. Alkohol jest jedynym sposobem na zdzierzenie tego wszystkiego, mówiłam sobie, zgarniając ze stołu butelkę szampana i pijąc prosto z gwinta.

Przeszłam przez główną salę, minęłam ogromny kominek i znalazłam się na trawniku, po którym snuły się chichoczące dziewczyny obsługujące szatnię i gdzie białe oraz fioletowe reflektory rzucały snopy światła na fasadę budynku. W kępie drzew dyszała jakaś spleciona w uścisku para. Stałam przez chwilę na żwirze, czując, jak chrzęści pod cienkimi podeszwami lekkich butów i kłuje w stopy. Popatrzyłam w górę na księżyc w pełni. Podniosłam do ust butelkę szampana i wypiłam łyk. Mimo wszystko wieczór jest całkiem udany, pomyślałam sobie. Znacznie lepszy, niż się spodziewałam. Upojona alkoholem złapałam się na tym, że nagle życie wydało mi się w sumie całkiem niezłe.

Odezwał się jakiś ptak. Może sowa. Byłam beznadziejna w rozpoznawaniu ptaków, zawsze niepokoiły mnie ich ostre dzioby i trzepoczące skrzydła: pierzaści kosmici z maleńkimi, nerwowo poruszającymi się czarnymi oczkami. Odwróciłam się w stronę, z której dobiegł głos ptaka, i dostrzegłam zarys kaplicy, a dalej, tam, gdzie wedle słów Bena znajdował się labirynt, ciemną otchłań. Nagle mrok drgnął, wyłoniła się z niego ludzka postać zmierzająca szybkim krokiem w kierunku domu, którego cień wkrótce ją pochłonął.

– Tutaj jesteś. – Była to Serena. – Co tutaj robisz tak całkiem sama?

Stała obok, przytrzymując w garści dół srebrzystej sukni. Kosmyki upiętych w kok włosów luźno opadały w kontrolowanym nieładzie. Miała gęste, wywinięte w górę rzęsy. Powoli mrugała powiekami, jakby nadmiernie jej ciążyły.

– Wyszłam odetchnąć – odparłam niespieszona trzymaną w ręce butelką.

– Uhm.

Przywołała mężczyznę w czarnym garniturze wymachującego walkietalkie.

– Carlos, skarbie, mogłabym wyłudzić od ciebie papierosa?

– Oczywiście, proszę pani.

Wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki paczkę złotych marlboro i ją poczęstował, pochylając się, by podać jej ogień. Serena zaciągnęła się głęboko. Gdy wyjęła z ust papierosa, lepił się od błyszczyka. Zadygotała i z zachwytem zamknęła oczy.

– Boże, jak dooobrze. Chcesz? – zaproponowała.

Pokręciłam głową.

– No tak. Zawsze zapominam, że nie palisz. – Nie sędzę, by Serena rzeczywiście nie pamiętała; ona tylko udaje, by dać mi do zrozumienia, że nie jestem na tyle ważna, by zawracać sobie mną głowę. – Za to, jak widzę, jesteś dobrze zaopatrzona w napoje.

– To na zapas – wyjaśniłam.

Serena nie odpowiedziała. Była kobietą, która nie obawiała się milczenia. Niespiesznie dokończyła papierosa, a następnie zgmiotła niedopałek czubkiem srebrnej szpilki.

– Posprzątają. W końcu za to im płacimy, prawda? – Utkwiła we mnie wzrok. – Musimy porozmawiać.

Mocno złapała mnie za przegub i zaczęła ciągnąć w stronę domu.

– O co... – Próbowałam wyrwać rękę, ale uścisk był mocny. – Dokąd...

– Ciii... Tędy.

Przecisnęła się przez drzwi, których wcześniej nie zauważyłam, i znalazłyśmy się w wąskim korytarzu, z dala od zgiełku imprezy. Był słabo oświetlony. Na jego drugim końcu nierówno mrugała żarówka. Najwyraźniej architekt wewnątrz nie zajął się jeszcze tą częścią domu.

– Nie wiem, gdzie jest Martin – powiedziałam. – Będzie się zastanawiał, gdzie się podziewam.

– Och, on już tam jest – odparła Serena, ciągnąc mnie za sobą. – Ben go znalazł.

Zaprowadziła mnie do pokoju wielkości połowy kuchni, z biurkiem pod ścianą i półkami po sam sufit, na których nie było żadnych książek. Po mojej lewej stronie wisiał olejny pejzaż wenecki zmatowiały od spękanego werniksu. W jednym z kątów ujrzałam jakiś kształt okazałych rozmiarów przykryty płachtą chroniącą przed kurzem oraz nierozpalony kominek, przed którym stały cztery skórzane fotele. Dwa z nich zajmowali Ben i Martin, przodem do nas.

– Znalazłam ją – oznajmiła Serena. Ben się uśmiechnął, ale nie pociągnęło to za sobą zmiany w reszcie twarzy. Martin przechylił głowę w moją stronę, lecz się nie odwrócił. Skupiał wzrok na jakimś nieokreślonym punkcie w połowie pokoju. Atmosfera była zwarzona. Coś nie grało.

Przycisnęłam do siebie butelkę szampana i podeszłam do jednego z wolnych foteli.

– Co się dzieje? – zapytałam, i wtedy Ben zaczął mówić.

3 maja

Gabinet, klasztor Tipworth, 1.00

Cisza przed burzą. Naelektryzowane powietrze. Jakaś ciężkość nieba ściskająca głowę jak dokręcane coraz mocniej imadło. Wisząca w powietrzu ulewa. Masy wody gromadzące się w trzewiach chmury, kropelka po kropelce, aż rozerwą powłokę. Burza „zbiera się” jak ludzki tłum albo fałdy tkaniny w garści, każda plisa powiększa objętość, każda osoba zagęszcza przestrzeń, aż zaczyna ona pękać w szwach. A potem? Eksplozja.

– Wejdz, kochana, usiądź – powiedział Ben do Lucy. Słyszałem, jak wchodzi, rozpoznałem jej kroki, i jakaś cząstka mnie chciała wstać i wypchnąć ją za drzwi, ostrzec, by nie ośmielała się zapuszczać ani cala dalej. Nie mogłem na nią spojrzeć. Za każdym razem, gdy próbowałem, przypominał mi się kelner klęczący przede mną na zroszonej trawie.

Złościłem się na nią za tę jej wiarę we mnie. Za przekonanie, że nie daję za wygraną.

Usiadła na fotelu obok mnie. Trzymała w ręku butelkę szampana, co wywołało przelotny uśmiech na mojej twarzy. Lucy skrzyżowała stopy. Skupiłem wzrok na paseczkach jej nowych butów. Wiedziałem, że gdy tylko wrócimy do hotelu, zdejmie je z westchnieniem ulgi. Zanim położy się do łóżka, weźmie kąpiel bez względu na porę, umyje twarz kawałkiem białego muślinu, wyczyści zęby. Robiła tak przez wszystkie lata naszej znajomości. Siła nawyku.

Zatęskniłem za Tipworth Premier Inn. Jak bardzo pragnąłem, byśmy się tam teraz znaleźli, położyli na tanim piankowym materacu i nie mieli nic do roboty poza zaśnięciem. A tymczasem siedzieliśmy w tym pokoju,

słuchając cichnących odgłosów przyjęcia na zewnątrz, czekając, aż ktoś się odezwie.

Serena przycupnęła na skraju fotela Bena, obejmując go za szyję. Suknia spływała na podłogę niczym ogon syreny. Kolczyki połyskiwały w przyćmionym świetle lampy. Na zewnątrz słychać było postukiwania towarzyszące demontażowi jakiejś konstrukcji. Zastanawiałem się, skąd dobiegają. Za wcześnie na rozbieranie ogrodowego namiotu przez służbę Fitzmaurice'ów.

Goście zaczęli pomалу wychodzić jeden po drugim w mrok nocy, powracać do codzienności. Wielkoduszna gościnność Fitzmaurice'ów wkrótce stanie się skrzącym wspomnieniem od czasu do czasu wyciąganym na światło dzienne, a wydarzenia minionych pięciu godzin zatrą się w pamięci. Namacalność przyjęcia rozplynie się w serii urywanych, mętnych półpytań: „Pamiętasz...?”, „Czy nie było to zabawne...?”, „Czy przypadkiem nie spotkaliśmy się...?”.

Były oszłamiające. Te przyjęcia u Fitzmaurice'ów, po których nic nie zostawało. Zimny ogień się dopalał, a po wypuszczeniu z dłoni zamieniał się w wygięty kawałek metalu, obnażony nagle w swej rozczarowującej postaci.

Siedząca obok mnie Lucy wypila łyk szampana prosto z butelki. Złapałem ją za nadgarstek. Przy niej czułem się bezpieczniej.

– Przepraszam, że odciągnąłem was od szampańskiej zabawy – powiedział Ben. Pochylił się, oparł łokcie o kolana, złączył czubki palców. Marynarka zmarszczyła się na ramionach. Wyglądał jak podążający za modą wykładowca, który za chwilę zacznie coś tłumaczyć, jeden z tych popularnych, w których durzą się dziewczyny i z którymi studenci chcą umawiać się na piwo.

Serena cały czas gładziła go po karku. Ten miękki ruch dłoni ogromnie mnie rozpraszał. W górę. W dół. W górę. W dół. Był to intymny gest posiadania. Z każdym muśnięciem palców zdawała się coraz intensywniej we mnie wpatrywać.

Widzisz, co mam, Martinie? Widzisz? On jest mój.

Ben odkasznął.

– Jest coś, o czym chciałbym...

– Chcielibyśmy – mruknęła Serena, nie przestając pieścić jego karku.

Ben się poprawił.

– O czym chcielibyśmy z wami porozmawiać.

A ponieważ próbowałem udawać, że nic się nie dzieje, ponieważ chciałem, by tak było, ponieważ rozpaczliwie pragnąłem, by nasza przyjaźń wróciła do stanu z naszych młodzieńczych lat, kiedy jeszcze nic jej nie skomplikowało, zapytałem najspokojniejszym tonem, na jaki potrafiłem się zdobyć:

– O Czarnogórze? – Chociaż wiedziałem, że nie w tym rzecz i że propozycja zainwestowania w jeden z jego projektów posłużyła jedynie za przekupstwo, by zwabić mnie do tego pokoju.

Skąd wiedziałem? Po prostu. Doskonale umiem czytać z twarzy Bena. Szykował się do powiedzenia czegoś, czego nie chciał powiedzieć. Najbardziej bał się tego, że ktoś go nie polubi. A nieprzyjaźnienie się z Benem oznaczało największą możliwą samotność.

Serena nie przestawała gładzić go po karku.

– Kochanie, nalejesz mi whisky? – poprosił Ben, ona zaś wstała z gracją i podeszła do barku w rogu. Słyszałem pobrękiwanie lodu o ścianki szklanki. Syk syfonu.

– Wiesz, MC, jak bardzo cenimy sobie twoją przyjaźń – zaczął od nowa. Miał rozszerzone źrenice. Lekko drgał mu drobny mięsień w kąciку ust. U nasady nosa pojawiła się gruba zmarszczka, której nigdy dotąd nie zauważyłem. Starzeje się, pomyślałem. – To się rozumie samo przez się. – Czuję, jak Lucy się jeży. – Ale przyjaźnie ewoluują, prawda? – ciągnął, gdy Serena podała mu szklankę i ponownie przycupnęła obok niego, kładąc wyprostowane ramię na oparciu fotela. – I chciałem... chcieliśmy porozmawiać z wami o... – Podniósł trunek do ust, ale się nie napił. – O zrobieniu kroku naprzód. Pojawiły się rozmaite... – Odegrał teatrzyk, że niby szuka właściwego słowa, czułem jednak, że to dobrze przećwiczona

mowa, a towarzyszące jej gesty są częścią tej maskarady. Zbyt wystudiowane, by mogły być autentyczne. – Rozmaite komplikacje, które musimy z wami przedyskutować.

Zaczął wiercić się na fotelu i podciągnął nogawki, uszczypnąwszy materiał na wysokości kolan. Serena bawiła się kolczykiem, lekko kołysząc wiszącą kulką.

– Ed Buller poprosił mnie o kandydowanie do parlamentu – oznajmił.

Lucy wydała odgłos brzmiący jak coś pomiędzy bulgotem a parsknięciem.

– Ależ Ben – rzekłem – to wspaniała nowina. Będziesz fantastyczny.

I tak uważałem. Nie przewidziałem, co ta wiadomość może dla mnie oznaczać. Bo oczywiście Ben chciał wyreżyserować moment jej ogłoszenia, budując stosowną dramaturgię i powagę. Ostatecznie był Fitzmaurice'em. Oni wszyscy udawali, że nie zabiegają o uwagę, ale zawsze to robili. W przeciwnym razie dlaczego tak łaknęli mojej obecności, kiedy byłem dorastającym chłopcem? Dlatego, że mieli wrodzoną potrzebę posiadania postronnego obserwatora, kogoś z innego świata, kto zapewniałby im dodatkowe źródło samozadowolenia. Byłem ich lustrem, ustawionym pod odpowiednim kątem, gwarantującym najkorzystniejsze odbicie.

I teraz Ben potrzebował mojej pomocy. Dlatego nas tu zaproszono.

Zrobiło mi się lżej na sercu. Jaki byłem głupi, podając naszą przyjaźń w wątpliwość po tak wielu latach. Prześledziłem przebieg przyjęcia i uzmysłowiłem sobie, jak bardzo byłem spięty, jak wszystko wokół zdawało się drzeć i wibrować z niepokoju, jak uczepiłem się Lucy, ciężąc jej jak balast. Powinienem być mieć więcej wiary w Bena. Mojego Bena. Nadal był moim Benem.

– Fantastyczny ruch – ciągnąłem na oślep. – Nie rozumiem, dlaczego tak długo zwlekałeś. Masz ogromne szanse. Głowę na karku, inteligencję i... – Roześmiałem się. – Urok osobisty.

– Ale, Ben – wtrąciła się Lucy – czy żeby zostać politykiem nie trzeba mieć poglądów? W co właściwie wierzysz?

Stężyła mu twarz. Próbował się uśmiechnąć, ale nie zdołał.

– W wiele rzeczy.

– Nigdy dotąd nie słyszałam, byś nakreślił jakąś filozofię polityczną – mówiła Lucy. Zet w „filozofii” zabrzączało jak trzmiel na szybie. – Bardzo chciałabym ją poznać.

– Przed kim jak przed kim, ale akurat przed tobą nie musi się tłumaczyć – powiedziała cicho Serena.

– Co to ma znaczyć, Sereno? „Akurat przede mną”? Czy ja nie jestem warta jego... jego... – W kącikach ust zebrała jej się ślina. Wytarła ją wierzchem dłoni. – Czy mój głos jest jakoś mniej cenny? To chcesz powiedzieć? Przykro mi, że nie dorastam do standardów Fitzmaurice’ów. Zdaję sobie sprawę, że nie mam tytułu szlacheckiego, programu w telewizji ani milionów funtów na koncie, ale...

– Lucy – wtrąciłem. – Wystarczy. – Rzuciła mi wściekłe spojrzenie. Skóra wokół obojczyków rozciągnęła się i zaróżowiła. – Jesteś pijana. Proszę cię. Ośmieszasz się.

Pokręciła głową.

– Nie masz pojęcia, Martin. Nie masz cholernego pojęcia, co się święci.

Oparła się w fotelu.

– Nie wiem, co...

Przerwał mi odgłos kroków. Ben wstał i podszedł do kominka. Oparł się o gzyms, swobodnie splótł przed sobą dłonie. Gdzie on się tego nauczył? Czyżby się z tym urodził?

– Powodem, dla którego Serena i ja zaprosiliśmy was tu dzisiaj, jest powiedzenie wam, jak ogromnie jesteście nam wdzięczni za lata lojalności i przyjaźni – oznajmił, unikając mojego wzroku. – Teraz jednak wkraczamy w nowy rozdział życia, który wymaga pewnej... – odchrząknął – ...dyskrecji.

– Wiesz, że zawsze możesz na mnie polegać, Ben – powiedziałem. – Nawet nie musisz...

– Proszę... – Pauza. – Pozwól mi dokończyć. – Odstawił na gzyms szklankę z whisky, lód powoli się roztopiał. – Kariera w polityce to coś, do czego dążyłem przez całe życie, lecz jak z pewnością rozumiesz, pociąga ona za sobą pewne ryzyko. Między innymi to, że pozbawieni skrupułów dziennikarze prasy brukowej będą grzebać w mojej przeszłości, ja zaś muszę mieć pewność, Ed musi mieć pewność, że na światło dzienne nie wypłynie nigdy nic, co stawiałoby mnie w kłopotliwej sytuacji.

I wtedy o niej pomyślałem. Mignęła mi przed oczami tamta na wpół zapamiętana chwila. Upięte jasne włosy. Bezwładnie zwisająca głowa. Krew na przedniej szybie. Wykręcone nogi. Potłuczone szkło na rąbku bardzo niebieskiej sukienki. Wykrzywiony, pozbawiony życia obiekt zamiast tryskającej energią pełni młodości Vicky Dillane.

– Vicky – powiedziałem, i wszystko stało się jasne.

– Proszę, nie wymieniaj tego imienia – rzekła Serena. Jej głos powoli spływał mi po karku. Zerknąłem na Lucy. A więc Serena wiedziała, choć zawarliśmy z Benem niepisaną umowę, że nigdy nikomu o tym nie powiemy. Zdradził mnie. A mnie głupiemu nie przemknęło nawet przez myśl, że mógłbym coś takiego zrobić.

Blady w świetle lampy Ben odwrócił się do ściany.

– Znam twoją lojalność, Martinie, i mam nadzieję, że w twoim odczuciu rodzina Fitzmaurice'ów godziwie wynagrodziła ci twój wysiłek.

– Ben, na litość boską, to nie był żaden wysiłek...

– Nadszedł jednak czas, by nasze drogi się rozeszły.

Gdzieś w tyle głowy napięła się jakaś struna. Wydała pojedynczy, wysoki brzdęk, a potem pękła.

– Co? – wyjęczałem żałośnie. – Co takiego? Co ty, do cholery, wygadujesz?

Mój mózg zapadł się do środka. Te nieliczne rzeczy, które brałem w życiu za pewnik, zaczęły się walić. Pływałem w ciemnościach. Lunął

deszcz, nie wiedziałem, gdzie zaczyna się woda i gdzie kończy ani gdzie szukać linii horyzontu, znikalem, jakby moja skóra rozpuszczała się w otaczającej mnie formie płynnej, a Ben stał na brzegu: niedosięgły i obserwujący.

– Otrzymasz oczywiście stosowną rekompensatę – ciągnął. – Niefortunnie się złożyło, ale jest jak jest. Będzie lepiej dla nas wszystkich, jeśli ten wieczór położy kres naszej publicznej przyjaźni. Wiesz, naturalnie, że zawsze będziemy darzyć cię głęboką sympatią, ale...

– Ale ma wypierdalać z waszego życia i nigdy nie pisać słowa o tym, że kogoś zabiłeś – rzekła Lucy podniesionym głosem. – Co za tupet!

Wybałuszyłem oczy. Więc i ona wiedziała.

Ben się wzdrygnął. Serena zerwała się z miejsca tak szybko, że niemal zdawała się lewitować.

– Ty naprawdę masz niewyparzoną gębę – fuknęła, przypuszczając jadowity atak na Lucy. – Nie wiem, jak Ben tyle czasu cię znosił. Zawsze się wywyższałaś, zgrywając potulne niewiniątko. Myślisz, że nie zauważyłam? Że jestem na to za głupia? Co?

– Kochanie...

Odsunęła Bena na bok.

– Mam dość – powiedziała Serena. – Nie są warci naszego czasu.

Lucy pociągnęła łyk szampana.

– Jesteś śmieszna – zawyrokowała.

– A ty jesteś grubym, brzydkim zerem! – wrzasnęła Serena. Jej twarz, zwykle tak opanowana, teraz wykrzywiła się i pomarszczyła w grymasie gniewu. Pulsowały jej żyły na szyi.

– Skarbie... – Ben podszedł do żony, objął ją ramionami. – Proszę. Postarajmy się zachowywać kulturalnie, dobrze?

Zaczęło mi przenikliwie dzwonić w prawym uchu. Potrząsnąłem głową, próbując uciszyć ten dźwięk.

– Chcesz powiedzieć... – zacząłem, i byłem zmuszony przerwać. Zabrakło mi tchu. Ścisnęło mi się gardło, kolejne słowa wybrzmiały

szeptem. – Chcesz zerwać naszą przyjaźń?

Ben nie wykonał żadnego ruchu w moją stronę. Czy tylko to sobie wyobraziłem, czy na jego twarzy błąkał się cień uśmiechu?

– No cóż, Martinie, posłuchaj. Musisz przyznać, że od pewnego czasu nie byliśmy sobie zbyt bliscy. Wiem, że dogadywaliśmy się w młodości, ale, szczerze mówiąc, niewiele nas łączy, prawda? To znaczy, darzę cię najwyższym szacunkiem, uważam jednak, że czas zrobić kolejny krok naprzód, podążać własnymi drogami i...

Kolejny krok naprzód. Znów to sformułowanie. Pusty frazes.

– Od lat próbował się ciebie pozbyć – syknęła Serena. – Jak to będzie, twoim zdaniem, wyglądało, jeśli będzie publicznie kojarzony z... z... z kimś, kto zabił niewinną dziewczynę?

Nie potrafiłem się zorientować, czy ona naprawdę wierzy w to, co mówi, czy jest to wersja najbardziej odpowiadająca jej celom.

– Jesteś pijawką, Martinie – ciągnęła. – Pijawką. I nie mówię tu tylko o pieniądzach, choć Bóg jeden wie, że zebrałaby się mała fortunka. Wykorzystywałeś nas wszystkich! George'a, Katherine, Fliss...

Na wzmiankę o Fliss poczułem, jak zbiera mi się na płacz.

– Czy Fliss... – odważyłem się zapytać. – I Katherine... czy wszyscy pozostali się z tym zgadzają?

Ben skinął głową.

– George... George nigdy by na to nie pozwolił. Ben, wiesz, że nie... – Nie umiałem zdobyć się na wypowiedzenie imienia Vicky. – Wiesz, że wziąłem na siebie odpowiedzialność za to, co...

Niewzruszony Ben wszedł mi w słowo.

– Przykro mi, że tak źle to przyjmujesz, ale zyskasz na tym pokaźną sumę. Nie mam zamiaru zostawić cię na lodzie pod względem finansowym.

– Ale Ben – tłumaczyłem. – Stary. Nigdy o to nie chodziło. Nigdy.

Był nieprzejednany. Zsunąłem się z fotela i uklękłem przed nim na podłodze.

– Na pewno to wiesz. Musisz wiedzieć. Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Bez ciebie... bez ciebie jestem nikim.

– Na litość boską – mruknęła Serena. Odwróciła się do Bena. – A nie mówiłam? Dramat.

Chciałem wyciągnąć do niego rękę, dotknąć go, chwycić za połe marynarki. Potrzebowałem poczuć jego fizyczną bliskość, ściągnąć go w dół, by patrzył mi w oczy. Byłem pewien, że gdybym tylko mógł go dotknąć, on by zrozumiał, stałby się znów moim Benem, a nie tą sztywną, nadętą kopią.

– Ben. Ben... – powtarzałem. – Ben, proszę cię. Proszę, nie rób tego.

– Wstań, Martinie.

– Bez ciebie jestem nikim. – Słowa płynęły, a ja nie mogłem zatamować ich potoku. Bo była to prawda. Istniałem jedynie w odniesieniu do Bena. Budowałem swoje ja wokół niego, cegiełka po cegiełce, oceniałem każdy milimetr pod kątem tego, co to może oznaczać dla Bena oraz co mógłbym na tym zyskać. Tak rozpaczliwie pragnąłem, by mnie potrzebował, że zapomniałem bronić się przed moją własną miłością do niego.

Podniosłem wzrok. Jego twarz wyrażała coś w rodzaju litości.

A więc tak. Nie kochał mnie. Nigdy mnie nie kochał. Poczulem się okropnie zmęczony. Zamknąłem oczy, kucnąłem i czekałem, aż minie ból. Za chwilę, mówiłem sobie, wstanę. Za chwilę wyprostuję się, ściągnę łopatki i odetchnę pełną piersią, udając, że nie ma to znaczenia. Wzniosę niezbędną fasadę i nikt nie będzie w stanie się do mnie zbliżyć. Potrafiłem to robić. Miałem wprawę.

Wstałem. Płakałem. Ostateczne upokorzenie. Ukryłem twarz w dłoniach, nie chciałem, by Ben widział moje łzy.

– Zlecimy przelew pokaźnej kwoty na twoje konto – mówił. – W zamian zgodzisz się podpisać umowę o poufności sporządzoną przez moich prawników...

– A co – spytałem głupio – z tym biznesem w Czarnogórze...?

Spojrzał na mnie tak, jakby dopiero zdał sobie sprawę z mojej obecności.

– Martin – zwrócił się do mnie niemal przyjaźnie. – Nie ma żadnego biznesu. To był tylko wabik, żeby cię tu zatrzymać. Ale oczywiście na pewno znajdę sposób na dopuszczenie cię do interesów... Jeśli to w czymś... pomoże.

Mówił i mówił tym swoim suchym, beznamiętnym tonem. Był tak daleki, tak obcy. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście go znam, czy tylko mamilem się przez te wszystkie lata, byłem pionkiem w grze pieczołowicie rozgrywanej wokół mojej osoby, nie mając o niczym pojęcia.

– ...będziesz wystarczająco... zabezpieczony finansowo... wdzięczność... ogromny smutek... realistyczny... nadzieja na przyszłość... wybory... muszę myśleć o partii... przykry stan rzeczy...

Sączyły się oderwane zwroty i słowa. Docierała do mnie tylko połowa z nich. Ściany pokoju marszczyły się i zapadały do środka. Podłoga wirowała. Zatoczyłem się na fotel i ciężko opadłem na skórzaną poduchę, czekając, aż ruch ustanie.

– Nigdy o to nie chodziło – mruknąłem bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – Nigdy nie chodziło o pieniądze.

Usłyszałem, jak Serena robi wdech, i wyobrażałem sobie zza podświetlonego kokonu moich dłoni wyraz jej twarzy. Nigdy mnie nie lubiła. Nigdy nie udało mi się jej do siebie przekonać. Wydawało mi się, że nie ma to znaczenia. Wydawało mi się, że ona się nie liczy. Znow się myliłem. Tak bardzo skupiłem się na walce, że zapomniałem zidentyfikować wroga.

W końcu potok słów się zatrzymał i zapadła cisza.

Na zewnątrz sztuczny kobiecy śmiech.

Potem głos Sereny.

– No dobrze. Myślę, że na was już czas. Nasi prawnicy skontaktują się z wami w przyszłym tygodniu. Zaraz... gdzie się zatrzymaliście? – Pogarda sączyła się z każdego pora jej skóry. – W Premier Inn, zdaje się?

– Dobrze wiesz – burknęła Lucy. – Nie można traktować ludzi w ten sposób.

– Przepraszam?

– I powinnaś.

– Nie, miałam na myśli...

– Wydaje się wam, że jesteście tacy cholernie wyjątkowi. Fitzmaurice'owie. Że waszym powołaniem jest rządzenie nami. Wydaje się wam, że możecie przezuć Martina i wypluć, kiedy się nim znudzicie? Otóż nie. Po prostu nie. Zniszczycie go. Ben – zwróciła się bezpośrednio do niego – on cię kochał przez całe życie, dobrze wiesz.

Serena parsknęła ostrym śmiechem.

– Och, wszyscy o tym wiemy, i to od bardzo dawna. Żenada.

– Jesteście bez serca.

Serena się uśmiechnęła. Umyślnie powolnym krokiem podeszła do okna. Cekiny na jej sukni zmieniały kształt jak powierzchnia morza.

– Wiesz, czego ci potrzeba, Lucy? – Skubała luźną nitkę zasłony i uważnie się jej przyglądała. – Potrzeba ci dziecka. Byłabyś wtedy mniej... mniej... – Udawała, że szuka właściwego słowa. – Rozgoryczona. – Zapadło lodowate milczenie. – Szkoda, że nie możesz sobie znaleźć prawdziwego mężczyzny. – Stopniowo podnosiła głos. – Szkoda, bo wszyscy wiemy, że Martin wolałby posuwać mojego męża niż własną żonę.

Te słowa uderzyły we mnie z wielką siłą. Wstałem. Ciało miałem jak z ołowiu. Serena podeszła do mnie.

– Myślałeś, że nie zauważyliśmy? – zapytała z grymasem na twarzy. – Obudź się, Martin.

Spoliczkowała mnie bez ostrzeżenia.

Plask rozszedł się we wszystkich kierunkach jak dźwięk kamertonu.

Nie widziałem, jak Lucy podnosi się z fotela. Gdy wreszcie zauważyłem, że stoi z butelką szampana w ręku, było już za późno. Minęła sekunda. Kolejna. Coś pękło jak bańka i zdałem sobie sprawę, że moja żona wrzeszczy – nigdy czegoś takiego nie słyszałem. Zamrugalem powiekami, spojrzałem na nią. Obnażyła zęby, lśniły mięśnie na jej ramieniu. Nie mogłem oderwać od nich wzroku. Skąd one się tam wzięły?

Krzyczała. Słowa zlewały się ze sobą, aż stały się białym szumem. Wycelowała palec w Serenę, z każdym dźgnięciem przysuwała się coraz bliżej. Dziab. Dziab. Dziab.

Serena cofnęła się o krok, potem o kolejny, a wtedy wykręciła się jej kostka, podwinął się wysoki obcas, a gdy się zachwiała, Lucy wystrzeliła do niej jak z procy.

– Ty suko! – wrzeszczała. – Ty cholerna, wredna suko!

Serena machała rękami. Chwyliła Lucy za nadgarstek i próbowała się z nią szamotać, ale Lucy nie przestawała nacierać, póki nie przyparła jej do ściany.

Nie byłem w stanie się poruszyć. Kątem oka widziałem, jak Ben pędzi przez pokój, ale Lucy podnosiła już butelkę szampana, trzymała ją wysoko w wyciągniętej w górę ręce, wszystkie ścięgna naprężone, napięte do granic. Przeżyłem chwilę czystego podziwu dla piękna tego ramienia, dla siły, o której istnieniu nie wiedziałem, poczułem dumę. Autentyczną, pełną miłości, ogromną dumę. Ben próbował złapać Lucy za przegub, ale było za późno. Lucy zdążyła trzasnąć butelką w piękną głowę Sereny.

Stłumiony okrzyk. Jęk.

Po parkiecie smyrgnął kolczyk.

Serena osunęła się i upadła na ziemię.

Lucy wypuściła z ręki butelkę. Nie stłukła się. Po żółtej etykiecie spływały strużki czerwieni.

Cisza.

Podszedłem do okna i chwyciłem Lucy za ręce, przytrzymując je za jej plecami. Czułem, jak dygocze, jak delikatnie drży jej ciało. Spojrzała na mnie dzikim wzrokiem. Zaczynała jej puchnąć dolna warga.

– Ciii... – mówiłem. – Ciiii... Już dobrze. Już dobrze.

Ben klęczał przy Serenie, przyciskał ucho do jej piersi, krzycząc do mnie, że potrzebne jest pogotowie i żebym wezwał, kurwa, karetkę, i rozległ się tupot pospiesznych kroków, nagle zebrał się wokół nas tłum

ludzi, a ja wypchnąłem Lucy za drzwi i wymknąłem się z pokoju. W ręku ścisnąłem butelkę.

Zamachnąłem się i cisnąłem ją do stawu. Wylądowała w wodzie z odległym pluskiem. Mocniej przyciągnąłem do siebie Lucy.

Szliśmy w ciemności zwirowym podjazdem w stronę bramy. Czuję się oderwany od własnego ciała, jakby wyjęty z cielesnej powłoki, obserwujący z oddali dwie samotne postaci. Najbardziej zszokował mnie brak poczucia winy. Po raz pierwszy w życiu nie uważałem za swój obowiązek chronić Bena przed najgorszym. Nie byłem już jego Małym Cieniem. Moje serce zdawało się pęcznieć pod żebrami. Kontury klasztoru Tipworth za naszymi plecami zacierały się w świetle wczesnego poranka.

9

Komisariat policji w Tipworth, 18.00

Szary Garniturek patrzy na mnie sceptycznie.

– Pozwoli pan, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałem.

Do zębów przykleił mu się kawałeczek czegoś zielonego, co jest widoczne, kiedy porusza ustami. Zastanawiam się, jak długo będzie to tam tkwić, nim facet się połapie albo ktoś zwróci mu na to uwagę. Zastanawiam się także, czy nie powinienem zrobić tego ja, ale dochodzę do wniosku, że nie. To miłe uczucie wiedzieć coś, czego nie wie on. Daje mi przewagę.

Rzuca mi spojrzenie zza biurka i czeka.

– Proszę – mówię i daję znak, by kontynuował.

– Po przyjęciu, około godziny pierwszej w nocy, został pan wezwany wraz z panią Gilmour do gabinetu, zgadza się?

– Gwoli ścisłości: nie użyłbym słowa „wezwany”.

– W porządku, ale to tam się pan spotkał z lordem i lady Fitzmaurice’ami? Żeby omówić interesy w Czarnogórze?

Kiwam głową.

– Prowadzicie rzeczową rozmowę w przyjaznej atmosferze, lord Fitzmaurice przedstawia w skrócie projekt, pan mówi, że musi przedyskutować go z panią Gilmour na osobności?

– Tak. Przed chwilą to panu powiedziałem, a więc?

– Chcemy mieć całkowitą jasność – odpowiada Garniturek. – Ustalić chronologię wydarzeń, rozumie pan.

– Dla pańskiego dobra, Martinie – dodaje Beżowowłosa, ściągając poły zakietu i krzyżując ramiona. Na lewym przegubie ma srebrną bransoletkę,

masywną, obciążoną szpetnymi zawieszkami, taką, które są co roku reklamowane przed Bożym Narodzeniem i Dniem Matki.

Zwracam na nią uwagę.

– Ładna – komplementuję.

– Dziękuję – odpowiada i natychmiast naciąga rękaw, chowając pod nim bransoletkę, by już nie przykuwała mojego wzroku.

– Wychodźcie państwo z gabinetu około godziny pierwszej dwadzieścia, pierwszej trzydzieści – mówi Garniturek.

– Tak sądzę, mniej więcej. Nie mam całkowitej pewności.

– Zamyka pan za sobą drzwi i idzie korytarzem. Oddalając się, słyszy pan krzyk i głuchy łomot.

– Tak.

– Zawraca pan, chcąc sprawdzić, co się stało, a wkraczając ponownie do gabinetu, widzi pan... – Milknie. – Proszę nam przypomnieć, co pan zobaczył.

Wkraczając. Wzdrygam się. Zbędna urzędowa sztywność.

– Serenę na podłodze, opartą plecami o ścianę, i kucającego nad nią Bena. Krzyczał, by wezwać karetkę. Najwyraźniej wiedział, że stało się coś poważnego.

Garniturek odchylił się w tył. Palce wskazujące zahaczył o szlufki spodni. Powietrze przenikał zapach dawno zaparzonej kawy rozpuszczalnej. Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wyjdę z tej dusznej budy aluzji i oskarżeń.

– Powiem panu, co nie daje mi spokoju. – Przybiera skonsternowaną minę jak z ilustracji w książeczce dla dzieci: zmarszczone czoło, ściągnięte brwi, zakłopotanie. – Prowadzicie we czworo rzeczową rozmowę, potem pan wychodzi z żoną i po dosłownie kilku sekundach, nawet nie minutach, tylko sekundach, między lordem a lady Fitzmaurice dochodzi do czegoś tak strasznego, że on uderza ją z ogromną siłą, a wskutek tego ciosu kobieta zapada w śpiączkę, mimo że...

Próbuję coś powiedzieć. Ucisza mnie gestem dłoni.

– Mimo że nikt z setek przesłuchiwanym przez nas gości przyjęcia nie zauważył między nimi żadnych niesnasek. Absolutnie żadnych oznak napiętych stosunków małżeńskich.

– Cóż... Gniew Bena to kapryśna bestia.

– Co to znaczy? – docieka Beżowowłosa.

– To znaczy, że on nieczęsto okazuje prawdziwe emocje – wyjaśniam, ostrożnie rzucając okruszki, których śladem będą coraz bardziej zagłębiać się w labirynt. – Już to kiedyś widziałem.

– Widział pan? Konkretnie kiedy?

Wiercę się na krześle. Chcę sprawiać wrażenie zakłopotanego, jakby bolało mnie serce, że pakuję przyjaciela w kłopoty, choć wiem, że i tak nie mam wyjścia.

– Nie mogę wdawać się w szczegóły – odpowiadam.

Beżowowłosa i Garniturek wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Dobrze. Coś podejrzewają. Dysponują wszystkimi elementami układanki, wiedzą o przelewach bankowych – zapłacie za milczenie – wystarczy więc, że teraz wpasują wszystkie na właściwe miejsce. Nie powinno sprawić im to dużych trudności..

Jaka jest ponoć najlepsza metoda układania puzzli? Rozpocząć od narożników. Cóż, tak zrobiłem. A jeśli chcą także i mnie posłać za kratki, niech im będzie. Podejrzewam jednak, że mną aż tak bardzo się nie interesują. Chcą skalpu Bena.

– Sugeruje pan, Martinie, że coś się wydarzyło na uniwersytecie? Między panem a Benem? Coś, co ma związek z wypadkiem samochodowym? Co mogłoby wyjaśnić, rozumie pan, te hojne wpłaty na pańskie konto? – pyta Garniturek, ja zaś wyłapuję w jego głosie nutę podniecenia, choć bardzo starał się ją ukryć. – Ponieważ jeśli rzeczywiście coś się wydarzyło – jeśli na przykład wziął pan na siebie odpowiedzialność za coś, co nie stało się z pańskiej winy, i jeśli, mówiąc hipotetycznie, boi się pan wpakować kogoś

w tarapaty, najwyższy czas powiedzieć nam prawdę. Musi pan nam powiedzieć, Martinie.

Kładę dłonie płasko na blacie. Bębnię palcami w stół, odmierzając mijające sekundy. Jedna. Dwie. Trzy.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam, bawiąc się ich narastającym zniecierpliwieniem i z premedytacją przyjmując je ze stoickim spokojem. – Nie wydaje mi się, bym musiał mówić wam cokolwiek. O ile mi wiadomo, nie zostałem aresztowany. Chyba że tymczasem coś się zmieniło.

Beżowowłosa wbija wzrok w podłogę, lekko się rumieni.

– A skoro już przy tym jesteśmy – ciągnę – macie zamiar postawić mi jakieś zarzuty? Ponieważ moja cierpliwość doprawdy się wyczerpuje.

Garniturek odkasłuje.

– Doceniamy pańską gotowość do współpracy – mówi. – Nie zabierzemy panu dużo więcej czasu.

– Dziękuję. – Uśmiecham się. – A tak na marginesie, ma pan coś na zębach. Dokładnie – rozchyłam usta i wskazuję czubkiem paznokcia właściwe miejsce – tutaj.

Lucy

Koniec końców smutno mi żegnać się z Keithem. Na początku nie znośłam naszych sesji. Nie cierpiałam ze wszystkiego się tłumaczyć, nienawidziłam tego analizowania i zgłębiania każdej mojej odpowiedzi, jak gdyby była interesującym wycinkiem tkanki poddawanych badaniom naukowym. Ale z czasem się do niego przyzwyczałam. Uznałam, zdaje się, że „rozpakowywanie” pewnych mechanizmów jest pomocne.

Rozpakowywanie. To jedno z jego słów.

– Możemy trochę bardziej to rozpakować, Lucy?

Tego popołudnia powiedział:

– Jestem pod wrażeniem twoich postępów, twojej gotowości do przepracowywania problemów.

Nigdy nie był ze mną aż tak bezpośredni. Czułam ucisk pod powiekami i zdałam sobie sprawę, że jestem bliska łez i że nie płakałam (przynajmniej tak porządnie) od wieków.

– Więc nie uważasz, że jestem zagrożeniem dla społeczeństwa?

Uśmiechnął się. Kąciaki oczu zmarszczyły się za szklami okularów.

– Nie uważam. I tak powiedziałem władzom.

– Mam nadzieję, że ci uwierzą.

Nie zdradziłam mu wszystkiego. Ale i, ściśle rzecz biorąc, nie kłamałam. Kiepsko kłamię. Ojciec kiedyś mi powiedział, że zawsze mam wszystko wypisane na czole wielkimi literami. Ale potrafię celowo coś pominąć, przemilczeć, pozostawić luki, puste miejsca bez wyjaśnienia. Poza tym to, co wydarzyło się tamtej nocy z Sereną w gabinecie w Tipworth, nie dotyczyło tylko mnie. Musiałam też uwzględnić konsekwencje, jakie miałyby to dla Martina. Gdybym coś powiedziała, doprowadziłabym do

zdemaskowania jego kłamstwa, do którego się uciekł, by ocalić najlepszego przyjaciela; kłamstwa, które rzucił jak kamień w wodę, pozostawiając na powierzchni coraz szersze kręgi przyczyny i skutku.

Nigdy nie rozmawiałam z Martinem o tamtej dziewczynie, Vicky Dillane.

Ciekawe, czy ktokolwiek prócz jej rodziców jeszcze o niej pamięta. Prawdopodobnie nie. Może garstka przyjaciół, którzy wspominają jej uśmiech na rocznicach i urodzinach, czują skurcz żołądka, gdy pada jej imię. Ale poza tym jest zapomnianą ofiarą, odpryskiem wspomnienia startym na proch przez potęgę Fitzmaurice'ów. Zasługuje na coś więcej niż przypis w cudzej biografii.

Zrobiłam to nie tylko dla Martina czy dla siebie samej. Także dla niej. I dla każdej kobiety, której zamknięto usta.

I choć nie powinnam się do tego przyznawać, mam świadomość, że uderzenie Sereny butelką szampana sprawiło mi satysfakcję. Chyba nic nie dało mi nigdy takiego poczucia mocy. Oczywiście żałuję tamtego czynu. Nie chcę uchodzić za osobę, która ochoczo krzywdzi innych, zwłaszcza kobiety, ale wówczas wydawało mi się to jedynym sposobem na to, by usłyszano mój głos. Jediną rzeczą, którą Fitzmaurice'owie rozumieją. Agresją za agresję. Czymś, z czego nie zdołają się wywinąć przekupstwem.

Tamtej nocy wracaliśmy z przyjęcia ciemnymi wiejskimi drogami. Zdjęłam buty. Chłodna szorstkość asfaltu pod stopami dawała wrażenie solidności i trwałości, reszta świata była natomiast nadal rozedrgana. Nie rozmawialiśmy ze sobą, ale Martin wziął mnie za rękę. To do niego niepodobne, taki poufały gest, wiedziałam więc, że zdobywając się na niego, mówi, że mnie rozumie. Że nie ma mi za złe.

Po powrocie do hotelu leżeliśmy w ubraniach, każde na swoim łóżku, zwróceniu twarzą do siebie, z policzkami przyciśniętymi do lekkich syntetycznych poduszek. Uzgodniliśmy wersję wydarzeń. Nie wiedzieliśmy, jak silnego Serena doznała urazu, spodziewaliśmy się jednak śledztwa. Prasa będzie miała używanie.

Powiedział, że powinnam wyjechać na pewien czas i pozwolić mu zająć się reperkusjami, a potem zasugerował pobyt w The Pines. Sam przebywał tam w wieku dwudziestu kilku lat. W ośrodku zdrowia psychicznego. Oczywiście za pieniądze Fitzmaurice'ów. Powiedział, że tak czy inaczej dobrze by mi to zrobiło. Że się o mnie martwi i że być może potrzebuję trochę czasu i przestrzeni na „ułożenie sobie w głowie pewnych spraw”.

– Jakich spraw? – zapytałam.

Sina czerń światła za nylonowymi zasłonami zamieniła się w szarawą biel brudnej bielizny.

– Wiem... – Martin się zawahał. – Wiem, jak bardzo pragnęłaś dzieci. – Nie potrafił na mnie spojrzeć. – Przykro mi. Z powodu tego, co się stało.

Nigdy nie nazwał poronienia po imieniu.

– Myślę... to znaczy myślałem... Nie chciałem popełnić tamtego błędu.

Zamknęłam oczy. Punkciki światła igrały pod powiekami.

– Nie nad wszystkim ma się kontrolę, Martinie.

Uświadomiłam sobie, że moje małżeństwo jest skończone. Myślę, że wiedziałam o tym od tygodni, miesięcy. Od dawna, tylko nie chciałam być sama. Zwłaszcza po poronieniu, kiedy wątpiałam we własną wartość, kiedy potrzebowałam kogoś – kogokolwiek – z kim czułabym jakąś więź.

Nie doceniłam siły charyzmy Fitzmaurice'ów. Obracanie się wśród tego rodzaju ludzi – zamożnych, uprzywilejowanych, pięknych, egoistycznych – nie jest dobre dla duszy. Są skupieni na sobie, stwarzają natomiast pozory wielkoduszności. My ich nie obchodzimy. Nie jest to świadoma podłość, lecz po prostu brak wyobraźni co do tego, jak wygląda życie innych. Ci spośród nas, którzy są podatni na wpływy – nieprzystosowani, niepewni siebie, lękliwi, rozgoryczeni i bezbronni – ci dają się porwać ich złotym prądom niczym marni pływacy połyskliwej fali. Chcemy być tacy jak oni, jednocześnie ich za to nienawidząc.

Po tamtym wieczorze nie chciałam mieć z nimi nic więcej wspólnego. Chciałam się odciąć. Zmyć z siebie ich kłamstwa.

Tamta rozmowa w hotelu zbliżyła mnie do Martina jak nigdy dotąd. Doprawdy zabawne, że Ben tak długo wbijał się między nas klinem, a wystarczył jeden wieczór, by połączyła nas wspólna wściekłość. Najbardziej rozjuszyła mnie arogancja. Przechucie człowieka i wyplucie go, gdy przestaje być przydatny.

Nie usprawiedliwiam swojego czynu, piszę te słowa po to, by przedstawić powód, dla którego to zrobiłam, przypomnieć sobie, że nie jestem obłąkana.

Najbardziej zalaża mi za skórę Serena. Była taka bezduszna. Latami znosiłam jej deprecjonujące innych samozadowolenie i jej litanie rzucanych mimochodem upokarzających komentarzy. Nienawidziła Martina, a on nawet tego nie zauważał. Nigdy nie mogłam pojąć, dlaczego Ben się z nią ożenił, teraz jednak sądzę, że po to, by zamaskować własną słabość. Serena jest silna, a Ben... cóż, Ben nigdy tak naprawdę nie wiedział, czego chce. Potrzebował innych, by decydowali za niego: matki, ojca, żony, nawet cholernego premiera.

Mimo wszystko zastanawiam się, dlaczego nas wtedy nie wsypał: nie powiedział policji, że to sprawka moja i Martina, i nie zostawił nas na pastwę losu, żebyśmy zgnili w pudle. Wystarczyłoby jedno słowo Fitzmaurice'ów przeciwko naszemu; nie trzeba wielkiej logiki, by wiedzieć, komu uwierzyłaby policja. Może przed zadaniem ostatecznego ciosu powstrzymała Bena jakaś resztką lojalności wobec Martina. A może ma jakąś strategię na przyszłość. Na przykład chce, by z niewiadomych na razie powodów Martin był mu winien przysługę. Nie wiem. Wiem natomiast, że cokolwiek się wydarzy, Ben Fitzmaurice będzie uwielbiany tak samo jak dotychczas.

Tak już jest z urokiem osobistym. Dzięki niemu zawsze się wywiniesz. Nie musisz wyrabiać sobie charakteru, ponieważ nikt nie będzie go szukał. Inni są zbyt pochłonięci wygrzewaniem się w blasku twojej uwagi. Zbyt pochłonięci uleganiem twojemu czarowi.

Na końcu sesji Keith wstał i mnie uściskał. Jego sweter pachniał persilem. Delikatnie poklepał mnie po plecach.

– Powodzenia, Lucy.

Próbowałam coś odpowiedzieć, lecz słowa uwięzły w gardle. Gdy wyszłam na korytarz, wciąż mnie tam drapały, a potem wróciłam do pokoju, zamknęłam za sobą drzwi, położyłam się na łóżku i gapiłam w sufit.

Wiedziałam, że nie będę dłużej żoną Martina. Nie mogłabym. Sprawy zaszły za daleko, nie było odwrotu. Stałam się inną osobą niż kobieta, która za niego wyszła: żona, która tak długo grała w tę grę. Gdy myślałam o tamtej dawnej Lucy, to jakbym wyobrażała sobie postać z książki.

Tamta Lucy z czasem się zmieniła. Tkwiła za szybą, a potem nagle, bez ostrzeżenia, stłukła ją i zza niej wyszła.

I oto ona, oto ja. Martin nie jest już częścią mojej bajki. Wcale nie żywię do niego urazy. Po prostu już go nie kocham.

Zaczęłam pakować walizkę: najpierw buty, potem kilka koszulek i par dżinsów, które tu ze sobą przywiozłam, zwiniętych w rolki, żeby się nie gniotły. Książki. Ten notatnik. Na końcu kosmetyczka wybrzuszona od buteleczek z lekarstwami i szczotki do włosów. Zamknęłam wieko i przycisnęłam je tak mocno, że zamek gładko się zasunął.

Po raz ostatni omiotłam wzrokiem pokój i wytoczyłam walizkę na korytarz. Wykładzina była tam cienka i rzadka. Skojarzyła mi się z zarostem nastolatka: wiotkimi słabymi włoskami, które bardzo chcą udawać dojrzałe.

Usłyszałam zamykanie drzwi. Odwróciłam się i w tej samej chwili Sandy stuknęła mnie w plecy.

– Lucy – powiedziała swoim ochrypłym głosem. – Odchodzisz?

Skinęłam głową.

– Rano miałam ostatnią sesję z Keithem. Zwolnienie honorowe, jak się domyślam.

Uśmiechnęła się. Malowała usta szminką w mało twarzowym koralowym odcieniu, który lepiej pasował do młodszej twarzy. Drobinki pomadki osadzały się w zmarszczkach wokół ust. Z rękawów skórzanej kurtki

zwisają frędzle. Pachniała zadymionym barem – Sandy musiała nosić ją w niejednym takim lokalu. Trzęsły się jej ręce.

– Czy... – zawiesiłam głos – dasz sobie radę?

– Jasne, nie martw się o mnie. Będzie w porządku. – Smutno się uśmiechnęła. – Jak zawsze.

– Gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała... – zaczęłam, ale nie wiedziałam, jak dokończyć zdanie. To jedna z tych rzeczy, które mówi się z grzeczności, a w tym otoczeniu słowa zabrzmiałyby fałszywie.

Ujęła oburącz moje dłonie. Wzruszyła ramionami, zbliżając do uszu kościste barki kojarzące się z orlimi skrzydłami, i nie mówiąc nic więcej, zniknęła w swoim pokoju.

Otworzyłam dłoń. Leżał na niej złożony skrawek papieru. W środku skreślone czarnym długopisem chwiejne litery: *Nie daj się tym draniom*. Na końcu dwa wykrzykniki.

Uśmiechnęłam się, starannie złożyłam karteczkę i schowałam ją do kieszeni bluzki. Pomyślałam o Martinie. Nie mogłam z nim zostać, gdy zawalił się świat.

Nie daj się tym draniom.

Wyjechałam walizką na korytarz, a potem na zewnątrz budynku.

10

Komisariat policji w Tipworth, 18.30

Serena się wybudza. W samą porę.

Szlachetnie z jej strony, muszę przyznać.

Jak sięgam pamięcią, to w zasadzie pierwszy raz, kiedy Serena zrobiła coś, co może choć trochę przemawiać na moją korzyść.

Przełożony wywołuje Beżowowłosa i Garniturka z pokoju przesłuchań. Przez chwilę siedzę tu sam, słuchając podniesionych głosów w korytarzu. Po powrocie wydają się zirytowani.

– Poinformowano nas, że lady Fitzmaurice odzyskała przytomność – oznajmia Beżowowłosa, wciskając guzik „stop” na niepraktycznym magnetofonie. – Zeznała, że się pośliznęła.

Uśmiecham się. Dobrze.

– Tak jak mówiłem: nieszczęśliwy wypadek.

Beżowowłosa zaciska usta. Garniturek parska śmiechem.

– Tak – mówi. – No cóż...

Policjanci pozwalają mi odejść. Nie mają wyjścia. Do niczego się nie przyznałem, a nie znając żadnych szczegółów, nie mają szans się dowiedzieć, co wydarzyło się tamtej nocy za zamkniętymi drzwiami gabinetu. Ben i Serena nigdy nie puszczą pary z ust. To oczywiste. Nie zależy im, by dziennikarze brukowców węszyli, dzwonili, zadawali niewygodne pytania. Wciąż mają nadzieję, że zgodzę się podpisać ich idiotyczną umowę i będę trzymał język za zębami. Zacząłem regularnie ignorować nachalne telefony od Bena. W desperacji dopuścił mnie nawet do swoich interesów w Czarnogórze. *Nie robi to żadnej różnicy, mam*

ochotę wykrzyknąć, *tracisz czas – przekonałem się, jak niewiele dla ciebie znaczę, i nie mogę przestać o tym pamiętać. Odmawiam.*

Zerkam na swoje stopy. Rozwiązało mi się sznurowadło. Będę musiał zawiązać je przed wyjściem, myślę. Beżowowłosa

ma na nogach balerinki ze sztucznej skóry, pulchne ciało wylewa się z butów.

– Z pewnością czuje pan ulgę – mówi Garniturek.

– Naturalnie.

– Że są takimi dobrymi przyjaciółmi i w ogóle.

Rzuca mi gniewne spojrzenie, niemal nie kryje swojej niechęci. Odpowiadam zimnym wzrokiem. Za ciasny kołnierz koszuli wpija mu się w szyję. Myślę, jak łatwo byłoby podciągnąć węzeł krawata i wycisnąć z jego tchawicy całe powietrze, zastanawiam się, po jakim czasie twarz zrobiłaby się czerwona, potem sina, a na końcu blada, i wyobrażam sobie, jak na początku machałby rękami i próbował mnie odepchnąć, a ja bym nie ustępował, później jego kończyny zaczęłyby poruszać się wolniej, ociężale, aż wreszcie nie miałby innego wyboru, musiałyby znieruchomieć. Ile zajęłoby to czasu? Prawdopodobnie kilka minut. Linia między życiem a śmiercią jest bardzo niewyraźna.

Oczywiście bym tego nie zrobił.

Ale lubię sobie pofantazjować. Lubię sobie przypominać, że mam możliwość reagowania.

Po zakończonym przesłuchaniu Beżowowłosa dziękuje mi za pomoc. Informuje, że obowiązuje mnie zakaz opuszczania kraju i że bez wątpienia wkrótce znów się spotkamy. Gdy to mówi, rozdyma nozdrza. Myśli o Benie, widzę to. O aresztowaniu go za tamtą tragiczną, a zarazem niewątpliwie efektowną zbrodnię z zamierzchłej przeszłości. Wybuchnie sensacja. Piękna młoda dziewczyna. Pijani studenci z wyższych sfer. Znana rodzina, która próbowała zatuszować sprawę.

Energicznie ściska mi dłoń. Kojarzy mi się z dublerką, która za wszelką cenę pragnie wejść na sceniczne deski i zastąpić niedysponowaną główną

aktorę.

Ma zaskakująco drobne i delikatne palce. Będzie mi brakowało jej powściągliwej i niezawodnej obecności. Garniturek mamrocze coś niezrozumiale, po czym opuszcza pokój. Beżowowłosa zostaje, by zgarnąć z biurka papiery; część kartek jest gęsto wypełniona schludnym pismem Lucy. Cieszę się, że trzymała się naszej wersji. Moja lojalna żona.

Gdy wychodzę z komisariatu policji, dochodzi siódma wieczorem, niebo przecinają smugi srebrnych chmur. Idąc na parking, słyszę podekscytowane okrzyki uczniów, którzy pewnie wałęsają się po mieście od zakończenia lekcji. Grupa w granatowych mundurkach ciśnie się w drzwiach baru ze smażonymi kurczakami po drugiej stronie ulicy, odliczają monety w złożonych w miseczkę dłoniach. Ciekawe, gdzie są rodzice?

Podjeżdża samochód. Na tylnym siedzeniu znajoma sylwetka. Otwierają się drzwi kierowcy, detektyw w cywilnym ubraniu obchodzi auto i staje przy drzwiach pasażera. Widzę, jak ktoś porusza się w środku, a policjant osłania ręką górną ramę drzwi, by ów człowiek nie uderzył się w głowę.

Wyłania się stopniowo: strzecha kręconych brązowych włosów; mokasyny, kraciasta koszula, wiem, że z małą dziurką na łokciu. Ben.

Cofam się za mur. Detektyw mówi coś przyjaznym tonem. Ben się uśmiecha, kiwa głową i mruga w ten swój czarujący sposób. Cóż za opanowanie, myślę, co za swobodna zuchwałość. Nie sposób tego nie podziwiać, mimo że wiem, iż ta pewność siebie będzie krótkotrwała, że wszystko, co brał dotychczas za pewnik, niebawem legnie w gruzach, wystarczy, że przekroczy próg i wejdzie do komisariatu.

Serce bije szybciej, wyobrażam sobie, jak podchodzę do Bena i dźgam go palcem w pierś. Wiem coś, czego ty nie wiesz, mam ochotę powiedzieć. Przegrywasz. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, co cię czeka. Skruszę twoje zadowolenie z siebie na proch. Upadniesz i będziesz wiedział, że cię zdradziłem, i to będzie mój triumf.

Wychodzę z półmroku. Stawiam kroki powoli, by miał czas podnieść głowę i zarejestrować moją obecność. Uśmiech gaśnie mu na twarzy.

Zatrzymuję się. Patrzę. Napotykam jego spojrzenie i przygważdżam go wzrokiem. Myślę o wszystkich chwilach, kiedy sprawiał, że czułem się kimś gorszym. O nieuprzejmościach i o tym, jak próbowałem sam siebie przekonać, że są tylko wytworem mojej wyobraźni. O wszystkich

wymienianych z Sereną spojrzeniach, wymownie tłumionych westchnieniach. O strojeniu sobie ze mnie bezceremonialnych żartów, aż w końcu karykatura mojej osoby stawała się bardziej wiarygodna niż rzeczywistość, aż zostałem zredukowany do Małego Cienia – postaci bez osobowości, bladej kopii śladu odcisniętego przez innego, ważniejszego człowieka. Myślałem o niepokoju, jaki to we mnie wywoływało, o napięciu, które wypierałem, udając, że nie istnieje, o wysiłkach, które czyniłem.

Przypominam sobie frunącego przez pokój misia, otwierające się drzwi i tamten pierwszy raz, gdy usłyszałem głos Bena. Pamiętam malutką czarną plamkę od atramentu na mankiecie koszuli.

Kochałem go.

A teraz?

Teraz mam ochotę rozkwasić tę urodziwą twarz, przetrącić ten krzywy nos. Uderzyć go tak mocno, że upadnie przede mną na kolana, że od ciosu zwiśnie mu żuchwa, a ślina będzie kapać na asfalt.

Czuję to tak dojmująco, w głębi trzewi, że muszę się hamować, by do niego nie podbiec. Z trudem uspokajam oddech.

Wdech, wydech.

Wyraz twarzy Bena się zmienia, nieskrywany gniew ustępuje miejsca powściągliwemu zakłopotaniu. Nawet mu się nie chce dalej na mnie złościć, myślę. Jakbym był nikim. Jakbym nigdy nic dla niego nie znaczył.

Detektyw mówi teraz coś do Bena, który pochyla się, by lepiej słyszeć, i dociera do mnie szmer ich rozmowy, brzmi lekko, swobodnie, płynnie, i uzmysławiam sobie, że Ben i tym razem jest zorientowany w niepisanym kodeksie postępowania, niejasnych hierarchiach komisariatu policji. Będzie przeproszał za kłopot, mówił, że z pewnością szybko uda się wyjaśnić

sprawę i dziękuje, z przyjemnością napije się herbaty, z mlekiem, bez cukru, i tak, dziękuje za troskę, żona miewa się dużo, dużo lepiej, choć najedli się strachu, i z pewnością państwo rozumieją, że to wszystko to nieszczęśliwy wypadek, i ogromnie przepraszają, że marnują cenny czas detektywów, ale Serena sporo wypięła – tak jak wszyscy! W końcu to przyjęcie! – i się potknęła i uderzyła głową w kominek i straciła przytomność, no i tak to już bywa, takie rzeczy się zdarzają, prawda?, i mają wielkie szczęście, że nie stało się nic poważniejszego i dziękuje, serdecznie dziękuje za dołożenie starań, by zbadać sprawę, i zapewne mają ważniejsze rzeczy na głowie, i przeprasza, najmocniej przeprasza, a jeśli tylko mógłby im jakoś wynagrodzić kłopot, może zechcieliby w ramach wyrazów wdzięczności przyjąć kilka butelek wina z jego piwniczki w Tipworth? Nie? No cóż, może innym razem. Wkrótce znów tu przyjadą, remont już prawie ukończony, a Tipworth to takie urocze, spokojne miasteczko, prawda? Idealne miejsce na rekonwalescencję Sereny. Dzieci je uwielbiają. Mogą tu swobodnie biegać, co w Londynie jest nie do pomyślenia. Ma pan dzieci? Och, w takim razie rozumie pan, o czym mówię...

Typowa gadka. Ben jest w niej doskonały. Ale nie wie, co go czeka po drugiej stronie drzwi komisariatu. Tam nie uratują go żadne gładkie frazesy, nawet najbardziej czarujące.

Przechodzą obok mnie. Znajduję się w odległości piętnastu, może dwudziestu metrów od nich. Ben ani drgnie. Ma na podbródku czerwone skaleczenie, ślad po zacięciu się przy goleniu. Przeskakuje po dwa stopnie naraz, rozsuwają się automatyczne szklane drzwi, dwaj mężczyźni wchodzą do komisariatu.

Bez słowa za nimi podążam. W holu stoi Garniturek. Unosi brew.

– Mogę w czymś pomóc, panie Gilmour?

– Yyy... tak. Czy nie będę się okropnie naprzykrzał, jeśli przed wyjściem skorzystam jeszcze z toalety?

Widzę, jak jego niechęć do mnie odrobinę się wzmaga.

– Proszę. Zaprowadzę pana.

Idę za jego ciężkimi krokami w głąb korytarza, mijamy pokój przesłuchań i automat z kawą. Gdy docieramy pod toalety, Garniturek wskazuje mi je zamaszystym gestem.

- Proszę, panie Gilmour.
- Proszę mówić mi po imieniu.
- Martinie – mówi z głęboką pogardą.
- Dziękuję. Trafię z powrotem.

Kiwa głową, odwraca się i odchodzi.

Jestem sam przy pisuarze. Nie chce mi się sikać, ale myję ręce, by moja wizyta w toalecie wyglądała wiarygodnie, na wypadek gdyby ktoś nasłuchiwał. Suszarka jest jednym z tych ekourządzeń, które emitują silny strumień powietrza, niczego przy tym nie susząc. Wycieram wilgotne dłonie w spodnie.

Wychodzę i zapuszczam się w głąb korytarza. Mam nieodpartą chęć wejścia wyżej. To pewnie jakaś pozostałość ze szkolnych lat; zaszczerpiona wiedza, że wszystko, co ważne, rozgrywa się na wyższych piętrach. Tam będą znajdować się gabinety wysokich rangą urzędników. A o ile w ogóle znam Bena Fitzmaurice'a, właśnie tam skieruje swoje kroki.

Wbiegam po schodach, staram się stąpać jak najlżej. Mój umysł wypełnia jedno pragnienie: znaleźć Bena, widzieć, jak się wije, być świadkiem jego upokorzenia. Chcę patrzeć, jak uchodzi z niego samozadowolenie i zaczyna świtać mu prawda.

Rozkład piętra jest kopią parteru: długi korytarz wysłany cienką wykładziną, po obu stronach drzwi. Z tą różnicą, że te mają tabliczki z nazwiskami, przed każdym skrót oznaczający rangę.

Stoję przyklejony plecami do ściany i widzę, jak detektyw wprowadza Bena do jednego z pokoi. Ben trzyma w ręku herbatę. W porcelanowym kubku. Nie w styropianie.

– Proszę tędy, panie Fitzmaurice – mówi detektyw. – Nie zajmiemy panu dużo czasu.

– Dziękuję – odpowiada Ben tym specjalnym tonem na użytek policji drogowej i opiekunek do dzieci.

Z wnętrza dobiega inny głos: niski, dudniący jak grzmot kółek walizki na twardym bruku. Drzwi powoli się zamykają. Idę szybko, staram się nie biec. W wąskiej szparze dostrzegam umundurowanego oficera ze srebrem na epoletach. Ścisną rękę Bena.

– Panie komisarzu – mówi Ben. – Miło mi znów pana widzieć.

Miło znów pana widzieć?

Słowa padają jak granat.

Pot na plecach. Suchość w ustach.

Oczywiście, myślę.

Oczywiście, że się znają. Co ich połączyło? Gra w debła w klubie tenisowym? Wspólna łoża w operze? Sąsiedztwo stolików na gali charytatywnej?

Zaczynam wpadać w panikę.

Rejestruję gładkość głosu Bena, rozluźnione ramiona, sposób, w jaki policjant wstaje, by go przywitać, jak gdyby Ben wyświadczał im przysługę. Widząc to wszystko, w ułamku sekundy pojmuję, że nic się nie zmieni.

Kompletnie nic.

I wtedy dociera do mnie z druzgocącą siłą, jakim cholernym byłem głupcem.

Przez cały czas grałem w karty, zapominając, że są znaczone. Głupi Martin, dźwięczy mi w uszach matczyzny głos. Nigdy nie pamięta, kto rozdaje karty. Zawsze wierzy, że jest lepszy, niż jest.

Czuję w piersi gorąco. Pozwalam sobie na cichy, bezcelowy szloch.

Drzwi się zatrząskują.

W tej samej sekundzie pojmuję, że ślad, który tak starannie zostawiałem podczas przesłuchania, gwałtownie urwie się w tym pokoju. Takie tępaki jak Beżowowłosa i Garniturek nie mają żadnych szans. Byłem głupi,

sądząc, że jest inaczej. Nie można stawać do walki z człowiekiem, który ma tak potężnych przyjaciół. Nie sposób konkurować z siłą status quo. Z reputacją. Urokiem osobistym. Pieniędzmi. Znajomością zasad, którymi rządzi się ten świat.

Z tym człowiek się rodzi, jeśli należy do grona tych szczęściarzy.

A jeśli nie? Może zmarnować całe życie na podejmowaniu prób.

Albo skończyć tak jak Vicky Dillane: porzucony jak śmieć.

Albo tak jak ja.

Odwracam się i wycofuję tą samą drogą. Garniturek kiwa mi na pożegnanie głową. Drzwi się otwierają, wita mnie podmuch

wieczornego powietrza. Wyje syrena.

Dzieciaki już poszły. W Dallas Chicken & Ribs palą się światła, widzę, jak jakaś postać w zielonym fartuchu wyjmuje koszyk z frytownicy.

Przechodzę na drugą stronę ulicy, gdzie stoi budka taksówki na telefon. Siedząca w środku kobieta ma zestaw słuchawkowy. Pyta, dokąd chcę jechać, zwraca się do mnie per „kochanieńki”.

Chcę po prostu wrócić do domu.

– Proszę na dworzec kolejowy.

– Trzeba poczekać pięć–dziesięć minut. Niech pan usiądzie.

Siadam na twardej ławce, biorę do ręki jakiś plotkarski magazyn z oślimi uszami, każda kartka wydaje się wilgotna w dotyku. Przerzucając strony, zauważam, że trzęsą mi się ręce.

Wszystko na nic. Wszystkie moje cholerne wysiłki.

11

Dwa lata później

Gdy ogrzewam czajniczek do herbaty, dzwoni telefon. Nalałem dwa cale wrzątku do zielonego emaliowanego imbryka i nim obracam, tak jak uczyła mnie matka, uważając, by nie wychłapać wody przez dzióbek, i kiedy słyszę dzwonek, w zasadzie mam ochotę go zignorować. Przestrzegam starannie zaplanowanej porannej rutyny. Parzę herbatę. Karmię kota. Otwieram tylne drzwi mocnym szarpnięciem, ponieważ zawsze się trochę zacinają, i idę podlać ogród.

Rośnie tam śliwa damaszka, która lada chwila zakwitnie. Zima była łagodna i rośliny nie mogą się zdecydować. W lutym kwitły krokusy. Wszyscy mówią o globalnym ociepleniu. Traktuję to sceptycznie. Klimat jest zmienny, prawda? Nikt nie wiązał epoki lodowcowej z aerozolami czy spalinami.

W ogrodzie znajduję spokój. Lubię się tam krzątać, wykonywać wszystkie drobne czynności niezbędne w jego uprawie. Przycinam. Pielę. Podleвам. Obserwuję. Widząc kiedyś, jak lady Katherine operuje nożyczkami do paznokci przy skrzynkach kwiatowych na parapetach, myślałem, że to okropna strata czasu. Teraz jednak dostrzegam tego zalety. Spokój. Cierpliwość, jakiej trzeba się nauczyć.

Czasem, gdy się schylam, podlewając doniczki, widuję dość oswojonego lisa na dachu szopy sąsiada. Jest czujny, ostrożny, gotów czmychnąć, gdybym ośmielił się do niego zbliżyć. Mam nawet karmnik dla ptaków. Zostawiam wróblom orzechy i skórki z grzanek. To późno rozwinięte upodobanie do przyrody zaskoczyło mnie samego. Nigdy wcześniej nie dostrzegałem sensu istnienia żywych stworzeń. Ludzie wydawali mi się jedynymi obiektami wartymi poświęcenia czasu. Pewnie dlatego, że

zabiegałem o ich sympatię. Z perspektywy czasu jestem zmuszony przyznać, że poniosłem porażkę. Poległem z kretesem.

Telefon znów dzwoni. Odstawiam imbryk na krawędź zlewu, ciaśniej zawiązuję pasek szlafroka i człapię w kapciach na korytarz, celowo się nie spiesząc w nadziei, że ten ktoś straci cierpliwość i się rozłączy. Nic z tego. Dzwonek uparcie brzęczy, słychać go w całym domu. Docieram do stołu i podnoszę słuchawkę.

– Halo?

Mam ochrypy głos. W roztargnionym zdumieniu odludka uświadamiam sobie, że od kilku dni nie zamieniłem z nikim słowa.

Szum, a potem słaby trzask jakby zastałych kości. A potem:

– Halo, Martin? – Natychmiast rozpoznaję głos. – To ja, Lucy.

Pozwalam, by zapadło między nami ciężące milczenie. Jest tak wiele do powiedzenia, a zarazem kompletnie nic.

– O, Lucy – odpowiadam. – Jak... – Rozglądam się po pokoju, nerwowo szukając wskazówek, co powiedzieć. Mój wzrok zatrzymuje się na pocztówce opartej o gzyms kominka. Portret młodego mężczyzny pędzla Giorgionego. Grube brwi, delikatnie rozchylone usta. Patrzy na mnie, wysunięta żuchwa rzuca mi wyzwanie. – Co za niespodzianka.

Na drugim końcu linii cichy śmiech. Zawsze śmiała się w ten sposób, tak łagodnie. Miło znów to usłyszeć.

– Szmat czasu, Martin. Jak się miewasz?

– Och, dobrze – odpowiadam, nagle onieśmielony. Od ponad dwóch tygodni noszę tę samą pizamę. Jeszcze się nie zebrałem do zrobienia prania. Na klapie szlafroka widnieje niewyraźna brązowawoczerwona plama. Fasolka po bretońsku, jak sędzę. Albo sos pomidorowy. Nie wiem. Niewiele mnie to obchodzi. Nawet podoba mi się to powolne staczanie w niechlujstwo. Nie mam komu imponować, nie mam potrzeby niczego udawać.

– Świetnie! Bardzo dobrze. Pisziesz?

– Nie. Nie znalazłem inspiracji.

Słyszę, jak mamrocze do kogoś coś o zamykaniu drzwi lodówki i nie, nie wie, gdzie podziały się kluczyki do samochodu, i może sprawdziłby tam... nie, nie tam, tam. A potem: męski głos. Nie wiedziałem, że z kimś mieszka. Ale z drugiej strony, dlaczego nie? Nie ma wobec mnie żadnych zobowiązań. A ja

nie starałem się niczego dowiedzieć. Po prostu założyłem, że jest moja.

– Przepraszam – mówi do telefonu. – Sprawy domowe.

– Ach, tak.

– Więc nie piszesz...?

– Nie. To znaczy nie książki. Czasem jakiś artykuł. Zacząłem pisać recenzje książek dla „Financial Times”.

– Wspaniale.

– Cóż, świata tym nie zmienię, ale przynajmniej mam zajęcie.

Nie mówię jej o tym pisaniu, które zajmuje mi większość czasu. Nie mówię, że co rano po przebudzeniu siadam przy laptopie i piszę. Nie wspominam, że zapisuję wszystko, co pamiętam na temat Bena. Nie mówię, że na klawiaturze daję upust swojej dziwnej obsesji. Właściwie nie wiem, co powstaje. Nie książka. Nie pamiętnik. Może rozrachunek. Oczyszczenie. Zaspokojenie wewnętrznej potrzeby zanotowania wszystkiego.

Kot wije się między moimi nogami, ociera się o łydki. Siedzę na sofie. Zwierzak wskakuje mi na kolana. Odruchowo zaczynam głaskać pręgowany grzbiet, czując, jak wygina kręgosłup. Powinienem nadać mu imię. Minęły dwa miesiące, od kiedy zjawił się w moim ogrodzie i odmówił wyprowadzki. Początkowo próbowałem go ignorować, nie wpuszczałem go do kuchni, nie zostawiałem mu jedzenia. On jednak uparł się i został, a gdy budziłem się co rano, schodziłem na dół i wyglądałem przez kuchenne okno, widziałem, jak kot dzielnie trzęsie się na trawniku. Po trzech dniach się ugiąłem i wpuściłem go do środka. Ale nie nadałem mu imienia. W ten sposób nadal odmawiam mu statusu stałego mieszkańca. Jest, powtarzam

sobie, jedynie tymczasowym gościem. To nic nie znaczy. Nie znaczy, że mięknię.

– Chciałam do ciebie zadzwonić, Martinie, ponieważ... ponieważ... mam ci coś do powiedzenia. Chciałam, żebyś wiedział.

Wydawała się spięta. Wyobrażam sobie, jak patrzy na mnie z tą swoją charakterystyczną, dobrze mi znaną zmarszczką u nasady nosa, w oczach strapienie, usta mocno zaciśnięte w błagalną linię. Kiedyś szalenie irytowała mnie ta jej gotowość do zadowalania innych. Teraz się zastanawiam, dlaczego byłem dla niej taki okrutny. Ona po prostu zawsze próbowała mnie kochać. Nie jej wina, że byłem taki antypatyczny. Że postanowiłem nie przyjmować jej miłości.

– Jestem w ciąży.

– O. – Zrzucam kota na podłogę i odtrącam go czubkiem stopy. Piszczy i chowa się pod sofą. W słuchawce trzeszczy. – Czy gratulacje będą w tej sytuacji na miejscu?

Śmieje się.

– Tak! Bardzo się cieszę. Jesteśmy po kilku cyklach in vitro, więc...

– W takim razie... gratulacje.

Słyszę, jak podjeżdża samochód dostawczy. Za kierownicą siedzi jakiś osobnik z ogoloną głową, parkuje na chodniku. Nie znoszę, jak to robią: tarabanią się na krawężnik, jakby nie dotyczyły ich przepisy. Zatrząskuje drzwi, ale zostawia otwarte okno, słyszę więc dudniące basy i elektryczny jazgot irytującego popu, który zakłóca ciszę ulicy.

W dzisiejszych czasach wszyscy są egocentryczni. W ogóle nie obchodzą ich potrzeby innych ludzi. Nie respektują żadnych granic. Zgiełk wlewa się w istniejące dotąd strefy ciszy; cała ta bezustanna, frenetyczna aktywność wypełnia każdą dostępną przestrzeń zalewem nonsensu. Status. Ulubione. Tweetujesz. Filtrujesz. Skrolujesz. Lajkujesz. Aktualizujesz. Wrzucasz. Wrzucasz. Wrzucasz. Świat zredukowany do króciutkich momentów uwagi na najniższym poziomie.

Czekam, aż Lucy powie coś jeszcze. Trudno mi rozmawiać przez telefon, ponieważ nie mam żadnych wizualnych wskazówek co do reakcji rozmówcy. Nie bardzo wiem, po co zadzwoniła z tą nowiną. To, co aktualnie robi w życiu, jest wyłącznie jej sprawą. Rozwód przebiegł sprawnie, za porozumieniem stron. Nie potrzebowaliśmy nawet angażować adwokatów. Nie było nic więcej do powiedzenia. Widziałem to w oczach Lucy: pstryknął jakiś wewnętrzny przełącznik. Przejrzała mnie, ujrzała mnie takim, jakim byłem, i ja to rozumiałem. Nie winię Lucy za napaść na Serenę. Bóg jeden wie, że często korciło mnie, by zrobić to samo. Rozumiem aż za

dobrze, jak to jest osiągnąć punkt wrzenia i go przekroczyć, znaleźć się w miejscu, gdzie żar jest tak intensywny, że zamiast parzyć zdaje się mrozić, tak jak ciekły azot wymraża brodawkę.

– Dziękuję, Martin. – Głos Lucy sprowadza mnie na ziemię. – Chciałam, żebyś wiedział. Uważałam, że powinienieś. To znaczy, zdaję sobie sprawę, że miałeś zawsze niejednoznaczny stosunek do dzieci...

Oczekuje, że temu zaprzeczę albo dodam jej otuchy, ale nie mogę. Ma rację: nigdy nie chciałem mieć dzieci. Kiedy Lucy zaszła w ciążę, miałem wyraziste sny, że podają mi dziecko, a z kwilącej buzi oseska spogląda na mnie duch Sylvii. Poronienie, gdy stało się faktem, przyjąłem z ulgą i nie potrafiłem tego ukryć. Byłbym koszmarnym ojcem. Idea zapłodnienia in vitro, pragnienia potomstwa do tego stopnia, że jest się gotowym wyprodukować dziecko w szalce Petriego, zasługuje według mnie na anatemię. Nigdy bym tego dla niej nie zrobił. Nigdy. I mam świadomość, że ona o tym wie, choć nie zostało to wypowiedziane na głos.

– Więc – zaczynam, łamiąc sobie głowę, co wypadałoby powiedzieć. – Kiedy masz termin?

– W sierpniu. Jesteśmy już poza pierwszym trymestrem, więc nam ulżyło.

– My?

– Ja i mój partner Will. Jest stolarzem.

Parskam śmiechem.

– Cóż za pożyteczny fach.

Wyczuwam, jak Lucy sztywnieje.

– Tak się składa, że ma niesamowity talent artystyczny. Robi dla klientów meble na zamówienie. Tego rodzaju rzeczy.

– Ach, tak. Cieszę się, że jesteś zadowolona.

– Czyżby?

– Oczywiście.

– Miło z twojej strony, dziękuję. I dziękuję za całą resztę. W sumie nigdy ci nie powiedziałam, jak bardzo jestem ci wdzięczna za... no wiesz, za to, co zrobiłeś.

Ma na myśli policję. Fakt, że nie powiedziałem, co rzeczywiście się wydarzyło. Okazało się bowiem, że jednak chcę ją chronić, co zaskoczyło mnie tak samo, jak zaskoczyło Lucy.

– Drobnostka.

– Wcale nie.

Milkniemy. Słyszę, jak stuka klapka na listy i coś spada na wycieraczkę. Jedyna poczta, jaką obecnie dostaję, to reklamy i agitacyjne ulotki wyborcze lokalnej polityczki, niejkiej Chloe, kobiety o krótkich, sterczących włosach. Chloe wygląda tak młodo, że mogłaby być moją córką. Kandyduje z ramienia liberalnych demokratów i chociaż nie wygra, myślę, że na nią zagłosuję. Wszystko będzie lepsze od torysów Edwarda Bullera.

– Miło było cię usłyszeć, Lucy, ale muszę wracać do pracy. Goni mnie termin.

– Jasne, jasne. Przepraszam, że ci przerwałam. Chciałam tylko...

– Wiem – mówię. – Wiem. – Zastanawiam się, co jeszcze dodać, po czym decyduję się na zwykłe „dziękuję”, które brzmi fałszywie, ale nie potrafię zdobyć się na nic więcej. Kot wierci się na moich kolanach, ugniata łapami szlafrok. Chrząkam. – Jesteś bardzo dobrą osobą – dodaję, czując palenie w gardle. Mimowolnie podrzucam głową. Raz, dwa razy. Czekam, aż tik minie.

– Do usłyszenia, Martinie – mówi Lucy przez ściśnięte gardło.

Rozłączam się. Słucham sygnału, a potem odkładam słuchawkę.

Wracam do kuchni, wciskam guzik w czajniku, by ponownie zagotować wodę. Kot idzie za mną, oburzony brakiem zainteresowania z mojej strony. Wrzucam mu do miseczki trochę karmy. Brązowe kawałki jakiejś zbitej mazi w galarecie. Napis na szaszetce informuje, że to niby kurczak z wołowiną. Podnoszę łyżkę karmy do nosa i wącham. Czasem się zastanawiam, czy mógłbym ugotować gulasz z whiskasa. Pachnie całkiem dobrze. W każdym razie zbyt dobrze jak na żarcie dla bezpańskich kotów. Prawdę mówiąc, mam ochotę zaprosić kogoś na obiad ugotowany z kociej karmy i powiedzieć, z czego się składał, dopiero po zjedzeniu przez gościa ostatniego kęsa. Wada tego planu polega na tym, że nie mam kogo zaprosić.

Oczywiście najbardziej chciałbym wyciąć taki numer Benowi, ale nie utrzymujemy już kontaktów.

Nie widziałem go od tamtego dnia w komisariacie policji, dnia, w którym zdałem sobie sprawę, że Beżowowłosa i Garniturek nigdy nie zdołają przedstawić Benowi dowodów winy. Niemniej śledzę jego karierę na odległość. Mam na oku wszystkie jego poczynania. Popełniłem błąd, pozostawiając sprawę w rękach niekompetentnych pośredników. Czaję się teraz na właściwy moment. Będę przygotowany, gdy nadejdzie. Sun Tzu: „Aby poznać wroga, musisz stać się własnym wrogiem”.

Kandydował do parlamentu. Ed Buller wprowadził go bezpiecznie na miejsce, polecając jego kandydaturę po śmierci wiekowego polityka, który zapisał słuszną część swojego majątku lokalnemu kościołowi. Ben wygrał bez trudu znaczną większością głosów. Jego pierwsze wystąpienie w Izbie Gmin kilka miesięcy temu dotyczyło reformy prawa karnego, sprzeciwiał się dyskutowanej propozycji przyznania więźniom prawa głosu.

Oglądałem go na kanale BBC Parliament. Miał nową fryzurę: włosy zaczesane do tyłu, utrwalone zbyt dużą ilością żelu, przez co wyglądał starzej i mniej wiarygodnie. Gdy przemawiał, po jego włosach irytująco skakały puszczane przez światło kamery zajaczki.

Opanował już stosowną gestykulację – pełniące rolę znaków przestankowych szczerze gesty otwartych dłoni, tak uwielbiane przez telegenicznych polityków szkolonych w sztuce public relations i umiejętności dostarczania mediom atrakcyjnych nagłówków. Uśmiechał się we właściwych momentach i kiwał głową, gdy wymagała tego treść zdania. Miał w sobie coś hipnotyzującego. Było tak zawsze, nawet w szkole. Miał też bardzo białe zęby. Ciekawe, czy je wybielał.

W międzyczasie mianowano go wiceministrem. Mówi się, że ma ucho parlamentarzysty. Najnowszy felieton w „Telegraph” typuje go na jednego z dziesięciu możliwych przyszłych liderów, obok tego umięśnionego prostaka Andrew Jarvisa, który jakimś cudem wciąż mocno się trzyma pomimo moich regularnych anonimowych telefonów do redakcji rozmaitych brukowców z informacją o jego kochance w Londynie. Jak dotąd nikt nie połąkł przynęty.

Zaparzyła się herbata. Nalewam sobie filiżankę i dodaję kapkę półtłustego mleka z lodówki. Kot głośno mlaszcze, całkowicie pochłonięty jedzeniem. Wchodzę na piętro, deski delikatnie skrzypią pod stopami. Domek, w którym mieszkam, wydaje się nieustannie na granicy rozpadu. Ściany wybrzuszą się w dziwnych miejscach, żadna powierzchnia nie jest całkowicie prosta. Gdy nocą zostawiam na podłodze telefon do ładowania, rano zastaję go kilka cali dalej w prawo. Czasem mam wrażenie, że i ja się zapadam: jak statek przechylający się przed zatonięciem.

Na piętrze znajdują się trzy pary drzwi: do łazienki, sypialni i gabinetu. Z kubkiem herbaty w jednej ręce, drugą otwieram drzwi gabinetu i siadam przy biurku. Komputer jest ustawiony w taki sposób, że widzę ogród za oknem i tam spoglądam, kiedy rozprasza się moja uwaga. Słyszę ciche ćwierkanie za szybą. W jednym rogu wisi pajęczyna, jedwabne nitki połyskują w świetle poranka.

Myślę przelotnie o Lucy, o jej nabrzmiętym brzuchu, bladej skórze naciągniętej na tym czymś, co rozwija się pod spodem. Zawsze uważałem ciężę za coś dziwnego: jak to jest, że kobieta może hodować w swoim brzuchu całkowicie nową istotę i że ten obcy zbiór komórek, ta

embrionalna osoba, której nikt jeszcze nie zna, będzie rozpychać się w najbardziej intymnych częściach ciała, rosnąć i pęcznieć, łapczywie połykać płyny, aż stanie się zbyt duża, by się pomieścić, niczym kleszcz opijający się krwią swojego żywiciela. W innym kontekście uważano by to coś za guz. A tymczasem, zamiast się przerażać, mamy radośnie tę istotę przyjmować. Rodzenie dzieci traktuje się jak rodzaj świętego rytuału przejścia. Ja jednak widzę w tym niesłychane ryzyko. Bo kto wie, co się urodzi?

Obracam się razem z krzesłem i patrzę na ścianę za plecami. Pokryłem ją długimi prostokątnymi arkuszami papieru pakowego, który kupiłem w Rymanie, rozwinąłem i przyczepiłem blu tackiem. Sporządzam oś czasu. Na poziomej linii zaznaczyłem każdy istotny moment w życiu Bena, opatrując go odpowiednią datą wypisaną czarnym markerem oraz dodając wszelkie wycinki prasowe i inne szczegóły wygrzebane w internecie. Z lat szkolnych jest tego niewiele, jedynie przypadkowe świadectwo, który wykradłem z kufra w Denby Hall, oraz sporządzona wiele lat temu kopia listu Katherine (*Wszystkiego najlepszego, kochanie, Mamusia*).

Ciekawie zaczęło się robić mniej więcej w okresie śmierci Vicky Dillane. Było całkiem sporo artykułów prasowych z tamtego okresu, o których nie miałem pojęcia. Rodzina Fitzmaurice'ów szczelnie odizolowała mnie od następstw tamtego wypadku. Myślałem, że robią to z dobroci serca, lecz oczywiście kierował nimi wyłącznie własny interes. Otaczając mnie kokonem, chronili siebie. Im mniej wiedziałem, tym lepiej. Im mniej zadawałem pytań, tym łatwiej można było zatuszować niespójności. Z dzisiejszej perspektywy wydaje mi się zdumiewające, że policja zaniechała dalszego śledztwa. Wiedziałem, że przekupiono rodzinę Dillane'ów, by nie drążyli sprawy. Wiem, że zamożność i pochodzenie pozwalają na manipulację, ale nigdy w pełni nie rozumiałem jej skali. Władza, jaką dają, jest ogromna. Nic nie jest nietykalne, nawet prawda. Zwłaszcza prawda. Ale co sobie pomyślą, gdy ujawnię prawdziwy przebieg wydarzeń, kiedy się dowiedzą, że ich córkę zabiła bezdusznosc pijanego młodego mężczyzny, który zasiada obecnie w parlamencie? Co zrobią?

W ostatnich miesiącach pojawiło się w prasie tak wiele artykułów i wywiadów do wyrwania i przyklejenia na ścianę, że aby wszystkie pomieścić, musiałem rozwinąć kolejną rolkę papieru. Teraz, gdziekolwiek spojrzę, patrzy na mnie twarz Bena z rozmazanego druku gazetowego. Oto Ben pojawia się przed nadzwyczajną komisją parlamentarną, wygląda na zmęczonego i udręczonego, pochylony ślęczy nad dokumentami. Albo sędziuje na charytatywnej wystawie psów, trzyma na rękach west highland teriera imieniem Monty, który próbuje lizać go po twarzy. Gdzie indziej w towarzystwie swojej pięknej żony Sereny zadającej szyku w szarych jedwabiach zjawia się na gali otwarcia Prince's Trust. Po wypadku Serena wróciła do znakomitej formy. Jeśli uważnie przyjrzeć się zdjęciom jej twarzy, można dostrzec cieniutką białą szramę biegnącą od linii włosów do zewnętrznego kącika prawego oka. Poza tym znów była pretensjonalną, lodowatą, nietykalną Sereną. Na jeszcze innym zdjęciu Ben pozuje z czworgiem dzieci w kuchni domu w swoim okręgu wyborczym, ubrany w fartuch (kto by pomyślał: w fartuch! Odkąd się znamy, ani razu nie widziałem, żeby gotował) z wyhaftowanym napisem „Zachowaj spokój i piecz dalej”.

I wreszcie moje ulubione – powielona w wielu kopiach szkolna fotografia z ostatniego roku nauki w Burtonbury. Ben był wtedy przewodniczącym klasy, a Jarvis jego zastępcą. Siedzą obok siebie na trawniku w Sullies. Ben w rozkroku, z dłońmi mocno opartymi o kolana. Jarvis ma rozbiegany wzrok, przekrzywiony krawat, rudawe włosy zmierzwiłone na skroniach. Obaj się uśmiechają.

Pamiętam, jak nie wiadomo dlaczego parsknęli śmiechem tuż przed zrobieniem tego zdjęcia. Jarvis nachylił się do Bena i szepnął mu coś na ucho, a ja, stojąc tuż za nimi, wykręcałem szyję, żeby coś podsłuchać, ale bez powodzenia. Byłem zazdrosny, musnąłem koniuszkami palców ramię blezera Bena, by zwyczajnie poczuć, że tam jest, przypomnieć sobie, jak to jest go dotykać. Ben gwałtownie odwrócił głowę.

- Co ty wyprawiasz, stary?
- Przepraszam. Miałeś tu jakiś kłaczek.

Jarvis rzucił mi gniewne spojrzenie.

– Dzięki, mamó – powiedział Ben, Jarvis zarechotał, a potem obaj jednocześnie odwrócili się do fotografa, który chwilę później pstryknął zdjęcie.

Zdjęcie wykorzystywane raz po raz w rozmaitych gazetach w celu zilustrowania nepotyzmu w samym sercu rządu Edwarda Bullera. Za każdym razem jest okrojone, widać tylko ręce i torsy innych chłopców. Ale wiem, że też tam jestem, stoję na lewo od głowy Bena. Tuż nad górnym guzikiem blezera mam plamę od atramentu. Jeśli zmruży się oczy, niemal można ją dojrzeć. Nie widać natomiast drżenia dłoni i łomoczącego serca. Nie widać intensywności mojego uczucia ani drogi, która się przed nami otwiera. Nie widać kursu, jaki obierze nasze życie. Nie widać końca pod postacią obskurnego komisariatu policji z herbatą w styropianowych kubkach, kobietą o beżowych włosach i mężczyzną w szarym garniturze.

Przynajmniej Benowi wydaje się, że to koniec. Ale tak nie jest, o, nie. Jeszcze nie skończyliśmy. Jeszcze nie wyrównaliśmy rachunków. Nie pozwolę, by uszło mu to płazem, mimo że zdołał oczarować wszystkich policjantów w kraju. Wierzy, że ja wciąż krążę po orbicie wokół jego oślepiającego słońca.

Nie krążę.

Choć tego po mnie nie widać, jestem zły. W stanie śmiertelnie niebezpiecznej, cichej furii. I gotowy. Czuję pomruk i wibracje łączących się ze sobą atomów. Wkrótce wyrównamy rachunki.

Jeśli chodzi o mnie, myślę, że dość dobrze dam sobie radę w więzieniu. Będę pisał. Będę myślał. Poza tym przez całe życie uczyłem się, jak przetrwać w różnych zakładach zamkniętych. Będę umiał się przystosować w sposób dla Bena całkowicie nieosiągalny. Ta myśl daje mi ogromną satysfakcję. Przynajmniej raz nie będzie znał reguł gry. Dziwne, ale uświadamiam sobie, że pomimo gniewu czuję też zadowolenie.

Syty po śniadaniu kot cicho wchodzi do gabinetu. Wskakuje na segregator, w którym przechowuję stos starych gazet oraz archiwalne numery magazynu absolwentów Cambridge. Zwija się w kłębuszek,

osłaniając łapy ogonem niczym tarczą. Zamyka oczy. Z pyszczka wystaje małeńki trójkącik różowego języka. Zaczyna mruczeć. Cicho, kojąco.

Co zrobię z kotem?

Odwracam się do biurka i odpalam komputer. Klikam w ikonkę na pulpicie. Spoglądam na lewy dolny róg strony: pięćdziesiąt trzy tysiące osiemset dwadzieścia trzy słowa. Lubię kontrolować tę liczbę. Nadaje moim myślom solidność i znaczenie. Przypomina, że to wszystko się wydarzyło, że nie można temu zaprzeczyć, skoro istnieje pod postacią czarnego, jedenastopunktowego fontu Arial.

Staram się nie myśleć o kocie.

Zabieram się do pisania. Muszę zredagować zapiski z policyjnego przesłuchania. Chcę się upewnić, że chronologia jest poprawna, że zgadzają się wszystkie szczegóły. Wypijam łyk herbaty.

Staram się nie myśleć o kocie.

Kto będzie go karmił, gdy mnie tu zabraknie?

Wstaję. Podryguje mi głowa. Raz, dwa razy. Szykuję się na trzeci, ale nie następuje. Podchodzę do segregatora i kładę rękę na ciepłej głowie śpiącego kota. Czuję pod dłonią delikatne kości czaszki, łagodne falowanie i drżenie oddechu, i myślę o tamtym ptaku, dawno temu, na szkolnym dziedzińcu.

Pozostawiam dłoń na kociej głowie sekundę dłużej. Potem głaszczę go po grzbiecie i łaskoczę pod brodą. Mruczenie się wzmacnia, a potem zupełnie ustaje.

Zaciskam pasek szlafroka.

Ponownie siadam za biurkiem.

Powracam do pisania.

Na zewnątrz czeka świat.

Podziękowania

Materiały zostaną dostarczone...

Hipnotyzująca opowieść o obsesji, zdradzie, przywilejach i hipokryzji

Martin i Ben przyjaźnią się od 25 lat, od czasów nauki w prestiżowej Burtonbury School. Stanowią dziwną parę: Martin – outsider, który niewłaściwie się ubiera i wysławia – oraz olśniewający, popularny, zamożny Ben.

Ten pierwszy dobrze wie, że nikt nie jest w stanie zrozumieć łączącej ich więzi i nikt nie byłby w stanie jak on strzec sekretu przyjaciela ponad dwie dekady...

Na przyjęciu z okazji czterdziestych urodzin Bena zbiera się śmietanka brytyjskiej socjety, by świętować w oparach szampana, narkotyków i blichtru.

W tłumie gości – polityków, znanych osobistości, celebrytów, dziedziców rodzinnych fortun i nuworyszów – Martin ponownie odnosi nieprzyjemne wrażenie, że nie należy do tego świata. Jego żona Lucy także jest pełna rezerwy. W powietrzu wisi niepokój. Lecz przecież Ben nie zrobiłby niczego, co zniszczyłoby ich przyjaźń, prawda?



Książnica

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-6708-8

EAN 9788327167088

U.KS.THR005.1.01.01